ROK XIX.
Ogólnego zbioru Tom LXXIII.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM I. — ZESZYT II.

Luty.

WARSZAWA.

1894.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

str.

I. **Postęp i wsteczność.** Przez *Wł. M. Kozłowskiego* . . 218

II. **Siostry Malinowskie** Powieść. Przez *Alfreda Konara* 228

III. Przyczynek do Genezy **„Maryi Stuart"**. Przez *Wiktora Hahna* 260

IV. **O włościach rentowych.** Przez *J. Kirszrota-Prawnickiego* 297

V. **Zimą.** Wiersz. Przez *Kazimierza Glińskiego* 303

VI. **Marya Konopnicka.** Przez *Józefa Nowińskiego* . . . 305

VII. **Podmuch z Północy.** Przez *Ignacego Matuszewskiego* . 352

VIII. **Cła zbożowe w Niemczech.** Przez *Stefana Zakrzewskiego* 369

IX. **Powieść realistyczna w Anglji.** Przez *Trepkę* . . . 378

X. **Najnowsza powieść** Bolesława Prusa. Przez *Piotra Chmielowskiego*. 393

XI. **Rozbiory i sprawozdania.**
Dr. J. Conrad. Dr. L. Elster. Dr. W. Leksis. Dr. Edg. Loening. Handwörterbuch der Staatswissenschaften. Jena 1890, 1893. *Dr. Z. D.* 409

XII. **Nowości naukowe i literackie.** 412

XIII. **Kronika miesięczna.** Przez *B. Lut.* 418

XIV. **Ogłoszenia** 432

Zeszyt zawiera arkuszy 13 i pół.

Druk ukończono d. 17 Lutego 1894 r.

POSTĘP I WSTECZNOŚĆ.

Od dwudziestu lat przeszło wyraz „postęp” stał się u nas najpotężniejszym orężem w walce zdań. Przywykliśmy tak dalece uważać za rozstrzygającą o wyższości i prawdziwości opinii, prądów, dążności i kierunków dającą się do nich przykleić etykietkę „postępowy”, a za piętnujące uważać określenie „wsteczny”, że służy to za jedyny niemal probierz wartości utworów duchowych. Nie pytamy co do zasady, czy jest moralną, co do nauki czy zgadza się z prawdą, co do dzieła sztuki lub utworu poetyckiego czy jest piękny, co do kierunku myśli praktycznéj, czy jest dobry — wszystko to zastępuje określenie „postępowy”. Wielka musi być potęga tego wyrazu, skoro może nas pocieszyć nawet przy czytaniu najnudniejszéj powieści i najlichszych wierszy!

Czy słuszne jest takie oddanie pierwszeństwa postępowi, taka jego wszechwładza. Wiele o tém dałoby się powiedziéć, lecz zaprowadziłoby to nas za daleko. Nie podając więc w wątpliwość saméj zasady, przyznając chętnie, że ta idea dziejowa, którą nazywamy postępem, a która jest dla ludzkości tém, czém dążenie do udoskonalenia dla jednostki, owo nieustające i nienasycone pragnienie ideału praktycznie pojętego, t. j. jako przewodnika i celu w życiu dziejowém i w życiu osobowém, jest rzeczywiście czémś wielkiém, czémś godném wszelkich ofiar, czémś zasługującém na to, aby stało się kamieniem probierczym wszelkich myśli, pragnień i dążności naszych.

Czy zawsze jednak dobrze ją pojmujemy? Czy nie mieszają się czasem do oceny naszéj pierwiastki, które nie mają nic wspólnego ani z doskonałością, ani z postępem?

Ażeby odpowiedziéć na to pytanie, sprobujmy zdać sobie sprawę, czém jest postęp i jak się przedstawia w rozmaitych dziedzinach myśli i czynu.

Przedewszystkiém rzućmy okiem na całość dziejów, to znaczy na obszerne pole życia i czynu, na którém i dla którego skupiają się usiłowania we wszystkich szczegółowych dziedzinach myśli teoretycznéj i praktycznéj, wiedzy i sztuki, religii, moralności lub prawa. Wszystko to istnieje przez ludzi i dla ludzi, dla życia, chociaż może sporą część tego życia zajmować, chociaż jest może najbardziéj wartościową, jedynie godną uznania stroną jego. Co nazwiemy postępem w dziejach? Po czém poznamy, że ten lub ów czyn, ta lub owa myśl jest rzeczywiście postępową ze stanowiska całości dziejów?

Postęp—to znaczy ruch naprzód; ale któż wytknął kierunek drogi na tém polu współzawodnictwa duchowego? Gdzie jest przód, a gdzie tył w téj bezprzestrzennéj krainie?

Ażeby pojęcie postępu przybrało jakiś określony sens, powinniśmy wiedziéć ku czemu zmierzamy, powinniśmy w końcu drogi widziéć jakiś ideał, który chociaż niedościgły jak gwiazda na niebie, wskazująca żeglarzowi drogę, określa jednak kierunek, w którym dążymy. Ten ideał nie ma oczywiście nic wspólnego z naturalnym biegiem rzeczy, do niczego nas nie obowiązującym, z którym walczymy i przy pomocy wiedzy naginamy do naszych celów, nie jak Syzyfy, bezmyślnie a uporczywie podnosząc skałę, staczającą się ponownie z łoskotem, lecz jak Prometeusze, wydzierając niebu jego światła, jego tajemnice. Ideał ze swobody ducha naszego poczęty, uznany przez nas za doskonałość, uświęcony zgodnie wszystkiemi władzami ducha, staje się dla nas obowiązującym, jak prawo wydane przez mocarza obowiązuje jego samego, jak słowo wiąże honorowego człowieka.

Ale taki ideał szeroki i wszechludzki, nie według chwilowego i miejscowego usposobienia jednéj garstki, jednego pokolenia wymarzony, taki ideał, na który zarówno przystać mogą i powinni dalecy potomkowie, jak zgadzali się nań ojcowie nasi, bo płynący z wiecznotrwałych władz ducha, stanowiących „czystą treść człowieka”, powinien był się objawić w dziejach, bo musiał być tą myślą przewodnią, która od kolébki do dziś dnia świeciła ludzkości, dzięki któréj możemy mówić o „postępie”, jako o dążności w jednym określonym kierunku. Taki określony kierunek daje się istotnie dostrzedz w dziejach, może-

my go oznaczyć jako postęp ku podniesieniu godności i szczęśliwości ludzkiéj, jako rozlanie jéj na coraz szersze masy. Gdy człowiek podnosi stopniowo schylone w trwodze przed groźnemi potęgami czoło; gdy przez wiedzę i sztukę dochodzi do poznania ich, oraz panowania nad niemi, widzimy tu dążność w pierwszym z zaznaczonych kierunków; gdy stara się rozszerzyć swoje zdobycze duchowe na mniéj ukształcone narody, objawia się druga strona téj dążności, a rzecz godna uwagi, że większość gwałtownych podbojów, wszelkie krwawe nawracanie, czy to do religii, czy do cywilizacyi wyższéj, odbywało się zawsze pod hasłem—chociaż zbyt często obłudnie wystawianém — szerzenia wyższych zdobyczy ducha na ciemne masy i ludy.

Możemy więc uznać, że w życiu czynném, w życiu dziejowém, to jest postępowém, co przyczynia się do podniesienia godności i szczęścia ludzkiego, co sprzyja jaknajszerszemu rozlaniu na masy zdobyczy cywilizacyi. Sądzę zarazem, że jestto jedyne znaczenie, w jakiém wyrazu tego używać powinniśmy, a niezawodnie takie właśnie ma na myśli prasa publicystyczna, chociaż często nieświadomie lub świadomie przedzierzga je na inne.

Oprócz bowiem tego ściśle związanego z ideałami i celami ludzkości pojęcia postępu, które nazwiemy podmiotowém, możemy sobie wytworzyć inne — czysto historyczne i przedmiotowe, a pomieszanie tych dwóch znaczeń wyrazu posłużyło za powód większéj części jego nadużyć. Jeśli mianowicie usuniemy ocenę ze stanowiska celu, to jedynym probierzem postępowości zjawisk staje się ich następstwo chronologiczne; wprawdzie nie koniecznie potrzebujemy i w tym wypadku być pedantami dat: rozpatrując dzieje retrospektywnie, zawsze dostrzeżemy w nich pewne wybitne i powszechne zjawiska, które zdają się niejako wieńczącemi pewne okresy; np. reformacya, rewolucya francuska i t. d. Otóż stanąwszy raz na stanowisku takiego dokonanego faktu, możemy już (ale oczywiście nie inaczéj jak *post factum*) oceniać drugorzędne objawy historyczne, jako postępowe lub wsteczne stosownie do tego, czy przygotowywały grunt dla tych wybitniejszych, czyli téż działały w przeciwnym kierunku. Tak np. po dokonanym fakcie reformacyi, łatwo przyznamy znaczenie objawów postępowych działalności Wiklifa, Hussa i in.; widzimy w nich bowiem poprzedników téj reformy. Zupełnie jednak inaczéj rzecz mogłaby się wydać temu, ktoby zadał sobie podobne pytanie w chwili propagandy Hussa. Nie wiedząc jeszcze oczywiście dokąd dzieje zmierzają, nie miałby zupełnie miary do oceny postępowości lub wsteczności tego zjawiska, chyba że nosiłby w piersi swojéj pewne ideały, których pokrewieństwo czułby w téj

nauce. Takimi też byli ci, którzy jak Huss, Savonarola i tylu innych ginęli za przekonania swoje na stosach: nie z oderwanego pojęcia postępu chronologicznego, lecz z żywego poczucia płynącego z serca ideału, z miłości prawdy i ludzi, wynikały te przekonania, za które oddawano życie; a działo się tak nawet tam, gdzie, jak u Giordana Bruna, pozornym powodem starcia były przekonania czysto naukowe i filozoficzne; bo w rzeczywistości nie o to szło, czy słońce, czy ziemia się obraca, nie o atomy-monady, z których się świat miał składać, ale o prawa wolnego badania i wygłaszania opinii swoich, o godność myśli ludzkiéj i niezależność w poszukiwaniu prawdy.

Przedmiotowe więc czyli chronologiczne pojęcie postępu ma jeno znaczenie pewnéj kategoryi naukowo-historycznéj; stosować go do zagadnień chwili bieżącéj nie można, a gdy się to dzieje, wykazuje się w tém z jednéj strony ów popęd do pseudonaukowości, do ujęcia i podciągnięcia wszystkiego pod formułki abstrakcyjne, który jest cechą naszéj epoki, z drugiéj świadczy o pewném lenistwie i nieudolności życiowém, o zamianie żywych źródeł myśli na papiérowe, o zmumifikowanym poglądzie na świat. Podstawiając bowiem zamiast oceny życiowéj, naukowo-historyczną, usuwamy od siebie obowiązek: 1) posiadania jakichkolwiek ideałów przyszłości, 2) oceny zjawisk ze stanowiska tych ideałów; odpowiedzialność własną zwalamy na jakiś fatalizm dziejowy. Ażeby zadośćuczynić pierwszéj, potrzeba być człowiekiem życia, rozumiéć i czuć jego tętno, wgłębiać się myślą w jego szczegółowe objawy, badać, wątpić, walczyć; dla drugiéj potrzebna tylko znajomość historyi.

Właściwém więc polem do zastosowania idei postępu, jako ściśle związanéj z pojęciem ideału, jest dziedzina praktyczna, życie czynne. Możemy wprawdzie mówić o „postępie wiedzy", stosując wyraz ten w zakresie teoretycznym, ale tu ma on oczywiście inne bardziéj dosłowne i historyczne znaczenie; znaczenie „rozwoju" bez określonego naprzód kierunku. Wiedza bowiem dąży do poznania prawdy; postępowemi więc w wyżéj przyjętém znaczeniu byłyby w wiedzy teorye, hypotezy lub kierunki, które istotnie zbliżają ją do prawdy; ponieważ zaś téj ostatniéj nie znamy, gdyż jéj znalezienie stanowi właśnie cel wiedzy, więc nie możemy nigdy przesądać o tém, jakie objawy w dziedzinie myśli teoretycznéj zbliżają ją do prawdy, a jakie oddalają. W każdym razie możemy za postęp tu uważać to, co przyczynia się do dokładniejszéj analizy, czyli rozbioru pojęć i do ich wszechstronniejszego spojenia czyli syntezy.

Nikomu nie jest obce, że teorye i poglądy najnowsze nie koniecznie są najbardziéj postępowemi. Często bywało w dziejach ducha ludzkości, że myśl mistrza, jasna i płodna w następstwa, z czasem jałowiała i ulegała zagmatwaniu w ręku jego niedołężnych uczniów, lub pod wpływem jakichkolwiek ubocznych warunków. Tak w chwili obecnéj jesteśmy świadkami zwrotu w dwóch wielkich dziedzinach wiedzy — filozofii i ekonomii społecznéj — ku pierwowzorom z naddziadowskiego pokolenia. Jeśli obecnie poważni ekonomiści wołają o powrót do Adama Smitha [1]) a filozofowie do Kanta, aby czystą naukę tych myślicieli obrać za punkt wyjścia do dalszego postępu każdéj z wymienionych umiejętności, nie znaczy to, iżby chcieli świadomie i o sto lat wstecz cofnąć myśl ludzką. Któraż szkołę w takim razie powinniśmy uważać za bardziéj postępową Smitha czy Saya? Kanta czy Büchnera, Comte'a lub Spencera?

Myśl ludzka musiała zboczyć z prostéj drogi postępu, skoro wracać powinniśmy do pewnego punktu wyjścia; a chociaż zboczenia te nie były bezowocne dla jéj rozwoju, chociaż w tém błąkaniu się po manowcach umysł zwiedził nie jeden dotąd niezbadany kierunek, wycieczek tych jednak nie możemy utożsamiać z drogą postępu.

Co powoduje te zboczenia? Są tego różne przyczyny. wśród których najwydatniejsza rola przypada interesom, sympatyom, wierzeniom, wogóle czynnikom natury uczuciowéj, nie mającym nic wspólnego z czystém poznaniem. Wpływ tych czynników jest tak potężny, nawet na umysły wyższe, że jeden z najgłębszych badaczy historyi myśli nie waha się powiedzićć: „Ilość osób, które mają wyrozumowane podstawy wierzeń swoich jest prawdopodobnie nieskończenie mała; oddziaływania niewłaściwe wpływają nietylko na przekonania tych, którzy nic badają wcale, lecz zwykle nadają kierunek wnioskowaniu tych, którzy to czynią [2]). A jeśli niesłusznym byłby ztąd wniosek, iż rozum nie bierze udziału w wyrobieniu przekonań, to poprawnym jest następujący wysnuty przez tegoż autora: „Jedynym, słusznym ztąd wynikiem, że sprawa wnioskowania jest o wiele trudniejsza niż zwykle sądzą, oraz, że dla tych, którzy chcą zbadać przyczyny istniejących opinij, poznanie usposobień ważniejsze jest, niż znajomość dowodów."

---

[1]) Por. Dühringa, „Kritische Geschichte der polit. Oekonomie und des Socialismus." 1879.

[2]) Lecky. „Geschichte der Aufklärung in Europa" (przekład z angielskiego) str. XXIII.

Ścisły związek oraz wzajemne oddziaływanie rozmaitych czynników cywilizacyi objawia się w tém, że często pewne zjawisko życiowe odbija się na pozornie całkiem oderwanym od życia kierunku myśli. Jeśli zboczenia w ekonomii społecznéj czasów najnowszych sformowane były przez widoczny antagonizm kapitału i pracy; przez to, że jedni naginali swoje teorye ku interesom klasy ekonomicznie uprzywilejowanéj, drudzy w dążności ulżenia losowi klas uciśnionych, zapominali o przedmiotowości naukowéj, robiąc pamflety z książek ekonomicznych; to nie tak łatwo wykazać naocznie przyczyny krańcowego przerzucania się myśli filozoficznéj, chociaż proste zestawienie dat wykazuje ich ścisłą zależność od przewrotów politycznych naszego stulecia.

Istnieje jednak i w samym rozwoju myśli teoretycznéj przyczyna peryodycznego przerzucania się poglądów z jednéj krańcowości w drugą a objaw ten ujął Hegel pod nazwę prawa rozwoju ze sprzeczności: każda idea ma przechodzić według prawa tego trzy fazy: twierdzenie (*thesis*), w którém myśl ta wypowiada się kategorycznie, przeczenie (*antithesis*) które wysuwa jéj przeciwną i kojarzenie stanowiące syntezę obu poprzednich stanowisk, powrót do twierdzenia, lecz w formie mniéj jednostronnéj i bezwzględnéj. Źródłem tego prawa jest skłonność umysłów ludzkich do zbyt jednostronnego pojmowania rzeczy: każda nowowypowiedziana — chociażby w formie bardzo oględnéj — myśl staje się niebawem dla jéj zwolenników prawdą bezwzględną, zacierającą w ich umysłach wszystko, co się pod nią nie da podciągnąć; a gdy snując z niéj konsekwencye coraz to śmielsze i coraz mniéj uzasadnione, dochodzi się do wniosków jawnie niedorzecznych, gdy zwłaszcza przybywa nowa pobudka z jakiéjś dziedziny życia, umysły jednostronnie przeciągnięte w jednym kierunku przerzucają się z równą zapamiętałością w przeciwny. I takie wahania w rzeczywistości nie koniecznie prowadzą do „kojarzenia," ale mogą odbywać się wielokrotnie.

Tak materyalistyczny kierunek poglądów ogółu inteligencyi Europy z XVIII-go stulecia ustąpił miejsca w początku bieżącego wieku idealistycznie spirytualistycznemu, ażeby od połowy tego stulecia powrócić znowu do materyalizmu w najbardziéj krańcowych formach.

Podobne wahania myśli dają się dostrzedz nietylko w zakresie filozofii i potocznego poglądu na świat, ale i w historyi pogla-

dów nauk poszczególnych a i tu najczęściéj oddziaływa duchowe powinowactwo pomiędzy pewnemi teoryami naukowemi a poglądami ogólnemi.

Za przykład tego może służyć nauka o zmienności gatunków zwierząt i roślin i rozwoju stopniowym istot żyjących, wiążąca się chętnie z pewnym nastrojem materyalistycznym: wygłoszona przez filozofów starożytnych jak Anaksymander i Empedokles, odnowiona w końcu XVII i w XVIII stuleciu razem z materyalizmem przez Mailleta, Robineta, Lamarcka, po części Buffona (że pominę łańcuch istot żywych Bonneta, którego myśl zasadnicza, zaczerpnięta z nauki Leibnitza o nieznacznem stopniowaniu zjawisk przyrody), upada stanowczo pod naciskiem faktów i zmieniającego się usposobienia myśli w znakomitym sporze pomiędzy Cuvierem a St. Hilairem, ażeby zmartwychwstać w głęboko obmyślaném dziele Darwina, razem z odradzającym się materyalizmem w drugiéj połowie naszego stulecia.

Coś podobnego widzimy w geologii, gdzie kolejno występowały wyłączne teorye działania ognia i wody na ukształtowanie powierzchni ziemi, a nastąpiło połączenie obu w nowszych poglądach. A gdy spotykamy się z tak sprzecznemi dążnościami jak Cuviera, który przemiany w świecie żyjącym, wykazywane przez paleontologią, stara się wytłómaczyć za pomocą hypotezy gwałtownych przewrotów, (kataklizmy skorupy ziemskiéj) a poglądami Lyella, który idąc w parze z Darwinem wielkie skutki stara się wytłómaczyć drobnemi przyczynami, to nietylko widziéć w tém powinniśmy odbicie usposobienia dwóch narodów, objawiające się i w ich życiu politycznem: gwałtownych rewolucyach we Francyi i stopniowym powolnym rozwoju parlamentaryzmu w Anglii, ale i wpływ nastroju chwili, bardziéj skłonnego do śmiałych polotów w epoce Cuviera, w naszych czasach—realistycznego i rozmiłowanego w zasadzie, wygłaszanéj w formie twierdzenia „z ziarek piasku powstają góry"—zapomina się przytem, że zanim się góra usypie, wiatr może tysiąc razy rozwiać ziarka piasku — teoryi, którą i u nas stosowano na innem zresztą polu.

W jakież sprzeczności zaplątałaby nas próba odpowiedzi na pytanie, która z tych teoryi walczących była w swoim czasie postępową?

Czy teorya gwałtownych przewrotów, czy powolnych zmian powierzchni kuli ziemskiéj? Czy stałości czy zmienności gatunków?

Nieprzerwanego łańcucha rozwijających się istot organicznych, czy odciętych od siebie typów?

Nie przeszkadza to atoli, iżby teorya np. zmienności gatunków nie miała być dobrą i płodną w specyalnym zakresie przyrodoznawstwa, żeby nie miała odkryć tu szerszych widoków, pokierować badań nowym torem, a chociaż nosi na sobie ślady usposobień klasowych, najmniéj możemy winić jéj twórców za nadużycia, które popełniają adepci.

Najlepiéj więc wcale nie naklejać etykiet „postępowy" i „wsteczny" na zagadnienia oderwane, nie mające bezpośredniego związku z życiem polityczném i społeczném.

Pewna część [1]) naszéj prasy postępowéj w swoim czasie znalazła się w roli tego zwiedzacza muzeum, który zatopiony w rozpatrywaniu żuczków i robaczków nie dostrzegł słonia, a niektórzy do dziś trwają w téj tradycyi. Owym pominiętym przez wspomniany odłam prasy słoniem była postępowa idea polityczno-społeczna wieku, nieuwzględniona przez jednych, niezrozumiana przez drugich, podejrzliwie lub wrogo traktowana przez trzecich, została na uboczu, gdy tymczasem organy prasy i opinie zaliczały się do postępowych lub wstecznych, stosownie do tego, jak rozstrzygały spory o wyznania i dogmaty wiary, kwestye mózg czy dusza? stałość czy zmienność gatunków i t. p. Narobiono wiele wrzawy o rzeczy obce życiu, kiedy łatwo można byłoby przyjść do zgody, gdyby spojrzano w oko raz zagadnieniom praktycznym, bo ci, którzy najgroźniéj wywijali papiérowym pałaszem postępowości, niezbyt daleko odbiegli byli w pojmowaniu owych zagadnień praktycznych od swoich wstecznych przeciwników.

Kiedy instytucye, zwyczaje, lub wierzenia chylą się ku upadkowi w skutek wewnętrznéj niemocy i zgrzybiałości, łatwo je zwalić temi lub innemi argumentami; siła burząca nie tkwi w dowodzie, lecz w zniechęceniu ogółu, w usposobieniu przeciwném temu, które owe instytucye, zwyczaje lub opinie wytworzyło. I pod tym względem znacznéj części naszéj prasy postępowéj przypadła raczéj hałaśliwa niż czynna rola.

---

1) Mam tu na myśli oczywiście nie ludzi wiedzy, którzy wyrabiali sobie pewne poglądy, widząc w nich słusznie czy mylnie „prawdę" naukową i wygłaszali je jako taką, lecz tych, którzy z oderwanych twierdzeń wiedzy robili hasła życiowe; nie pracę wytwarzającą idee teoretyczne, ale tę, która z nich wyciągała wnioski praktyczne, więc publicystyczną w właściwém znaczeniu słowa. Przedewszystkiém zaś potępiając doktryny, nie sądźmy ludzi. Siew rzucano w dobréj wierze.

Tymczasem te formułki, które służyły za oręż do zwalczenia prawie już powalonego wroga, stały się siewem nietylko jałowym, ale często wprost szkodliwy wydającym plon.

Społeczeństwo nasze podobne było do wozu toczącego się z góry: dopóki ciągnęła się pochyłość, wszystko szło jaknajlepiéj: wóz toczył się w dół z łoskotem, stare szkapy wydobywały resztki sił, ażeby uciec przed nim, a woźnice-postępowcy trzaskali z bicza wszystkiemi hasłami pozytywizmu, wyobrażając sobie, że one to popędzają koni, a konie ciągną wóz. Lecz u dołu pochyłości wszystko stanęło. Daremnie woźnice zdwajali trzaskanie i okrzyki, daremnie wyrzekali na zacofanie i bezwładność ogółu — wyczerpane klacze, zużywszy resztki sił na karkołomną ucieczkę przed toczącym się wozem, ruszyć go teraz nie mogą i drepcą na miejscu. Rydwan społeczny stanął. Tymczasem grunt pod nogami okazał się bagnisty i coraz bardziéj wciąga w siebie wóz, konie, woźnicę i podróżnych, a każda próba ratunku tylko głębiéj pogrąża wszystko.

Dlaczego wóz stanął? Bo te hasła i hasełka nie mają i nie mogą mieć w sobie siły twórczéj, na odbudowanie nowych podwalin w miejsce tych, które raczéj same runęły pod zbiegiem wypadków dziejowych, społecznych i ekonomicznych, niż zburzone zostały przez prasę postępową. Bo prasa ta nie pochwyciła prawdziwéj postępowéj idei wieku.

Dosyć tego! Zabierzcie panowie napowrót w głąb' pracowni i katedr te spory i te kłótnie, które niepotrzebnie wynieśliście na forum! Publiczność żąda odpowiedzi na kwestye żywotne i palące, nie oderwanych dyskusyi naukowych lub metafizycznych, nienaukowo prowadzonych, którym nie doda żywotności przyklejona zwierzchu etykietka: „postępowy".

Daremna rzecz: moralności nie można zbudować na darwinizmie, tak samo jak nie można wysnuć ideałów przyszłości z porównania społeczeństwa do zwierzęcia, ani wyprowadzić praw obywatelskich z teoryi atomistycznéj. Te rzeczy mogą być doskonałe każda na swojém miejscu i w swoim zakresie, jako teorye i hypotezy naukowe; ale dogmatyzowane, przedzierzgnięte w hasła praktyczne, zawieszone na kiju jako sztandary walki, prowadzą tylko do niedorzeczności lub służą za płaszczyk egoizmu i interesów koteryjno-klasowych.

Porzućmy więc ostatecznie zwyczaj etykietowania niewłaściwemi nazwami opinii filozoficznych i naukowych, a jeśli nie możemy się zdobyć na nowe podstawy filozoficzne, z którychby wykwitły hasła praw-

dziwie postępowe, hasła praktycznego życia i działania, to nie gmatwajmy przynajmniéj pojęć i nie odrzucajmy tego, co w dawném było dobrém i dotąd służy za jedyną podwalinę poglądu na życie, chociaż przez niekonsekwencyę, chociaż milcząco uznaną.

W krajach północnych świt nowego dnia zléwa się w jedno z wieczorną zorzą minionego, tak że nie można odróżnić, gdzie kończy się jedno, gdzie zaczyna drugie. I my, stojący w ciemności, łatwo mieszamy ostatnie promienie zachodzącéj myśli ze świtem nowéj. Synteza zbliża się do tezy, jakby powiedział Hegel, antyteza zaś występuje w całéj sprzeczności do obu. Ludzie o krótkim wzroku, dostrzegając tylko tę sprzeczność, alarmują społeczeństwo krzykiem o wstecznictwo; ale ci, którzy patrzą w przyszłość, widzą przewodnią nić wieku, a ogół idzie za nimi, bo tłum ma subtelne poczucie siły, silnymi zaś są ci, którzy pojęli duch nowy, odgadli myśl przyszłości.

Zamiast pytać: „postępowy czy wsteczny"? pytajmy lepiéj: dobry czy zły? płodny w następstwa, czy jałowy? podnoszący godność człowieka, czy ją obniżający? przysparzający szczęścia ludzkości, czy je uszczuplający? szerzący miłość, czy nienawiść? braterską pomoc, czy wyniesienie się jednych a poniżenie i wyzysk drugich? A gdy jasna zorza po szarym świecie ukazuje pierwsze promienie wschodzącego słońca, wtedy każdy dostrzeże, skąd idzie światło. Bo postępowe w prawdziwém znaczeniu jest to, co dobre, płodne, moralne, podnoszące godność i szczęście człowieka nietylko na dziś, ale i na jutro; odpowiedzićć więc rzetelnie na pytanie: „czy postępowy?" może ten tylko, kto widzi daléj od chwili bieżącéj, kto ma przeczucie przyszłości, a dziś nie każdy je ma.

Unikniemy przez to jeszcze ważnego błędu, który coraz bardziéj szerzy się: pomieszania postępu z modą. Ileż razy w dyskusyi nawet z ludźmi mniéj inteligentnymi zdarza się słyszéć taką odpowiedź na jakieś założenia, dotyczące stosunków rodzinnych, małżeńskich lub społecznych: „dziś inaczéj na to patrzą", tak jakby się mówiło „dziś takich kołnierzyków nikt nie nosi"; a jeśli się ma do czynienia z jakimś młodzieńcem, trochę ocierającym się o papiér drukowany, któremu np. chcecie wytłómaczyć, że sprzedawanie siebie za posag jest podwójną nikczemnością, to możecie być prawie pewni odpowiedzi:

— Jesteś pan zacofany!

Zasadnicze poglądy życiowe, zasady i przekonania traktują się jak kapelusze i rękawiczki: dobre w jednym sezonie, mogą stracić wartość w następnym.

Byłem raz świadkiem, jak pewna osoba, upominająca się o jakąś modną powieść francuską, zawołała ze szczerém oburzeniem:

— Cóż mi potém, że dostanę ją za pół roku? Będzie wtedy dla mnie bez wartości!

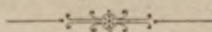
Wielka prawda! Po upływie pół roku, sezon na książkę minie: we wszystkich salonach przestaną o niéj mówić. Po cóż ma wtedy zadawać sobie pracę czytania?

Wł. M. Kozłowski.



SIOSTRY MALINOWSKIE.

POWIEŚĆ.



I.

— Ot, przestałby pan, jak mruk chodzić po pokoju i poszedłbyś lepiéj na pasterkę. Już i cała Łupińszczyzna pojechała do kościoła i aptekarze i sędziowstwo i pan Marcinkowski i pan Łuba... tylko pan... Boże odpuść!... — trajkotała pani Janowa, zajęta sprzątaniem resztek wieczerzy wigilijnéj.

— Kiedy, widzi Janowa, nie bardzo mi się jakoś chce.

— Nie bardzo się chce! — wzruszyła z oburzenia ramiona, aż czepiec na bok jéj się przechylił. — Jak lunatyk chodzić samemu po pustym pokoju — to się panu chce, a iść pomiędzy ludzi, zobaczyć tego owego, odetchnąć świeżém powietrzem... Skaranie Boskie! — rzekła, nie kończąc już zdania — coraz bardziéj rozgorączkowana własną paplaniną.

— A czy chociaż pogoda piękna na dworze?

— Nie wiem — burknęła gniewnie — zupełnie już w złym humorze.

— I! bo Janowa to w gorącéj wodzie kąpana.

— A w gorącéj! I sto lat żyć będę i dyabli mię wezmą a odludkiem, jak inni, nie byłam i nie będę.

— Czego Janowa właściwie się dąsa?

— Na kogobym się miała dąsać? To pan się widać na mnie gniéwa. Chociaż starałam się, aby przy stole było wszystko, jak się pa-

trzy. A pan, Boże zlituj się! czy choć zauważył, że ryba dobrze usmażona, że mak dobrze utarty. Ledwie pan tknął ustami. Może gdyby była młodsza i piękniejsza przyrządziła...

— Et! Nie gadalibyście głupstw, Janowo. Cóż-to? Mam wam komplementy prawić? wieczerza była wyśmienita. Ale samemu jeść — nie bardzo jakoś się chce.

— To czemuż pan już raz się nie ożeni, a sam marynuje się?

— No, dość już tego — przerwał jéj wreszcie. — Proszę mi dać futro i czapkę. Idę na pasterkę do kościoła.

I kiedy Janowa pomagała mu ubiérać się — pan doktór myślał sobie:

— Ta Janowa to istny typ starokawalerskiéj gospodyni. „Marynuje się" mówi. Ha! czas tak szybko bieży. Prawda, prawda! Maturę niby tak niedawno się skończyło... Potrafiłbym alfabetycznym porządkiem wyliczyć wszystkich kolegów... A potém ta bibka koleżeńska po skończeniu uniwersytetu zdaje mi się, że się wczoraj odbyła. A tu czterdziestka za parę lat się zbliży; tuż i starokawalerstwo za pasem. „Marynuje się" — powiada. — Ma słuszność; czémże inném jest moja wegetacya na tym partykularzu.

Włożył futro, nasunął barankową czapkę i wyszedł na ulicę.

Wieczór był prześliczny. Niebo usiane gwiazdami. Dokoła biało; śnieg skrzypie pod nogą. Powietrze mroźne, trochę ostre, orzeźwiające. Dokoła cisza, jakby makiem zasiał. Od czasu do czasu tylko zadudni dzwonek zbliżających się sani; dźwięczy śród ciszy coraz głośniéj, głośniéj, wreszcie ponad uszami. Aż sanie, sunące drogą wprost do kościoła — miną cię i diń, diń dzwonka coraz cichszy, cichszy rozpływa się w powietrzu. I znowu cisza.

Pan doktór mija rynek, uchodzący za St. Germain miasteczka Borowa i dąży drogą, zabudowaną podwójnym szeregiem dworków — w kierunku dudniących sań — ku kościołowi.

— Janowa miała jednak świetną myśl — zakonkludował, rozkoszując się mrozem, łechcącym mu twarz, śniegiem skrzypiącym i błyszczącemi na niebie gwiazdami.

— Jak tu ładnie! Te dworki, uginając się pod swemi białemi kożuchami. I te światełka w oknach!

Spojrzał na niebo i zmrużył aż oczy.

— Co gwiazd, co gwiazd! Całe miliony chyba. Co za pyszny kolor nieba! I pomyśléć, że te cudności znajdują się w tak podléj dziurze, jak nasza mieścina. Szkoda! Prawda, że nikt tu na nie nie zwraca najmniéjszéj uwagi, bawią tu one na niebie *incognito*. I coby powiedział szanowny aptekarz, sędzia i piękny pan Marcinkowski, gdyby

spostrzegli mię, liczącego gwiazdy na niebie. Prawda! wybaczyliby „romantykowi...” No, bo przecież i romantyk za to pozwala im, głupcom — nie zwracać na nie uwagi.

Uśmiechnął się sam do siebie.

— Dobrze mi dziś jakoś. Jestem pewny, że mię coś bardzo przyjemnego spotka. Może jakiś drobiazg, odrobinka, łut szczęścia... Ha! tém lepiéj, lubię kiedy mię coś przyjemnego spotyka. Tylko przykrości nie lubię, och! bardzo nie lubię — kończył, monologując dziś krotochwilnie, jak gimnazyasta.

I w bardzo dobrym humorze — minął bramę cmentarzyka parafialnego, otaczającego kościół.

Kościołek był nabity. I ciemno tu było i chłodno a wilgoć aż biła z zabłoconéj i mokréj podłogi

W ciemnym półmroku kąpały się żółte płomyki świéc woskowych. Refleksy ich złociły fantastycznie twarze zbitego tłumnie ludu, który zawodził monotonnie pieśni pobożne. I od czasu do czasu tylko zadominował ponad śpiewem solowy płacz dziecka, zbyt głośna uwaga, aby się nie pchać i szepty.

Przed panem doktorem poczciwy ludek niby fale zboża przegina się i rozsuwa. I panu doktorowi udaje się wreszcie dotrzéć aż do drzwi zakrystyi. Teraz rozgląda się dokoła.

Zna tu naturalnie wszystkich doskonale. Zdaleka rzucują mu uśmiechy, kiwnięcia głowami. Mężczyźni ściskają za ręce i mówią przyciszonym trochę głosem.

— Sługa pana doktora. Moje uszanowanie.

— I pan doktór do kościoła raz zawitał. Ho, ho!

Stawili się tu dziś wszyscy do apelu.

W ławkach, ustawionych z obu stron wielkiego ołtarza usadowił się naturalnie cały miasteczkowy i okoliczny *high life*. Byli więc i aptekarzowie i sędziowstwo i pani zawiadowczyni stacyi Dębinki: stara Łupinkowska, dla któréj krzesło do ławek przystawiano i cała Łupińszczyzna: obie panny, ciocia Nacia i wszyscy ich goście, którzy się do nich na wszystkie święta wiecznie tłumnie zjeżdżają.

Panny z powodu spóźnienia musiały już zająć miejsca w zakrystyi. I młodzież cała tłoczyła się we drzwiach, sadowiąc się wraz z damami — w braku krzeseł — na wysuniętych szufladach, zapełnionych ornatami i kapami. Był tu i stary Łupinkowski, witający się na wszystkie strony, serdeczny i uniżony i mnóstwo młodzieży, między którą trzymał prym piękny pan Marcinkowski, robiący tu — jak wszędzie — honory domu ze swobodą małomiasteczkowego *viveur'a* i pogromcy serc niewieścich.

Damy, okutane chustkami, ginęły w półmroku. Otaczała je młodzież, siląca się na dowcipy, wymawiane wprawdzie szeptem, na które panie, niby zatopione w książkach do nabożeństwa — odcinały się lakonicznie filuternemi słówkami.

Na co ukrywać! Zjawili się tu dziś wszyscy — nie jedynie aby modlić się — lecz zwabieni piękną pogodą i sanną jak po stole, przyjechali po wieczerzy wigilijnéj, aby łyknąć świéżego powietrza, urozmaicić monotonię życia wiejskiego, zobaczyć tego i owego i powrócić do domu.

Nietylko *high life*, lecz i całe fale ludu, zaléwającego świątynię, nie przypominają dziś pielgrzymki grzeszników ze wzniesionemi smętnie oczami, błagających Nieba o skruchę.

Nie! Z twarzami radosnemi z uśmiechem na ustach śpieszą dziś wszyscy do Pana Boga, jak do dobrego przyjaciela pokazać mu się i powiedziéć: Żyjemy. Jest nam dobrze na świécie. Jesteśmy zadowoleni i szęśliwi.

— Panno Bogusławo, jak pani prędko przewraca jedną kartkę za drugą; prawie połowę pani opuszcza — mówił, pochylając się, jakiś młodzian.

— Proszę patrzéć w swoją książkę, nie w moją — odcięła się cichutko młodsza panna Łupinkowska.

— Kiedy on wcale książki nie przywiózł — zauważył, robiąc dowcip, pomocnik kasyera ze stacyi.

— A to ładnie przyjeżdżać do kościoła bez książki — baraszkowano półgłosem w zakrystyi.

Doktór nie miał ochoty mieszać się do tych szeptów. Zdala od téj grupy, usadowionéj na szufladach, jakaś młodziutka osóbka w obcisłém, ciemném futerku, w czapeczce futrzanéj, rozmawiała ze starym Łupinkowskim. Naraz zwróciła główkę w stronę pana doktora. On drgnął aż cały.

— To-to, co mię miało spotkać dziś przyjemnego — bąkał machinalnie w téj saméj sekundzie, nie zdając sobie ze swoich słów sprawy.

Teraz przypatrywał się jéj uważnie.

Wzrostu średniego, miała twarzyczkę rzeczywiście bardzo regularną, włosy jasne, główkę małą, foremną, figurkę niezwykle zgrabną. Cała jéj postać wychodziła z półmroku fantastycznie, a jasne włosy z pod czapeczki błyszczały w czerwonawém świetle świéc jarzących, jak złote.

Na pytanie starego Łupinkowskiego odpowiadała, nie siląc się widocznie na dowcipy, bez parafialnéj kokieteryi, jak poważna osoba,

patrząc mu w same oczy. A kiedy znowuż uśmiéchała się, to jak młode dziecko, bez żadnych sztucznych min, udawań, grymasów, bez ocznych zézów i sznurowań ustami. Od czasu do czasu zbliżał się do nich Marcinkowski, jeszcze więcéj uśmiechnięty, rozkoszny. I jemu młodziutka dama odpowiadała spokojnie i poważnie, jak gdyby nie domyślając się, że to, co on mówi, ma być dowcipem, lecz mu odpowiada, ponieważ ją pyta. Wogóle, w ruchach, w mowie, w całéj swojéj osóbce, posiadała niezwykły wdzięk i urok — prostotę.

— Kto jest ta młoda osoba? — udało się wreszcie doktorowi zapytać starego Łupinkowskiego, który pozostawił teraz nieznajomą w towarzystwie córek i cioci Naci.

— Aha! Wpadła konsyljarzowi w oczko, to kąsek nielada! — odrzekł, nachyliwszy mu się do ucha.

— Pytam z prostéj ciekawości — bronił się niepotrzebnie pan doktór — zdaje mi się, że ją już gdzieś w życiu widziałem.

— Wątpię. Jest w tych okolicach poraz pierwszy. I myśmy ją niedawno poznali. Teraz jest naszym gościem. Przyjechała do nas na święta.

— Jak się nazywa?

— Panna Maniuta Malinowska.

— Z Piotrkowa?

— Ależ skąd! Z Warszawy — szeptał daléj. — To przecież poznać odrazu po szyku, po wszystkiém. A jaka miła, jaka edukowana! Bawi tu od dwóch dni, a widzi pan, jak już na pasku wodzi Marcinkowskiego, z minką, jakby o tém nie wiedziała, a on aż kipi. Przyjeżdżajcie, kochany panie Zdzisławie — zapraszał, klepiąc go poczciwie po ramieniu — jutro wieczorkiem. Poznasz ją, a warto, jak mi Bóg miły, warto.

— Przy panu Marcinkowskim zniknę. Nie spojrzy nawet na mnie.

— No, no, nie udawaj konsyliarz skromnisia. Kobiéty nie zawsze gustują w takich motylkach, co to z kwiatka na kwiatek. Szczególniéj w téj główce, jak w makówce. Zaczniesz mówić o książkach o literaturze, to zaraz go odbijesz.

— Nie mam bynajmniéj tego zamiaru. Ale z zaproszenia pańskiego nie omieszkam korzystać. I tak wybierałem się w święta do państwa.

W téj chwili z przeczuciem nerwowego człowieka poczuł na sobie utkwione spojrzenie. Odwrócił głowę, aby ją zobaczyć.

Widocznie jednocześnie z ojcem opowiadały córki Łupinkowskie

pannie Maniucie Malinowskiéj o nim. A ona, dla uzupełnienia sobie obrazu, zwróciła głowę w jego stronę.

Spojrzeli sobie w oczy przeciągle, z zaciekawieniem, jak gdyby chcąc wyczytać, czy to wszystko prawda, co o sobie w téj chwili słyszeli.

Z kościoła dochodził drżący i zmęczony głos staruszka księdza, wydobywający się z pośród choralnych śpiewów modlitwy. Dzwonek dzwonił. Organy brzmiały.

— Jestem zachwycony, olśniony, ogłupiony — mówiły oczy doktora Zdzisława.

— Jesteś mi wcale sympatyczny. Jestem ciekawą, bardzo ciekawą... — odpowiadały, nie pochylając się, spokojne, jasne oczy panny Maniuty Malinowskiéj.

* * *

Doktór Klimowicz przez całą noc nie zmrużył oka i przewracał się na swojém posłaniu bez końca. Pojmował doskonale, że takie zawracanie sobie głowy, prawie bez powodu, jest waryactwem. Ale zaradzić temu nie mógł.

— Oni wszyscy mają słuszność. Nie przestanę nigdy być entuzyastą, zapaleńcem, romantykiem.

Romantyk — wieczne jego przezwisko.

Od najmłodszych lat nazywano go poetą.

Medycynę wybrał z musu. Lecz jak do wszystkiego — i do niéj się zapalił! I kiedy naglony biédą — rozstał się ze swoją ukochaną Warszawą i przybył do téj dziury — powstał w miasteczku krzyk na reformatora medycyny, na apostoła jakichś nowych metod leczenia.

Jakiś od trzydziestu lat osiadły tu lekarz, nazwał go poprostu idyotą. A aptekarz rozpaczał, że lekarstwa wcale nie odchodzą. Bo ten młokos bredzi coś o hygienie, wynalazł jakąś profilaktykę, leczy nie chorobę lecz organizm. Twierdzi, że jeżeli organizm wyzdrowieje, to choroba zniknie. Koniec świata! Ale najgorsze, że zapisuje zamiast pysznie opłacających się ziółek — mléko, mięso, flanelę. A aptekarz niech sobie bez butów chodzi!

Postarano się o to w końcu, iż wszyscy chorzy go porzucili. Lecz ponieważ jednocześnie sam spostrzegł, że nowe metody leczenia nie sprawiają takich cudów, jak przypuszczał — dał w końcu za wygrane, pogodził się ze starszym kolegą i z aptekarzem, i zapisywał moc mikstur i ziółek. Chorzy do niego powrócili. Ale zapał do medycy-

ny przygasł na długo. Nie wierzył już w swoją pracę, traktował ją tylko, jak zmudne, niewdzięczne rzemiosło.

I przypomina sobie teraz z jakim zapałem począł znowuż wyrywać się do ukochanéj Warszawy, aby odświeżyć umysł szerszém życiem i dawnemi ideałami. Jakiż go spotkał tu zawód!

Nie poznawał swoich kolegów. Ożenieni z mniéj lub więcéj posażnemi pannami, zajęci codziennemi, maleńkiemi sprawami, słuchali go wprawdzie, uśmiéchali się, klepali po ramieniu, lecz czuł doskonale, że nie znajduje w nich oddźwięku i że wogóle nie mają na dawne młodzieńcze mrzonki i marzenia ani czasu, ani humoru, ani ochoty.

On jeden w życiu traktuje wszystko na seryo.

Nigdy nie był wesołym, nigdy nie robił konceptów, nie pojmował co to jest dowcip. Taka już była jego natura.

Do wszystkiego się zapalał; ludziom rzucał się na szyję. Kiedy go dobrze zimną wodą obleli, dopiéro wtedy jak pies ze spuszczoną głową znikał w swojéj budzie i czekał, aż się rany zagoją. I znowuż zapalał się, kochał, przyjaźnił...

I zostanie takim starym dzieciakiem do końca życia. Gdyby pozostał w Warszawie i żył z kolegami, zmieniłby się, jak oni. Ale tu, samotny na partykularzu — pozostanie do końca życia tym samym studentem, jak za dobrych czasów, kiedy miał lat dwadzieścia. Bo czyż nie dzieciństwem téż było przed kilkoma laty ta jego ostatnia miłostka. Mówić o niéj nie warto, a on ją, jak wszystko przedramatyzował: bohatérkę, najpospolitszą, prowincyonalną lwicę — ustawił na jakimś piedestale, a u stóp jéj złożył tyle miłości, tyle uniesień, cały poemat! Nie, stanowczo był głupszym od Marcinkowskiego.

I teraz śród téj bezsennéj nocy wyrasta mu nagle przed oczami cały ten romans ze wszystkiemi szczegółami.

Ta pani Julia — no, Boże drogi — była to sobie ot zwykła tęga blondynka, o dużéj, banalnéj twarzy z dość ładnemi oczyma, więcéj strojna, niż czysta, więcéj rozrzucona, niż dowcipna. Mąż zupełnie ślepy na wszystko. Ona zmieniała kochanków, jak rękawiczki. Bo cóż miała robić? W małém miasteczku nie ma flirtu. Nie ma téż rautów, ani teatru. Wreszcie nadarzył się on.

Należało z kolei pośmiać się, zabawić i rozstać.

On przemienił to wszystko w dramat. Pani Julia szeroko aż oczy otworzyła. Nic podobnego w życiu jéj się nie zdarzyło. W końcu zaczęła jéj się ta rola podobać i z musu i konieczności nie źle pełniła obowiązki heroiny.

I zaczęło się owo ustawiczne całonocne błądzenie pod jéj oknami; bo schadzki już im nie wystarczały, a być jawnym gościem tak często, jak chciał—nie wypadało. Codziennie narażając się, musieli przesyłać sobie wzajemnie listy bezsensowe. A jeśli jakiego dnia kartki od niéj nie otrzymał, chodził jak bez głowy, nie jadł i nie spał i znowuż błądził koło jéj domu, póki go nie spostrzegła. I dawniéj zwykle ostrożna, teraz narażając się, musiała wykradać się z domu i zapewniać go bez końca, że tylko jego jedynie kocha, dla niego tylko żyje i t. d.

Następowały całusy, szepty i chwilowy spokój.

Niebawem nowa mucha go ugryzła. Zaczął być zazdrosnym o jéj męża, o tego Bogu duszę winnego poczciwego męża, z którym wszyscy jego poprzednicy żyli w takiéj zgodzie! I teraz nie pomagały już jéj zaklęcia, ani przysięgi. Płakała, szlochała, twierdziła, że się otruje, aby go przekonać, jak go kocha.

W końcu tak ją obałamucił, iż pomimo całego doświadczenia i dawnéj trzeźwości—stała się naiwną, jak on. Było rzeczą postanowioną, że opuści męża. Wyjadą razem, wystarają się o rozwód, nie rozstaną się nigdy.

Na krótko przed tym projektowanym wyjazdem naznaczyli sobie schadzkę wieczorem przy stawie.

Noc była przepiękna z księżycem i z gwiazdami, które odbijały się w lustrzanym stawie, pysznym ze swemi liliami i nenufarami.

On przybył na schadzkę zawcześnie. Jéj jeszcze nie było. Za chwilę nadeszła *ona*. Jak zwykle nastąpiły przysięgi, uściski i całusy. A księżyc i gwiazdy udawały, że nie słyszą i nie widzą. Napatrzyły się już tyle! Nic ich to w gruncie nie obchodziło.

Lecz nagle *ona* spostrzega jakiś cień pod drzewem i ni stąd, ni zowąd buch, rzuca się do wody. Ale woda u brzegu była bardzo płytka i uratował ją bardzo łatwo przy pomocy owego cienia, którym był nie mąż—broń Boże (poczciwiec siedział najspokojniéj w domu), lecz... pan Marcinkowski.

I do dzisiejszego dnia kronika okolicy, która wié o wszystkiém, nie domyśla się, czy pani Julia topiła się dla doktora, dla męża, czy dla pana Marcinkowskiego, posiadających jednakowe prawa.

Lecz skąd się tam wziął ten drugi, czy dowiedział się o schadzce, czy i jemu była naznaczona? A może to pomyłka dat? Naznaczyła jednemu inne miejsce, drugiemu inną godzinę. A może zapomniała, lub on się pomylił.

— Ot, skutki zanadto skomplikowanych kłamstw — zakonkludo-

wali w końcu dokoła, nie zrozumiawszy psychologii kobiéty z bardzo wielkiém sercem.

W największéj zgodzie z mężem przeniosła się po owéj nocnéj kąpieli w inną okolicę, on wyjechał na jakiś czas leczyć się za granicę, a pan Marcinkowski przeniósł swoje afekty na bufetową ze stacyi.

Pan doktór przewraca się teraz na swojém łóżku na drugi bok. Czyni to téj nocy niezliczoną już ilość razy; otula się kołdrą, ale czuje, że o śnie mowy być nie może. I choć broni się z całych sił od potoku najróżnorodniejszych myśli, lecz opędzić się od nich nie ma sposobu: uderzają o jego głowę falami jedna za drugą.

— Nie ma co! zbajałeś się porządnie z tą twoją panią Julią. Wszystko, to ten twój romantyzm — szepcą złośliwie mu nad uchem jakieś nocne duchy.

— Zgoda. Romantyzm, mój romantyzm. Bardzo dobrze — odpowiada pan doktór rozgniewany w końcu.—Szczycę się nim. Gdyby patrzéć na wszystko tak trzeźwo, jakby należało — nie pokochałbym prawdopodobnie pani Julii. Lecz cóżbym na tém zyskał?

— O jedno rozczarowanie mniéj w życiu.

— Prawda. Ale widząc ją taką jedynie, jaką widziéć pragnąłem, zyskałem kilka chwil bardzo pięknych, za które i popłakać późniéj warto. Cóż chcecie? Mam już taką naturę. Nie widzę i nie chcę widziéć plam na słońcu. Nie potrafię jak wy analizować własnego ojca, kochanki, siebie, aby dojść w końcu do przekonania, że wszyscy są nic nie warci, a ja sam jestem skończonym nieponiem, niezdolnym do niczego idyotą. I ostatecznie cóż się na takim hiperkrytycyzmie wygrywa?

— Nie ma się rozczarowań.

— Dziękuję. Już wolę moje rozczarowania.

I znowuż przewrócił się na drugi bok. Czuł doskonale, że to wszystko są otumaniania, blagi i że te wszystkie natarczywe myśli, które go napastują i zawracają mu głowę tém i owém — przemilczają niby dyskretnie, z umysłu o jednéj kwestyi. Wiedział wyśmienicie — o jakiéj. Siedziała ona sobie, jakby wbita w jego mózgu. Dlatego nie mógł zasnąć, dlatego przewracał się tyle godzin na posłaniu, jak utrapieniec. A ta myśl brzmiała krótko: Maniuta Malinowska.

Ostatecznie dlaczegoż się ukrywać z tém przed samym sobą? No, bo głupio jakoś ujrzéć i odrazu pokochać — niby jaki młokos. Pokochać, nie pokochać! Lecz wszak z pierwszego wejrzenia może się

ktoś komuś podobać, nawet bardzo podobać. Przecież to nie jest żadną zbrodnią?

Poprawił sobie poduszkę pod głową.

A więc tak. Maniuta mu się nad wszelki wyraz podoba.

— Co? Już „Maniuta!" Jaka Maniuta?

— No, Boże drogi, panna Maniuta Malinowska.

Przecież tego nikt nie usłyszy. Nie może w żaden żywy sposób zapomnieć wyrazu téj młodéj drobnéj twarzyczki, okolonéj złotemi włosami. Ma ją ciągle przed oczyma. Co się tyczy jéj źrenic: są poprostu prześliczne. I jaka powaga w tak młodéj osóbce, jakie ułożenie i jak wybijała się i odróżniała od innych. Ot! poprostu — jak gdyby zeszła sobie z nieba, z jakiéj innéj planety i dla ciekawości przypatruje się, jak ten nowy dla niéj świat wygląda.

— Panią Julię także nazywałeś gwiazdą, która spłynęła z nieba dla ciebie—szepnęły niby naiwnie duchy.

Pan doktór rzucił się aż na łóżku.

— Także mądre mi porównanie!

Poduszka z pod głowy na ziemię mu spadła; z mozołem musiał ją podnosić.

I zapalił sobie świécę, zaciągnął się papierosem. Teraz wszystko wyraźniéj mu się przedstawiło i myślał zupełnie trzeźwo.

— Panią Julię przecież pożądałem tylko. Najsilniejszéj namiętności nie nazywa się jeszcze miłością. Tym razem może się zrodzić uczucie zupełnie inne; o niebo wyższe od tamtego. I dlaczegóż miałbym się tak gwałtownie bronić od takiego uczucia, gdyby zaczęło rzeczywiście kiełkować we mnie? Czyż starokawalerstwo jest takim ideałem szczęścia? Być wiecznie na łasce Janowéj i ostatecznie zmarniéć tu w téj dziurze! Tak poważnego w życiu kroku nie robi się naturalnie łap, cap. Ale powoli, ostrożnie, zastanowiwszy się przed tém. Dowiem się o tém, o owém. Może ona mnie jeszcze nie zechce?

Uśmiechnął się do siebie.

— Mam pod tym względem pewne intuicyjne przeczucie, iż mogę miéć nadzieję podobania jéj się kiedyś. I byłbym ostatnim idyotą, gdybym bez głębszego zastanowienia się odrzucał niebacznie to, co może stać się szczęściem mego życia. A dwa razy w życiu takie losy się nie zdarzają. Nad tym cukierkiem unoszą się przecież wszyscy; nie znajdują słów podziwu — zasypiając już, mówił swojéj poduszce, przytulając ją i traktując, jak starą poczciwą i wyrozumiałą powiernicę. — Ma być inteligentna, wykształcona, z zacnego domu. A co się tyczy charakteru i serca — ma to wypisane na czole. Co zaś do pięk-

ności—to jedyną jéj wadą, że może jest za piękną. Chociaż dlaczegóż miałoby to być wadą. Przeciwnie...

W bardzo dobrym już humorze i zupełnie spokojny zagasił ponownie świécę i zamknął oczy. Czuł, że jakiś bardzo przyjemny sen obejmuje go w swoje ramiona. Śród ciszy nocy słyszał już własny swój oddech—człowieka zasypiającego. I ostatnie bardzo już spokojne i nie sprzeczne myśli coraz wolniéj uderzały o jego głowę:

— Nikt... nie nazwie... tego kroku... ani romantyzmem, ani szaleństwem. Najtrzeźwiejsi ludzie przecież się żenią... Dlaczegóżbym ja jeden tylko... Co się zaś tyczy jéj zbytniéj piękności — może mnie się ona tylko tak wydaje... W każdym razie nie będę uważał tego za przeszkodę.

Naraz poduszka jego, tak cicha, wyrozumiała dotąd powiernica, uważała także za stosowne wmieszać swoje trzy grosze i cichutkim głosem zauważyła:

— Widziałeś ją raz w życiu. Nie zamieniłeś z nią słowa. To czysta waryacya!

Nie odpowiedział jéj nic na to. A poduszka, zrobiwszy swoje, nie sprzeczała się z nim dłużéj. On przylepił do niéj zmęczoną głowę i zasnął.

II.

U państwa Łupinkowskich zabawa tego wieczoru jakoś jeszcze nie szła. Lampy paliły się nie świetnie. Stare mahoniowe meble, kryte włosienicą — o niepewnych nogach, twarde, bez oparcia, ustawione sztywnie pod ścianami — nie zachęcały do siedzenia. Posadzka także wiele pozostawiała do życzenia; a wązki długi fortepian, brzęczący cichutko, jak zepsuta harfa, nie kusił téż do tańca.

Kilkakrotnie zasiadała już do starego klekotu ciotka Nacia i naprzemian inna jakaś starsza dama. Rozpoczynano walca, polkę, złożono nawet kadryla i znowuż jakoś urywało się.

Pomiędzy gośćmi uwijała się gospodyni domu, zachęcając poczciwie do ciągłych zakąsek, któremi z nudów zapychano się.

Stara Łupinkowska — to typ bardzo znany na prowincyi. Chuda, zahukana, zapracowana, Bogu duszę winna kobiecina. Od wrót jéj nigdy nie odejdzie żebrak, aby mu nie oddała więcéj, niż jest w stanie. W kościele przemienia się cała w modlitwę i modli się za wszystkich, tylko nie za siebie. I prosi Boga, aby przebaczył jéj winy, których nigdy w życiu nie popełniła.

O przyszłości córek myślała często i popłakiwała. Była jednak pewną, że tak się stanie, jak Pan Jezus i Najświętsza Panienka zechce. Zakres jéj myśli może nie był bardzo szeroki.

Prągnęła tylko, aby Jaś i córki byli zdrowi i weseli i aby wszystkim dokoła niéj było dobrze. Wtedy i ona nie czując nóg ze zmęczenia—także uśmiechała się.

I dziś martwiła się niepocieszona, że się zabawa jakoś nie udawała.

Ale wszystko szło dziś jak z kamienia. Bo towarzystwo w Dębinkach było zawsze trochę ze wszystkich stron łapane. W okolicy bowiem nie było nikogo. Majątki sąsiednie były częścią rozparcelowane chłopom, częścią w arendach żydów lub w dzierżawach.

Robiono więc ciągle nowe znajomości. Zapraszano urzędników ze stacyi, którzy się tu często zmieniali. Zaprzyjaźniano się z ich rodzinami, z ich gośćmi i ze znajomymi owych gości. Wreszcie ściągano mnóstwo ludzi, których poznawano przypadkiem — to w drodze, to w mieście, to zawdzięczając szlacheckiéj bucie i gadulstwu starego Łupinkowskiego. Najstalszymi byli księża, doktorstwo z sąsiedniego miasteczka, sędziowstwo i aptekarze.

Lecz gości spraszać musieli, żyćby bez tego nie mogli.

Pani Łupinkowska nie pojmowałaby świąt, przed któremi nie padałaby ze znużenia przy pieczeniu ciast, przesmażaniu konfitur, zabijaniu indyków. A pan Łupinkowski musiał mieć swego preferansa, musiał zapraszać do cienkiego węgrzyna, musiał cmokać rycersko w rączki starsze damy, śmiał się przytém swoim tubalnym śmiechem, opowiadał ogromnie nie ciekawe dykteryjki, a nad ranem już po bigosie pokazywał, jak to starzy potrafią jeszcze tańczyć oberka i białego mazura.

Chociaż czasy — ot, jak zwykle teraz po wsiach — bywały wcale nie świetne. Wiązało się zaledwie koniec z końcem. Nie mówiąc już o urządzeniu domowém, ale i budynki i inwentarz i całe gospodarstwo pozostawiało wiele do życzenia.

Mostu nawet na stawie od pół wieku nie łatali. I tylko zawdzięczając Boskiéj opiece — goście tutejsi powracając w nocy karku sobie nie poskręcali. A owe panie na kanapie szeptały nawet, że Łupinkowscy w powszedni dzień żywili się kartoflami. Ale w święta gości spraszać musieli. Stoły uginały się wtedy pod jadłem, a tani, niezbyt smaczny cieńkusz węgierski lał się jak woda.

Nazywało się niby, że wydają te bale dla panien, aby je za mąż wydać; lecz z szeregiem lat musieli już zapomnieć o celu. Ciotka Nacia przecież już o mężu marzyć nie mogła. A obie panny, poczciwe

w gruncie, lecz duże, jak dragony w spódnicach, chude, nieładne i zwiędłe z czerwonemi rękami i dużemi nogami — miały od czasu wejścia w świat napisany na czołach swój wyrok życia: staropanieństwo.

Mając lat dwadzieścia, wyglądały już tak, jak teraz, kiedy jedna przeszła już trzydziestkę, a druga do niéj dochodziła. Były poczciwe, usłużne, pracowite, zgodne, gościnne i jeszcze dziś nie zgorzkniałe i pogodne.

Lecz nie zbliżał się do nich na seryo nikt — nigdy. Nietylko, że o konkurencie nigdy mowy nie było, ale nie miały w swojém życiu ani tygodnia jakiegoś flirtu, choćby najplatoniczniejszego romansiku.

Nie umiały się nigdy zakochać. Kokietowały zbyt naiwnie i były zmanierowane ze swemi zaciśniętemi buziami, z przesadzoném wymawianiem litery *s* i z cieniutkim śmieszkiem podlotków, który dziwnie brzmiał przy ich dużych, drabinistych postaciach.

Ubierały się przytém niegustownie, śmiesznie, wiecznie wystrojone w mnóstwo tanich, niemodnych, wypranych fałbanek, wstążeczek, kokard i kwiatów. W braku pudru — bieliły się mąką, lub krédą, która osadzała się grudkami na ich nierównych cerach.

Jedyną nadzieją rodziców pozostawał wiecznie pan Kacperski, spólnik aptekarza, niemłody, śmieszny i łysy. Marzyła o nim kiedyś ciotka Nacia. Teraz przelała na bratanki po królewsku swoje prawa co do niego i nadzieje, których co prawda nigdy jéj nie dawał. I dziś było zagadką rodziców, o któréj z córek właściwie myśli. Tymczasem pan Kacperski łysiał coraz bardziéj, tańczył coraz gorzéj, tylko apetyt miał zawsze jednakowo zdumiewający. Panny pozostawiały te kłopoty rodzicom, same zrezygnowane—czekały.

Niezależnie od tego, jakby czując, że ról bohatérek na swoich balach odgrywać nie mogą, zadawalały się — poczciwe i niezazdrosne — rolami drugorzędnemi. Były powiernicami swoich przyjaciółek, które się wiecznie w kimś kochały. A i młodzież zwierzała się przed nimi ze swych tajemnic sercowych.

Pod ich skrzydłami — na owych kolacyach, wyprawianych za ciężko uciułane grosze ich rodziców — skojarzyło się już mnóstwo małżeństw.

Panny Łupinkowskie, nie mające pojęcia o polityce i przebiegłości, miały wieczną pasyę wynajdywania — z własną krzywdą — jakichś primadon na swoje bale, o których same mówiły cuda i które na pierwszy plan wysuwały, nie zważając, że same przez to gasną i nikną już zupełnie.

W tym roku berło królowéj balów miała dzierżyć panna Maniuta

Malinowska. A cała Łupińszczyzna, z gorliwością impresaryów, jeszcze przed jéj przyjazdem, rozgłaszała o niéj cuda dokoła.

Zapoznali się z nią zaledwie przeszłego lata w Ojcowie, dokąd wybrali się na tydzień dla zwiedzenia. I odrazu zrodziła się między paniami przyjaźń nadzwyczajna. Pisywano do siebie bezustannie listy i póty męczono poczciwie i szczerze zaproszeniami panią Malinowską, aż ta zmuszoną była przyobiecać, iż przyśle im córkę na święta Bożego Narodzenia.

Nie dowierzały temu szczęściu, lecz ostatecznie panna Maniuta obietnicy dotrzymała.

Teraz wszystkie panny skupiły się koło niéj niby damy dworskie koło swojéj udzielnéj księżniczki i przypatrywały jéj się z zaciekawieniem i z zachwytem; kiedy mamy na kanapie mierzyły ją oczami od stóp do głowy z maleńkim grymasem zazdrości na ustach.

— Ach! Tak mi przykro — szczebiotała, sznurując buzię zrozpaczona jedna z panien Łupinkowskich — u nas w pierwsze święto bywa zwykle tak wesoło. A dziś, jak na złość. Tak mi przykro. Po warszawskich zabawach zanudzisz się tu.

— Ależ upewniam cię, że się wcale nie nudzę — odpowiada z naturalnym uśmiechem panna Maniuta. — Cóż chcesz? Abyśmy na głowach chodziły?

— Wiem, że wy warszawianki mówicie wszystko przez grzeczność. Ale panowie tak nam już dziś nie dopisali doprawdy...

— A na cóż nam panowie? Czy nam niedobrze bez nich? Nie śmiałyśmy się dziś przez cały dzień? Zresztą przecież są i panowie.

— Eh! Tacy tam panowie! — machnęły ręką niepocieszone Łupinkowskie.

Lecz w téj chwili rozległ się śród ciszy na dworze dzwonek dojeżdżających sani. Po chwili wiedziano już, że to doktór Klimowicz przyjechał. Bogusia Łupinkowska klasnęła aż w dłonie.

— Wiész, dla kogo tu przyjechał?—uszczęśliwiona szepnęła pannie Maniucie. — Dla ciebie.

— Dla mnie?—przeżegnała się, robiąc minkę zdziwioną.

Doktór wchodzi nie bardzo pewnym krokiem do salonu. Nieśmiało rozgląda się dokoła, wita się z damami, kłania panom. Wogóle wydaje się nie bardzo obytym w towarzystwach, i znać że go to nie bawi.

Teraz panna Łupinkowska przedstawia go pannie Maniucie, w którą on wpatruje się trochę zbyt przeciągle i koniecznych wstępnych grzeczności nie mówi wcale.

Panna Łupinkowska pozostawia ich samych.

— Mam już przyjemność znać pana z widzenia.

— ?

— Tak. Zapomniał pan? Widzieliśmy się wczoraj na pasterce. Mówiono mi o panu bardzo wiele. Wiem już o pańskiém życiu prawie wszystko.

Jeden z najniezgrabniejszych tancerzy, przepadający za walcem, staje przed panną Maniutą.

— Przepraszam pana — zwraca się do doktora i odchodzi z tancerzem. Po chwili jednak, pomimo jego ukrytéj chęci przetańczenia sali jeszcze kilka razy w kółko, dziękuje i zasiada na dawném swojém krześle, strzeżoném przez doktora.

— Gdybym miał jakie prawo względem pani — ośmiela się mówić teraz już zbyt wyraźnie — byłbym uszczęśliwiony tym wyborem tancerza.

Panna Maniuta spojrzała mu pytająco w same oczy.

— Ach! Rozumiem — mówi po chwili — nie byłbyś pan o niego zazdrosnym. Ale tém słówkiem zdradziłeś się pan. Bo znaczy, że o każdego innego, choćby o włos lepszego—byłbyś już zazdrosnym.

— Być może.

— Naturalnie, mając jak pan mówiłeś, do tego jakie prawa.

— Praw się nie zabiera; prawa się otrzymuje.

— Nie znam się na tém—rzekła po maleńkiéj pauzie — zdaje mi się, że się pan myli. Zresztą, nie wiem. Przepraszam pana — skończyła, odchodząc do panny Łupinkowskiéj, jak gdyby mając jéj coś do powiedzenia.

— No, jakżeż ci się podoba? — zapytała ją z ogromném zaciekawieniem Bogusia Łupinkowska, kiedy przeszły na chwilę do sąsiedniego pokoju.

— Tak sobie. Ma ładne oczy i jest dość interesujący.

— To najświetniejsza partya w całéj okolicy. Jest bardzo wykształcony, bardzo znany i zarabia kilka tysięcy rubli rocznie.

— On-by mnie nie wziął bez posagu.

— Nie znasz go, nie należy do tych, co patrzą na pieniądze. To taki człowiek, że jeśli się ożeni, to tylko z miłości. A z ciebie oka nie spuszcza. U nas prawie już nie bywał. Dla ciebie tylko tu przyjechał.

— Dla mnie! Ha, ha, ha! — rozśmiała się. — Jaka ty jesteś pyszna.

— To jest świetna partya!

— Nie chcę go, nie chcę, nie chcę — odrzekła, machając rączka-

mi. — Choćby był ze złota. Dajcie mi pokój. Niech sobie wraca do swojéj pani Julii.'

Doktór rzeczywiście nie spuszczał z niéj oka. Zauważył i jéj skromną, a tak gustowną popielatą sukienkę i tą figurkę, jakby utoczoną i jedwabne pończoszki i nóżki śliczne w lakierowanych pantofelkach i swobodę, z jaką się wachlowała i ruchy i mowę i ten niezwykły wdzięk, jakim wyróżniała się tak jaskrawo od całego otoczenia.

Spojrzał dla porównania na zielone z falbanami suknie biednych Łupinkowskich i na amarantową aptekarzównę i rzekł sobie w duchu:

— Odbija tu tak, jak pączek sztamowéj róży, wsadzony przypadkiem w grządki buraków i kapusty.

I znowuż, sam nie wiedząc jak, znalazł się przy jéj krześle.

— Czy można prosić panią do kadryla? — zapytał po chwilowéj niemėj z nią rozmowie.

— I owszem. Nie tańczę jeszcze z nikim.

— Co za szczęście!

— Szczęście! — powtórzyła obudzona z zadumy — szczęście! Jacy panowie tu jeszcze rycerscy. W mieście nie jesteśmy przyzwyczajone do takiéj grzeczności. Mogę tańczyć z panem kadryla pierwszego, drugiego... ile pan zechce. Ale niech pan przyzna, że nie można nazwać tego szczęściem. Przyjmuję téż to tylko za to — czém jest: ot, zwykłe salonowe *façon de parler*, nic więcéj.

— Dlaczego? Czyż jedna sekunda nie może dać tyle szczęścia, na jakie czekałoby się już darmo następnie przez całe życie?

— Nie wiem. Być może—odrzekła, jakby odrobinkę rozmarzona i wnet zmieniła temat rozmowy.

Doktór nie lubił karykaturalnéj emancypacyi i sawantek, pozbawionych kobiecości. Lubił jednak porozmawiać z kobiétami i o sztuce i o literaturze, o teatrze, malarstwie i muzyce. Czasami lubił po salonowemu trochę filozofować i chętnie ubierał się niekiedy w odrobinkę kokieteryi, w togę *weltszmercu*. Wiedział, że jest mu z tém do twarzy. A w rzeczywistości czuł się samotnym tu na prowincyi, niezrozumianym, i z innéj trochę gliny ulepionym, aniżeli pan aptekarz, Łupińszczyna i panowie Kacperski, Marcinkowski i inni.

Otóż okazało się, iż panna Maniuta, choć młodziutka i niedoświadczona, jest zupełnie taka, jak należało. Nie podkreślała swego wielkiego rozumu, nie popisywała się erudycyą, a jednak o ileż różniła się od gąsek prowincyonalnych.

Można z nią było mówić o wszystkiém. Czytała wszystkie nowe książki, widziała wszystkie obrazy, bywała w teatrze, znała się na muzyce. I choć o niektórych kwestyach znać w niéj jeszcze było dzie-

ciaka (co mu się także nadzwyczaj podobało), miała w pewnych rzeczach nawet swój indywidualny pogląd. Choć wogóle wyrażała się lakonicznie i bardzo często myśli niedokończone urywała. I trzeba się było raczéj domyślać jéj odpowiedzi.

Lecz i to miało pewien urok sympatycznéj skromności. Za to posiadała dziwny dar pysznego słuchania. Ślicznemi oczami wpatrywała się wtedy w mówiącego. Usta jéj się w półuśmiechu rozchylały; równe ząbki bieliły. I ogromnie zaciekawiona, automatycznem kiwaniem główki zachęcała do dalszego opowiadania.

I doktór wogóle niewymowny, silący się wiecznie z trudem na wyrażenie swoich zamglonych trochę myśli, miał ochotę, wpatrując się w nią, opowiadać jéj do końca życia — byle o czém. Miała téż zwyczaj powtarzania niektórych słów mówiącego, stawiając przy nich znak zapytania, co przemieniało monolog mówcy w rozkoszną konwersacyę.

Doktór opowiadał naprzykład o jakiéjś biednéj choréj wdowie ze wsi, którą się szczególnie zajmował.

— Kiedym przyjechał do niéj pewnego razu konno...

— Konno?—zapytała, jakby lekko zdziwiona, bardzo ładnie zdziwiona, dozwalając mówić daléj.

— ...Zastałem ją już w zupełném zdrowiu. Najmłodszy dzieciak, mały bęben poznał mię.

— Poznał pana?

A doktorowi oczy o mało do niéj nie wyskakiwały.

Zaproszono ich do kolacyi.

Doktór usadowił się naturalnie przy pannie Maniucie.

W stronę téż ich rzucano ciągle spojrzenia i uśmiechy. A jedna z matek śpiąca i kwaśna nie mogła się powstrzymać, aby nie rzucić prawie głośno:

— Takim znowuż ideałem piękna nie jest. Niech przejdzie tylko ta odrobinka świeżości, a nic nie pozostanie.

A oni zdawali się nie widziéć i nie słyszéć nic, co się w koło nich dzieje. Można było strzelać z armat.

Doktorowi wydawało się, jak gdyby ją znał od wieków, jak gdyby ona była młodziutką wychowanicą, lub siostrą. I nakładał jéj potrawy na talérz, strofując ją, że nic nie jé; przyniósł jéj jakąś ciepłą chustkę, uroiwszy sobie, że dochodzą do niéj przeciągi z przedpokoju. I miał ogromną ochotę oprzéć rękę na krawędzi jéj krzesła, jak gdyby nie potrzebował już bawić się w ceremonie.

Rozsuwając z hałasem krzesła, powstano wreszcie od stołu. Pa-

nowie powrócili do skończenia partyjki, a reszta towarzystwa, ziewając ukradkiem, tułała się po kątach, oczekując końca puli.

Wieczór stanowczo się nie udał. O tańcach nie było już dziś mowy. Zaczęto się bawić w różne gry towarzyskie: w sekretarza, którego prędko rzucono, w cztery kąty, wreszcie w cenzurowanego.

— Na jednym balu—sepleniła panna Łupinkowska, zwracając się do doktora Klimowicza — mówiono mi, że pan jest dumnym, lecz że pan ma dobre serce, na drugim mówiono mi, że pan jest dziwakiem, na trzecim—że pan ma ładne oczy, na czwartym—że pan jest... zaraz, zaraz... jak to powiedziała ta osoba: aha! że pan jest interesującym, na piątym, szóstym, siódmym — wyliczała bez końca szereg nonsensów z dwudziestu bali, okazując pamięć, godną lepszéj sprawy.

— Wybieram osobę—wykrztusił ze zwykłym mozołem doktór — osobę, która wyrzekła, że jestem interesującym.

— To panna Maniuta Malinowska.

Musiała dać za fant swój wachlarz.

Teraz ona zasiadła jak na tronie w otoczeniu całego towarzystwa. I z pośród dwudziestu wyliczonych konceptów wybrała tego, kto ją nazwał uroczém zjawiskiem.

— To pan doktór Klimowicz! — krzyknęła panna Łupinkowska, i skoczyła z radości do góry, udając podlotka.

Cóż dziwnego, że się odgadli? Tylko ona w całém towarzystwie miała tylko tyle kultury, aby mu nadać epitet: interesujący. Tylko on mógł w ten sposób określić wrażenie, jakie tu sprawiała.

Urocze zjawisko!

Musiała teraz, spełniając karę za fant, zasiąść do fortepianu. Jak gdyby nie chcąc się popisywać, wybrała kompozycyę krótką i nie efektowną, piękny romans Godarda, zagrany bez blagi, spokojnie z dobrą szkołą i z odczuciem.

Mamy na kanapie, które ze snu i ze zmęczenia utrzymywały z trudem głowy na karkach, zauważyły, że ci wszyscy klasycy, jak Bethoven, Bellini i Szopen, są bardzo nudni.

— Szopen nie jest klasykiem, ale raczéj romantykiem. Godard zaś należy do najnowszych, żyjących jeszcze kompozytorów—zauważyła skromnie panna Maniuta i urwała, jak gdyby mogąc w téj kwestyi powiedziéć jeszcze daleko więcéj, lecz nie chcąc się chwalić swoją erudycyą i sprzeczać ze starszymi. .

Doktór miał ochotę uklęknąć przed nią na kolana.

Pulkę wreszcie ukończono. Zaczęto się żegnać, całować, nastąpiło wielkie wyszukiwanie kaloszy — okutywano się futrami, chustkami i szalami.

Gospodarstwo odprowadzało gości do sionki. Przez otwarte drzwi wkradała się noc przepyszna z księżycem i gwiazdami i z bezmiernym całunem puszystego śniegu.

Pan doktór na odjezdném dziękował pannom Łupinkowskim za przyjemnie spędzony wieczór.

— Nam się zdaje — odrzekły, usiłując być filuternemi — że jedynie pan doktór z całego towarzystwa jest zadowolonym z dzisiejszego wieczoru.

Doktór się zaczerwienił.

— Bo zresztą — szczebiotały dalej — mnóstwo osób nam dziś zawód sprawiło z powodu balu u państwa zawiadowstwa. Za to jutro wszyscy już będą u nas. Liczymy na pana doktora na pewno. Zresztą zobaczymy się jeszcze jutro w kościele.

Kiedy goście się już porozjeżdżali, a śród ciszy wiejskiéj drgały dzwonki oddalających się sani — Łupinkowskie tryumfująco pytały się panny Maniuty:

— No, jakżeż ci się podobał?

Panna Maniuta zaczęła liczyć na paluszkach rączki: Bardzo, trochę, wcale nie. Bardzo...

— Trochę—rzekła w końcu, jak jéj na palcach wypadło.

— Ach! Jaka ja jestem szczęśliwa! będziesz naszą sąsiadką. To będzie cudownie.

— Ani myślę. Jabym go zaraz przeniosła do Warszawy.

Odeszły do sypialnych pokoi, położyły się do łóżek i zagasiły świécę.

— Słuchaj Bogusiu — rzekła nagle panna Maniuta śród ciszy nocnéj —a ten pan Marcinkowski, dlaczego on nie przyjechał?

— Cóż ciebie to może obchodzić? Miałaś swego doktora.

— Eh! To zupełnie co innego. Doktór to kandydat na męża, a ten pan Marcinkowski — to tak sobie... Wiesz, to jest śliczny chłopiec.

— Ach! Co téż ty wygadujesz!

Panna Maniuta się roześmiała·

— To tak umyślnie, aby ciebie rozgniéwać.

Przyłożyły głowy do poduszek. I zmęczone całodziennem bawieniem gości, wkrótce jak zabite zasnęły.

III.

Dziesiąta rano wykukała dobitnie na ściennym zégarze, rozpruwając ciszę swojém monotonném *ku-ku*, dźwięczącém w równych odstępach.

Doktór Klimowicz otwiéra na swojém łóżku zaspane oczy, rozgląda się dokoła i jest odrazu w różowym humorze.

Nie dziwnego. Dzień prześliczny choć mroźny. Janowa drzewa nie szczędziła. A słonko, wkradające się przez szyby, pysznie utkane w śnieżne kwiaty, wkrada się wielkiemi snopami i muska białe ściany świetlanemi smugami, które się gonią, harcują jak dla igraszki.

I tyle tu w tym kąciku słońca, jakby nie jedno, lecz kilka ich świeciło. Napełniły cały jasny pokój. Nie grzeją, lecz zeszły się, ot tak, aby było lubo i wesoło.

Doktór wstaje, myje się, ubiera i myśli przytém, myśli, myśli...

Romantyzm swój odkłada na bok. Przy postanowieniach, które mają decydować o całém życiu, trzeba być zupełnie trzeźwym. Tamta panna Maniuta, któréj prawie nie znał, z którą słowa nie zamienił, a o któréj myślał — była igraszką, ideałem, marzeniem. Ta, którą teraz zaledwie na trzeźwo poznał, jest dopiéro rzeczywistością.

Otóż, o dziwo! Ta rzeczywistość jest jeszcze o niebo wyższą od marzenia.

I zaraz wytłómaczy sobie dlaczego: wtedy wiedział tylko, że jest piękną. Wczoraj zaś, po zatém, iż przekonał się, że bez futrzanéj czapeczki i chustki jest jeszcze stokroć piękniejszą—widział jasno, że posiada wszelkie warunki, aby stworzyć raj na ziemi!

— Raj na ziemi! Znowuż poczya!

Nie, oblicza teraz trzeźwo zalety jéj, jasne, jak na dłoni—zalety, czyniące z niéj najidealniejszą towarzyszkę pod słońcem.

Kończyła systematycznie nauki, zna się na literaturze, na muzyce. Jak pięknie naprzykład zagrała ten romans, choć nie mówiła przedtém nic, że grać potrafi. A późniéj ta mała lakoniczna (wogóle jest lakoniczną, co u kobiét jest rzadkością) nauczka, że Szopen nie jest klasykiem, a Godard należy do kompozytorów żyjących... Te wszystkie baby byłyby chciały, aby ona grała: *Prière d'une vierge* Bądarzewskiéj... Francuskim też językiem musi władać doskonale, bo z prześlicznym akcentem powiedziała: *c'est une façon de parler*, kiedy chciała go ukarać za banalny komplement.

Jest niezwykle taktowna, gładka, ułożona, a przytém natura niezmiernie szczera i prawa.

I teraz, dokończając tualetę, przypomina sobie różne szczegóły z jéj rozmowy. Zaraz na wstępie oświadczyła mu z pewném podkreśleniem:

— Wiem o wszystkiém.

To w s z y s t k o — znaczyło: pani Julia.

Wypowiedziała to bez żadnych minoderyi, bez żadnych naiwności pensyonarskich. Uczyniła, jak porządny człowiek. Nie kryła się też z tém, że widziała go w kościele. Bo kłamać ani udawać nie potrafi.

W całym pokoju teraz poprostu kapało od złota. Trzeba było aż zmrużać oczy. A owe smugi świetlane goniły się po ścianach, jak małe dzieci. Doktorowi zdawało się, że słyszy ich śmiechy. I zaraz wziął to do siebie.

— Naturalnie — bronił się — nie kryję się z tém, że ona mi się podoba i że wszystko, co w niéj jest — uważam za zalety. A prawdopodobnie, gdyby mi się nie podobała, to wszystko wydawałoby mi się wadami. Ale gdyby tak chcieć wszystko przefilozofowywać i przesubtylizować — to ściany tego pokoju nie są białe, ale wydają się takiemi naszym oczom, kiedy słońce świeci, a w nocy są czarne. Naturalnie! Jeżeli człowiek nie stawia nic na loteryi, to nie przegra. Ale też i nie wygra. A jeszcze jest kwestya, czy nawet rozczarowanie po chwili szczęścia nie jest więcéj warte, niż nie zaznać ani szczęścia, ani rozczarowań.

Spojrzał na zégarek. Wziął futro, czapkę i zatopiony w myślach, ani spostrzegł, jak znalazł się już w kościele.

Teraz kościołek przedstawiał się zupełnie inaczéj, niż w nocy na pasterce. Nie sprawiał już wrażenia mrocznych katakumb.

I biało i jasno i wesoło było w tém świętém miejscu, a płomienie jarzących świéc błyszczały na tle jasności dnia, jak złote plamy, jeno dla ozdoby. Kościołek ładny. Nie ma w nim kruszców, ani marmurów. Ale wielki ołtarz, ambona i ławki wyciosane pięknie z dębu. I posągi kilku świętych—także z drzewa.

A w pośrodku nawy pod sklepieniem, jakby w powietrzu zawieszona Kalwarya: Chrystus konający na krzyżu i św. Jan z Matką Bożą, oczyma łzawemi wpatrujący się w Zbawiciela.

Lecz główną ozdobę kościoła stanowi wybijający się na pierwszy plan piękny organ, jaśniejący swemi srebrnemi fletami — zajmujący cały chór nad wejściem. Ponad nim bielą się aniołkowie, zawieszeni jakby w powietrzu, grzmiący w złociste cienkie a długie trąby.

I nie znać dziś, jak na pasterce, owéj różnicy pomiędzy modlącym się tłumem, a *high life*'m, szepczącym na ławkach i w zakrystyi.

Dziś wszyscy zatopieni w modlitwie, przejęci jacyś, uroczyście nastrojeni...

Tylko co rozpoczęła się suma. I drżącemu głosowi wzruszonego i zmęczonego staruszka księdza, wtóruje dźwięk organu, dzwonki i matowe grzmienie bębna przed kościołem.

I klęczący lud w pobożnéj skrusze pochyla aż ku ziemi głowy. Aniołkowie z gipsu, wzlatujący ponad chórem, zdają się trzepotać swemi białemi skrzydełkami.

I całą świątynię wraz ze snopami słońca, ze srebrem piszczałek, oraz z czerwonemi, zielonemi i żółtemi chustkami klęczących kobiét — zaniebieszczają dymy kadzideł. A w téj błękitnawéj toni kąpią się złote płomyki świéc wielkich woskowych, palących się koło cyboryum.

I te fantastyczne barwy, ten aromat kadzideł, dźwięk śpiewu, akordy organów, drganie dzwonka i grzmot bębna przepełniają duszę i wszystkie zmysły modlących się, unoszą ich ponad ziemię, wyciskają łzy z oczu.

Lecz te łzy nie gorzkie; jakiś dziwny, luby smutek, z którym jest dobrze, ogarnia wszystkich. I ludzie błogosławią Boga, czują się szczęśliwi.

I doktór, stojący we drzwiach zakrystyi, nie spuszcza oczu z siedzącéj cichutko na ławce i wpatrzonéj pobożnie w książkę do nabożeństwa—panny Maniuty Malinowskiéj.

I zdaje mu się, iż te wszystkie śpiewy, organy, kadzidła i światło — to wszystko dla nich obojga. Te wszystkie modły wznoszą się ku Stwórcy dla ich szczęścia. A Bóg uśmiecha się i błogosławi ich z nieba.

Po skończoném nabożeństwie cała Łupińszczyzna i inni goście z okolicy wstępują w drugie święto rok rocznie na plebanię na kieliszek wina. Kanonik i młodziutki ksiądz-wikary dobrodusznie robią honory domu i nalewają gościnnie kieliszki cieniutkiego węgrzyna jeden za drugim. Panie i panienki raczą ich za to uśmiechami i tym specyalnym rodzajem kokieteryi, jaki posiadają wszystkie damy na prowincyi w swoim repertuarze—specyalnie dla duchowieństwa.

Łupińszczyzna przypomina wszystkim, że w drugie święto u nich się zawsze wszyscy zbierają i proszą, aby im nie robić zawodu, jak wczoraj.

Przy oknie panna Maniuta rozmawia z jakimś wcale nie ciekawym młodzieńcem, z właściwym sobie spokojem, nie zdradzając wcale, że taka rozmowa ją zapewne nudzi.

Wreszcie podchodzi do niéj doktór; nie ciekawy młodzieniec wnet się cofnął.

Przez chwilę nie mówią do siebie ani słowa. Doktór pożera ją wzrokiem i po chwili zaledwie zapytuje ją wzruszony, jak gimnazista:

— Dobrze pani spała téj nocy?

— Nie. Już drugą noc nie zamykam prawie oka.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Głowa mnie trochę bolała.

I znowuż przez chwilę opowiadają sobie całe tomy oczami.

Ta głowa, która ją bolała, była najoczywistszém kłamstwem. Cóż mu miała odpowiedzieć? Lecz nie spała dlatego, gdyż w tym czasie i on nie spał. Czyż nie mają już teraz tych samych myśli, czyż nie są jedną istotą?

Przed plebanię zajechały sanie.

— Konsyliarz jedziesz z nami na obiad — zapraszał Łupinkowski. — Mamy wprawdzie tylko dwie pary sani, ale jakoś się pomieścimy.

Wypadło, że pannę Maniutę, jako osóbkę najdrobniejszą, usadowiono w środku pomiędzy doktorem a panną Bogusławą Łupinkowską na jednéem siedzeniu. Na przeciwko, obok stangreta, dodano im dla przyzwoitości jakiegoś wyrostka gimnazistę. Reszta Łupińszczyzny umieściła się w drugich saniach. Ruszyli.

Pogoda prześliczna, choć mróz aż trzaska. Konie wypuszczają ogromne kłęby pary, jak z lokomytywy. Nawet z buzi panny Maniuty wychodzi mały dymek, jak gdyby paliła cieniutkiego papierosa, a wąsy doktora pokrywają się jakby kożuchem śmietanki.

Dokoła biało, biało, biało... Konie cwałują wyciągniętym kłusem, sanie posuwają się, jak po stole, a dzwonki powtarzają swoją wieczną piosnkę: din, din, din, din.

Przejeżdżają przez rynek z kapliczką św. Józefa w pośrodku. A św. Józef w swojéj wysokiéj czapie ze śniegu z białém boa na szyi zdaje się mówić: He! zimno, ale dobrze.

Mijają wąskie uliczki z małemi domkami, okutanemi śniegiem, pod którym domki owe formalnie się uginają i wydają się teraz jeszcze mniejsze i niższe — niby miasto lilipucie, lub wyjęte z pudełka i ustawione zabawki dla dzieci.

Teraz wyjechali na otwarte pole. Mijają jakieś mosty, gaje, zagrody w bieli śniegu i héj, héj! — jadą daléj a daléj! Stangret zlekka tylko cmoka na konie, hop, hop! a one pomykają coraz żwawiéj.

To mi jazda! Dokoła nie widać nic. Wszystko sprowadzone do

wspólnego mianownika: Śnieg i śnieg... pokrywa całe mile dokoła — jak gruby, puszysty biały dywan, na którym słońce utkało błyszczące brylanty, topazy, rubiny.

Dokoła biało, biało. A dzwonki sani dzwonią wciąż swoje din, din...

A oni okutani w futra z twarzami tylko odkrytemi poddają się tym cudom natury wszystkiemi zmysłami i rozkoszują się tém, że żyją. Są w humorach wyśmienitych i wybuchają ciągłym śmiechem, żartami i figlami bez powodu:

— Hi, hi! — śmieje się do rozpuku panna Łupinkowska.

— Cóż się stało? — zapytała panna Maniuta, odejmując od twarzy mufkę i ukazując swoją, zaczerwienioną od mrozu, świéżą twarzyczkę, która w obramowaniu niebieskiego kapturka, wyglądała jak buzia ośmioletniéj dziewczynki.

— Tak mi ciasno, że już nie wiem. Jak Bozię kocham, lada chwila ze sanek zlecę.

Panna Maniuta musiała się zbliżyć do doktora. Trochę się jeszcze broniła, ale cóż było robić! Siedziała już teraz bardzo blisko niego. A on aby nie wypaść, musiał po za jéj plecami umieścić rękę na krawędzi sanek. Pomimo mrozu, którego zresztą nie czuł — uważał tę pozycyę za ideał wygody.

Lecz najwięcéj figlowała panna Maniuta. Jeszcze nigdy w takim humorze nie była. Prawda, że w ciasném mieście nigdy tyle nieba i przestrzeni dokoła nie widziała i upiła się może tém swobodném powietrzem. Teraz siedzi tak niespokojnie, że doktór już parę razy o włos z sanek nie wypadł. Śmieli się z tego wszyscy do rozpuku — nie wyłączając stangreta.

W chwilę potém pannie Maniucie wpada do głowy śpiewać na cały głos jakiegoś marsza z operetki.

— Bardzo panią proszę, aby pani nie śpiewała, bo pani się zaziębi.

— Bardzo proszę, bardzo proszę — podrzeźnia go panna Maniuta — a jak pana nie usłucham to co będzie? I ni stąd ni zowąd zrzuciła gimnaziście czapkę z głowy. Musiał zeskoczyć ze sani, a następnie ich doganiać, bo nie pozwolili stangretowi zatrzymywać koni.

A panna Maniuta i panna Bogusława zanosiły się formalnie od śmiechu.

Zawadzili o jakieś drzewo; potrząśnięte zrzuciło na nich śnieg z gałęzi niby moc kwiecia wiśniowego lub jakby chmarę białych motyli.

— Aj, aj! — krzyczały ze śmiechem panie.

Najwięcéj śniegu upadło za kapturek pannie Maniucie.

— Słowo honoru, pani się zaziębi — rozpaczał doktór.

— Słowo honoru, pani się nie zaziębi — przedrzeźniała go panna Maniuta.

— Ach, ach, Maniuto, co ty wyprawiasz. Jak Bozię kocham, umrę na tych saniach za śmiéchu.

— Jak Bozię kocham, nie umrzesz na tych saniach ze śmiéchu — figlowała panna Maniuta.

Doktór nie miał już siły oponować jéj figlom. Machnął ręką i uśmiéchał się, jak słaba matka, nie mogąca dać sobie rady ze swawolném, rozpieszczoném dzieckiem. Tylko przypatrywał się z ukosa jéj zaróżowionéj twarzyczce, z wielką dumą, jakgdyby już do niego należała.

Mróz brał coraz większy. Powietrze ostre, jak z żelaza, drapało prawie po twarzy.

Teraz zbliżano się już do Dębinek.

Dwór położony był w dolinie i trzeba było zjeżdżać stromą drożyną pomiędzy zamarzniętą rzeczką i urwiskami. I odrazu z góry zjeżdżało się na most z pogniłych bali; był to ów sławny most, przez który goście tylokrotnie przejeżdżając, zawsze panu Bogu za ocalenie życia dziękowali. I panna Maniuta straciła nagle swój humorek.

— Jak mamę kocham, boję się okropnie.

Doktór Klimowicz wziął jéj rączkę; chciała ją wyrwać, ale pozostawiła w jego dłoni. Teraz siedziała prawie jak w jego objęciu. Pomimo grubéj rękawiczki czuł delikatność jéj ręki. Przytuleni do siebie, nic teraz nie mówili. A on o włos gotów był zrzucić futro i wykrzyknąć:

— Uf! co za upał, prawda? Zanosi się na burzę.

Zajechali przed dworek z tradycyjnym gankiem na słupkach, z oknami tuż przy ziemi, wydający się, jak owe domki w miasteczku, jeszcze mniejszym wskutek białego puchu pokrywającego ziemię i dachy.

Wysiedli z sani i napełnili gwarem i śmiéchem cały dom, opowiadając ze wszelkiemi szczegółami o wszystkich zdarzeniach téj wesołéj jazdy.

Po obiedzie siedzieli we dwoje w małym pokoiku za salonem. Te dwa dni na wsi, spędzone nieodstępnie razem, zbliżyły ich więcéj, niż gdyby się w mieście od wielu lat znali.

On nazywał ją już panną Maniutą. Ona zaczęła mu mówić: panie Zdzisławie.

Teraz pozostawiono ich samych. Stara Łupinkowska i ciotka

Nacia, zajęte były przygotowaniami na wieczór. Pan drzémał po obiedzie, a panny się ubiérały.

W pokoiku zaczęło się ściemniać; i ta samotność, cisza i szara godzina uspasabiały jakoś do zwierzeń. Po śmiechach i wyczerpaniu zapasów wesołości, byli nastrojeni teraz poważnie. I doktór rozpoczął cichym głosem opowiadać jéj, jak staremu przyjacielowi, dzieje całego swego życia. Od najmłodszych lat nie stąpał po różach.

Mówił jéj o czasach uniwersyteckich, kiedy zarabiał korepetycyami na życie. Ale korepetycyi czasami się nie dostawało. Mundurek bywał podarty, w piecu nie zawsze napalone. A na obiad sam nastawiał nieraz samowar, dokupywał do herbaty bułek, ot i cała uczta.

Lecz na biédę nigdy nie narzekał. A i miało się wtedy marzenia, Bóg wié jakiéj przyszłości.

I ot przyszła ta oczekiwana przyszłość, a z nią i lata. Ma już całe buty, lecz dokoła jakoś pustka! Narzucał się już nieraz temu i owemu z przyjaźnią. Lecz ludzie pojmują tylko przyjaźń w postaci pewnych usług; o ile te usługi są już spełnione lub im niepotrzebne, sama przyjaźń przez się, to dla nich czcze słowo. Jak nielitościwie téż opuszczali go potém wszyscy. Cóż im się dziwić? Oni mają serca dla żon swoich, dla rodzin własnych.

I on pozostawał sam. Nie można wyrazić, jaka rozpacz kryje się w tém małém słówku, sam, sam na świecie.

Miał jeszcze i inne zawody w życiu. Zawody były takie, że dostatecznie zwątpił o wszystkiém. Nie potrafi odróżnić słońca od nocy, białéj barwy od czarnéj — nie wié już nic, nie wierzy, nie liczy na nic. Ludzie nazywają go dziwakiem. Gdybyż mogli czytać, co się w jego wnętrzu dzieje. Mógł się obywać bez obiadu, lecz serce potrzebne jest mu do życia, jak słońce. Lecz słońce nie lubi jesieni. Pokaże się na chwilę i znika. Tak, tak jest już za starym, zapoważnym, zanudnym. A młodość nie wraca. Smutno!

I mówił wciąż daléj, mówił i mówił, coraz rzewniéj, upajając się dźwiękiem własnych słów, wzruszając się przeżytemi marnie dniami, całą przeszłością, wspomnieniami, jakotéż dalszém życiem bez nadziei, bez celu.

I nagle usłyszał cichutkie łkanie. To panna Maniuta trzymała przy oczach chusteczkę.

— Pani płaczesz, powiedz pani przez Boga, co pani jest?

— Nie wiem, nic nie wiem — odrzekła łkając. — Tak mię coś za piersi ścisnęło...

Służąca wniosła do pokoju lampę. Panna Maniuta pobiegła do okna, aby jéj łez nie spostrzeżono.

— Maniuto! Ubiéraj się, już czas! — odezwał się zdaleka głos panien Łupinkowskich.

— Panno Maniuto! — błagał ją doktór — tylko jedno słowo!

— Nie mogę, nie mogę — odrzekła i nie spojrzawszy na niego, wybiegła z pokoju.

Doktora zabawiał teraz w nieobecności pań, stary Łupinkowski z całym repertuarem swoich anegdotek, w doskonałym humorze po poobiedniéj drzémce.

Pokoje wszystkie były już niluminowane: i salonik i gabinet i jadalnia gotowe już były do przyjęcia gości. Po kilku godzinach pracy przy lustrze nadeszły panny Łupinkowskie, ustrojone w sztuczne kwiaty, w szpilki, broszki i najrozmaitszego rodzaju kokardy i kokardki.

Miały dziś na sobie niebieskie suknie z różowemi falbanami, jeszcze więcéj zniszczone niż wczorajsze, przytém rękawiczki zbrukane, wachlarze połamane. Wniosły ze sobą aromat tanich perfum, łączący się z zapachem nieszczędzonéj widocznie benzyny, którą skrzętnie musiano wyczyszczać plamy.

Po chwili ukazała się panna Maniuta. Poprawiła sobie tylko trochę włosy i włożyła ażurowe pończoszki i atłasowe do tańca pantofelki.

Sukienkę miała tę samą, co wczoraj. Tylko u szyi zawiązała z gustem jakąś białą koronkę i za pasek wetknęła jakby od niechcenia bukiet kwiatów. W ręku trzymała świéże, długie rękawiczki i bardzo gustowny wachlarz.

Doktór Klimowicz miał ochotę powiedziéć:

— To mi się nazywa ubranie!

I panny Łupinkowskie jak gdyby pojęły, że ta skromna sukienka jest gustowniejszą od ich falban i wstążek. Pomimo to niezazdrosne, ucałowały ją w zachwycie.

— Jak tyś się ubrała prędko?

— Prędko? — powtórzyła swoim zwykłym tonem panna Maniuta, przemieniając ostatni wyraz mówcy na swoje własne pytanie.

A doktór, któremu to maleńkie słówko zadrgało w uszach — dodał na to w duszy.

— Ta luba istota posiada głos zupełnie słowika.

Teraz sanie z brzękiem dzwonków zajeżdżają przed dworek jedne za drugiemi.

I wkrótce salonik cały w złotém oświetleniu świeczników i lamp roi się już od gości. Sprowadzony z miasteczka grajek wygrywa jak maszyna bez zmęczenia, a wyfrakowana młodzież, barczyste zuchy, ze świeżemi, zdrowemi twarzami, popijając dla animuszu jeden kieliszek

wina za drugim — tańczą aż się dusza raduje. Na czele ich stoi donżuan okoliczny, pan Marcinkowski, ładny, kształtny chłopiec z ogorzałą twarzą, czerwoną wargą, miękkim, czarnym wąsikiem i błyszczącemi, piwnemi oczami.

Jest-to dzierżawca niewielkiego w okolicy majątku. Tańczy świetnie, pije niezgorzéj, skończył trzy klasy i z zasady nie czyta nic — nawet Kuryera.

Królową balu jest naturalnie panna Maniuta Malinowska. Koło jéj krzesła jest ścisk taki, jak przy kasie teatralnéj, na występy jakiéjś zagranicznéj sławy. Ona zdaje się tego nie widziéć. Nie ma wcale tremy kasyera i zupełnie swobodnie przechodzi z objęć jednego tancerza w objęcia drugiego, czekającego śród tłumu swojéj kolei, mówiąc każdemu z nich, bez żadnych wyróżniań, bez omylenia się, jaknajsprawiedliwiéj.

— Teraz pan. Nie, nie, ten pan. A potém pan.

Doktór nie tańczy. Stoi tylko we drzwiach salonu, jak wyrozumiały mąż, lub ojciec, pojmujący, że młoda osoba musi się trochę pobawić. I przypatruje jéj się z dumą, czasami z uśmiechem. Nie jest przecież tak naiwnym, aby być zazdrosnym o tych wszystkich chłystków, którzy ją otaczają.

Podoba mu się, że pomimo swego tryumfu, nie rozrzuca się, nie śmieje, nie kokietuje, lecz jest zawsze dobrém dzieckiem i to w doskonałym guście. Dziś, śród drogi, młoda, więc naturalnie ożywiła się, bo była w maleńkiém kółku i to najbliższych.

Doktór zalicza siebie już do najbliższych, lecz teraz pomimo zabawy, w liczném towarzystwie jest spokojna, taktowna, grzeczna, uśmiéchnięta ale poważna.

— Zresztą — dodaje sobie w duchu doktór — to towarzystwo nie dla niéj. W gruncie ona musi tu się nudzić. Ale poznali się na niéj wszyscy. Pi! wielka mi sztuka! Ale się trzyma, jak królowa. I co za powaga, co za statek w tém dziecku!

I rzeczywiście, wszystkie inne damy i panienki obrywały sobie podarte koronki u trenów sukien, wypadały im szpilki, miały amarantowe, jak buraki twarze, włosy rozczochrane. Ona choć tańczyła najwięcéj z nich, nie miała jednego włosa w nieładzie! Sukienka jéj była zawsze, jak z igły, a ona sama, jakgdyby tylko co wyszła z gotowalni.

A doktór w ciągłéj swojéj trzeźwości zdania, bez odrobiny zaślepienia, powtarza sobie w duszy:

— Do innego towarzystwa jest stworzoną. Musi się tu dziś nudzić haniebnie. Tylko wskutek swojéj delikatności zachowuje się tak, że

tego nikt nie odgadnie. Naprzykład rozmawia w téj chwili z tym idyotą Marcinkowskim. I o czém może ona z nim mówić? Godardzie, a może o Stendhalu, Balzaku, Flaubercie lub o Zoli? A z jaką uwagą go słucha? Nawet szkoda dla niego téj jéj finezyi grzeczności. Ten głupiec może nie poznać się na tém i sądzić, że jego brednie seryo ją zajmują.

Zbliżył się do nich, aby posłyszéć o czém mówią. Broń Boże nie z zazdrości. Zanadto znał pannę Maniutę i Marcinkowskiego. Ale ot tak sobie.

Lecz kiedy się zbliżył, jakiś nowy tancerz stanął przed panną Maniutą. Na odchodném dokończała rozmowę z Marcinkowskim.

— Tak pan sądzi? — mówiła swoim zwykłym tonem Anieli ze Ślubów Panieńskich. — Pan jest trochę złośliwym, panie Marcinkowski.

Kiedy skończyła tego walca, doktór prosił ją:

— Panno Maniuto, proszę mi wyświadczyć tę łaskę i nie tańczyć już do kolacyi. Pani się zmęczy, zgrzeje, a potém zaziębi.

— Tere fere, tere fere — odrzekła głosem rozpieszczonego dzieciaka.

Doktór Klimowicz odrazu rozbrojony uśmiéchnął się pod udanym marsem.

A wokoło bal, teraz już po wieczerzy i winie, wre z animuszem, doprowadzonym do zenitu, zabawa przemienia się w szał.

Tańczą mazura. Panowie z zawadyackim ruchem ręki, zdający się wykrzykiwać: Héj! ha! Panie z mazurska trzymają się za głowę.

Muzyka gra od ucha. Héj, ha! Słychać krzyk wodzirejów, stuk hołubców, aż się podłoga ugina.

Nie mówiąc już o tych zuchach olbrzymach, jakby zrodzonych w innych wiekach niż ich tegocześni rówieśnicy z Warszawy, ale i wszystkie damy tańczą jako polki, wyśmienicie. Nawet o dziwo! drabiniaste panny Łupinkowskie poruszają się lekko jak piórka.

Panna Maniuta tańczy może nie tak dobrze jak one, ale daleko ładniéj. Nie bardzo się ożywia w mazurze; ma zamało werwy, jakgdyby przypuszczając, że to jedynie obowiązek tancerza. A ona przechyla tylko główkę nieco na lewo, daje się unosić tancerzowi i płynie tak po całéj salli. Przepływa z objęć jednego i płynie z drugim. Na twarzy ma półśmiéch zaledwie i usta trochę rozchylone.

Teraz w mazurze gonią się kot z myszką. Niektóre panny figlują zbyt długo; inne ot z uporu przewlekają tę scenę. Gonią się ze swoim kotem i gonią bez końca, aż widzowie znudzeni, przestają się interesować tą walką, ziéwają i odwracają głowy.

Panna Maniuta raz jeden przefrunęła salę i stanęła przed swoim kotem, prawie podając mu sama rękę i uwalniając się tém od napaści i uścisku, który może wywołać komeraże lub śmiéchy.

— Zawsze postępuje tak, jak należy — uśmiécha się doktór, nie porzucając swojéj roli, pobłażliwego sędziego.

Kiedy tańce już ustały a goście poczęli się rozjeżdżać, panna Maniuta zwraca się do niego:

— Wié pan, oddano mi przed chwilą list, który rano już nadszedł dla mnie z domu. Jutro w południe wyjeżdżam.

— Wyjeżdżasz pani? Jutro?

— Cóż robić? Widocznie bezemnie w domu żyć nie mogą. A jak mama raz coś każe, to już rzecz postanowiona. Jadę.

— I zapomni pani o biédnych Dębinkach?

— Nigdy — odrzekła szczerze. — Zresztą Bogusia mię niezadługo odwiedzi.

— Prócz panny Bogusławy nie zaprasza pani nikogo do siebie?

Zastanowiła się przez chwilę, a następnie zaambarasowana, wycedziła zwolna:

— Sama nie mogę zapraszać nikogo do domu moich rodziców. Trzeba ich dopiéro poznać i postarać się o to, aby być zaproszonym.

Doktór odjechał uszczęśliwiony.

— Biédactwo! Jak na nią, powiedziała już i tak bardzo wiele.

Litował się nawet, iż zmusił ją do tego, aby mu powiedziała więcéj, niż wypadało.

Nazajutrz rano Janowa wchodząc do jego pokoju, chwyciła się za głowę, sądząc, że jéj pan zmysły postradał.

— Jezusie Nazareński! — krzyknęła — serca trzeba nie miéć.

Doktór stał przy wielkiéj doniczce przepysznego, białego bzu i obcinał jedną gałązkę kwiecia za drugą.

Ten bez, kwitnący śród zimy, był chlubą Janowéj, a wszystkie kumoszki głowami z podziwu kiwały, jakgdyby z ogrodów Semiramidy pochodził i dziwowały się dziwowały. Bez kwitnący w zimie! Oglądały każdy listek, pączuszek każdego kwiatka. I teraz, kiedy rozkwitł, jak olbrzymi bukiet...

— Trzeba serca nie miéć! Znowuż pewnie dla jakiéj mężatki.

— A może nie dla mężatki? Jak Janowa sądzi? Może to dla takiéj, co zostanie dopiéro mężatką wtedy, kiedy się z nią ożenię, co?

— Panby się ożenił! Tu mi włosy wyrosną — odrzekła, pokazując dłoń, w bardzo złym dziś humorze — jeżeli pan się ożeni.

Ten bukiet białego bzu sprawił ogromne wrażenie na peronie

kolei. Niektóre panie jeszcze nigdy bzu kwitnącego w zimie nie widziały.

Lecz poza tém, bukiet ten malował już pewne, jawne i poważne zamiary, tembardziéj, że nie pochodził od chłystka, lecz od człowieka statecznego, ze stanowiskiem. Niektóre panie zauważyły, że ten bukiet wygląda zupełnie, jak ślubny.

Pan Łupinkowski wziął doktora na stronę i polityknjąc, zaczął niby żartować.

— Ha, ha! kochany panie Zdzisławie, chciałem już wam wczoraj uczynić uwagę, ale jakoś czasu na to nie było. Bałamucicie mi gościa, znajdującego się w moim domu, pod moją opieką. Ładnie to? Pan, człowiek poważny. Pannie główkę zawrócić łatwo. A panienka jest niezamożna. To żarty. Naturalnie — poprawił się, widząc jego pomieszanie — znając prawość waszego charakteru... No, jakżeż się tam spało po wczorajszéj zabawie.

Doktór Klimowicz bardzo poważnie uścisnął go za rękę i odrzekł trochę wzruszony.

— To nie są żarty. Postaram się być godnym pańskiego zaufania. Względem panny Malinowskiéj powziąłem już jaknajbardziéj stanowcze zamiary. Niebawem w tym celu wyjeżdżam do Warszawy prosić jéj rodziców, aby pozwolili mi miéć pewne nadzieje.

Na stacyi sygnały nie były jeszcze postawione. I całe towarzystwo, odprowadzające pannę Maniutę, spacerowało grupami po peronie. Odpowiedź doktora pływała w powietrzu. Wkrótce tajemnica ta była już jawną całemu towarzystwu. Szeptano sobie do ucha, chichotano i komentowano.

Panny Łupinkowskie całowały swoją przyjaciółkę i pytały zaciekawione:

— Cieszysz się?

— Jakaś ty dziwna! Naturalnie — odpowiadała z uśmiechem, dodając po chwili w zachwycie. — Ale mama, mama to się dopiéro uraduje! A tak nie chciała pozwolić mi, abym tu przyjechała.

Wreszcie pociąg nadszedł ze swoim świstem, sapaniem i warczeniem przedpotopowego tworu.

Nastąpiły ostatnie całusy, podziękowania i pożegnanie i panna Maniuta wskoczyła do wagonu.

Z doktorem mówiła najmniéj, jakgdyby z nim nie trzeba już było robić ceremonii. Pojął to doskonale i było mu z tém bardzo przyjemnie. W tym całym tłumie znajomych mogli byli wszak mówić tylko o rzeczach najbanalniejszych. A tak mógł przynajmniéj zdaleka nie spuszczać z niéj oczu.

Po chwili stanęła w oknie wagonu.

— Wiesz, jesteś dla mnie sfinksem — mówiła do niéj z peronu panna Łupinkowska z powodu ostatniéj z nią rozmowy.

— Sfinksem? — zapytała ze śliczną naiwnością dziecka.

— Nie — wtrąciła się pani aptekarzowa. — Z panny Malinowskiéj to istna syrenka warszawska.

— Tak, tak, to typowa warszawianka — zgodzili się na to wszyscy chórem. — Ma szyk, gust, dowcip prawdziwie warszawski — twierdziła cała zebrana tu prowincya, ze zwykłym swoim zachwytem dla stolicy.

Doktorowi było obojętném co o niéj mówią, ale było mu przyjemnie, że wogóle debatują i tak się nią zajmują.

Pociąg zwolna ruszył ze stacyi. A ona wciąż stała w oknie wagonu, prześliczna w swojém ciemném futerku i czapeczce z ogromnym bukietem bzu, który przy twarzy trzymała.

Niektórzy mówili, że te kwiaty wącha, inni twierdzili, że je całuje.

I stała długo jeszcze w oknie, póki pociąg nie zniknął im zupełnie z oczu, pędząc jak szalony, hen, hen ku Warszawie.

(D. c. n.) *Alfred Konar.*



PRZYCZYNEK DO GENEZY
„MARYI STUART"
Juliusza Słowackiego.

Marya Stuart, drugi z kolei utwór dramatyczny młodzieńczy Juliusza Słowackiego, powstał w Warszawie w stosunkowo dość krótkim czasie, bo między siedemnastym września a ośmnastym października w roku 1830 [1]). Dramat wyszedł jednak w druku dopiéro w roku 1832, w drugim tomie „Poezyi Juliusza Słowackiego" [2]). Młody poeta pokładał wielkie nadzieje na swojém dziele; w przedmowie zaznacza, że części przynajmniéj błędów, jakie popełnił w „Mindowem", starał się w „Maryi Stuart" uniknąć [3]). W liście do matki z dnia 30 lipca 1830 r. pisze: „znajdują tu, że nie mam dramatycznego usposobienia, ale ja to przypisuję ich nieobeznaniu się z nowym dramatycznym rodzajem; oni przywykli do wiersza „Barbary" i nie wiedzą, wiele jest sztuki w wierszu przekładanym „Maryi Stuart"; lecz kiedyś dobry aktor da uczuć słowa wyrywające się z duszy, powiąże duszą te rozmowy, które teraz zdają się połamane" [4]). W skreśleniu stosunku Rizzia do Maryi Stuart miał nadto poeta na myśli swoją pierwszą nieszczęśliwą miłość do Ludwiki Śniadeckiéj; w liście do matki z dnia 9 listopada 1832 r. czyni następujące wyznanie: „Mamo moja! przysłany mi przez ciebie list Ludwisi przykrość mi zrobił, bo ona do mnie zupełnie inaczéj pisała; szalona chciałaby być poetyczną istotą, a jest śmieszną; smutek ją pewnie nie zabije. Zdaje mi się, że się trochę gniéwa, że w moich poezyach nic o sobie, a zatém o niéj nic pisałem;

poznała mnie jednak czasem, pisze to sama, a ja się domyślam, że poznać musiała w scenach między Rizzio i Maryą Stuart, zwłaszcza w ostatniéj scenie aktu drugiego" [5]).

„Marya Stuart" nie wywarła jednak wśród czytającéj publiczności większego wrażenia. Sam poeta wspomina w liście powyżéj przytoczonym, że mu odmawiano talentu dramatycznego. W listach Augusta Bielowskiego znajdujemy potwierdzenie owych sądów o dramatach Słowackiego [6]); w jednym z listów oświadcza Bielowski wprost, że mu się dramata Słowackiego nie podobają [7]); są one, zdaniem jego, daleko niższe od powieści. „Marya Stuart", pisze tenże daléj, „ma być wierny bardzo obraz historyczny i ma tu dużo wielbicieli, jako to: Piątkiewicza, Podoleckiego i innych, ja w niej jednak wielkie niedostatki i błędy postrzegam" [8]).

Z ocen współczesnych pojawiła się jedynie krytyka Lemaitre'a [9]), dość przychylnie oceniająca pracę młodego autora [10]). Aż do roku 1862, w którym Antoni Małecki ogłosił „kilka słów o Maryi Stuart Juliusza Słowackiego" [11]), nie ukazało się żadne studyum o „Maryi Stuart". Artykuł ten pozostał jednak nieznanym szerszym kołom publiczności aż do r. 1866, w którym wyszło dzieło Małeckiego o Słowackim. W dziele tém znachodzimy artykuł wydrukowany pierwotnie w „Albumie lwowskim" z małémi — prawie żadnemi — zmianami [12]). Stanisław Tarnowski [13]) przychylił się do zdania Małeckiego o wartości utworu; obu przewyższył w sądzie swoim bardzo surowym Klemens Kantecki [14]). Przygodnie rzucili kilka uwag o „Maryi Stuart" Michał Bałucki [15]), Edward Lubowski [16]), Piotr Chmielowski [17]), Walerya Marrené [18]). Nie wliczam tu recenzyi teatralnych, rozrzuconych po różnych czasopismach — jużto literackich, jużto codziennych; zebrać je wszystkie razem byłoby prawie rzeczą niepodobną i przynoszącą nie wiele korzyści [19]).

Wszystkie wspomniane oceny „Maryi Stuart" zajmowały się jéj wartością, jako dzieła sztuki i starały się zbadać, o ile Słowacki odpowiedział wymaganiom scenicznym i artystycznym. Mimo niezaprzeczonych piękności, których utworowi i najzagorzalsi przeciwnicy odmówić nie mogą, wartość „Maryi Stuart", jako utworu dramatycznego, jest małą wobec rażących wad, a szczególnie wobec błędnéj kompozycyi całego utworu. Chociaż jednak „Marya Stuart" nie może rościć praw do arcydzieła, w historyi dramatu polskiego zajmuje wybitne miejsce; jest bowiem jednym z pierwszych co do czasu utworów dramatycznych, pojętych w duchu dramatu romantycznego; wspaniała nadto dykcya stawia „Maryą Stuart" na równi z najznakomitszemi utworami poezyi polskiéj.

Geneżą „Maryi Stuart" nie zajmowano się dotąd wcale; zadaniem pracy mojéj jest zbadać, jak mogła powstać „Marya Stuart" i pod wpływem jakich czynników.

I.

Chwila, w któréj powziął Słowacki zamiar napisania swojéj „Maryi Stuart", i w któréj ona powstała, to koniec trzeciego dziesiątka wieku XIX, czas, w którym poezya angielska wywiera ogromny wpływ na całą literaturę europejską. Lord Byron stał się powszechną modą; obok niego Walter Scott był na ustach każdego. Dzięki dziełom obu poetów, zaczęto zajmować się coraz więcéj Szkocyą i jéj dziejami; nad poezyami szkockiemi unoszono się formalnie. W literaturze każdego narodu powstało w owych czasach mnóstwo utworów poetycznych, osnutych na tle szkockiém; pisano romanse, tragedye z dziejów szkockich; pieśni szkockie wkładano nieraz w usta osób występujących w utworach dramatycznych.

W literaturze polskiéj zaczęto się téż zajmować bardzo gorliwie literaturą angielską. Nie potrzebuję wspominać, jaki wpływ wywarł lord Byron na poezyę polską w początku wieku XIX-go; obok Byrona najwięcéj zajmowano się w owych czasach Walter Scottem. Dość wspomnieć, że Malczewski [20]), Mickiewicz [21]) znali jego utwory; naśladowali go tacy pisarze, jak Niemcewicz [22]), Witwicki [23]), Bernatowicz [24]), Krasiński [25]), Kondratowicz. Na wzór Walter Scotta starał się przedstawić w swoich powieściach historycznych przeszłość Polski Aleksander Bronikowski [26]). Wcześnie, bo już od r. 1822 [27]) począwszy, zaczęto tłómaczyć powieści Walter Scotta na język polski; między innymi tłómaczyli go Karol z Kalinówki (Sienkiewicz), Antoni Edward Odyniec [28]), Józef Bohdan Zaleski [29]). Największą ilość powieści przetłómaczono między rokiem 1826 a 1830-ym [30]); na tytułach tłómaczeń najczęściéj spotykamy nazwisko Franciszka Salezego Dmochowskiego; znane są powszechnie okoliczności, wśród jakich tłómaczenia te powstawały. Dmochowski założył prawdziwy warsztat, w którym na gwałt tłómaczyła młodzież powieści Walter Scotta; arkusze wilgotne posyłano zaraz do drukarni pod prasę; każdy się może łatwo domyśléć, że tłómaczenie w ten sposób dokonywane nie ma żadnéj wartości literackiéj; każda prawie strona jeży się od niezliczonych błędów, nieraz trudno zrozumiéć, o co chodziło właściwie autorowi.

Walter Scott należał do najwięcéj lubianych przez Słowackiego poetów. W liście do matki z Paryża z dnia 24 stycznia 1832 r. [31])

pisze młody poeta: „jedna... z moich największych przyjemności jest ta, jeżeli się jaki romans nowy Coopera albo Walter Scotta pokaże.” W dalszym ciągu opowiada Słowacki o nowo wydanéj powieści Walter Scotta: *Le comte Robert de Paris* [32]. W tym samym liście donosząc matce o tém, że pisze romans po francusku, dodaje taką uwagę: wszystko sprzężone z wielu fikcyami i długiemi rozmowami w guście Walter Scotta, i z długiemi objaśnieniami w guście tegoż autora i t. d. [33]. Jak wielki wpływ pozostawiła na umyśle poety lektura Walter Scotta, świadczyć może o tém ta okoliczność, że w r. 1843 na widok Atlantyku przypomina mu się opis morza z powieści Walter Scotta *The Pirate* [34].

Nie mamy jednak żadnych wzmianek, kiedy Słowacki mógł poznać Walter Scotta. Nie będzie to zbyt śmiałém przypuszczeniem, że Słowacki już w młodości swojéj i to bardzo wczesnéj znać musiał powieści Walter Scotta. Bujna fantazya poety musiała się rozkoszować i lubować w owych powieściach poety, przypominających w tak czarowny sposób dzieje szkockie. Przeważną część powieści mógł poznać Słowacki we wspomnianych przekładach polskich; niektóre może w tłómaczeniach francuskich, a może tylko małą ilość w oryginale; zdaniem mojém, z czasem dopiéro nabrał Słowacki większéj biegłości w języku angielskim, tak, iż mógł z łatwością czytać Byrona i Walter Scotta w oryginale. Mogło to nastąpić mniéj więcéj w roku 1829 lub 1830-ym. Wzmianka poety przytoczona przezemnie powyżéj, że w roku 1832-im poznał romans *Le comte Robert de Paris*, potwierdza w części moje przypuszczenie, że Słowacki najpierw czytał Walter Scotta nie w oryginale; w r. 1832 bowiem czytał romans jego najświeższy jedynie w tłómaczeniu francuskiém.

Walter Scott w jednéj swojéj późniejszéj powieści *The fair maid of Perth*, stanowiącéj drugą część (*2 Series*) *Chronicles of the Canongate* [35], w przedmowie przedstawia nam nadzwyczaj ciekawą rozmowę swoją z panią Baliol [36]. Rozmowa toczy się o Maryi Stuart. Pani Baliol zachęca powieściopisarza koniecznie, aby losy szkockiéj królowy obrał za treść romansu, albo raczéj dramatu. Lecz Walter Scott nie daje się nakłonić, zdaniem jego bowiem zdarzenia z życia Maryi Stuart są zanadto dobrze znane ogółowi czytelników, tak, iż jéj dzieje nie mogą być podstawą do romansu, w którym fantazya pisarza musi grać główną rolę. W rozmowie swéj wspomina pani Baliol przedewszystkiém o zabójstwie Rizzia i przypomnieniem główniejszych wypadków podczas owego zdarzenia stara się zwrócić uwagę Walter Scotta na całą grozę tego wypadku. W tak zwanym pokoju królowy Maryi, w zamku królewskim, gdzie się rozmowa wspomniana odbywa, i gdzie znać je-

szcze do dziś dnia ślady krwi zabitego pieśniarza, odnawiają sobie w umyśle pani Baliol i Walter Scott pamięć owego zdarzenia. Wspomina więc powieściopisarz, jak Marya Stuart przekonawszy się o śmierci Rizzia, zaprzysięgła zemstę mordercom. Co jednak najżywiéj nas obchodzić powinno, to charakterystyka głównych osób biorących udział w zamordowaniu Rizzia. Pani Baliol przypuszcza, że Walter Scottowi podczas nocy spędzonéj w zamku królewskim, mogą się ukazać we śnie wszystkie owe straszne postaci morderców włoskiego śpiewaka. Mordercy wypadają nagle przez otwarte drzwi, wychodzące na boczne schody i powtarzają jeszcze raz swoją okrutną zbrodnię. „Oto się ukazuje — mówi pani Baliol — wysoka postać młodego Darnleya, pięknego z postawy, ale jakże zmiennego w swoich postanowieniach; zbliża się z wahaniem, powoli, z postanowieniem niepewném, lecz dziecinna namiętność zwycięża dziecięcą jego trwogę. Usposobienie jego umysłu przypomina swywolnego chłopca, który podłożywszy ogień pod minę, oczekuje z obawą sumienia i drżeniem, wybuchu. Życie swoje dałby on teraz wzamian za to, gdyby mógł ugasić pożar, który własną ręką rozżarzył."

„Wywołaj pani — mówi Walter Scott — daléj Jerzego Douglasa, który był duszą całego spisku na życie Rizzia. Przedstaw go, pani, jako człowieka zuchwałego, nieczułego, dumnego."

Cały ten opis podsunął niezawodnie Słowackiemu myśl osnucia swojéj pierwszéj części dramatu na tle owego epizodu, o którym tak żywo rozprawiała pani Baliol z powieściopisarzem angielskim. Powieść Walter Scotta, o któréj mówię, a właściwie przedmowę, poznał Słowacki w r. 1828 lub po r. 1828-ym [37]; wrażenie, jakie zapatrywania Walter Scotta na ów wypadek wywarły w umyśle poety, stanęło mu świeżo w myśli, kiedy powziął zamiar napisania swego utworu; w przedmowie swojéj pośrednio, między wierszami mówiąc, uważa Walter Scott zamordowanie Rizzia za odpowiedni przedmiot do osnucia na tle jego dramatu lub powieści. W skreśleniu charakterów Darnleya i Douglasa u Słowackiego widać wpływ Walter Scotta; zachowanie się Maryi, która według słów Walter Scotta tak długo błagała zabójców o życie Rizzia, aż zobaczyła, że już nic nie poradzi, przypominają słowa królowéj w akcie trzecim w scenie ósméj:

Rizzio!... Boże! zmiłuj się nademną.
Stójcie! błagam was—jeszcze jęknął, jam słyszała.

Wreszcie słowa Maryi Stuart, gdy otarłszy oczy woła: „pomyślę o zemście!" przytoczone przez Walter Scotta [38], odbiły się w scenie dziewiątéj wspomnianego aktu, gdzie Marya przekonawszy się o śmierci Rizzia, wybucha w niczém niepohamowany sposób:

„Może krew plami te szaty?
Widzę go,—pod sztyletem w cierpieniach się zwijał...
Precz! precz! o łzo natrętna... Mamże płakać straty?
Mścić się potrzeba—drżyjcie! czyż krew płacić łzami?
Krew za krew—drżyjcie! zemsta straszliwa nad wami!
Już śmierć weszła do zamku, będą zbrodnie nowe.“

Walter Scott musiał mieć jednak przed napisaniem *The fair Maid of Perth* inne nieco pojęcie o możności utworzenia powieści na tle życia Maryi Stuart, kiedy w r. 1820 w powieści *The Abbot*, będącéj dalszym ciągiem powieści p. n. *The monastery* [39]), obrał za treść znacznéj części swego romansu więzienie Maryi Stuart w Lochleven. Z licznych wzmianek, znajdujących się we wspomnianéj pówieści, a odnoszących się do poprzednich wypadków, korzystał w niemałéj mierze. Przedewszystkiém przekonanie o winie Maryi Stuart w zamordowaniu Darnleya, utwierdziły w umyśle poety liczne wzmianki, zawarte w powieści Walter Scotta, po największéj części krótkie, z których jasno przecież wynika, iż wszystkie prawie osoby występujące w téj powieści uważają Maryą za winną [40]). Sam Walter Scott zachowuje w całéj sprawie stanowisko zupełnie przedmiotowe i nigdzie nie wypowiada zapatrywania swego na całą sprawę. „Marya Stuart” Słowackiego rozpoczyna się sceną, w któréj paź, wbiegając szybko do komnaty, opowiada królowéj o zaburzeniach ludu:

Smutne wieści przynoszę, posłuchaj, królowo,
Oddawna cię znieważa płochy lud stolicy;
Dziś jeszcze byłem świadkiem, jak zniewagę nową
Wyrządził twym pałacom, królewskiéj kaplicy.
Dziś, królowo, nad rankiem za ogrodu murem
Ujrzałem piękne maski, orszak Robinhoda:
Tłum tancerzy z dzwonkami, Tuck z czarnym kapturem,
Mały Janek i strzelec i Maryanna młoda,
Biała jak kość słoniowa, wesoła dziewczyna.
Szedłem zdala za tłumem; w tém zgraja wesoła
Staje — ucichły dzwonki — tłoczy się dokoła;
Jakiś człowiek nieznany, grozi, napomina,
A potém wszedł do domu na rogu ulicy,
Wszyscy się uciszyli... Znów ten człowiek blady
Stanął w oknie i z okna jak na kazalnicy
Przeciwko tobie, pani, lud budził do zdrady.

Oddawna już miałem podejrzenie, że ustęp ten nie może być samodzielnym pomysłem Słowackiego; naprowadzały mnie na to nazwy całego orszaku Robinhooda, a przedewszystkiém całe przedstawienie jakby wyjęte z jakiéj powieści. I nie omyliłem się. Przeglądając po-

wieści poetyczne Walter Scotta, znalazłem w *The lady of lake* następujący opis w księdze piątéj, ustępie dwudziestym drugim [41]):

now, in the castle park, drew ont
their chequered bands the joyus route.
there morricers, with bell at heel,
and blade in hand, their mazeswheel;
but chief, beside the butts, there stand
Bold Robin Hood and all his band —
Friar Tuck with quarter — staff and cowl,
Old Scathelocke with his surly scowl,
Maid Marian, fair as ivory bone,
Scarlet, and Mutch, and little John;
their bugles challenge all that will,
in archery to prowe their skill.

Ustęp z poematu Walter Scotta wywarł więc wpływ w opisie całéj bandy Robinhooda, jak to widać z zestawienia obu miejsc [42]). Lecz poznajmy w zupełności cały opis owéj sceny napadu ludu na kaplicę królewską w utworze Słowackiego.

Na słowa pazia mówi Rizzio:

Poznałem z opisania, to był Knox, królowo;
Dzień i noc wiecznie z okna przemawia do ludu,
Lud modli się i słucha, w każde wierzy słowo,
I słuchając, z ust Knoxa oczekuje cudu.
Ten człowiek chrześciańskie podaje nauki,
Raz wskazał na ten pałac i rzekł głosem gromu:
Zburzcie! zburzcie to gniazdo, a odlecą kruki!
Jak papież klątwy rzuca na świat z okien domu,
A lud się jak świętemu kłania obrazowi.

Paź. Królowo! śmielsi z ludzi do zbrodni gotowi,
Wpadli do twéj kaplicy z dzikiemi okrzyki:
Gniazdo papistów! krzyczą, obdzierają ściany,
Niszczą obrazy, palą, unoszą świeczniki.
W tém patrzę, oto w szaty kościelne przybrany
Na ołtarzu stał trefniś Darnleja i śmiele
Jak ksiądz zaczął kazanie w święconym kościele.
Lud wesoło bluźnierczym odpowiadał śpiewem,
A błazen skarby święte unosił bez braku.
Dobyłem miecza, zdjęty rozpaczą i gniewem,
Rzucam się, spadły dzwonki na błazna kołpaku.
Może krew popłynęła? nie wiem — lud się tłoczył,
Okolił mnie orężem — o ścianę oparty
Miałem niedz — w tém Botwel z królewskimi warty
Przybył — ocalił pazia — kaplicę otoczył.

W wspomnianéj powieści *The Abbot* w rozdziale czternastym i piętnastym opisuje Walter Scott napad wzburzonego tłumu na ka-

plicę w Kennaguhair. Opis ten jest zanadto długi, abym go tutaj przytoczył w zupełności; wystarczy zaznaczyć główniejsze tylko momenta.

Podczas nabożeństwa w kaplicy, słychać nagle ogromną wrzawę przed kaplicą; z głosami rozpasanéj tłuszczy łączy się odgłos dzwonków, rogów, trąb, cymbałów — słowem, zgiełk nie do opisania [43]). Wreszcie lud wdziera się do wnętrza kaplicy. Po największéj części są to maski; Robin Hood i *little* John z całą bandą rozbójników dokazują najwięcéj. Nie pomagają nic prośby przeora i zakonników [44]); tłum powoli zaczyna wybijać okna, niszczyć obrazy. Za odważniejszymi idzie i reszta; z okrzykiem na ustach: „zburzmy to stare gniazdo kruków, zadługo już służyło papieżowi", zaczyna tłum straszliwą gospodarkę w kaplicy. Wściekłość motłochu nie zna już żadnych granic; w tém nagle zjawia się sir Halbert Glendinning i energiczném swojém wdaniem się uspokaja wzburzone tłumy [45]).

Cały więc pomysł owego ustępu na początku aktu pierwszego przejął Słowacki z Walter Scotta. U obu poetów lud wzburzony wpada do kaplicy i zaczyna niszczyć wszystkie sprzęty; nagła pomoc Botwella przypomina w zupełności ową pomoc sir Halberta Glendinninga. Co więcéj, ów wykrzyknik Knoxa:

Zburzcie! Zburzcie to gniazdo, a odlecą kruki!

powstał niewątpliwie pod wpływem okrzyku, jaki wydaje tłum w powieści Walter Scotta.

Nadto i ta okoliczność, że o owéj scenie napadu na kaplicę nie znajdujemy żadnéj wzmianki w dziełach historycznych, które nam opisują życie Maryi Stuart, potwierdza w zupełności moje przypuszczenie, że Słowacki we wspomnianym ustępie korzystał z Walter Scotta.

Muszę wreszcie zwrócić jeszcze uwagę na jedną okoliczność w omawianym teraz przezemnie ustępie. Według opisu Słowackiego, trefniś Darnleya, t. j. Nick, zaczyna kazanie w kaplicy, na co mu lud odpowiada bluźnierczemi śpiewami; paź, nie mogąc znieść tego, rzuca się na trefnisia z mieczem w ręku, lecz w jednéj chwili otoczył go lud, zagrażając jego życiu. Na szczęście ocalił go Botwell. I ten mały epizod, na który przy porównywaniu obu autorów nie miałem jeszcze sposobności zwrócić uwagi, powstał pod wpływem wspomnianéj powieści. W *The Abbot* bowiem, paź Roland Graeme, nie mogąc znieść wybryków tłumu, a szczególnie obrazy swojéj prababki przez „błazna nierozsądku" Eulenspiegla, porywa za miecz i rzuca się z nim na Eulenspiegla [46]). Ogromna wrzawa powstaje wśród tłumu, na szczęście „błazen nierozsądku" nie poniósł żadnego szwanku [47]). Postępowanie trefnisia Nicka podczas całéj sceny kaplicy, przypomina

w głównych przynajmniéj momentach zachowywanie się „błazna nierozsądku” w *The Abbot* [48]). Wspomniéć nadto muszę, że i w powieści Walter Scotta lud śpiewa bezbożne pieśni, podobnie jak i u Słowackiego [49]).

Przepyszne scharakteryzowanie Lindsaya w *The Abbot* spowodowało niezawodnie także Słowackiego do wprowadzenia w akcyę swego utworu tego nieokiełznanego charakteru [50]).

W pewnéj mierze wpłynął na skreślenie figury pazia w utworze Słowackiego, Roland Graeme, paź Maryi Stuart w *The Abbot.* Jak Roland, tak i paź gotów oddać życie za królowę, która jest dla niego ideałem piękna i dobroci. Obaj odznaczają się młodzieńczą odwagą, która nie zna żadnéj rozwagi i która sprowadza na nich nieszczęścia.

Po części téż przedstawienie Mortona, jako człowieka chytrego i przebiegłego w *The Monastery* [51]) i w *The Abbot* [52]) odbiło się w dramacie Słowackiego podobnemiż rysami.

Z powieści *The Abbot* zaczerpnął także Słowacki jeden szczegół charakteryzujący ówczesne stosunki szkockie. Mam tu na myśli zwyczaj ówczesny polowania z sokołami. W *The Abbot* spotykamy bardzo liczne o tém wzmianki [53]); pazia Rolanda raczy Adam Wodstoock, sokolnik licznemi opowiadaniami o sokołach i o ich przyuczaniu do polowania; między innemi chwali Wodstoock Maryą Stuart, zapaloną zwolenniczkę polowań urządzanych z sokołami [54]). Pod wpływem tych niezawodnie wzmianek skreślił poeta scenę siódmą aktu pierwszego [55]) i na karb tychże reminiscencyi policzyć należy również porównanie pazia z sokołem w scenie czwartéj aktu trzeciego [56]).

Z powieści Walter Scotta zaczerpnął poeta nadto inny rys charakterystyczny wieków ówczesnych, to jest wiarę w astrologią. Astrolog Seni w Schillera „Wallensteinie” był prototypem wszystkich późniejszych astrologów, na utwór jednak Słowackiego nie wywarł żadnego wpływu.

W *Guy Mannering or the astrologer* [57]) powieści Walter Scotta, znajdujemy liczne sceny, w których różne osoby zasięgają rady u sławnego astrologa [58]); niemałą téż rolę odgrywa astrolog Marcyusz Galeotti w powieści Walter Scotta *Quentin Durward* [59]). Sceny skreślone w początku aktu drugiego w dramacie Słowackiego, powstały głównie pod wpływem romansu *Kenilworth* [60]); wypowiadając jednak to zdanie, nie zaprzeczam wcale temu, że wspomniane wpierw obie powieści nie wpłynęły na skreślenie ogólnego kolorytu owych początkowych scen aktu drugiego; liczne bowiem postaci astrologów, skreślone we wspomnianych powieściach Walter Scotta, były powodem utworzenia epizodycznych zupełnie obrazów w akcie drugim. W powieści *Kenilworth* zapytuje hrabia Leicester astrologa Alasco o swoją przy-

szłość [61]). Alasco jest już człowiekiem w podeszłym wieku; wobec możnego Leicester'a zachowuje się z uszanowaniem, ale bez żadnego śladu uniżenia. Według horoskopu astrologa gwiazdy przepowiadają Leicester'owi znaczne stanowisko i wyższy tytuł od tego, jaki teraz posiada. Podrażniony w ambicyi ulubieniec Elżbiety, marzy pod wpływem przepowiedni astrologa, już o tronie i wcale nie zważa na niebezpieczeństwa, które mu mogą grozić. W podobném zupełnie usposobieniu znajduje się i Botwell u Słowackiego, kiedy przychodzi pytać o radę astrologa. I on podobnie, jak Leicester, marzy o pozyskaniu tronu za pomocą szkockiéj królowéj, któréj miłość ma mu służyć tylko za środek w ambitnych planach; podrażniony w dumie horoskopem astrologa, żyje tylko myślą o tronie.

Alasco w *Kenilworth* myśli wciąż o wyszukiwaniu środka robienia złota; jest on już blisko téj tak bardzo przez siebie upragnionéj chwili [62]). W dramacie Słowackiego w ten sam posób myśli astrolog o owéj chwili, gdy mu się uda wynaleść środek robienia złota. Biorąc bowiem jeden z pucharów tak mówi do siebie:

Tutaj są moje nadzieje.
Nie śmiem czar tych otworzyć — ha! Kiedy otworzę,
Może mi dzisiaj w oczach złoto zajaśnieje? —

patrzy w puhar.

Nie, jeszcze nie ma — dzisiaj wcześnie, — jutro może?
A więc czekać do jutra. —

Z przepowiedni astrologa drwi sobie jednak i wyśmiéwa je zausznik Leicestere'a Sir Richard Verney [63]); w powieści „*Quentin Durward,*" błazen: le Glorie, z polecenia króla Ludwika XI, wzywając astrologa Marcyusza Galeotti'ego, aby pośpieszył na rozkaz władcy, również drwi sobie niemiłosiernie z przepowiedni i uczoności astrologa [64]). Pod wpływem tych obu scen z powieści Walter Scotta, powstała scena druga aktu drugiego w utworze Słowackiego, w któréj Nick, trefniś króla, także żartuje sobie z astrologa [65]).

W jedném z późniejszych opowiadań Walter Scotta, pod napisem: „Zwierciadło czarodziejskie mojéj ciotki Małgorzaty" [66]), występuje astrolog Baptysta Damiotti, mieniący się być doktorem padewskim. Niejaka Lady Bothwell, któréj siostra zasięgała rady u astrologa, prosi go, aby przepowiedzianych rzeczy nie wyjawiał nikomu; chcąc sobie zapewnić milczenie Damiotti'ego, ofiaruje mu pewną sumę pieniędzy. Lecz astrolog, nieco obrażony, odpowiada z godnością: nigdy nie odsłaniam tajników przyszłości dla jakiegoś zysku i nigdy nie frymarczę moją sztuką. Epizod ów bardzo charakterystyczny, przypomina

scenę trzecią aktu drugiego u Słowackiego, w któréj paź wręczając astrologowi brylantową sprzączkę od kapelusza, mówi następujące słowa, prosząc go o zachowanie zdradzonéj niebacznie tajemnicy:

Weź tę sprzączkę — zapomnij!... Czy już zapomniałeś?
Ja nawet uraz moich prędko zapominam,
A tybyś nie zapomniał.

Lecz astrolog z łagodnością odpowiada młodemu paziowi:

Chodź tu moje dziecię.
Czy myślisz, ża nauki spodlić mogą starca?
Królowa mnie łaskami obdarza obficie,
Nie zasłużyłby na nie starzec i potwarca.
Zatrzymaj te brylanty, przebaczam, żeś dawał.
Nadtoś mnie lekko sądził, zamało poznawał.
Patrz na komnaty, oto są królowéj dary,
Oto księgi bez ceny — mam złoto, pałace.

Do wszystkich więc pięciu scen aktu drugiego znajdujemy główne rysy w utworach Walter Scotta.

W jednéj z lepszych powieści Walter Scotta *Rob-roy* [67]) występuje burmistrz glasgowski Bailie Nicol Jarvie. Jest-to nadzwyczaj komiczna osoba. W jednym ustępie opowiada burmistrz, że w młodości nazywał go ojciec nieraz Nickiem [68]). „Nick-young Nick," przyczém sam dodaje następującą uwagę: *his name was Nicolas weelas mine; sae folk cadus in their daffin'young Nick and auld Nick.* Nazwa więc Nicka jest skróconą nazwą z imienia angielskiego Nicolas (Nicholas — Nicholaus); nazwa ta skrócona spotyka się w języku angielskim dosyć często; między innemi nazwy Old Nick używają Anglicy na oznaczenie dyabła i to w żartobliwém znaczeniu. Nieraz także oznacza nazwa *nick*, szczególnie w połączeniu z „*ninny*" wprost „błazna."

Mimo to nie jest nieprawdopodobném moje przypuszczenie, że i nazwę Nicka przejął Słowacki do swojego utworu pod wpływem Walter Scotta [69]).

W znacznéj części zachęcić mogła poetę do wprowadzenia osobistości trefnisia i ta okoliczność, że w powieści Walter Scotta *Quentin Durward* występuje również błazen króla Ludwika XI, zwany le Glorie, w rzeczywistości jednak noszący imię Tiel Wetzwajlet. Lecz skreślenie charakteru le Glorie, nie odbiło się żadnym rysem znaczniejszym w postaci Nicka w dramacie Słowackiego [70]).

Za to wpłynęła na skreślenie Nicka niemało postać Wamby, w powieści Walter Scotta „*Ivanhoe*" (1819). Wamba wychowany na łonie natury, ma z Nickiem niejeden rys wspólny. Obaj gotowi są oddać

życie w obronie swych panów i narazić się na największe niebezpieczeństwo; obaj, dzieci natury, odznaczają się téż sentymentalnością, wynikającą z ich usposobienia. W końcu i w scenie śmierci Nicka widać w znacznéj mierze wpływ Walter Scotta. W poemacie jego „*The lord of the isles*" (1815) występuje paź Allan, który w obronie pana swego Ronalda i króla Bruce'a ponosi śmierć. Zdaniem krytyki, epizod, w którym poeta angielski opisuje śmierć młodego pazia, należy do najrzewniejszych ustępów w literaturze powszechnéj wogóle. Rzewność i sentymentalność Allana, kiedy będąc na czatach przypomina sobie dom rodzinny, siwą matkę swoją, psa towarzysza, pieśni śpiewane w domu rodzinnym, (pieśń 3, zwrotka 29), przejął Słowacki przy kreśleniu ostatnich chwil z życia Nicka. Żal Ronalda nad zwłokami wiernego pazia (tamże, zwrotka 33), przypomina rozpacz Henryka po stracie Nicka. Nie da się jednak zaprzeczyć, że mimo licznych reminiscencyi, postać Nicka jest prawdziwą ozdobą utworu Słowackiego.

II.

Wszystkie powyżéj wykazane reminiscencye, zaczerpnięte z utworów Walter Scotta, odnoszą się w przeważnéj liczbie do pierwszéj części dramatu Słowackiego. Na powstanie części drugiéj utworu wywarł niemały wpływ poeta włoski, Wiktor da Asti Alfieri, tragedyą swoją „*Maria Stuarda.*"

W literaturze polskiéj zajmowano się dosyć Alfierim; Wojciech Bogusławski przetłómaczył tragedyą jego „Saul," [71]) Aloizy Feliński „Wirginią" [72]). W czasopismach literackich pojawiały się od czasu do czasu krótsze lub dłuższe wzmianki o Alfierim [73]) Ludwik Osiński w wykładach swoich unosił się nad Filipem II [74]). Znaną jest wreszcie rzeczą, że młody Zygmunt Krasiński, rozczytywał się we włoskim pisarzu [75]). W spuściźnie literackiéj Słowackiego natrafiłem tylko na jedną wzmiankę o Alfierim; lecz wzmianka ta dowodzi, jak Słowacki wysoko cenił Alfierego. W liście drugim do autora „Irydyona" Słowacki mówiąc o osobach występujących w „Lilli Wenedzie" pisze w końcu te słowa: „oto jest cały sklepik kolportera, wysypujący przed tobą swe fantastyczne figurki, za które autor sam gada, a czasem szczebioce Alfierego językiem."

Tragedya Alfierego „*Maria Stuarda*" ma za przedmiot tę samą chwilę życia szkockiéj królowéj co i dramat Słowackiego. Już dla tego samego, że *Maria Stuarda* powstała znacznie wcześniéj przed utworem Słowackiego, należy porównać utwory obu poetów ze sobą.

Utwór Alfierego wyszedł drukiem dopiéro w kilka lat po napisaniu, stąd téż we wszystkich wydaniach czytamy w tytule: „*Maria Stuarda, tragedia prima inedita.*” Ciekawemi są nadzwyczaj uwagi autora w sądzie o swojéj Maryi Stuart (*„parere dell autore”*). Na pierwszy rzut oka, zdaniem Alfierego, losy Maryi Stuart, najnieszczęśliwszéj z królowych, zdają się nadawać wybornie do ułożenia tragedyi; po bliższéj jednak rozwadze temat ten musi wydać się każdemu jednym z najnieszczęśliwszych. Śmierć Maryi Stuart, zdaniem włoskiego poety, nie może być przedmiotem tragedyi, a to głównie z tego powodu, że Elżbieta, główna nieprzyjaciółka i rywalka Maryi Stuart, nie przedstawia żadnego kontrastu namiętności w porównaniu z królową szkocką, śmierć więc Maryi Stuart, chociaż w rzeczywistości jest niesprawiedliwą i tragicznie smutną, nie może być tragiczną na scenie. Pozostaje więc inny moment z życia Maryi Stuart, który powinien wziąć pod rozwagę autor, chcący udramatyzować jéj dzieje; tym wypadkiem jest śmierć męża Maryi Stuart, o którą ją oskarżono. Już ta sama okoliczność, że autor osnuł na tle tego wypadku swoją tragedyą, dowodzi dostatecznie, że uważał za rzecz możebną utworzenie dramatu, mającego za główną osnowę śmierć Henryka Darnleya; w przeciwnym bowiem razie, nie powstałaby jego tragedya. Sam jednak Alfieri wyznaje, że już na samą myśl tego przedsięwzięcia obawiał się, czy utwór jego wypadnie dobrze. Dwa jednak powody wpłynęły na to, że postanowił napisać swoją tragedyą; po pierwsze żądała tego od niego osoba, któréj prośbom nie zdołałby nigdy niczego odmówić [76]); po drugie powodowała nim ta myśl, że jako autor ośmiu tragedyi, które publiczności dosyć się podobały, potrafi przy usilniejszych nieco staraniach nawet z tematu niepodobającego mu się zupełnie, utworzyć dość znośną tragedyą; dodaje nadto, że przedmiotu, który stanowi treść jego utworu, wcale wysoko nie ceni. O wartości jednak tragedyi nie może wydać sądu, nie widział jéj bowiem przedstawionéj na scenie i nie mógł ocenić, jakie wrażenie może wywrzéć sztuka ta na widzów. Jeżeli w tragedyi jego są jakie wady, to zdaniem poety, nie należy tego kłaść jedynie na karb przedmiotu samego; jeżeli znajdują się jakie zalety, nie trzeba zanadto wychwalać autora, który tworząc swoją „*Maria Stuarda,*” włożył w nią więcéj staranności, niż w inne swoje dotychczasowe utwory [77]). Już sama ta przedmowa Alfierego musi zwrócić uwagę każdego, kto zna „Maryą Stuart” Słowackiego; przedmowę tę mógłby był Słowacki umieścić na czele swojego „obrazu historycznego,” opuściwszy naturalnie ustępy, odnoszące się jedynie tylko do samego Alfierego.

Pod wpływem niezawodnie téj przedmowy Alfierego, obrał Słowacki za treść swojego utworu śmierć Henryka Darnleya, w znacznéj

bowiem części wydały mu się słusznemi uwagi włoskiego poety o braku tragicznych pierwiastków w śmierci Maryi Stuart. Z drugiéj jednak strony, wątpić muszę, czy Słowacki zgodził się w zupełności na zdanie Alfierego, że śmierci Maryi Stuart nie można przedstawić w tragedyi. Znał bowiem poeta tragedyę Schillera, która zaprzecza w tak stanowczy sposób owemu, tak apodyktycznie wypowiedzianemu zapatrywaniu Alfierego. Słuszną też jest uwaga Tedeschiego, który o sądzie Alfierego tak mówi [78]): *senonchè l'Alfieri anzichè scrivere, comme fece, che non credeva si potessa „assolutamente" fare una tragedia della morte di Maria Stuarda, avrebbe dovuto scrivere che non credeva la si potesse fare col suo modo di considerar l'arte. Imperocchè pochi anni dopo Federico Schiller, con uno creazione che va collocata tra le più splendide di tutta la Dramattica Letteratura, ben dimostrava, quanta richezza di tragica poesia cavare si potesse dalla funesta morte della regina di Scozzia.*

Pod wpływem więc Alfierego spróbował Słowacki sił swoich jeszcze raz w tym samym przedmiocie, który posłużył włoskiemu poecie do napisania tragedyi. Przyczynić się do tego musiała nadto i ta okoliczność, że Alfieri w utworze swoim nie szczególnie się wywiązał ze swego zadania [79]). Braki swojéj *„Maria Stuarda"* czuł najlepiéj sam Alfieri, pisze bowiem o niéj w sposób następujący: *„Il tutto di questa tragedia mi riesce e debole, e freddo, onde io la reputo la più cattiva di quante ne avesse fatte o fosse per farne l'autore, e la sola, ch'egli non vorrebbe forse aver fatta* [80])."

Brak przedewszystkiém w tragedyi Alfierego rozwoju akcyi; treść jest zanadto skąpa, aby mogła zapełnić dostatecznie ramy pięcioaktowego utworu i ta to okoliczność skłoniła niezawodnie Słowackiego, że przedmiot znacznie rozszerzył.

Tragedya Alfierego rozpoczyna się sceną, w któréj Marya Stuart uskarża się przed Lamorrem, że Henryk zabił wobec niéj Rizzia. Lamorre radzi królowéj, pogodzić się z królem. Marya zdaje się być powolną radom Lamorre'a, wszelkie jednak usiłowania jéj pogodzenia się z Henrykiem pełzną na niczem, gdyż Henryk żąda różnych praw królewskich i pragnie sam wychowywać swego syna. Za poradą Botwella, Marya nie przystaje na te warunki. Henryk, nie chcąc znosić dłużéj upokorzenia, postanawia, wskutek namowy Ormonda, posła królowéj angielskiéj Elżbiety, wykraść syna swego z zamku królewskiego i w ten sposób wymódz na Maryi Stuart przyznanie mu praw królewskich. Botwell donosi o tym zamiarze królowéj. Marya, dowiedziawszy się o prawdzie tego doniesienia z ust samego Ormonda, pozwala użyć Botwellowi wszelkich środków w celu zapobieżenia zamysłom Henryka; co więcéj, poleca mu nawet otoczyć zbrojnymi zamek poza miastem,

w którym mieszka Henryk. Wnet jednak uczuwa królowa wskutek proroctwa Lamorre'a obawę i trwogę, że Botwell gotów użyć środków gwałtownych. Zaniepokojona wysyła Lamorre'a, aby przywołał Botwella napowrót. Lecz już zapóźno. Za sceną słychać okropny huk. Powracający Lamorre oznajmia, że Henryk zginął pod gruzami zamku, wysadzonego prochem w powietrze; głos ludu obwinia o zabójstwo Botwella. Na tém kończy się tragedya.

Przystępując do porównania obu utworów, zaznaczyć muszę przedewszystkiém, że cała akcya pięcioaktowa w Maryi Stuart Alfirego, wypełnia tylko dwa ostatnie akty w utworze Słowakiego.

W charakterystyce osób poszedł Słowacki w znacznéj mierze za Alfierim. „*Maria Stuarda*" [81]), pisze włoski poeta o swojéj bohatérce, „*che dovrebbe essere il protagonista*, *è una donnuccia non mossa da passione forte nessuna*; *non ha carattere suo*, *nè sublime. Regalmente governata da Botuello*, *raggirata da Ormondo*, *spaventata e agitata da Lamorre; ci presenta questa regina un ritratto fedele di quei tanti principi che ogni giorno pur troppo vediamo*, *e che in noi destano una pietà, la quale non è tragica miente.*" Tak samo przedstawia się nam i Marya Stuart w utworze Słowackiego. Charakter jéj jest biernym, niestałym i zmiennym; odkąd się rzuciła w objęcia Botwella, zależy ślepo od niego i daje mu się powodować. Botwell, podobnie jak w tragedyi Alfierego, jest jéj złym duchem. Od śmierci Rizzia czuje królowa u Alfierego niechęć ku swemu mężowi Henrykowi: w pierwszéj scenie aktu pierwszego uskarża się królowa przed Lamorrem w następujący sposób [82]):

Largo al par del mio onore ei, che del suo,
Con empia mantraea quel Rizzio a morte;
Macchia eterna ad etrambi..

Czas nie zdołał zatrzéć w pamięci królowéj okropnéj zbrodni. Na pytanie Lamorre'a:

E che? nol desti
Or per anco all'oblio? Straniero vile, [83])
In soverchio poter salito, ei spiacque
Al tuo consorte, e al popol tuo...

odpowiada Marya:

Ma farsi
Ei l'assassin dovea di un vil straniero?
Fare, o lasciar, che sel credesse im mondo,
Ch'io per colui d'iniqua fiamma ardessi?
Giusto Dio, ben tu il sai! — Fedel consiglio,

Conoscitor degli uomini sagace,
Ministro esperto erami Rizzio: in mezzo
Al parteggiar secura, per lui, stetti:
Vani, per lui, della instancabil mia
Aspra nemica Elisabetta i tanti
Perfidi aguati: Arrigo in fin, per lui,
La mia destra ottenea con il mio scettro.
Nè disdegnava ei lo straniero vile,
Fin che per mezzo suo vedea da lungi
La corona. il superbo. Ei l'ebbe: e quale
Mercè ne diede à Rizio? Infra le quete
Ombre di notte, entro il regal mio tetto,
Fra securtà di sacre mense, in mezzo
A inermi donne, a me davanti, grave
Portando io il fianco del primiero pegno
D'amor già dolce, al tradimento ei viene:
E di quel vil, quanto innocente, sangue
La mensa, il suolo, e le mie vesti, e il volto
Certaminarmi, e in un mia fama, egli osa.

Przytoczyłem cały ten ustęp z tragedyi Alfierego, gdyż Słowacki w podobny sposób przedstawił stosunek Maryi Stuart do Rizzia. I u Słowackiego Rizzio jest doradcą wiernym królowéj i jéj powiernikiem; względy okazywane mu przez Maryą, wzbudzają nienawiść w Darnleyu, który postanawia go zabić. Morderstwa popełnionego w jéj obliczu, nie może zapomnieć Marya na chwilę:

„Może krew plami te szaty?" woła:
„Widzę go—pod sztyletem w cierpieniach się zwijał...
Precz! precz! o łza natrętna... Mamże płakać straty?" [84])

Gdy Botwell zwraca uwagę jéj na głos dzwonów podczas pogrzebu Rizzia, budzi się boleść na nowo w sercu królowéj:

„Boleść zaledwo uśmierzę,
I modlitwą zagłuszę jęk w piersiach tłumiony,
Szatan budzi mię ze snu" [85]).

Powoli umiał się wkraść w łaski *Maria Stuarda* przebiegły Botuello; i nie dziw, małżonek królowéj nie okazał się jéj godnym, miłości jéj nie potrafił należycie ocenić; władza królewska była jedynie jego marzeniem; po śmierci Rizzia pragnie tylko władzy, w miłość Maryi nie wierzy, nie chodzi mu nawet o nią.

Alfieri tak kreśli charakter Henryka: [86]) „*Arrigo, personaggio ancor più nullo che non è la regina, mezzo stolido nelle sua deliberazioni, ingrata alla maglie, incapace di regno, minor di se stesso e di tutti; cre-*

do che appena perverrà egli adessere tollerato in teatro." Najlepiéj jednak scharakteryzował się sam Henryk następującemi słowami:

Iniqui tutti; ed io pur anco. Oh fero
Baratro atroce d'ogni infamia e fraude! [87])

O władzy królewskiéj myśli téż Henryk i w tragedyi Słowackiego; nie chodzi mu tyle o miłość królowéj, ile o udział w rządzie. W ambicyi swéj śmieszny, zabija Rizzia i tak wzbudza w sercu królowéj pogardę.

„Botuello è un iniquo raggiratore, e sventuratamente costui è il solo personaggio operante in questa tragedia," [88]) mówi Alfieri o osobie która dźwiga w jego utworze całą akcyą na swoich barkach. Jest-to czarny charakter w prawdziwém tego słowa znaczeniu; nad umysłem Maryi ma niczém nieograniczoną władzę; jego radom ulega Marya bez wahania; przebiegłéj jego intrygi nie jest zdolną przejrzéć swoim słabym umysłem; w czwartym akcie, w scenie szóstéj [89]), mimowoli daje Botwellowi pozwolenie użycia wszelkich środków, aby zniweczyć zamysły Henryka. Tego naturalnie pragnął tylko Botwell. I w dramacie Słowackiego, Botwell od śmierci Rizzia ma nieograniczony wpływ nad Maryą; w scenie pierwszéj aktu czwartego z całą przebiegłością wymusza na Maryi zezwolenie na śmierć Henryka. Scena ta ma wiele podobieństwa ze wspomnianą sceną szóstą aktu czwartego w tragedyi Alfierego, gdzie Marya, dowiedziawszy się o zamiarze Henryka, z rozpaczą woła:

Consiglio, ahilassa!
Non trovo in me, nè forza. il cor mi sento
Squarziare a un tempo e dal dubbio, e dall'ira,
E dal timore; e, il crederai? pur anco
Da non so qual speranza...

Henryk dowiedziawszy się o odkryciu swego zamiaru, gotów, jéj zdaniem, opuścić państwo. Obawy jéj podziela Botuello; w razie opuszczenia kraju, Henryk gotów zyskać przyjaciół; jeżeli królowa chce posłuchać jego rady:

Scegliere or dessi
Il mal minor...

Maria. Ma il minor mal qual fia?

Botuello. Tu ben lo sai, meglio di me: ma al tuo
Ottimo cor ripugna altrui far forza.
Eppur, che vuoi? d'Elisabetta in corte
Vuoi, che Arrigo ricovri! E se in persona.
Con essa ei tratta, allor, tramo ben altro...

Maria Oh fatal giorno! e d'altri assai più tristi
Forriero forse! e fia pur vero, al fine
Giunto mi sei?... temuto orribil giorno!...
Misera me! Contro chi stato è pria
L'amor mio, la mia prima unica cura,
Or io la forza adoprerei?... Nol posso...
E, sia che vuol, mai nol farò.

Lecz przebiegły Botwell nie przestaje wystawiać w jaknajczarniejszych barwach grożącego Maryi niebezpieczeństwa:

Pur, di accertar l'impresa,
Senza destar tumulto, io veggo un mezzo;
Uno, e non più. — Scende or lu notte; il colle,
Ove il suo regio ostel solo torreggia,
D'armi, fra l'ombre, cingi. Ivi ritratto
Ei s'è pur dianzi ad aspettarvi il giorno,
Per poi partirsi; e v'ha con se non molti
Oscuri amici. Ivi guardato ei resti
Cortesemente: in lui così por mano
Nessum si attenta; e così nullo a un colpo
Il suo furor tu fai. Null' uom penètri,
Per questa notte, a lui: doman poi campo
Aperto lascia alle region tue giuste;
E a lui, se il può, campo a impugnarle lascia.

Maria waha się jeszcze, ale Botwell przekonywa ją wreszcie, że innego środka nie ma:

Ah! credi,
Ch'altro non n'hai.
Maria. Ma, in esegiurlo...
Botuello. Ja cura
Ne prenderò, se il brami...
Maria. E se i comandi
Si oltrepassasser mei?... Bada...
Botuello. Che temi?
Ch'io nol sappia eseguir? Ma, breve è il tempo
Prìa che ne manchi, io corro..,
Maria. Ah no... t'arresta...
Botuello. Farti or vo'forza: io ti salvai, rimembra
Già un' altra volta ..
Maria. Il so; ma...
Botuello. In me ti affida.

I po tych słowach wybiega, Marya zostaje sama na scenie; chciałaby zatrzymać jeszcze Botwella:

Ah! no... Sospendi... Ei vola. – Oh fatal punto!
Pende or da un filo la mia pace e fama [90]).

W podobny sposób i u Słowackiego w scenie pierwszéj aktu czwartego wymusza Botwell na Maryi zezwolenie na zamordowanie Henryka. Przypomina jéj zabójstwo Rizzia:

Patrz, pani! tam zdala
Snuje się tłum pogrzebu, idą czarne cugi,
Płatna wymowa cnoty zmarłego wychwala;
A za trumną przyjaciół orszak smutny, długi,
Ale ten najwierniejszy, który w trumnie zaśnie,
Każdy, z domu wychodząc, trzymał świecę jasną,
Połowa już pogasła, inne teraz gasną,
Patrz! jedna jeszcze miga — i ta wkrótce zgaśnie;
Na chwilę mu ciemnego grobu nie oświecą,
I pamięć ich zagasa z tą gasnącą świecą.
Śpij, Rizzio, wszyscy, wszyscy ciebie zapomnieli!
Czyż nie dosyć? zmówili wieczne odpocznienie!

Szyderstwem gryzącém raniąc serce Maryi, przyprowadza ją wreszcie do tego, że Marya przystaje na zabicie króla.

Przy końcu sceny szóstéj aktu czwartego w tragedyi Alfierego, stara się Marya zatrzymać koniecznie Botwella; podobnież i w drugiéj scenie aktu piątego przy końcu w dramacie Słowackiego, stara się Marya Botwella odchodzącego z lampą napróżno powstrzymać:

Marya. Stój, Botwelu!
Botwel. Bądź zdrowa!
Marya. Zaklinam!
Stój — już Darnleya wszelkich uraz zapominam.
Botwel. Lecz wahać się nie możesz.
Odchodzi.

Marya w scenie trzeciéj aktu piątego, podobnie jak u Alfierego; pojmuje dobrze, co uczyniła:

Poszedł... Nie wstrzymałam ..
Czuję, że go mogłam wstrzymać.

Pozostaje mi jeszcze do porównania akt piąty tragedyi Alfierego; w scenie pierwszéj występuje Marya i Lamorre [91]). Rzecz dzieje się bezposrednio po akcie czwartym, wśród nocy. Lamorre przychodzi do pałacu królewskiego wbrew zwyczajom dworskim:

Posto in disparte ogni respetto, io vengo
Ansio, ancelante, alle tue stanze, in ora
Strana. Oh qual notte!...

i pyta się królowéj:

Che fai?
Chi ti consiglia? Entro i recessi starti
Puoi di tua reggia omai secura tanto,
Mentre il consorte tuo digrida e d'armi
Cinto?...

Nie zważa on na tłómaczenie się Maryi, przestrzega ją przed ludem:

Qual sia il disegno,
Egli è crudo, terribile, inaudito:
E la plebe furor più assai ne tragge,
Che non terrore. Or, ben rifletti: forse
v'ha chi t'inganna: a rischiararti in tempo
Forse ch'io giungo.

Marya przerażona woła:

Che parli? Oh cielo!... e bramo io forse il sangue
Del mio consorte? echi 'l può dire?...

Lecz Lamorre nie zważa już na słowa Maryi: proroczym duchem widzi on wszystkie nieszczęścia, które się zwalą na głowę Maryi Stuart:

Oh lampo!
Qual raggio eterno agli occhi mie traluce?
Mortal son io! — Le dense orride nubi,
Ch'entro nera caligine profonda
Tengon sepolto l'avvenire, in fumo,
Ecco, si sciolgon rapide... Che veggo?

Prorocze to widzenie Lamorre'a należy do najwspanialszych ustępów nietylko w *Maria Stuarda*, ale w całéj spuściźnie literackiéj Alfiego. Poeta sam w swojém *parere* taki wydaje sąd o Lamorrem, a przedewszystkiém o owém widzeniu proroczém [92]): *Lamorre è, a parer mio, il personaggio, che, (non essendo però in nulla necessario in questa azione) non lascia pure di renderla assai più viva, e alquanto straordinaria; ove chi ascolta si voglia pure prestare alle diversi opinioni, che in que' tempi regnavano nella Scozia, così sanguinosamente feroci, e che furon poi quelle che trasseno la infelice Maria a morir sovra un palco. La parte profeticamente poetica di Lamorre nel quint'atto, potrebbe forze in qualche modo scusare molti degli antecedenti e sussegenti difetti della tragedia."*

W proroczém widzeniu swojém widzi najpierw Lamorre, jak zabójca jéj męża, cały broczący się jeszcze w świéżo przelanéj krwi Henryka, leży wśród ciepłego łoża wdowiego: [93])

Io veggio, ahi! si, quel traditor, che tutto
Gronda di sangue ancora. Empio! fumante
Di sangue sacro e tremendo, tu giaci
Entro il vedovo ancor tiepido letto?
Ahi donna iniqua! e il soffri tu?...

Lecz to dopiéro początek zbrodni; coraz straszniejsze rzeczy widzi Lamorre:

Oh nuova
Figlia d'Acab! già l'urla orride sento,
Già di rabidi cani ecco ampie canne,
Cui tuoi visceri impuri esser den pasto.
Ma tu, che in trono usurpator ti assidi,
Figlio d'iniquità, tu regui e vivi?

. . . .

Ma no, non vivi: ecco la orribil falce,
Che l'empia messe abbatte. Morte, morte...
Sue strida io sento, e già venir la miro.
Oh vendetta di Dio, deh, comme sconti
Ogni delitto!... Il ciel trionfa: è tolta
Ecco, è strappata la perfida donna
Dalle braccia d'adultero marito. .
Ecco traditi i traditori... Oh gioja!
Disgiunti sono, ...e straziati, ...e morti.

Następuje ustęp przejmujący największą grozą tragiczną [94]):

Ma qual vista novella?... Oh tetra scena!
Negri addobbi sanguigni intorno intorno
A fero palco?... E chi sovv'esso ascende?
Oh! sei tu dessa? O già superba tanto,
Or pure inchini la cervice Altera
Alla tagliente scure? Altra scettrata
Donna il gran colpo vibra. Ecco, l'infido
Sangue in alto zampilla; e un' ombra accorre
Sitibonda, che tutto lotracama.

Nie dziwię się wcale, że Słowacki pod wpływem Alfierego i w swoim dramacie postanowił naśladować ową wspaniałą i pełną grozy scenę. Różnica jaka zachodzi między oboma autorami jest ta, że Słowacki włożył w usta saméj Maryi owo widzenie. W scenie bowiem trzeciéj aktu piątego, gdy paź na rozkaz królowéj odchodzi przed ołtarz, widzi Marya swoją śmierć:

Na moje oczy jakiś sen trudzący spada,
Marzę i czuwam... barwę przybrały marzenia...
Tron i świateł tysiące... ja siedzę na tronie...
Teraz wszystko ciemnieje... w purpurze, w koronie

Idę — o Boże! Boże! to mury więzienia...
Któż mnie wtrącił w te mury, żywą zamknął w grobie?
Wokoło jeszcze wiernych przyjaciół drużyna,
Dlaczegóż płaczą? czemu ubrani w żałobie?
I ksiądz nademną czarne grzechy przypomina,
Jakież grzechy?... dzisiejszą noc... dzisiejsze zbrodnie!...
Teraz... wszyscy odeszli, kapłan się oddala,
Wchodzę do jakiéjś sali? to tronowa sala.
Posępnym blaskiem płoną tysiączne pochodnie,
Na moim tronie obca zasiadła kobiéta...
Boże! sala tronowa, a kirem wybita?
Zamiast kwiatów, ubrana w żałobne cyprysy...
Klękać mi każą — po co?... modlić się do Boga?
Ach!!!

Widzenie prorocze, jakie Alfieri włożył Lamorre'mu w usta, jest oryginalnym pomysłem poety. Nie ulega więc wątpliwości, że Słowacki jedynie z Alfierego zaczerpnął myśl całéj sceny, która w jego utworze wywiéra tragiczną grozę. Szczególnie odpowiednia gra artystki, przedstawiającéj Maryą Stuart, może się znacznie przyczynić do uwydatnienia całéj piękności omawianego ustępu. Naśladownictwo Alfierego przez Słowackiego jest oczywistém; niektóre zwroty, myśli, w całym pomyśle powtórzył Słowacki wiernie za Alfierim. Uczynił poeta dwie tylko zmiany: u Alfierego widzi Lamorre śmierć Maryi; u Słowackiego sama Marya w wzbudzonéj fantazyi widzi koniec swego życia. Nadto w tragedyi Alfierego widzi Lamorre nieszczęścia w rodzinie Stuartów od chwili śmierci Henryka Darnleya aż do stracenia ostatniego króla z rodu Stuartów, Karola I; Słowacki wkłada w usta Maryi jedynie przeczucie jéj własnéj śmierci. Zmiany te wywołała bezwątpienia głębsza intencya poety, ktory chciał wywołać większe wrażenie przez to, iż sama królowa widzi swój zgon; skracając zaś znacznie prorocze widzenie Lamorre'a, działał niezawodnie Słowacki pod wpływem czysto technicznych względów, które musial uwzględnić w swoim dramacie.

Słowa Lamorre'a wywiérają ogromne wrażenie na Maryi; z rozpaczą woła:

Ahi me infelice! [95])
Amai.. respiro... appena...

W trwodze najwyższéj wysyła Lamorre'a aby zapobiegł możliwemu nieszczęściu:

Or tosto vanne
Ad Arrigo tu stesso:
Va, corri, vola;

Lamorre odchodzi. Marya pozostaje w największym niepokoju [96]):

> ...Oh! qual tremor mi scuote! Oimè... se mai?...
> Ma, son io rea?

I ten ustęp wpłynął na koniec sceny trzeciéj aktu piątego w utworze Słowackiego. Marya wysyła pazia, który w tym akcie objął w części tę rolę, jaką ma Lamorre w tragedyi Alfierego, aby powstrzymał Botwella od zbrodni:

> Śpiesz! zatrzymaj Botwela, śpiesz, mój paziu drogi!
> . . . .
> Śpiesz! śpiesz! ja nieszczęśliwa! on króla zabije!...
> Na miłość Boga! Śpiesz się...

Lecz paź nie zdołał wykonać rozkazu królowéj.

Ostatnie dwie sceny tragedyi Alfierego naśladował również Słowacki w swoim utworze. Botuello w scenie trzeciéj aktu piątego wraca. Marya pyta się go z niespokojem:

> Che festi? ahi lassa! [97])
> Ove mi hai tratta? Ancor d'ammenda è tempo
> Vanne, egli armati tuoi...
>
> **Botuello.** Ma che? tu cangi
> Or consiglio altra volta?
>
> **Maria.** Io mai non dissi...
> Tu primo osasti...

Lecz Botwell jest zupełnie siebie pewnym; ze spokojem opowiada, jak obsadził zamek Henryka zbrojnymi; czynu swego jednak się nic boi:

> Osai, si, porti innanzi
> Più dolce un mezzo ad ottener tuo fine,
> Di quanti in te ne disegnavi: e cura
> A me ne desti; ed io l'impresi.

Opierając się na rozkazach Maryi, osadził cały zamek tak, że nikt się nie potrafi doń dostać:

> iuvan ci andava [98])
> In tuo nome Lamorre.
>
> **Maria.** Eche? tant' osi?...
>
> **Botuello.** Oso, e veglio, salvarti: or, quel ch'io faccia,
> Appieno io'l so.

W tém nagle słychać za sceną ogromny huk: Marya z najwyższą obawą wzdryga się na całém ciele i woła:

Ma che veggio? Oh cielo! ..
Qual lampo orrendo!... Ah!. . quale soppio! Trema,
S'apre la terra...

Botuello. Oh!. . Di squarciata nube...
.. Scende dal ciel... divoratrice.. fiamma?...

Maria. ...Si spalancan le porte!...

Botuello. Oh! qual rimugge
L'aura infuocata!...

Maria. ...Ahi! dove fuggo?...

Wchodzi Lamorre i na zapytanie Maryi, co się stało, donosi o śmierci Henryka [99]:

D'Arrigo è la magion disvelta [100])
Fin da radice, dalla incesa polve:
Ei fra l'alte rovine ha orribil tomba.

Wszyscy Botwella uważają za zabójcę króla. Botwell stara się uniewinnić, chcąc przekonać, że to sam Henryk, pewno w rozpaczy, pozbawił się życia [101]). Lecz Lamorre nie wierzy. Marya z wyrzutem zwraca się do Botwella:

Ahi reo sospetto! Oh pena [102])
Peggio assai d'ogni morte!... Oh macchia eterna!...
Oh dolor crudo!. . — Or via, ciascun si tragga
Dagli occhi miei. Saprassi il vero; e tremi,
Qual ch'egli sia, l'autor perfido atroce
Di un tal misfatto. Alla vendetta io vivo,
Ed a null' altro.

Lecz Botwell jest zupełnie spokojnym:

Il tuo dolor, regina,
Rispetto io si; ma per me pur non tremo.

Słowami następnemi kończy się tragedya Alfierego:

Tremar dei tu? — Finchè dal ciel non piomba
Il fulmin qui, chi non è reo sol tremi.

Czytelnik zostaje w niepewności, co się stanie z Maryą i Botwellem. W utworze Słowackiego po zgonie pazia słychać wybuch miny, przerażona królowa z okrzykiem zgrozy na ustach, zrywa się ze stopni ołtarza i biegnie do okna:

Widzę! widzę! kłęby dymu i płomieni.
A tam w czarnych obłokach, jakiś duch straszliwy
Ulatuje do nieba, chmurzy się i mieni:
To Henryk! Henryk! ja go poznałam — nieżywy!...

W scenie czwartéj końcowéj, wchodzi Botwell ze zgaszoną lampą i wzywa Maryę do ucieczki. Mimo zgrozy całéj chwili, Botwell jest spokojnym; zbójca z wybladłém czołem, z dzikim uśmiechem patrzy na zwłoki pazia:

Chodź ze mną.

woła do Maryi:

Teraz idźmy się błąkać... słyszysz te okrzyki?
To lud nas ściga mściwy... wkrótce motłoch dziki.
Uzbrojony, napełni królewskie pokoje.

W strasznych okrzykach ludu w tę noc zbrodni ciemną słyszy przekleństwa:

Chodź, Maryo, uciekajmy! chodź ze mną! chodź ze mną!

Marya poznaje, niestety, zapóźno już, czém był Botwell:

Nieszczęśliwy!
O! Botwelu! Botwelu! nie jesteś aniołem!
Inny stworzyłam obraz niegdyś w mojém sercu,
Precz! precz odemnie! zbójco z tém wybladłém czołem!

a odstępując od niego, z przerażeniem woła:

Ja się ciebie boję!

W podobny więc zupełnie sposób, jak i tragedya Alfierego, kończy się i utwór Słowackiego, zostawiając czytelnika w niepewności co do dalszych losów Maryi i Botwella. To, cośmy dotychczas uważali za jedną z ważniejszych wad w dramacie Słowackiego, po części przynajmniéj możemy dzisiaj usprawiedliwić wpływem włoskiego poety.

Na kilka jednak różnic w przedstawieniu obu autorów muszę zwrócić przecież uwagę. Tragedya Alfierego oparta jest na wypadkach rzeczywistych; z każdéj karty dramatu znać, że poeta studyował dokładnie ówczesne dzieje Szkocyi. I tak zupełnie historycznemi są owe namowy Ormonda, radzącego Henrykowi porwanie swego syna, daléj otoczenie zamku, w którym mieszka Henryk, i wiele innych drobniejszych szczegółów, rozsianych w całym dramacie. Przeciwnie rzecz się ma u Słowackiego. Wbrew wszelkim znanym nam faktom, wypadki dwóch ostatnich aktów, dzieją się tuż po zabiciu Rizzia; z historycznych wzmianek wiemy, że się to stało znacznie późniéj. Można jednak usprawiedliwić choć w części poetę; utwór jego składa się z dwu nierównych części; w drugiéj części musiał nawet mimo swéj woli nagromadzić poeta tyle wypadków; chcąc choć trochę uczynić rzecz całą prawdopodobną, nie mógł po prostu przedstawić wszystkich wypadków zaszłych od śmierci Rizzia aż do zamordowania

Darnleya, stąd brak w utworze jego w téj szczególnie części wszelkich historycznych faktów.

Alfieri umiał w swojéj tragedyi odtworzyć charakter ówczesnéj epoki. Nienawiść katolików i protestantów stanowi tło całéj akcyi; Lamorre, Henryk i Ormondo, wszyscy trzej, każdy naturalnie z innych pobudek i w innym celu starają się pozyskać Maryę Stuart dla nowego kościoła, lecz królowa stoi wiernie przy swoich zapatrywaniach religijnych. Postać Lamorre'a i Ormonda zawiera również wiele rysów charakterystycznych.

Brak tego przedstawienia charakteru ówczesnych stosunków szkockich daje się uczuć bardzo dotkliwie w utworze Słowackiego. Antagonizmu obu sekt religijnych nie potrafił młody poeta wyzyskać należycie; tu i owdzie rozsiane w dramacie charakterystyczne rysy epoki wieku XVI-go, pochodzą raczéj z naśladowania poetów. Może jedynie tylko Marya ma rysy niektóre prawdziwe, przedewszystkiém rys pobożności i wierności kościołowi katolickiemu. Lecz i ten rys jest bardzo słabo zaznaczonym w całym utworze i nigdzie nie występuje wyraźnie i dobitnie w dramacie; raczéj jest on i w tym względzie naśladowaniem Alfierego.

W tragedyi Alfierego zasługuje jeszcze na uwagę przedstawienie stosunku Maryi i Botwella. Botwell ma władzę nieograniczoną nad królową, jak to już wyżéj wspomniałem, i w téj to rzeczy naśladował Alfierego Słowacki. O stosunku jednak miłosnym obu tych głównych osób w dramacie, nic się nie dowiadujemy. Można widzieć w tém pewną zręczność poety, który tak zgrabnie przedstawił całą akcyą, że z utworu jego nie dowiaduje się czytelnik na pewno, czy Marya kocha Botwella. W ślad za tém nasuwa się i inne pytanie: czy w tragedyi Alfierego Marya Stuart jest winną śmierci Henryka? W istocie musimy podziwiać ową sztukę, z jaką nam przedstawił moment tak niejasny w życiu królowéj szkockiéj. Autor artykułu o Alfierim w encyklopedyi Erscha i Grubera pisze wprawdzie [103]): „*Maria selbst ist mitschuldig, aus verbrecherischer Liebe zu Bothwell*", lecz mimo kilkorazowego przeczytania utworu Alfierego, nie mogłem się dopatrzéć owéj miłości Maryi dla Botwella; co się tyczy winy Maryi, to zdaniem mojém, poeta swojém przedstawieniem chciał zapewne zrehabilitować królowę.

Zupełnie przeciwnie ma się rzecz u Słowackiego, gdzie miłość Maryi dla Botwella i jéj wina w zamordowaniu Henryka nie pozostawiają żadnéj wątpliwości w umyśle czytelnika. Lecz mimo tych różnic, wypływających u obu poetów z odmiennych zapatrywań, wpływ Alfierego na Słowackiego jest pewnym. Na skreślenie głównych oso-

bistości w dramacie, przeprowadzenie akcyi w akcie czwartym (prócz sceny drugiéj, trzeciéj i czwartéj) i w akcie piątym w głównych zarysach, naśladowanie poszczególnych motywów, wywarł niezaprzeczony wpływ Alfieri, na którego poglądy o opracowaniu dramatycznèm losów Maryi Stuart, Słowacki w zupełności niemal się godził.

Alfieri w swojém *parere* wskazuje główny błąd swojéj tragedyi w następujący sposób [104]: *si osservi, quanto alla condotta che i due personaggi regali, essendo per se stassi debolissimi e nulli, la tragedia se eseguisce tutta dai tre inferiori; difetto capitalissimo nei re di tragedia; a cui pure ci dovrebbero avere oramai pienamente avvezzati i re'di palazzo* [105].

I w dramacie Słowackiego znajdujemy podobny zupełnie stan rzeczy: królowa i król nie wpływają prawie na bieg akcyi; cała akcya spoczywa przeważnie w rękach Botwella.

III.

O wpływie Shakespeare'a [106], Byrona [107], Schillera [108] na Słowackiego podczas tworzenia „Maryi Stuart" wspomniano już nieraz. Są to rzeczy powszechnie znane, dlatego nie chcę ich tutaj powtarzać; zaznaczyć jednak muszę, że wpływ wspomnianych powyżéj trzech poetów nie da się wykazać zbyt licznemi podobieństwami w pomysłach, słowach; raczéj jest on widocznym w całym kolorycie dramatu [109].

Uważam za to za rzecz stosowną wspomniéć choć kilku słowy o balladzie, którą w scenie pierwszéj aktu piątego śpiewa paź. Jestto znana ballada szkocka „*Eduard, Eduard*". Ballada wspomniana pojawiła się po raz pierwszy drukiem w r. 1765 w znanym zbiorze Percy'ego i zyskała nadzwyczaj wielką popularność nietylko w literaturze angielskiéj, ale i w innych literaturach; dość wspomniéć, że ją na wszystkie prawie języki europejskie przetłómaczono i niezliczoną ilość razy naśladowano [110]. Ballada w utworze Słowackiego jest wolnèm tłómaczeniem oryginału, jak to z zestawienia poniżéj zamieszczonego jest widocznèm:

Quhy dois zour brand sae drap wi'	Synu mój! synu! czemu od rana
[bluid'. [111]	Jesteś tak smutny? twarz obłąkana.
Edward, Edward?	Miecz krwawą splamiony skazą?
Quhy dois zour brand sae drap wi'	
[bluid?	
And quhy sae sae sad gang zee, O?	O, matko! syn twój zabił sokoła,
O, I hae killed my hauke sae guid,	Dlatego dzisiaj twarz nie wesoła,
Mither, mither:	Dlatego we krwi żelazo.

O, I hae killed my hauke sae guid;
And Ihad nae mair bot hee. O.
Zour haukis bluid was nevir sae reid;
Edward, Edward.
Zour haukis bluid was nevir sae reid;
My deir son I tell thee, O.
O, I hae killed my reid—roan steid;
Mither, mither:
O, I hae killed my reid—roan steid,
That erst was sae fair and frie, O.
Zour steid was auld, and ze hae gat
[mair,
Edward, Edward:
Zour steid was auld, and ze hae gat
[mair,
Sum ot her dule ze drie, O.
O, I hae killed my fadir deir,
Mither, mither:
O, I hae killed my fadir deir.
Alas! and was is mee, O!
And quhatten penance wul ze drie
[for that?
Edward, Edward?
And quhatten penance will ze drie
[for that?
My deir son, now tell me, O.
Ile set my feit in zonder boat.
Mither, mither:
Ile set my feit in zonder boat,
And Ile farc ovir the sea, O.
And quhat wul ze doe wi' zour to-
[wirs and zour ha',
Edward, Edward?
And quhat wul ze doe wi' zour to-
[wirs and zour ha?
That were sae fair to sea, O?
Ile let thame stand tul they doun fa',
Mither, mither;
Ile let thame stand tul they doun fa',
For here nevir main maun I bee, O?
And quhat coul ze leive to zour
[bairns and zour wife,
Edward, Edward?
And quhat wul ze leive to zour
[bairns and zour wife,
Quhan ze gang ovir the sea, O?
The warldis room, late them beg
[thrae life,

Synu mój! synu! po twym sokole
Nie miałbyś takich zgryzot na czole
I miecz nie taki czerwony.

O matko! matko! zabiłem konia!
On mię tak szybko nosił przez błonia,
Z wiatrami biegał w przegony.

Synu mój! synu! zleś się obronił:
Możebyś po twym koniu łzy ronił?
Bladości inna przyczyna!

O matko! matko! ojca zabiłem!
Bladością zgryzot czoło splamiłem.
I we krwi ojca — miecz syna.

Synu mój! synu! po takim czynie
Gdzież się obrócisz? w jakiéj krainie
Schronisz się, synu mój miły?

O matko! matko! na świata kraniec
Pójdę wzgardzony, tułacz, wygnaniec,
Spokojnéj szukać mogiły.

Synu mój! synu! idź w obce strony!
Lecz cóż zostawisz dla dzieci, żony,
Pod obce uchodząc nieba?

O matko! matko! niech na nich spada

Mither, mither:
Ahe warldis room, let them beg
[thrae life,
For thame nevir mair wul I see, O.
And quhat wul ze leive to zour ain
[mither deir,
Edward, Edward.
And quhat wul ze leive to zour ain
[mither deir,
My deir son, now tell mee, O.
The curse of hell frae ma sall ze beir,
Mither, mither:
The curse of hell frae me sall ze beir,
Sic conseils ze gave to me. O.

W dziedzictwie nędza, pod próg są-
[siada
Niech idą, niech żebrzą chleba.

Synu mój! synu! w czarnéj żałobie

Została matka, i cóż po sobie

Zostawi matce zabójca?

O matko moja! o matko miła!
Przekleństwo tobie! tyś mnie namó-
[wiła,
Żem zabił ojca.

Ballada *Eduard, Eduard* w oryginale liczy siedm zwrotek, z których każda zawiera po ośm wierszy. W dramacie Słowackiego mamy tylko sześć zwrotek, gdyż zwrotki czwartą i piątą oryginału ściągnął poeta w jedną zwrotkę czwartą. Co skłonić mogło Słowackiego do téj zmiany, dzisiaj trudno rozstrzygnąć; może poprostu nie chciał w utworze swoim umieścić ballady szkockiéj w całéj rozciągłości. Znajdujemy nadto inne jeszcze zmiany u Słowackiego, kiedy w oryginale każda zwrotka składa się z ośmiu wierszy, względnie dwu części po cztery wiersze, w „Maryi Stuart" przypada na każdą zwrotkę tylko sześć wierszy, względnie na dwie części zwrotki po trzy wiersze. Opuścił daléj Słowacki charakteryzujące całą balladę szkocką, powtarzanie się pewnych wierszy stale, jak np. Eduard, Eduard, i wykrzykników *O!* Każdy z tych wierszy znajduje się w balladzie szkockiéj po siedm razy. Nie zachował téż Słowacki i tego nadzwyczaj ważnego szczegółu, że w każdéj zwrotce wiersz pierwszy i trzeci brzmią zupełnie tak samo; podobnież w każdéj zwrotce wiersz piąty i siódmy są zupełnie sobie równe.

Wrażenie, jakie wspomniana ballada szkocka wywołuje na czytelniku, potęguje właśnie owo ustawiczne powtarzanie się tych samych myśli w każdéj zwrotce; rys ów charakterystyczny najlepiéj nam daje poznać uczucia, jakiemi są przepełnionemi serce Edwarda i jego matki, poczuwających się do okropnéj zbrodni, dokonanéj na ojcu i mężu. Edward, ze zbroczonym mieczem w ręku, nie może wymówić innych słów, jak tylko urywanie; podobnie i matka jego, wiedząca dobrze, co jest powodem smutku jéj syna, i uważająca się za sprawczynię intelektualną mordu męża, również tylko urywanemi słowami zapytuje syna o szczegóły aż zanadto dobrze jéj znane. Nie jest nam wiadomém imię autora, który utworzył tę balladę, ale śmiało powiedzieć można, że

„Eduard, Eduard", jest pomysłem prawdziwéj natury poetycznéj, która potrafiła wniknąć w głąb sumienia ludzkiego i z taką znajomością skreślić sprzeczne uczucia serc zbrodniczych.

Wspomnianych rysów charakterystycznych w powtarzaniu pewnych wierszy nie mamy ani śladu w dramacie Słowackiego; ballada, którą śpiewa paź, jest tylko wolną parafrazą oryginału [112]). Zaznaczyć wreszcie wypada, że w utworze Słowackiego śpiewa paź balladę w nadzwyczaj dramatycznéj scenie. Królowę niepokoi postępowanie Botwella, czuje ona, że w téj chwili losy jéj życia mają się rozstrzygnąć. Niewinny paź chce rozweselić czarny smutek swojéj władczyni i zaczyna śpiewać balladę. Już ta sama okoliczność, że paź, chcąc pocieszyć królowę w jéj smutku, zaczyna mówić ponurą balladę, uderzyć musi tragicznością pomysłu poety. Mimochodem dorzuca ten moment jeszcze jeden rys do charakteru pazia. Paź tak dalece nie rozumić, co się dzieje i nie wié, co królowa zamierza, że postanawia rozweselić umysł królowéj opowiadaniem, jak syn, namówiony przez matkę, zabił ojca; cały ustęp ten skreślony jest wogóle z ogromną intuicyą i wielką znajomością sceny.

Opowiadania pazia nie słucha królowa; zaprzątają ją teraz inne myśli; nie ma ona czasu ani chęci zważać na jakąś tam pieśń swojego pazia. Dobrze, że choć na chwilę przestanie ten poczciwy jéj paź zasypywać zbyt męczącemi ją nieraz pytaniami. I kiedy paź wypowiada swoim drżącym głosem ogromną balladę, królowa myśli daléj o niebezpieczeństwie, w jakiém się znajduje.

Paź wypowiada wreszcie ostatnią zwrotkę silniejszym nieco głosem, szczególnie ostatnie wiersze:

O matko moja! o matko miła!
Przekleństwo tobie! tyś mnie namówiła,
Żem zabił ojca!

Wyraz przekleństwo budzi nagle królowę z dłuższego zamyślenia; z największym przestrachem i pomieszaniem woła poczuwająca się do zbrodni Marya:

Przekleństwo? co? przekleństwo mnie, żem namówiła
Na zabicie — coś wyrzekł? ojca! męża! króla!
Paziu, czyś do mnie mówił? twoich przekleństw siła
Zabija mnie!. .

Paź nie jest nawet w stanie pojąć, co się stało i czemu królowa jest tak przerażona; stara się ją więc w swój sposób uspokoić:

Ballada smutna, mnie rozczula
A ciebie przeraziła?... Dziś cierpi królowa.

Marya. Paziu mój! kto ci w usta włożył takie słowa?
Ty mnie przeklinasz! kto cię nauczył przeklinać?
Jam dotąd przed tym paziem czarny zamiar kryła,
Nie śmiałam go przerazić, nie śmiałam wspominać.
Przekleństwo! tak przekleństwo mnie, żem namówiła
Na zabicie — to Botwell mówi do mnie, Boże!
To Botwell mówi!

Paź. Pojąć nie mogę przyczyny,
Czém ją mogłem obrazić?

Marya. On pojąć nie może?
A właśnie mnie przeklinał, wyrzucał mi winy.
Dziecko, jeszcze tak młode, a tak się ukrywa [113]).

Wrażenie całéj sceny jest nadzwyczaj silne; przyczynia się zaś do tego głównie to, że paź zupełnie nie pojmuje pomieszania i przerażenia Maryi; z drugiéj znowu strony, Marya sądzi, że paź naumyślnie wypowiedział balladę tylko na to, aby dać jéj poznać, że wié o jéj zbrodniczych zamiarach i że od niego zależy także w części powodzenie zamiaru lub nie.

W końcu zdaje mi się rzeczą bardzo prawdopodobną, że Słowacki znał dzieło Robertsona o Maryi Stuart [114]). Walter Scott w *The fair maid of Perth* [115]) wychwala bardzo dzieło Robertsona, może więc ufając jego sądowi, zaczął poeta czytać i studyować klasyczne w swoim rodzaju dzieło historyka angielskiego.

Niektóre wzmianki historyczne w utworze Słowackiego można odszukać z łatwością w dziele Robertsona [116]). Znał też niewątpliwie poeta prześliczne opowiadania Walter Scotta z dziejów szkockich, zawarte w jego *Tales of a Grandfather* [117]). Książka ta w swoim czasie wywołała ogromne wrażenie i była w rękach wszystkich. I dziś jeszcze jest ona nadzwyczaj popularną; każdy prawie z niéj poznaje, w młodych latach historyę szkocką.

Czy Słowacki znał jeszcze inne dzieła historyczne o Maryi Stuart, jak np. znakomite dzieło Chalmersa [118]), trudno twierdzić napewno, przynajmniéj nic na to nie naprowadza. Owszem, z przedstawienia mego wynika, że Słowacki nie robił głębszych studyów nad historyą Maryi Stuart; gdyby bowiem tak się rzecz miała, niewątpliwie pozostałyby widoczniejsze ślady tychże w utworze, a śladów tych, jak wykazałem, jest bardzo mało. Natury poetyczne w rodzaju Słowackiego, nie odznaczają się zresztą temi właściwościami, aby lubiały szukać po dawnych książkach i zapuszczać się w gruntowne badania tematów, które obierają za treść swoich utworów. Nie odznaczał się zapewne tą właściwością i nasz poeta; w danym wypadku może nawet było trudno o ważniejsze dzieła zajmujące się losami Maryi Stuart.

Streszczając w krótkości to, co dotychczas powiedziałem, przedstawiam sobie genezę utworu Słowackiego w następujący sposób: Losy Maryi Stuart musiały nęcić umysł młodego poety, skoro drugi utwór swój dramatyczny osnuł na tle jéj losów. W literaturze współczesnéj znajduje się znaczna ilość utworów poetycznych, zajmujących się losami krolowéj szkockiéj. Pierwsza myśl napisania utworu o Maryi Stuart zrodzić się mogła po przeczytaniu przedmowy do powieści Walter Scotta *The fair maid of Perth.* Liczne reminiscencye z Walter Scotta złożyły się na pierwszą część dramatu. Późniéj nieco zapewne poznał Słowacki utwór Alfierego i pod wpływem jego powziął plan drugiéj części swojéj „Maryi Stuart". Pod wpływem więc głównie poetów, jak Walter Scotta, Alfierego, Shakespeare'a, Byrona, Schillera, nieraz pozostając w wielkiéj zależności od nich, napisał Słowacki dramat swój w przeciągu miesiąca; na studya głębsze historyczne nawet brakowało mu czasu i sposobności. Niestety, faz poszczególnych, jak utwór powstał, wyjaśnić dziś nie możemy, i wielkie pytanie, czy potomność, wobec braku wszelkich podstaw, będzie w stanie podać dokładną genezę dzieła nie znakomitego wprawdzie, ale stanowiącego nader ważny czynnik w rozwoju umysłowym poety. Młody wiekiem jeszcze, bo ma zaledwie lat dwadzieścia i jeden skończonych, okazuje Słowacki w swém dziele wielkie oczytanie i znajomość poetów najrozmaitszych. W ciągu pisania dramatu, mimowoli, nieraz zapewne zupełnie bezwiednie, cisną mu się pod pióro reminiscencye z innych autorów. Lecz mimo licznych naśladowań ma utwór Słowackiego wiele oryginalnych ustępów.

Lwów, marzec 1893 r.

Wiktor Hahn.

UWAGA. Już po napisaniu mojéj rozprawki, w miesiącu kwietniu w 1-ym tomie tłómaczeń dzieł Słowackiego na język francuski przez W. Gasztowta, wyczytałem (na str. 347, uw. 1) następujące słowa: „*L'idée de ce page a été fournie à Słowacki par une création analogue dans l'Abbé de Walter Scott. C'est chez les deux jeunes gens le même dévouement à la cause de de Marie Stuart, la même adoration pour la dangereuse enchanteresse*". Korzystając ze sposobności, zwracam uwagę na tłómaczenie Gasztowta, który w uwagach swoich nieraz podaje ślady wpływu obcych poetów na Słowackiego. Tak np. w II-im tomie wspomnianych tłómaczeń („Oeuvres complètes de Jules Słowacki, Paris, 1870) na str. 175, jakotéż w „Le poète polonais Jules Słowacki", str. 36, podał Gasztowt wiadomość o zapożyczeniu postaci Eloi z poematu Vigny'ego „Eloa", na co już zwrócił uwagę pierwszy Krasiński (por. Gasztowtt w t. II, str. 175). Matuszewski, pisząc o znaczeniu „Eloi"

w „Ateneum", 1892, III, 49—55, nie wiedział o têm, że już przed nim wykazano wpływ Eloi.

Przypiski.

[1]) A. Małecki. J. S. T[2], 121. Przew. bibl. 1890, 93. — [2]) 115/248: w rozprawie cytuję według Małeckiego, Pisma J. S.[2] — [3]) l. l., II, 61. — [4]) L. T.[3] 66 n.—[5]) L. T.[3], 87, por. Chmielowski, „Kobiéty Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego", [3] 121. — [6]) „Przew. nauk. i lit.", 1885 — 334, 337, 433, 435 (listy z 15/8, 3/10, 11/11, 28/11 1832 r.). — [7]) l. l., 337. — [8]) l. l., 337. — [9]) Notice sur les poésies de Jules Słowacki, „Revue Européenne", 1833 Janvier i osobna odbitka 1833 r., p. 8—10. — [10]) Z. Krasiński w liście z dnia 22/5 1836 (Listy, I, 90, list 30) bardzo przychylnie ocenia „M. S." Słowackiego. — [11]) „Album lwowskie" wydane przez Henryka Nowakowskiego, Lwów, 1862, 17/29. — [12]) T.[2], 132/155.— [13]) „Przegląd polski", 1867/8, II, 30/35. — [14]) „Przew. nauk. i lit.", 1879, 954—960 (w recenz. tłóm. niem. Germana, M. S. Słowackiego). — [15]) „Kobiéty dramatów" Słowackiego, 53—63.

[16]) „Pamiętnik nauk. i artyst.", Warszawa, 1867, I. (w artykule „Kilka charakterystycznych rysów z życia M. Stuart", str. 238/245; „Tragedya Schillera. M. S. w zestawieniu z tragedyą Słowackiego";—nadto por. tamże, str. 271, 309).— [17]) Chmielowski, „Ateneum", 1879, IV, 169—173 w recenzyi Germana (por. uwagę 14) i Kobiéty [3] 159 — 164. — [18]) „Echo muz. i teatr.". 1887, 142, 161 — 162, 173 — 174.

[19]) Znam recenzye teatralne w „Dzien. liter.", 1862, nr. 9 i 10. 1867, nr. 23; w „Tygodniu", I, 79 (M. Dzieduszycki); w „Kłosach", XIV, 209 nn. (1873 r.) [S(tanisław) K(rzemiński) (?)]; w „Bluszczu" (tom 8) 1872, str. 156/158 (Edward Lubowski); w „Przeglądzie tygodniowym", 1872 (tom 7), str 142, 149/150, 157/159 (Józef Kotarbiński); w „Niwie", 1872, t. I, N. 12, str. 304 — 305 (Piotr Chmielowski). Por. nadto kilka uwag M. Ilnickiéj w „Bluszczu", 1872, str. 169 n. w artykule „Wielkie kobiéty".

[20]) Por. List S. Skibickiéj. Cm. Pow. I. 246. M. Mazanowski, „Przew. nauk. i lit.". 1888, 916; 1889, 696.

[21]) Por. Korespondencyą; M. Mazanowski. „Przew. nauk. i lit.". 1884. 738, uw. 5, por nadto wzmianki Mickiewicza o Walter Scocie w rozprawach: „Göthe i Byron" i „O poezyi romantycznéj."

[22]) Por. przedewszystkiém powieść „Jan z Tęczyna" (1825). Pierwszy na to zwrócił uwagę autor kryjący się pod znakami S. B. w „Dzienniku Wileńskim". 1827, Lit. nad., II, 66 w artykule „O romansach Walter Scotta".

[23]) Por. przedewszystkiém „Czarowny zamek albo próby rycerza" (w „Ballady i romanse". Warszawa, 1824, tom 2). Myśl do tego utworu zaczerpnął Witwicki z poematu Walter Scotta: „The bridal of Triermain or the vale of St. John."

[24]) Por. powieść: „Pojata, córka Lizdejki, czyli Litwini w XIV wieku" Warszawa, 1826, t. 4, napisana pod wpływem Walter Scotta „Ivanhoe". Postać

Pojaty przypomina Rebekę; kuntora Sundstayna skreślił Bernatowicz na wzór Brianta de Bois-Guilbert. Zwrócił na to pierwszy uwagę wspomniany autor w uwadze (22), który l. l. 67 tak pisze między innemi: „Obraz rozwiązłości i skażonych obyczajów zakonu templaryuszów, miłość niepohamowana kawalera de Bois Guilbert do Rebeki, żydówki, nie przyjmującej jego wzdychań, oskarżenia téj ostatniéj o oczarowanie walecznego rycerza, nareszcie sąd jéj w komendoryi Tempelstowe, w przytomności całego zakonu i skazanie jéj na stos — kogóż nie uderzy podobieństwo tych wszystkich okoliczności z miłością komtura Sundsteyna ku Pojacie, jéj sąd, skazanie na sąd w Malborgu i szczęśliwe oswobodzenie przez Trydana, z tą tylko różnicą, iż wydarzenie w angielskim autorze ma miejsce w wieku X-ym, a w naszym w wieku XIV-ym."

25) Por. motta we „Władysławie Hermanie" na początku rozdziału 20 z Guy Manneringa (słowa przytoczone przez Krasińskiego są wyjęte z rozdziału 53) i w „Zamek Wilczki", rozdział 2-gi; por Tretiak. „Przew. nauk. i lit.". 1884, 873 n.; wpływu jednak Walter Scotta na Mickiewicza i Krasińskiego nie wykazano dotąd w szczegółach.

26) Zwrócił na to uwagę już w r. 1827 autor kryjący się pod literami Ad..,. Ro.. w „Dzienniku Wileńskim", 1827, Lit. Nad. II, str. 38, uw. 1.

27) „Pani Jeziora", poema Walter Scotta, tłómaczone z angielskiego przez Karola z Kalinówki, tomów II. Warszawa, nakład N. Glücksberga, 1822, w 12-ce: tom I str. 169, tom II str. 182.

28) Dziewica z Jeziora; Pieśń ostatniego minstrela; z mniejszych poematów, „Pielgrzym, ballada z W. S.". drukowane pierwszy raz w „Dziejach dobroczynności," 1824, IV, 155; „Zamek Kadyor", ballada: „Wieczor przed świętym Janem", i t. d. — O naśladowaniu Walter Scotta przez Odyńca wspomina (pierwszy raz) autor artykułu umieszczonego w „Dzienniku Warszawskim", 1825, t. I, str. 434—448: „O pierwszym tomie poezyi Odyńca z krótką wzmianką o poezyi narodowéj".

29) „Pielgrzym". ballada. W czasopismach współczesnych pojawiały się liczne przekłady z Walter Scotta, np. „Wyjątki z życia Napoleona" przez Walter Scotta, p. F. W. „Dziennik Wileński". 1827. Hist. Lit., IV, 255—276. „O nadnaturalności w romansach" przez Walter Scotta, p. F. W., tamże, 1829. H. L. VIII, 209 nn. „Frydryk i Alinka", ballada z Walter Scotta, p A. K., tamże, 1830. Lit Nad., II. 25—28: „Król dębów" Walter Scott, p. A. K., tamże, L. N., II, 28—30 „Śpiew śmierci Mej Merielie" z Walter Scotta, p. J. G., tamże L. N. II, 341. „Wiadomość biograficzna i literacka o autorze romansów angielskich Annie Radcliffe wyjęta z żywotów sławnych romansistów. przez Walter Scotta" (z t. IV), p. F. W., tamże, 1830, Lit. Nad., V, 3—25. „Własnoręczne pamiętniki Walter Scotta" tłómaczył M. R., tamże, 1830, H. L. X. 149 nn. „Początki romansów Walter Scotta" przezeń samego wykazane, tłómaczył M. R., tamże, 1830, H. L. X., 372 nn.

30) Z rozpraw literackich w języku polskim o Walter Scocie wymieniam „Rzut oka na literaturę angielską w ostatnich dwudziestu latach," pismo wyjęte z dziennika „Bibliothèque universelle". Pamiętnik Warszawski, 1816, VI, str. 289 nn.; por. przedewszystkiém str. 298 — 300; „Les chroniques de la Canongate" (treść powieści W. S. pod tymże tytułem, ich ocena), „Dziennik Warszawski," 1828, XII, 47—81. „O Walter Scocie i jego pismach" (z żywota Walter Scotta przez P. Pichot i „The Englisch Literatury Journals of Moscow" (Telegr. Mosk.), tłómaczył Ad... Ro... „Dziennik Wileński," 1827, L. N., II, 25—40. „O romansach Walter Scotta", Dziennik Wileński, 1827, L. N., II, 57—67, przez S. B. (w uwadze na stro-

nicy 57, myśli te są czerpane z dzieła: „Chefs d'oeuvres historiques de sir Walter Scott", Paris, 1815. W Dzienniku Wil., 1827, Nowiny Naukowe, I, 225—9 umieszczono: „Prospekt na tłómaczenie wybranych historycznych romansów Walter Scotta".

31) L.3, I, 37. — 32) l. l., 37. — 33) l. l, 240. — 34) Małecki J. S, 2 II 206. — 35) wydanéj w r. 1828. — 36) r. 1. — 37) gdyż powieść Walter Scotta wyszła w r. 1828 (por. uw. 35).

38) w Tales of a Grandfather (por wyżéj str. 290), wydanych w r. 1828 — 1830 czytamy téż podobne słowa Maryi: „I will now study revenge" (3, 125). — 39) wydanéj w r. 1828. — 40) por. r. 17, 22, 30, 31, 33. — 41) the works of W. S esq. vol. III, p. 1, p. 169 (Zwickau, 1820).

42) Do miejsca przytoczonego podaje Walter Scott obszerną uwagę, l. l., vol. IV, p. 169, o Robin Hoodzie, niewątpliwie też postać Robin Hooda tak wspaniale skreślona w powieści Walter Scotta „Ivanhoe", mogła po części oddziałać na ustęp przytoczony z M. S., por. wyżéj koniec rozd. I. — 43) Koniec r. 13 — 44) r. 14. — 45) r. 15. — 46) r 14 koniec. — 47) r. 15 początek. — 48) r. 14, 15. — 49) r. 15. — 50) r. 20, 21, 22. — 51) r. 36, 37. — 52) r. 18. — 53) np. pocz. r. 4. 7 i t. d. — 54) r. 17. — 55) l. l. 79. — 56) l. l. 100. — 57) wydanéj w r. 1815. — 58) por. r. 4, i nn.; r. 46. — 59) por. od r. 13. — 60) wyd. r. 1821. — 61) r. 18. — 62) r. 18. — 63) r. 18. — 64) r. 29. — 65) l. l. 82 nn. — 66) wyd. w r. 1828 w Ackermanna „Keepsake", Lond. — 67) wyd. w r. 1815. — 68) r. 22, the works of W. S., esq. vol. XV, p. 22 (Zwickau, 1822).

69) Por. str. 19 (rys zaczerpnięty z powieści „The Abbot" w skreśleniu charakteru Nicka) i str. 24 (rys zapożyczony z powieści „Quentin Durward" i „Kenilworth").

70) Oprócz rysu zaznaczonego wyżej, na str. 269.

71) Dzieła W. B., 1820, I. 1—84. „Saula" wystawiono w r 1809 w Warszawie; por. Bogusławski, „Dzieje teatru". Pisma, IV, 107, por. ocenę Ludwika Osińskiego, przedrukowaną w dziełach, IV, 388—391. W t. III, str. 34 n. wspomina Osiński o tłómaczeniu polskiém dwu tragedyi Alfierego „Agamemnona" (str. 34) i „Antygony" (str. 35), lecz nie podaje nazwy tłómaczy. Na razie nie jestem w stanie powiedzieć, kto tłómaczył wspomniane tragedye; nie wyszły one jednak osobno drukiem; również nie mogę podać, czy i kiedy wystawiono je na scenie.

72) r. 1815, por. Kantecki, „Dwaj Krzemieńczanie", I, 101, 131, 132. 155.

73) „Wiadomość o życiu i pismach Wiktora Alfieri da Asti" napisana przez prof. Capelli. Dziennik wileński, 1806, IV, 276 nn.. por. nadto wstępne uwagi Bogusławskiego o Alfierim, l. l. I. 1 nn.; daléj uwagi A. hr. Chodkiewicza o tragedyi Alfierego „Wirginii" w „Pisma", t. I, r. 1817. we wstępie do tragedyi swojéj „Wirginii" Felińskiego o Alfierim w „Pisma", t. II, r. 182. — Niniejsze uwagi o Alfierim, podobnie jak i powyżéj zamieszczone szczegóły o śladach wpływu Walter Scotta w Polsce, nie są bynajmniéj wyczerpującemi.

74) l. l., III. 25 — 35 „Filipa II" wystawiono 1816 r. 29 listopada w tłómaczeniu Bogusławskiego; por. recenzyę Kajetana Koźmiana, przedrukowaną w „Pisma" prozą Kajetana Koźmiana, Kraków. 1888, 365—373.

75) Por. motto z Filipa II w „Władysław Herman", r. 23 (a. 2. sc. 5).

76) Ludwika Stolberg hr. Albany.

77) „Tragedie di Vittorio Alfieri". Parigi, 1803, vol. VI, p. 167. 8.

78) „Studii sulle tragedie di Vittorio Alfieri", 1876, 293.

79) Por. uwagi Tedeschiego, l. l., p. 292 n.: da un soggetto sterile come

questo Conte Darnley, l'Astigiano non cavo che una tragedia fredda e monotona e s'interdisse la miglior fonte della tragica pietà, perocchè mentre non face di Maria un personaggio interessante, non rese neppur dignitosamente tragico quello di Arrigo. Egli intraprese questo poema per compiacere alla donna amata e siccome non reputava di sgraziamente tragediabile la fine infelice di Maria, così s'adoperò a dramatizzare quest' altro episodio della vita di lei.

80) l. l., VI, 169 n. Tedeschi, l. l., 294. — 81) l. l., VI, 168. — 82) l. l., IV, 5. — 83) l. l., IV, 6. — 84) l. l., 110. — 85) l. l., 112. — 86) l. l., VI, 168. — 87) l. l., IV, 42 (a. III, sc. 5). — 88) l. l., VI, 169. — 89) l. l., IV, 56 nn. — 90) a. IV, sc. 7. — 91) l. l., IV, 62 nn. — 92) l. l., VI, 169.—93) l. l., IV, 64. — 94) l. l., 65. — 95) l. l., 67. — 96) a. 5, sc. 2. — 97) l. l., 68. — 98) l. l., 70. — 99) a. 5, sc. 4. — 100) l. l., 71. — 101) l. l., 72. — 102) l. l., 72. — 103) Ser, I, t. 3, p. 84, 2 sp., s. v. Alfieri. — 104) l. l., VI, 169, por. uwagę 105. — 105) Tedeschi, l. l., p. 293.

106) Między Nickiem a błaznem w „King Lear" widzą krytycy podobieństwo bardzo wielkie, por. np. Kantecki, l. l., 957. Zdaniem mojém, Nick przypomina tylko w ogólnych zarysach błazna Szekspirowskiego; por. np. sc. 5, a. I w dramacie Słowackiego, ze sceną 4, a. I, w tragedyi Szekspira.

107) Najlepszym może okazem wpływu Byrona jest Botwell: bohatér to czysto byronicznego pokroju, gotów stanąć godnie obok Korsarza, Lary, Manfreda. Monolog Botwella w scenie piątéj aktu drugiego, to jakby ustęp, z jakiego poematu Byrona; podobny zupełnie charakter ma monolog Botwella w sc. 1, sc. 9 i 10 aktu III-go.

108) Chmielowski („Kobiéty" ³ 163) widzi podobieństwo między sceną pierwszą aktu IV dramatu Słowackiego, w któréj Botwell wymusza na Maryi zezwolenie na zamordowanie Henryka, a sceną jedenastą aktu IV w tragedyi Schillera, gdzie Dawison z ust saméj Elżbiety pragnie usłyszéć potwierdzenie rozkazu stracenia Maryi. Przez pomyłkę zapewne przytacza Chmielowski w przypisku scenę drugą aktu czwartego; powinno być: „scena jedenasta".

109) Lemaitre, l. l., 9, pisze: La scène où Rizzio insulte Douglas, en présence de la reine, rappelle la scène du Cid. Słowa owe Lemaitre'a odnosić się mogą jedynie do sceny szóstéj aktu pierwszego tragedyi Corneilla „le Cid". Wpływu jednak dopatrzéć się nie mogłem, chociaż z drugiéj strony nie można zaprzeczyć, że sławna owa scena sprzeczki Don Gomesa i Don Diega przypomina nieco spór Rizzia i Douglasa (akt 1, sc. 2). Słowacki znał recenzyę Lemaitra (L. z 10/2 1833, Małecki. I, ³ 239 n.). Jerzy Brandes w „Odczytach o poezyi polskiéj XIX w.", 1887, 86, zauważył, że treść utworu Słowackiego zgodna jest z treścią dramatu Björnstjerne-Björnsona: „Maria Stuart i Skotland" (1864). „Przypadkowym sposobem poeta norwegski podzielił w niéj przedmiot, jeden akt po drugim, zupełnie tak samo, jak Słowacki, pomimo że nie wiedział nawet o jego egzystencyi." Za tém zdaniem oświadczył się Hösick, „Ateneum", 1892, I, 243. Brandes jednak chyba nie znał dobrze utworu Słowackiego, gdyż inaczéj nie byłby czegoś podobnego napisał. Śmierć Rizzia u Björnsona następuje w drugim akcie, u Słowackiego w trzecim; akt V w tragedyi Björnsona ma za treść wypadki, o których u Słowackiego nie ma najmniejszéj wzmianki i t. d. Podobnych utworów, jak Björnsona, mógłbym kilka przytoczyć.

110) Percy's reliques of ancient englisch poetry, etc., 1765.

111) W wydaniu Percy'ego przez Schröera w Heibronn, 1889, p. 58.

112) German w swojém tłómaczeniu niemieckiém „Maryi Stuart" Słowac-

kiego (Lpz., 1879, p 80 n.) nie wniknął zupełnie w intencye poety, jeżeli zamiast tłómaczenia ballady parafrazowanej wolno przez Słowackiego, podał niemieckim czytelnikom znakomity przekład Herdera: „Eduard, Eduard". Jestto dowolna i niczém nie usprawiedliwiona zmiana oryginału. Tém samém tłómacz wprowadzić musiał każdego czytelnika niemieckiego, który nie zna utworu Słowackiego, w błąd; każdy bowiem poweźmie z tłómaczenia Herdera to wyobrażenie, że Słowacki w swoim utworze dosłownie odtworzył oryginał ballady „Eduard, Eduard." Jestto drobny wprawdzie szczegół, ale zawsze podobne wolne tłómaczenie, jakie mamy w „Maryi Stuart", inaczéj musimy oceniać, niż dosłowny przekład. Z recenzentów polskich, oceniających przekład Germana, zwrócił uwagę na tę niewłaściwość J. A. Święcicki („Biblioteka Warszawska", 1880, IV, 474 n. na str. 474) w następujący sposób: „Balladę szkocką pazia w akcie piątym podaje tłómacz w przekładzie Herdera, kunsztownym wprawdzie, ale... nudnym... (?). Wolimy prześliczny przekład Juliusza (?)."

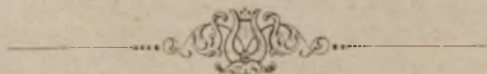
113) W podobny sposób umieścił balladę szkocką F. L. Werner w tragedyi „Der vierundzwanzigste Februar" (1815) (sc. 1, 3). H. Heine w tragedyi „William Ratclift" (1822) (sc. 1, 14). Rozstrzygnąć jednak niepodobna, czy Słowacki sam przez się z własnego pomysłu włożył w usta pazia balladę, czy pod wpływem wspomnianych poetów.

114) The history of Scotland During the reigns of Queen Mary and of King James, VI, etc., by W. Robertson. Vienna, 1788. — 115) r. 1.

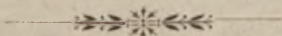
116) Z historyi Robertsona mógł się dowiedzieć poeta o tém, że Buchanan posądzał królowę o stosunek miłosny z Rizziem, daléj, że Buchanan i Knox donosili o otruciu króla (I. 464 n. adn.***). Nadto można porównać z Robertsona następujące ustępy: I, 376 n. the rise of Rizio's favour; 413 n. Darnley loses the Queen's affection; 414 n. Suspects Rizio to be the cause of it; 415 n. Rizio hated by the friends of the exiled nobler; 417 nn. they combine in order to murder him; 419 nn. perpretate that crime in the Queen's Palast: 424 nn. the conspirations against Rizio fty tinto England; March., 19, 1566; 432 n. the Queen's hatred to Darnley increases; 432 nn. the rise of Bothwell's favour; 437 n. the Queen continues to treat Darnley with indifference and neglect; 438 n. her attachement to Bothwell increases; 453 n. her aversion for the king excessive; 464 n. the king falls sick at Glasgow; 465 n. neglected by Mary; 466 n. the breach between them irreparable; 467 n. visits the king at Glasgow; 469 n. the motives of it; 470 n. prevails on him to come to Edinburgh; 471 n. he is murdered there. Por. nadto II, 679 — 739 a criticaldissertation concerning the murder of king Henry, and the genuinenes of the Queen's Letters to Bothwell.

117) Por. uw. 38.

118) Life of Mary queen of Scots. Lond., 1823.



O WŁOŚCIACH RENTOWYCH.



Dr. T. Kalkstein. Ustawy o włościach rentowych z dnia 27 czerwca 1890 i. i z d. 7 lipca 1891 dla użytku właścicieli ziemskich. Poznań 1892.

Sprawa parcelacyi, będąca w wielu krajach na porządku dziennym, otrzymała silny bardzo impuls przez wydane w ostatnich czasach w Prusach ustawy rentowe, które przedewszystkiém wzięły rozbrat z dotychczasowém zapatrywaniem prawodawstw na wieczystość renty.

Z obawy, aby zwolniony z poddaństwa stan włościański przez płacenie czynszów wieczystych nie stał się na nowo *glebae adscriptus*, nowsze prawodawstwa, a pomiędzy niemi i obowiązujący u nas kodeks Napoleona, zabraniają ustanawiania rent wieczystych, jako ekwiwalentu za sprzedaną nieruchomość, i postanawiają, że termin spłaty renty nie może przechodzić lat 30.

Ta tendencya kapitalizowania czynszów stawiała ludność wiejską wszędzie tam, gdzie nie było instytucyi ułatwiających spłatę, w trudne położenie wynajdywania funduszów potrzebnych na spłatę.

Po wieloletniém doświadczeniu doszło się do przekonania, że kapitał, jaki włościanin często wypożyczać musi na spłatę czynszu, kosztuje go bardzo drogo, że łatwiéj płacić mu czynsz, aniżeli procent, że zawisłość od kapitalisty dostarczającego funduszu na spłatę, jest cięższa, aniżeli zależność od samego właściciela dominialnego, na rzecz którego płaci się czynsz.

To też pruska ustawa rentowa z r. 1890 wprowadza napowrót legalność wieczystych czynszów, dozwala na przeniesienie własności ziem-

skiéj za przyjęciem przez nabywającego obowiązku płacenia renty wieczystéj, co jednak nie wyklucza możności odmiennéj umowy, ustanawiającéj termin i warunki spłaty.

Druga pruska ustawa z dnia 7 lipca 1891 roku nosi nazwę ustawy, mającéj za przedmiot pomoc przy zakładaniu posiadłości rentowych.

Pomoc ta polega przedewszystkiém na spłacaniu rent przez państwowe banki rentowe. O ile bowiem system płacenia szacunku za nabyty grunt nie kapitałem, lecz rentą, dogodny jest dla nabywcy, o tyle niedogodny dla sprzedawcy, dla którego chęć otrzymania kapitału, potrzebnego po większéj części na spłacenie długów hypotecznych, jest głównym powodem sprzedaży i parcelacyi. Dla zaradzenia temu, banki rentowe przyjmują na rzecz swoją renty przyznane przez nabywców ziemi na korzyść sprzedawców, kapitalizują je i wzamian za nie wydają posiadaczom renty listy rentowe, to jest papiér procentowy, ulegający amortyzacyi, na których umorzenie i oprocentowanie przeznaczone są renty, płacone przez nabywców rozparcelowanych gruntów.

Ważną przy téj operacyi rolę odgrywają świadectwa nieszkodliwości, wydane przez odpowiednie władze, jako poświadczenie że parcelacya nie szkodzi prawom wierzycieli, a w szczególności, że renta, stanowi równoważnik odprzedanéj części gruntu, która skutkiem tego zwolnioną zostaje od długów, obciążających całość dóbr; w ten sposób położono skuteczną tamę interwencyi wierzycieli hypotecznych, ich opozycya bowiem stanowi zwykle najważniejszy szkopuł, o który rozbija się parcelacya.

W dalszym ciągu pomoc państwa polega na udzielaniu państwowych pożyczek na domy mieszkalne i zabudowania gospodarcze, wystawione w parcelowanych osadach, tudzież na czynnéj interwencyi władz w zakładaniu włości rentowych.

W książce, któréj tytuł na czele przytoczyliśmy, dr. Kalkstein wziął sobie za zadanie napisać komentarz do powyższych ustaw rentowych, tudzież dać przewodnik dla właścicieli ziemskich, pragnących parcelować swoje dobra, do korzystania z tychże praw i z zadania tego bardzo dobrze się wywiązał, co zresztą było do przewidzenia ze względu, że autor, jako dyrektor Banku ziemskiego w Poznaniu, i w tym charakterze pracujący ze świetnemi rezultatami nad spożytkowaniem ustaw rentowych na korzyść ludności polskiéj w W. Ks. Poznańskiém i Prusach zachodnich, nietylko posiada spory zasób wiadomości teoretycznych, ale i pod względem praktycznym miał sposobność, jak nikt

inny w Prusach, do walczenia z trudnościami, jakie przy stosowaniu praw rentowych wynikają, i do zwycięskiego ich pokonania.

Komentarz nie jest pisany sposobem systematycznym i naukowym, ale ze względu na praktyczne jego zadanie, autor przy każdym artykule, a właściwie przy każdym niemal wyrazie, podaje w przypiskach nader ścisłe i dokładne wyjaśnienia, poparte pouczającemi przykładami.

Na czele téj pracy znajduje się obszerny wstęp, wykazujący potrzebę parcelacyi sposobem rentowym, tudzież obznajmiający czytelnika z warunkami procedury parcelacyjnéj i instytucyami pomocniczemi, ułatwiającemi zakładanie włości rentowych.

We wstępie tym właściciel ziemski, pragnący parcelować część lub całość swego majątku na prawie rentowém, znajdzie bardzo wiernego przewodnika, prowadzącego go umiejętnie po dość zawiłych drogach proceduralnych, do zamierzonego celu wiodących.

Najsłabszą, wedle nas, stroną książki d-ra Kalksteina są jéj wywody teoretyczne, które z jednéj strony opierają się na doktrynach, podlegających silnéj krytyce, a z drugiéj zaciemniają wykład i niepotrzebnie wprowadzają czytelnika w wir sporów teoretycznych.

Bardzo trafnie autor wykazał potrzebę i użyteczność parcelacyi w sposób następujący:

Parcelacya jest p o t r z e b n ą, ponieważ obciążeni zbyt wielkiemi długami właściciele ziemscy upadają, a dla braku wielkich w kraju kapitałów ratować nie mogą resztek fortuny, przez sprzedaż majątków w całości;—parcelacya jest p o ż y t e c z n ą, ponieważ osadnictwo, mnożąc liczbę drobnych włości, podnosi stopień kultury krajowéj i przysparza sił narodowych, dając sposobność zatrzymania na rodzinnym zagonie ludności wiejskiéj, która niechętnie pracuje w służbie dworskiéj i masami emigruje.

Argumenta te wystarczają w zupełności do usprawiedliwienia tezy autora, i niepotrzebnie wdaje się on w dowodzenia, że ziemia nie ma wartości pieniężnéj, ani wymiennéj, daléj w krytykę istniejącéj formy posiadania ziemi, tudzież całego systemu hypotecznego, który wedle zdania autora, doszedł do bankructwa.

Teoretyczne te wywody niczém nie przyczyniają się do przekonania czytelnika o potrzebie i użyteczności parcelacyi, a poruszone kwestye zbyt są w nauce sporne, zbyt wiele wywołują kontrowersyi, aby w książce, mającéj przeznaczenie praktyczne, mogły być w sposób apodyktyczny wygłaszane.

Krytykując ostro dotychczasowe prawo agrarne i stosunki kredy-

towe, autor z drugiéj strony zbyt wielkie przypisuje znaczenie reformie, wprowadzonéj przez ustawy rentowe.

Wskrzeszenie przez téż ustawy wieczystości rent jest rzeczą czysto teoretyczną, renty te zostałyby martwą literą, nikt nie sprzedałby dóbr swoich na rentę czasową, a tém mniéj wieczystą, gdyby nie istniały banki rentowe, które renty skupują i zamieniają na kapitał, ulegający powolnéj amortyzacyi.

Zasada zaś amortyzacyjna, stosowana do włości rentowych, nie jest żadną nowością, stosowana ona jest oddawna w kredycie ziemskim, zorganizowanym tak dla własności większéj, jak i włościańskich. Russki bank włościański robi to samo, co pruskie banki rentowe, tylko prościéj. W Prusach trzeba przy parcelacyi szacunek za sprzedaną parcelę wyrazić nie w kapitale, ale w rencie, następnie bank przy skupie renty zamienia ją na kapitał i na tę sumę kapitalną wydaje listy rentowe. Bank włościański zaś ustanawia od razu szacunek w kapitale, który wypłaca gotowizną, emitując przytem świadectwa banku włościańskiego, których realizacyę powierza Bankowi Państwa.

Wobec tego nie sądzimy, aby dotychczasowy system, zwany kapitalistycznym, zasługiwał na tak surową naganę, a nowy, rentowy, na tak wygórowane pochwały, skoro nowy ten system, nie sprowadza właściwie żadnych zasadniczych reform, a zmiany są natury bardziéj formalistycznéj i proceduralnéj, aniżeli zasadniczéj.

Przytoczyliśmy wyżéj argumenta, któremi dr. Kalkstein udowadnia potrzebę i pożyteczność parcelacyi; nie jest on jednak zwolennikiem parcelacyi *quand même*, przeciwnie stawiając sobie pytanie: kto powinien i kto może majątek swój parcelować? dochodzi do wniosku, że majątki, które się znajdują w stanie, odpowiadającym postępowi kultury krajowéj, który nagromadziły kapitały wytwórcze, nie są przeciążone długami i przynoszą zysk przedsiębiorcy, nietylko nie powinny być parcelowane, ale przeciwnie, parcelacya takich majątków jest w naszych stosunkach krajowych grzechem społecznym, w każdym bowiem kraju rolniczym potrzebna jest pewna ilość większych własności ziemskich, których dziedzice są powołani dzierżyć tak pod względem ekonomicznym, jak obyczajowym i politycznym, pochodnie inteligencyi i przykładu w gminie, towarzystwie i zarządzie państwowym.

Majątki kwalifikujące się do parcelacyi dr. Kalkstein dzieli na dwie kategorye, na takie dla których parcelacya jest potrzebą ekonomiczną i na takie, dla których parcelacya jest koniecznością finansową.

Do pierwszéj kategoryi należą majątki, które nie będąc przeciążone długami, bilans roczny zamykają z zyskiem, lecz których gospodarstwo przemysłowe nie jest rozwinięte odpowiednio do postulatów kultury krajowéj i dla braku funduszów rozwiniętém być nie może.

Do drugiéj kategoryi zalicza autor majątki, które bilanse swoje zamykają rocznym niedoborem.

Instytucyami pomocniczemi przy parcelacyi są zakłady kredytowe w rodzaju Banku Ziemskiego w Poznaniu i spółki rolnicze. Pierwsze nie nabywając w całości dóbr, lecz pośrednicząc pomiędzy właścicielem majątku i parcelantami, oddawać mogą wielkie usługi przy parcelacyi częściowéj, drugie, nabywając dobra na własność, są bardzo użyteczne przy parcelacyi całkowitych dóbr.

Przed siedmioma laty dr. Kalkstein w broszurze swojéj p. t. „Położenie nasze, a ustawa o kolonizacyi niemieckiéj," opiérając się na własném doświadczeniu, zalecał bardzo zakładanie spółek rolniczych, do nabywania dóbr na wspólny rachunek, zawiązujący się zaś wówczas Bank Ziemski w Poznaniu uważał jako zacny, ale efemeryczny eksperyment, bez społecznego znaczenia.

Dziś, kiedy Bank ziemski przychodzi ze sprawozdaniem, wykazującém, że w przeciągu kilku lat rozparcelował i parceluje już to na rachunek własny, już to sposobem komisowym, już wreszcie przy pomocy spółek rolniczych 51 majątków ziemskich, obszaru 12,451 hektarów ziemi, kiedy z porównania działalności Banku ziemskiego z operacyami niemieckiéj komisyi kolonizacyjnéj, okazuje się, że skromny Bank ziemski z kapitałem 1,200,000 marek, w krótkim czasie zdziałał 40% tego, co w dłuższym przeciągu czasu zrobiła komisya kolonizacyjna, uzbrojona w 100 milionowy fundusz i mająca do pomocy cały aparat rządowy, kiedy zresztą do tych pomyślnych rezultatów przyczynił się sam dr. Kalkstein, to pogląd jego na znaczenie Banku ziemskiego się zmienił, i słusznie instytucyę tę uważa za nader użytecznego, a nawet koniecznego pośrednika przy parcelowaniu dóbr na zasadach prawa rentowego.

Najbardziéj zaś ulubionêm dzieckiem dra. Kalksteina pozostały spółki rolnicze, mające na celu nabywanie dóbr w całości, wprost od właściciela z obejściem obcego pośrednika, parcelowanie ich i rozdział zysków, osiągniętych na przedsiębiorstwie, pomiędzy wszystkich uczestników spółki. Stowarzyszenie takie, do którego przystąpić można z małym kapitałem, dostępne dla szerokich warstw ludności, jest do-

brym interesem dla spólników, a oparte na wzajemności, samopomocy i samorządzie, wydaje błogie skutki pod względem ekonomicznym i socyalnym. Spółki rolnicze istnieją w Pinczynie, Wałdowie, Poznaniu i Toruniu. Dr. Kalkstein zachęca bardzo wszystkie warstwy społeczne do przyjmowania udziału w spółkach ziemskich, których zbawienne rezultaty odczuwają nietylko interesowani, ale cały ogół.

J. Kirszrot-Prawnicki.



ZIMĄ.

Noc ciemna, wichr i mróz,
Las senny śpi w omroczu —
Wilczysko patrzy z łóz
Koralem krwawych oczu;
Kieruje krzywy chód,
Białemi kłami błyska —
W brzuch kłęby wtłoczył głód,
Wylata pianą z pyska,

Przez śnieżny, głuchy step,
Co jękiem wichrów płacze,
Zwiesiwszy duży łeb,
Ospałym ruchem skacze,
I kędy wieś wśród drzew
Pod strażą stoi krzyżów,
Mord węsząc, czując krew,
Do sennych chat się zbliża.

Przesadził wązki rów —
Już wietrzy obór zapach —
Ryk głuchy słyszy krów,
Łup świeży czuje w łapach;
Jak krwawych ogniów dwa
Wilczury świecą oczy —
A charkot w piersi gra,
A ślina z warg się toczy,

Już łapą zerwał snop...
Rozkoszna wrażeń chwila! —
Przez nizki przelazł strop,
Czar nozdrza mu rozchyla —
Wtém: — „Huź-go!“ — za nim, tuż,
Głos ozwał się pastuszy —
Złodzieja poznał stróż
I kundlów tłum poruszy.

Więc skoczył gniewny, zły —
Żar błysnął mu pod rzęsą,
Bo ostrzył silne kły
Na świeże, ciepłe mięso:
Bo głód go tutaj wparł —
Na zębach czuł go białych...
Ach!... żarłby — zarłby —- żarł
Z rozkoszą trzew zgłodniałych.

Lecz za nim gwałt i gon,
Krzyk stróżów, psów hałasy —
Z dalekich przybył stron,
W dalekie wraca lasy.
Noc ciemna — wichr i mróz,
Śnieg gęsty pola kryje —
Wilczysko patrzy z łóz,
Szarpany głodem — wyje!

Kazimierz Gliński.



MARYA KONOPNICKA.

I.

Krytyka utworów ludzi żywych jest zawsze rodzajem wiwisekcyi, bo gdyby nawet krytyk zechciał całkowicie wyrzec się wywiadywania i opowiadania publiczności, ile razy danemu pisarzowi zdarzyło się skłamać lub zazdrosnym się okazać, będzie on musiał przecież szukać w utworach nastrojów i myśli autora, a stąd wypłyną jasne, chociażby najstaranniéj w bawełnę obwijane lub nawet zgoła przemilczane wnioski co do pewnych cech stałych jego umysłu i serca. Niemiłe wogóle grzebanie się we wnętrzu cudzéj duszy na ten raz wyjątkowo jest przykre. Mam tu na myśli nie głos sprzecznego z krytyką obowiązku galanteryi dla dam, bo z téj kolizyi nader dogodne widzę wyjście: nazwałeś się grzybem, chodź do kobiałki, czyli: Konopnicka pracą swoją na niwie literackiéj w zupełności zasłużyła, aby ją w stosunkach piśmienniczych traktowano jako pisarza, nie zaś jako damę przedewszystkiém.

O coś innego mi tu chodzi. Zdaje mi się, że dusza, któréj wiwisekcyą obecnie przedsiębiorę, jak żadna inna, boleśnie odczuje chłodne a krwawiące dotknięcie skalpela analizy. Ilekroć dawałem spokój nieubłaganym postulatom estetycznym, ilekroć odsuwałem na stronę miarę, pod którą krytyk stawi pisarza, niby rekruta, o którym orzec trzeba, czy wzrost do gwardyi, czy do armii, czy też do uwolnienia go kwalifikuje,—tyle razy, poprzez mgłę cudnych i niecudnych, mądrych i wszelkich innych wyrazów i zdań Konopnickiéj, widziałem duszę kobiécą, niezwykle wrażliwą na wszystko piękne i dobre, pełną czułości

i współczucia dla wszelkiego cierpienia... Nie zbierałem wiadomości o życiu osobistém poetki i nie znajdę chyba czytelnika gorzéj odemnie pod tym względem poinformowanego, nie wątpię jednak, po wczytaniu się w jéj pisma, że w romansach i natchnionych pieśniach poetów wielbimy nieraz bohatérki, stokroć biedniéj uposażone w owe skarby niewieście duszy i serca, nie wątpię też o wyższości jéj ogromnéj ponad przeciętnym, wykształconym moralnie i umysłowo człowiekiem, niezdolnym żyć samym tylko chlebem, jéj bowiem dusza, jak żadna inna, zdaje mi się pragnąć i łaknąć „słowa Bożego".

Niestety! nie z samym tylko tłumem, chociażby najbardziéj ucywilizowanym, lecz i z wielkimi szafarzami owego „słowa" będziemy tu musieli porównywać Konopnicką.

II.

Jak wiadomo, nie czekano na mnie z wygłoszeniem we wszystkich tonach całéj gamy sądów o dzieciach ducha poetki, nie zaszkodzi więc tu krótka historya tych pochwał i nagan. Odrzuciwszy poprzedzające ją zwykle, tyczące się doby pre-historycznéj, domysły i przypuszczenia, zwrócę się wprost do faktów.

Sienkiewiczowi, którego tęsknota do nieznanego tyle razy na długie wędrówki po dalekich obcych krajach posyłała, stęsknionemu już niechybnie wówczas do własnego, dostaje się do rąk gdzieś za oceanem najmelodyjniejszy i jeden z najpiękniejszych wierszy Konopnickiéj („Przygrywka w górach"), prawdziwie śpiewający o tém, „jak pociąga, wabi i nęci dal sina, nieznana", kiedy się u siebie „zna wszystko... jest się sytym—aż do znudzenia." Jeśli dodamy do tego iście lenartowiczowski obraz wioski naszéj, to stanie się łatwo zrozumiałém wzruszenie Sienkiewicza, w którym struny duszy najbardziéj napięte tak mocno zostały poruszone, wzruszenie, które kazało mu jeden z listów swych z Ameryki poświęcić wierszykowi poetki, nieznanéj mu dotąd nawet z imienia. Nie zdaje mi się rzeczą pewną, iżby tenże sam pisarz, siedząc spokojnie w Warszawie, takim samym zachwytem powitał nawet tę samą „Przygrywkę" (szczególnie zaś po przeczytaniu całego cyklu „W górach"), nie ulega jednak wątpliwości, że ten hołd zza oceanu ciężko zaważył na szali powodzenia Konopnickiéj.

Niebawem zaczynają się już rozlegać i inne głosy uwielbień dla najsłabszych nawet „pierwiosnków" poetki, rozrzucanych po szpaltach pism peryodycznych. To też pierwszą książkę jéj („Fragmenta drama-

tyczne z przeszłości", 1881) wzięto zupełnie na seryo: prasa postępowa, zachwycona dogadywaniem impertynenckiém Panu Bogu i jego wojującemu kościołowi, przyjęła je owacyjnie, — zachowawcza zaś, dla tych samych powodów, okrzykiem zgrozy. Wówczas łamy „Ateneum" wylały na głowy rozognione kubeł zimnéj wody, wykazując najdowodniéj, że rewolucyjność straszliwa „Fragmentów" jest w gruncie rzeczy najzupełniéj niewinna i niegroźna.

Ta właśnie, być może, okoliczność tak uspakajająco wpłynęła na nerwy sprawozdawców barw wszelkich, iż I-szą seryę „Poezyi", natychmiast po „Fragmentach" na rynek księgarski rzuconą, powitało milczenie przeciągłe. Dopiéro J. I. Kraszewski rozwiązał języki, zamieszczając w „Kłosach" (7 sierpnia 1881 r.) obszerną tych „Poezyi" ocenę, któréj nazwa krytycznéj niekoniecznie się należy. W omawianym przez siebie zbiorze widzi sławny powieściopisarz „talent przepotężny, pracą a trudem spotęgowany", a opiérający się na „mistrzowstwie słowa"; „perłą najśliczniejszą", „najoryginalniejszym z pomiędzy innych wielkiéj urody poematów" jest dla niego „Romans wiosenny". Coprawda, wyrywa mu się ciężki zarzut, w gruncie rzeczy w nic obracający wszystkie zachwyty i dziwnym trafem najzupełniéj niesprawiedliwy: „poetka rozumié wszystko, nie odczuwa pono nic, oprócz wielkiéj zagadki życia", to téż „nic ma tu nic dla serca, pozostaje ono nieporuszoném". Co właściwie mogło skłonić sędziwego pisarza do téj wycieczki na manowce krytyki, — trudno się domyśléć. Może było w tém coś z uprzedzeń w rodzaju tych, jakie sprawiały, że Mickiewicz za spadkobierców swego posłannictwa ogłaszał czasem ludzi najzupełniéj nie zdolnych do dźwignięcia podobnego ciężaru?... Że możnaby może było opowiadać o „talencie przepotężnym" po przeczytaniu „Prometeusza", „Imaginy", III-éj seryi „Poezyi", nie mówiąc już o „Moich znajomych" lub „Na drodze" — nie będę przeczył, ale z powodu pierwszéj seryi?... Zresztą zachwyty szczere z serca płyną, a tu ono „zostało nieporuszoném": czy może być mowa o talencie poety, który „nic nie odczuwa", kiedy najpierwszym warunkiem prawdziwéj twórczości poetyckiéj (a nawet i wszelkiéj innéj) jest właśnie uczucie? Co się zaś tyczy „wielkiéj zagadki życia", to jest ona, szczególnie w tym właśnie tomiku, w tak opłakany sposób reprezentowana, że gwałt chyba trzeba było sobie zadać, żeby posądzić autorkę o odczuwanie jéj w stopniu większym, niż wszelkich innych rzeczy ziemskich i nadziemskich.

Sprzeczności te nie zostały naturalnie podniesione przez nikogo, może nikt nawet uwagi na nie nie zwrócił, same zaś słowa zachwytu, sama forma ich pasowała ostatecznie rozpoczynającą pisarkę na wielkiego poetę; z całéj oceny Kraszewskiego najlepiéj zapamiętano wydo-

bytą przez niego samego kwintesencyą: „Konopnicka może stanąć bez obawy obok największych naszych mistrzów.”

I „postawiono” ją, może i nie „bez obawy” pewnéj, obok Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego, co się zaś jéj saméj tyczy, to postarała się ona jak najściśléj ten wyrok sędziego swego wykonać.

Odrodzonych zapałów i uwielbień nie zdołał już ostudzić nawet nowy kubeł lodowatéj wody z poprzedniego źródła pochodzący. Ocena 1-éj seryi „Poezyi” w „Ateneum” (wrzesień, 1881) widzi w twórczyni téj książki nie słowika leśnego, ani skowronka polnego, lecz kanarka z klatki, przyznając jéj nie mistrzowstwo, lecz jedynie „wirtuozowstwo” słowa; analiza ścisła w cyklu „W górach” wykazuje tu brak plastyki, a w wielu innych utworach „retoryczność” ukrywającą brak szczerych natchnień. Już Kraszewski daje mimochodem dwóch ojców talentowi poetki: Krasińskiego dla ducha, Słowackiego dla formy, — tu zaś napotykamy już bez ogródek wymówiony wyraz „nieoryginalność”. Ów „najoryginalniejszy” z poematów Konopnickiéj okazuje się tu wyraźnie dość słabą imitacyą „W Szwajcaryi”. Powtarzanie się nieustanne poetki, zarówno w dziedzinach uczucia, jak i rozumu, zdaje się jasno dowodzić krytykowi, że ona „przodowniczką żadnéj myśli być nie może, bo jeszcze do zgody ze sobą nie doszła.” Pigułkę tę złoci przyznanie pewnego talentu autorce i „świeżości i barwności jéj językowi.”

W roku 1883-im ksiądz Jan Gnatowski zamieścił w „Bibliotece Warszawskiéj” bardzo obszerne sprawozdanie z dwóch pierwszych seryi „Poezyi” i z „Fragmentów dramatycznych”. Zachwycając się obrazami natury i przyznając Konopnickiéj wielki talent, ostrzega on zarazem, że wśród blasków, w jakie on tak jest bogaty, nie brak błędnych ogni, mogących łatwo młode a zapalne umysły na manowce zaprowadzić. Biorąc zupełnie na seryo zuchwałe wyzwanie, rzucone staremu porządkowi i ideałom przeszłości, karci jednak wycieczki poetki przeciw Bogu i kościołowi w sposób nietylko właściwy rodzajowi swego kapłaństwa, lecz i rozsądny, a często nawet i dowcipnie—humorystyczny.

W roku 1888-ym poprzedni krytyk z „Ateneum” po raz trzeci w téj kwestyi głos zabiera. Ostatnia serya „Poezyi” zdaje mu się świadczyć, że „poetka do zgody ze sobą już doszła”...

Wspomniawszy jeszcze o niezmiernie jadowitém i wiele za sobą— niestety! — racyi mającém sprawozdaniu Sygietyńskiego („Wędrowiec”, 1884) o „Wrażeniach z podróży”, sprawozdaniu pastwiącém się wprost nad sentymentalném, a beztreściowém często gadulstwem autorki, — będę mógł przejść do właściwéj treści swego artykułu, ponieważ

zaś dalej w toku jego będę musiał używać wyrazów: twórczość poetycka, geniusz, talent, natchnienie i t. d., postaram się z możliwą ścisłością określić, co przez nie rozumiem. Nie będzie to rzeczą zbyteczną, bo chociaż terminy te napotykamy na każdym kroku, ale nawet traktaty estetyczne niezupełnie jedno i to samo znaczenie im nadają.

III.

Wielki poeta jestto człowiek, którym owlada czasem, samorodnie [1]) powstające i rozwijające się pomimo woli i wiedzy uczucie potężne i trwałe, mocne skupić na sobie, streścić w sobie wszystkie siły jego duchowe — chociażby na przeciąg lat wielu, zdolne oświecić mu jakiémś światłem mistycznem wszystko w *jego* wszechświecie materyi i ducha, co tylko z samém uczuciem tém pozostaje w harmonii wewnętrznéj, co może być doskonałym jego symbolem. Wówczas w człowieku takim budzi się niezwalczona a nieświadoma w chwili twórczości żądza uwiecznienia ukazujących mu się tak obrazów i myśli, ożywionych uczuciem, jak organizm—życiem, uwiecznienia *dla siebie samego*, bo świat cały wówczas dla niego nie istnieje. Wyrywa mu się okrzyk, którego tak długo czekał nadaremnie Mefistofeles z ust Fausta: „chwilo, stój!” Jak Hamlet woła do ducha ojca, aby został i złożył mu dowody, czém jest w istocie, chociażby najwyższém przerażeniem go napełniając, tak poeta w wyrazy zakląć usiłuje cudne swe czy okropne mary. To jest najczystsze źródło natchnień, z którego czerpią wielkie geniusze w chwilach swojéj wielkości. Tak powstają dzieła nieśmiertelne, ukrywające w treści swéj, niby koncha perłę, jakiś wieczny pierwiastek natury lub duszy ludzkiéj, uderzające swą samorodnością, bo w samém tylko naśladownictwie, wpływach przeszłości, otoczenia, warunków bytu i klimatu — darmobyśmy szukali *dostatecznych* przyczyn ich powstania: fakt pozostanie faktem, że w jednych i tychże samych warunkach żyły miliony, nietylko niezdolne do stworzenia danego dzieła genialnego, lecz nawet do pojęcia go, lub też w pojętém widzące coś nadludzkiego, nadnaturalnego.

Wizye takie jednak niezawsze bywają tak natrętne: nieraz każą tęsknić do siebie umysłowi twórczemu. Największy geniusz wśród rze-

---

1) W sposób, nie mający czasem nic wspólnego z jakiemikolwiek widocznemi pobudkami czy okolicznościami zewnętrznemi.

czy ludzkich i ludzi, chociażby na twarz przed nim upadających i najmniéj wątpliwą wonią kadzideł go otaczających, czuje się człowiekiem, gardzącym, litującym się, w najlepszym razie spokojnym, ale tylko człowiekiem; pośród zaś mar owych, których on ojcem jest tak, jak Ojcem Boga zwiemy, które posłuszne są bezwzględnie najtajniejszym prawom jego własnéj duszy, niepomyślanym jeszcze myślom jego, jest on półbogiem czy półszatanem, w każdym jednak razie czémś nadludzkiém i nadziemskiém. To téż wytęża on wolę, i siła pragnienia podnieca czasem uczucie jego tak potężnie, że wizye genialne stają przed nim, niby duchy na zaklęcie czarodzieja. Te mary przygwałcone bywają czasem mniéj wyraźne w grozie swéj czy anielskości i żądza zatrzymania ich dla siebie bywa w takim razie mniéj rozkazująca; wtedy oczy ducha mniéj zobaczą, a słowo mniéj z widzianego wyrazi. Myślę, że tak powstają drugorzędne twory geniuszów.

Puszkin powiada, że „dopóki Feb nie wezwie poety do ofiary świętéj, jest on może najmarniejszém z marnych dzieci świata." Nie same tylko nadludzkie uczucia kierują geniuszem, może on nieraz ulegać w życiu najpospoliciéj ludzkim pobudkom — nawet do tworzenia: żądzy sławy, dostatków lub bogactw, przyzwyczajeniu wreszcie. Tak rodzą się martwe płody geniuszu. Marne żądze nie obudzą owego demonicznéj siły uczucia, i będzie on skazany na kombinowanie nazimno nieoświetlonych niém już, ongi w chwilach ekstazy zrodzonych i dziś wywleczonych tylko z pamięci — obrazów i myśli, usiłując je uwiecznić dla ludzi tylko. Ponieważ zaś nie siła wyższa, ale nędzny człowiek z nędzną logiką swą, o krok zaledwo przed sobą widzącą, kombinacye te wytwarzać będzie, zabraknie im owéj boskiéj harmonii, wynikającéj ze zmieniającéj się w jedność zgodności bezwzględnéj wszystkich wyrażających uczucie twórcy symbolów zarówno w stosunku do siebie jak i do tego uczucia. Zdołają one jeszcze wprawić w zdumienie i podziw tłumy, niby robaka lot kurzy, ale mocy wstrząsania i przetwarzania pokoleń będą pozbawione. W takiém tworzeniu leży źródło maniery. Wolno poecie przyczołgać się do ołtarza, błagając bóstwo o wezwanie do ofiary, ale biada ofiarującemu bez wezwania!—Jeśli w konchach — utworach poety kryją się perły — prawdy mniejszéj wartości — rodzącą je, siłę twórczą zowiemy talentem. Tém mianem chrzcimy téż zdolność do tak całkowitego przejęcia się duchem danego geniusza, że wypływają z niéj utwory, wyraźne piętna tego ostatniego noszące. Czasem przyszłe geniusze wyglądają z początku na talenta tylko.

Talentem téż nazwać należy zdolność do pozbawionych pierwiastka wielkości natchnień krótkotrwałych i przelotnych, ożywianych uczu-

ciami różnych rodzajów lub odcieni. Talent taki może stać się źródłem utworów znacznéj wartości, byleby nie usiłujących objąć więcéj, niż jeden taki błysk chwilowy ujrzéć i odczuć w sposób twórczy pozwoli, bo zrodzone w wielu takich chwilach obrazy i myśli w jedno połączone muszą już razić w najlepszym nawet razie swą dysharmonią architektoniczną. Czasem jednak poeta taki, kiedy mu już zagasło owo światło przelotne, udaje przed światem — świadomie lub nieświadomie — że jeszcze mu ono płonie. Widome mu już tylko to, co wszystkim innym ludziom, lecz wié on, że można coś widziéć ponad to, czuje zazdrośnie, że są ludzie o wizyach potężnych, wzbudzających podziw i cześć świata. Opanowywa go pragnienie wmówienia w tłumy, a czasem i w siebie, że on téż żyje tém życiem demoniczném, o którém niewyraźne pojęcie dają mu własne małe natchnienia. Trawi go żądza odróżnienia siebie— dla siebie samego i dla wszystkich — od tego stada miliardowego: „oni prowadzą księgi handlowe, murują klatki dla własnego użytku, hodują nierogaciznę, — a ja tworzę." Nędznym nabytkiem dla ludzkości są tak powstające dzieła. Powynajdywane poomacku w mrokach pamięci, najczęściéj cudze symbole nieistniejących a niezgodnych uczuć im bardziéj pną się do wielkości, tém wyraźniéj osiągają zupełnie przeciwnego efektu.

Jeśli powiem mimochodem, że ten właśnie rodzaj talentu i tworzenia mam za właściwy Konopnickiéj — stanie się rzeczą zrozumiałą, dlaczego zatrzymam się dłużéj na tym punkcie.

Na cały czas nienatchniony chcącemu koniecznie pisać poecie pozostaje jedynie imitowanie pospolite cudzych myśli i obrazów, kombinowanych i wybiéranych naturalnie przez chłodny rozsądek tylko, któremu za pobudkę do skierowania uwagi w tę lub inną stronę służyć może—albo traf (tak np. „Sonety krymskie," „W Szwajcaryi" i t. d. rodzą „W górach," „Romans wiosenny" i t. d.), albo też stały jakiś wpływ zewnętrzny, występujący czasem w postaci przekonania własnego, i téj części alternatywy wypada nam się z blizka przyjrzéć.

Przedewszystkiém pewien kierunek literacki, mniéj lub więcéj dokładnie w formulki określeń ujęty (jak był pseudo-klasycyzm lub romantyzm naprzykład) łatwo stać się może ujściem dla nienatchnionych pragnień pisarza; do téj też kategoryi zaliczyć trzeba uleganie manierze czyjéjś, kiedy ona sama dyktuje nietylko formę, ale i treść. Daléj, ileż możnaby naliczyć bezdarnych wierszyków i powiastek, przez utalentowane nieraz osobistości pisanych a skierowanych ku umoralnieniu dzieci, panien dorastających lub matek rodzin? Po moście z tendencyi moralnych, przejdźmy do tendencyi wszelkiego innego rodzaju. Pesymizm, *weltschmerz*, dążenia narodowościowe, ewolucyjność pozytywna, nawet

materyalizm, każda jednem słowem wielowładna idea społeczna lub filozoficzna bywa na całym świecie kompromitowana przez tysiące głosów niepowołanych, z pośród których będę tu miał na uwadze wyłącznie te, co nie dla żołdu wiwaty na cześć silnych sztandarów wykrzykują.

Bądź cobądź jednak, kto zaciąga słowo swoje do regimentu pewnéj idei, szczególnie zaś mniéj lub więcéj powszechnie za świętą lub wielką uznanéj, postępuje najczęściéj bardzo praktycznie: znajdzie on moc gotowych chwalców i obrońców dla płodu swéj muzy, najzupełniéj niezależnie od rzeczywistéj jego wartości artystycznéj. I nic naturalniejszego, nietylko nic zwyklejszego, bo każdy niemal, w kim obudzona zostanie własna jego idea, poprzednio już złączona nierozerwalnie z wrażeniem prawdy, piękna i wielkości, ubiéra mimo woli i wiedzy w barwy tego wrażenia i sam utwór tendencyjny, i co zatém idzie w nich go i zobaczy, jego rzekoméj piękności i wzniosłości przypisując swoje wzruszenie. Mickiewicz bardzo treściwie wyraża to prawo psychologiczne w „Konradzie Wallenrodzie,” mówiąc: „lada słówko obojętne, które dla drugich nie miało znaczenia, w nim obudzało wzruszenia namiętne...”

Utwór tendencyjny jeszcze większych pochwał doczeka się od tych, co udają tylko wierność dla panującéj dokoła nich idei, za któréj znów wroga ryzykuje być uznanym ten, kto mówi o marności rzeczywistéj tego utworu. Na co mógłby się narazić, naprzykład Włoch, któremuby w roku 1850 przyszło do głowy wystąpić ze ścisłą analizą krytyczną jednego z tysiąca efemerycznych, bezdarnych wierszydeł, powtarzających *Italia fara da se?* Zapomnienie prędkie, — to los późniejszy pism takich, niezależnie nawet od tryumfu lub upadku danéj idei, przez czas jednak pewien niejedno z nich większą czcią darzone bywa od najpiękniejszego z nietendencyjnych utworów.

Hołd taki jednak niezawsze bywa skutkiem zaślepienia. Niejeden widzi wyraźnie białą fastrygę, łączącą u kogoś cudze czarne szmatki, ale powiada sobie: „słabe to, ale wielu wzrusza, a więc może miéć wpływ dobry.” Jakże często dają się słyszéć przez to jedynie przekonanie podyktowane słowa uznania dla książek marnych, a mających jednak jakoby kogoś uszlachetniać lub podnosić. Wyznam, że pod tym względem sceptycznych trochę trzymam się poglądów.

Zdaje mi się, że wpływać za pomocą słów na ludzi, na kształtowanie się ich poglądów i na ich czyny, można albo przez rozum, siłą logiki faktów i rozumowań, którą to stronę możemy pozostawić tu na stronie — albo też przez uczucie, drogą suggestyi, że tak powiem, tworząc w umysłach nierozerwalne lub trudno rozerwalne skojarzenia się pomiędzy pewném pojęciem oderwaném a pewném poczuciem har-

monii, wzniosłości i piękna, biorącém źródło w harmonii, wzniosłości i piękności danego utworu. To téż dla mnie orzec o wartości utworu samego w sobie, znaczy orzec zarazem, czego warta jego tendencyjność. Argument: „to wzruszyło mnie, albo stu innych" — nie może tu mieć żadnego znaczenia. Przeczytajmy najmarniejszą zbiéraninę wyrazów matce, bolejącéj jeszcze nad stratą dziecięcia, a byleby znalazło się wśród nich najmniejsze napomknienie o skonie jakiegoś maleństwa — łzy trysną z oczu słuchaczki... Nie sztuka obudzić pewne uczucie, w którém dusza czytelnika doskonale jest wyegzercytowana: umiéj wywołać je tam, gdzie znajdziesz zaledwo zarodkową jego możliwość.

Zdaje mi się, że bezdarny utwór tendencyjny tylko wtedy, kiedy natrafi na człowieka bezwzględnie oddanego téj idei, napewno nie okaże się czémś gorszém nad owo lekarstwo z anegdotki, co to nie pomoże, nie zawadzi, często jednak może przynieść ujmę idei saméj, którą usiłuje jakoby wzmocnić. Że nie postawi on jéj w blaskach poezyi przed oczyma tego, komu dotąd sama ta idea, jako coś jasnego i podniosłego, obcą była — nie warto nawet dowodzić, zwrócę jednak uwagę czytelnika na inną stronę rzeczy. Przedewszystkiém bezdarność utworu tendencyjnego będzie łatką śmieszną, na ornacie saméj idei w oczach wszystkich obojętnych, dzięki czemu utrudni nawrócenie się ich [1]. Zresztą kogo na chwilę porwie nawet niezrozumiała deklamacya, ten rozczarowanie niechybne co do téj ostatniéj może późniéj uważać za rozczarowanie co do idei saméj. Daléj muszę przypomnieć prawo psychologiczne, że wszelkie wrażenie poprzednie, o ile brak wyraźnych powodów do wywolania go w stopniu silniejszym, lub równym, który nazwiemy zerem, obudzi się w stopniu słabszym; stosując zaś prawo to do zajmującéj nas kwestyi, należy dodać, że wszystko co tylko będzie zmuszało duszę przeciętnego człowieka do wysiłków niezależnych, świadomych lub nieświadomych, skierowanych ku dociągnięciu temperatury swego wzruszenia do zera, wpłynie na stopniowe osłabianie się w nim saméj zdolności do odczuwania danego, odradzającego się wrażenia.

Postaram się teraz z kolei zilustrować wszystkie swoje twierdzenia powyższe.

Ongi, kiedy Taine o Napoleonie zaledwo tylko w „Historyi Francyi współczesnéj, mówił, kiedy zarówno dzięki wpływom zdań, zasłysza-

---

[1]) Nie mówię tu o przeciwnikach absolutnych, bo ci znajdują się względem idei w przeciwnym czcicielom, ale najzupełniéj analogicznym stosunku.

nych w dzieciństwie najwcześniejszém, jak i „Historyi konsulatu i cesarstwa” i wielu innych a przedewszystkiém dzięki wpływom Berangera, Byrona, Lermontowa, Heinego i t. d. —byłem bezwzględnym czcicielem Napoleona, zdarzyło mi się wejść do muzeum Würtza w Brukselli. Tam, po prawéj ręce, ujrzałem przedmiot czci swojéj — w piekle. Napoleon, z rękoma, zwykłym ruchem na piersi skrzyżowanemi, stoi wśród ogarniających go płomieni. Otacza go tłum kobiét, starców i dzieci, miotany wściekłością, rozpaczą, obłędem, przerażeniem — w najrozmaitszych odcieniach. Mnóstwo rąk wyciągniętych ku największemu bohatérowi zniszczenia, do ust mu niemal zbliża poszarpane, krwią ociekające członki ludzkie. Dokoła leżą trupy i konający w agonii... Wyraz bezdennéj i bezbrzeżnéj rozpaczy na twarzy Napoleona — krew w żyłach mi ściął. Otóż, patrząc na obraz ten, szczerze miałem wzniosłego małego kaprala za demona zła, i to wrażenie często się kojarzyło późniéj z wrażeniami, budzonemi przez takich „Dwóch grenadyerów” „Okręt powietrzny” i t. d. A gdyby, stawiam sobie pytanie, Würtz wymalował był cesarza i cały ten tłum z jakiemiś głupkowatemi wyrazami twarzy? Czy uwyraźniona już wtedy, wyłażąca jak szydło z worka, tendencya jego osiągnęłaby zamierzonego celu? Roześmiałbym się niechybnie, gdyby mnie jeszcze wstrętem nie napełniło rzekome świętokradztwo, Napoleon zaś pozostałby w wyobraźni mojéj jako bohatér bez skazy.

Wspomniałem o Napoleonie, zapytam więc, dlaczego znów wśród wszystkich inteligentnych ludzi świata da się napotkać jeszcze dziś — wbrew faktom historycznym, najwyraźniéj udowodnionym — tak wielka ilość zdolnych, chociażby na chwilę pewną, do ubóstwiania tego potwora genialnego? Czy nie Heine to sprawia swoim „Doboszem Le Grand” i t. d.? nie Beranger swojemi cudnemi piosnkami, które taki wpływ, świadomy zapewne, wywarły na obalenie Bourbonów? czy nie cała plejada innych? Mamże jeszcze mówić o „Chatce wuja Toma,” lub Dantem, którego zwą niektórzy jednym ze zjednoczycieli Włoch?

Dość tych przykładów jednak, a nawet zdaje mi się, że obejdą się one bez komentarzy: widać z nich jasno, że utwory niewyrozumowane wywiérają wrażenie i zdobywają wpływ tylko siłą zawartego w nich piękna.

Pójdę daléj: wszelkie piękno musi wywiérać wpływ. Nie wątpię, że pieśni Homera, tragedye staro-greckie, posągi z Partenonu i t. d., odegrały olbrzymią rolę w odrodzeniu się Grecyi nowożytnéj. Twórz piękno, a stworzysz siłę!

Głównem przykazaniem dla poetów winno być: „pisz tylko to, co, i jak widzisz, myślisz i czujesz.” Trzymając się go, każdy, co nic nowego i ważnego nie widzi, nie myśli i nie czuje, lub widzi i t. d. mętnie, będzie rozumiał, że nie ma po co głosu zabiérać, szczególnie zaś, jeśli chodzi mu o niewytwarzanie skojarzeń pomiędzy drogą mu ideą a wrażeniami nieestetycznemi. Mowa o idei, nie dorastająca miary idei saméj, to dla mnie zmiana dukata na drobne. Jeśli kto dla jakichbądźkolwiek powodów „nie może mówić tak jakby chciał” (wolałbym: jak potrzeba), niech wcale nie mówi, jeśli celem jego nie jest rozrzedzanie i osłabianie uczuć, o których skoncentrowanie i wzmocnienie chodzić winno. I piszący i niepiszący zarówno dobrze uczynią pamiętając, że jeśli obcujący ze sobą ludzie, nie mając sobie wzajem nic nowego i ważnego do powiedzenia, milczą, nie siląc się na rozmowę, mogą myśléć i czuć, lecz jeśli tylko ktoś niepowołany zacznie przemawiać wśród nich, przeszkodzi wszystkim w téj naturalnéj pracy wewnętrznéj.

Teraz będę już mógł bez odrywania się przystąpić do analizy samych pism Konopnickiéj. Długa ta dygresya zdawała mi się konieczną dla zrozumienia wielu następnych zdań moich, a przedewszystkiém dla wytłómaczenia niezmiernéj różnorodności, różnowartościowości utworów poetki. Bez powyższéj np. hipotezy co do rodzaju jéj talentu, trudno się nie zdumiéć, powiem więcéj, trudno uwierzyć na razie, że wszystkie te piękne i wzniosłe, własne lub pożyczone wyrazy uczuć i myśli i wszystkie te dziwaczne i nieudolne kombinacye słów bez znaczenia — z jednego i tegoż samego źródła pochodzą.

IV.

Zanotuję tu niektóre z rysów charakterystycznych, jakie mi przedewszystkiém w utworach Konopnickiéj w oczy się rzuciły.

Trudno wyobrazić sobie pisarza bardziéj obcego treści owych dumną wzgardą tchnących słów poety francuskiego:

(...devant toi, o plèbe carnassière!)
Dechire qui voudra la robe de lumière
De la pudeur divine et de la volupté!...
Je ne te vendrai pas mon ivresse ou mon mal!..

Poetka nasza nieustannie usiłuje pokazać *urbi et orbi* najbardziéj nawet własne zakątki najtajniejszéj głębi swojéj duszy. Pomijając już

fakt, że śpieszy ona podzielić się ze światem każdą myślą, każdém uczuciem, zanim dojrzeją one i uwyraźnią się dla niéj saméj, lecz zdaje się nawet nie domyślać istnienia złośliwości ludzkiéj, tak często skoréj do szukania we wszystkiém czegoś złego lub śmiesznego. Już w najwcześniejszych jéj utworach uderza taka ufność niezmierna do siebie saméj i do ludzi, że mimowoli przychodzi na myśl pytanie: czy dla niéj chłód życia, z nieodłącznemi zawodami i rozczarowaniami nie istniał wcale?

Nie będę się zagłębiał w dobę pre-historyczną: nie będę debatował nad pytaniami, co w niéj mogło wpływać czynnie lub biernie nad zrodzeniem się lub utrwaleniem takich usposobień, jakotéż pozostawię na stronie pytanie, czy prawdziwe powołanie niezłomne, czy ambicya, czy téż co innego rzuciło poetkę w szranki literatury naszéj, każąc z pisania zawód sobie uczynić, — pozwolę sobie jednak zaznaczyć fakt, że zachwyty przesadne chórów krytyki warszawskiéj, z górującemi w niéj wyżéj wymienionemi głosami, wyrządziły Konopnickiéj jedną wielką krzywdę: uśpiły w niéj zdolność — wogóle tak rzadką i słabą u kobiét — do analizy przedmiotowéj własnych czynów i myśli i uczuć. Już druga serya „Poezyi" doskonałym jest dowodem, że na cały czas — nie opromieniony szczerém natchnieniem, zmuszającém zapomnieć o świecie i sobie saméj, jako o osobniku, — Konopnicka najzupełniéj uwierzyła, że jest wielkim poetą, prawdziwym „*vates*". Dostrzegłszy, jak nieraz ni ztąd, ni zowąd pozbierane wyrazy zdobywały jéj poklask i hołdy, skwapliwie przez nią w najliteralniejszém znaczeniu przyjmowane, przyszła ona do przekonania, iż jakaś siła wyższa przez usta jéj przemawia, iż dość jéj umoczyć pióro w atramencie, aby spłynęło na ludzkość objawienie myśli i woli Bożéj. Pocóż wobec tego analizować własne wyrazy, kiedy one ze źródła najwyższéj doskonałości płyną? Że w zdaniach tych moich nie ma cienia przesady, niech mi przyświadczy wiersz „Co ja sieję?" (serya II-ga „Poezyi"). Opuściwszy w miarę możności liczne powtarzania się i zdania bez znaczenia, wciśnięte jedynie gwoli miary i rymów, przytoczę go tylko w całéj jego treści.

„Przez pola puste... idę i rzucam siew bratniéj miłości dla tych, co słabi, i dla tych, co prości, dla tych, co twardą, ciężką mają dolę. I duszę własną wylewam... by z niéj, jako z rosy, brały swą plenność jutrzejszych dni kłosy... Ja sieję ciszę... pogodę... w sercach tych, co są maluczcy u świata... Lecz jeśli dreszcze uczuwa kto strachu na widok ramion mych, tulących uściskiem,

co odtrąconém jest i to co nizkiém — winowajcą jest... Ja ciepło sieję, by z niego... światło na myśli błysnęło nam niwie... Ja ducha mego, ja krew moją sieję; ja pragnę wstrząsnąć tę ziemię zoraną, jak grzmot wiosenny, aż jutro z niéj wstaną ludzie, godniejsi piastować to miano...

Pójdźcie, obaczcie kto jestem i jaki
Siew rzucam w rolę przyszłości! Zaiste,
Ziarno me zdrowe i płodne, i czyste...
...A ja wam mówię: mój napis mogiłny
Mieć będzie napis: „braterstwo i zgoda",
I brat tam bratu z miłością dłoń poda,
I pójdą razem — i słaby, i silny...

Słowa moje, jak świat giętkich biczy, rażą oczy tych, co w spokój zwodniczy chcą ukołysać sumienie upiora... Tak, biczem jestem na serca... Jednych chłoszczę, wstrząsam... drugich, a wszystkich chcę porwać mym duchem ku wielkiéj przyszłości. Kto tam iść nie chce... niech się zawczasu w grób położy... bo przyjdzie w słońca promieniach duch Boży i przyszłość ludom na rozcież otworzy...

Ja wam to mówię, ja mówić mam siłę.

Co za ton! co za bezdeń nieświadomości i rozumienia o sobie. Dalsza analiza utworów Konopnickiéj sama przez się wykaże, ile tu poszczególnych nieprawd subiektywnych i obiektywnych, tymczasem zaś zwrócę uwagę na jeden tylko punkt. Czy może kto sobie wyobrazić poetę, bohatéra miłości i prawdy, proroka, apostoła lub prawodawcę, w którego ustach słowa te wydałyby się skromnemi? Czy nie byłyby one najwłaściwsze, gdyby się tyczyły Chrystusa? Zresztą *vates* z „Co ja sieję" nawet i nad Chrystusem ma mieć tę przewagę, że o klucze od grobu jego, wojen nie będzie...

Wszystko, co wpływało na ukształtowanie się tego przesadnego mniemania o własnéj wielkości i znaczeniu, musiało jednocześnie oddziałać i na sposób tworzenia wogóle. Zdaje mi się, że Konopnicka w końcu za natchnienie nauczyła się przyjmować stale pewien stopień podniecenia, na które składały się: i wzruszenie nieodłączne od świadomości przemawiania do tłumów, chociażby niewidzialnych, i przeświadczenie co do doniosłości niezmiernéj tego przemawiania, i przedsmak hołdów i zachwytów, jakie ono wywoła, i wiara w moc jego wewnętrzną przedewszystkiém, wiara, jakiéj dają dowody ludzie, nie wątpiący, że litery, wskazywane przez kręcony w palcach talerzyk, muszą się układać w wyrazy zdania i okresy, zawierające w sobie jakieś myśli najwyższéj wagi, jakieś prawdy nadziemskie. Przy pisaniu wierszem często dla Konopnickiéj rolę takiego talerzyka odgrywa wymaganie

formy: z trzech tomików „Poezyi” możnaby niewątpliwie ułożyć czwarty wyłącznie z samego tylko kwiecia i nie kwiecia na ołtarzu tego właśnie Molocha złożonego.

Czy ta niezwykła pewność siebie Konopnickiéj jest wrodzona i wszechwładna w jéj duszy? Gdyby tak było, powinnaby się ona była systematycznie bawić w improwizowanie, a gdyby znów istotnie i te laury Deotymy spać jéj nie dawały—musiałbym i ja coś o tém słyszéć. Do improwizowania przy ludziach potrzeba — przy łatwości wierszowania—jednéj z dwóch rzeczy (jeśli nie uważać za trzecią nauczenia się na pamięć przyszłéj rzekoméj improwizacyi): zdolności do wzruszeń, mających moc przetwarzania w mary własnéj wyobraźni lub przesłaniania zupełnie rzeczywistości, nawet w postaci ludzi występującéj [1], albo téż bezwzględnéj pewności siebie. Ta ostatnia zdaje się wznosić chwilami w niektórych utworach Konopnickiéj do najwyższego szczytu, a o jéj łatwości wierszowania wątpić przecież nie można. Może należy w niéj widzieć, przeciwnie, nieśmiałość, nawet skromność wrodzoną, któréj żadne zadawane naturze gwałty doszczętnie zatracić nie mogą.

Jakkolwiekbądź, poetka miewa chwile najprawdziwszych natchnień, podczas których istotnie gubi z pamięci i tych, co ją na zbyt wysoki piedestał wciągnęli, i tych, do których z niego przemawia, i piedestał sam. Wtedy ani śladu w niéj tego zarozumienia niezmiernego, wyrobionego może jedynie drogą hypnozy i samohypnozy, a treści jéj duszy może niewłaściwego. Zresztą orzekać stanowczo w téj kwestyi trudno, zważywszy, że natura ludzka jest zawsze zlepkiem sprzeczności.

Jakże inaczéj mówi o sobie Konopnicka w chwilach szczerego natchnienia. Bliższa bóstwa czuje już ona wyraźnie marność i znikomość dzieł swych ludzkich, nie rości pretensyi do panowania nad światem przez słowo i do sławy nieśmiertelnéj proroka. Wtenczas zdaje się ona sama sobie takiém małém, tak nic nieznaczącém na świecie zjawiskiem, niby jak wiatru wiew lub ćwirknięcie ptaszka; i smutno jéj bez miary, że to tak jest, ale dusza jéj zdobywa się na rezygnacyą cichą i cudny jéj wyraz.

„....odejdę w jakiś kraj daleki
Stracić się we mgle i w pomroce cienia:
Za wichrem pójdę, a za szumem rzeki,
A nie zostawię tutaj i wspomnienia.

---

[1]) Wśród pracujących twórczo, którym łatwo znikają z przed oczu stoły, stołki i ściany, nie wiele znajdzie się zdolnych do nieodczuwania, jako przeszkody, obecności człowieka i to w stosunku prostym do przypuszczalnéj jego świadomości siebie i nie-siebie: rzeczywistość świadoma—to podwójna rzeczywistość.

I ślad za sobą zatracę w przestworze,
Jak ptak, co leci na wyraj za morze.
Tylko się za mną obejrzą te łany,
Gdzie czarnym chlebem szumią nasze żyta,
I las obróci swój wzrok zadumany
I o pątnicę smętną się zapyta...
Tylko się za mną obejrzą kurhany,
Gdzie gorzkie ziele żałości zakwita,
I skowronkowe pieśni mnie zapłaczą,
Widząc, jak cicho idę a tułaczo. („Imagina", Życie, 87).

O, nie! my, patrząc po ludzku na działalność jéj a serca pytając, musimy powiedzieć: myli się poetka! O Konopnickiéj-proroku, o Konopnickiéj-prawodawcy postaramy się zapewne dla jéj własnego dobra zapomnieć, ale poetka, jako pątnica smętna, kochająca i szum łanów, i szmer lasów tych, i pieśni ptasząt naszych, i kurhany, i dusze proste i mierne, jakie tu znalazła — pozostanie nazawsze w naszéj pamięci, i ślad jéj się zatraci tylko z nami razem.

Smutek głęboki, przenikający ten ustęp, to jedyny ton szczery w poezyi Konopnickiéj, jedyna treść szczerych jéj natchnień i utworów jéj oryginalnych, jedyne światło twórcze, w którém ukazuje się jéj inaczéj niż innym, a po swojemu prawdziwie — świat, życie i wnętrze własnéj duszy.

Tak, talent to zaklęty w kole jednego uczucia, ale koło to nie tak znów rozpaczliwie jest ciasne, jakby się zdawać mogło. Poetka sama jest najlepszym dowodem ile z niego najcenniejszych skarbów poezyi wydobyć można. W pismach jéj znajdziemy wszystkie odcienie tego uczucia — od niepochwytnéj prawie tęsknoty rozmarzonéj, aż do sięgającego niemal granic rozpaczy smutku, ale za to wszelkie inne uczucia zdaje się ona odczuwać jako chaos lub dysharmonią i tak téż je wyraża. Nawet myśl oderwana, nieprzybrana w barwy smutku, nie znajduje nigdy w jéj wyobraźni symbolów, zdolnych ją harmonijnie i dokładnie wyrazić. Myśli, smutkiem nie opromienione, kłócą się najfatalniéj w jéj słowach, a tylko smutne pomiędzy sobą się godzą.

Chcąc wypowiedzieć ściśle a obrazowo myśl swoją, rzekłbym, że poetka widzi wyraźnie, oryginalnie, jasnowidząco rzeczy, zdarzenia i ludzi, dopóki znajdują się w świetle latarni tego *par excellence* jéj uczucia; co zaś tylko z kręgu tych promieni wyciągnięte zostaje przez nienawiść lub miłość tytaniczną, przez wzgardę lub podziw dla jakiejkolwiekbądź wielkości, przez szczęście ogromne lub rozpacz—to znika dla niéj w mroku nieprzejrzanym. Udowodnić sprawiedliwość takiego obrazowego przedstawienia rzeczy będzie zadaniem mego artykułu.

W niém też tkwi niejako plan tego ostatniego: mam obejrzéć cały ów krąg i pokazać, czego jest warte to, co się za nim dokoła znajduje.

V.

Konopnicka należy do tych rzadkich utalentowanych pisarzy, którym humor bywa rzeczą obcą. W poezyach nie chodziło jéj nigdy o niego, ten zaś, na jaki tak się nieraz siliła ona w felietonach swoich lub nowelach, trąci w najlepszym razie goryczą, a najczęściéj przesadą i niesmakiem. Zwracając uwagę na tę osobliwość talentu naszéj poetki, cytowałem już gdzieindziéj jedyny naówczas ustęp, nacechowany prawdziwym humorem, ale zmieszanym z niemniéj prawdziwą, za serce chwytającą rzewnością. Ksiądz-proboszcz, darowując szalik włóczkowy bezdomnemu nędzarzowi „Ksaweremu", do łez tą wspaniałomyślnością wzruszonemu, tak doń przemawia: „A wiész ty, błaźnie, że święty Marcin połowę płaszcza odkroił i dał ubogiemu? Nie wiész? Toś kiep. A ja ci powiadam, że kto ubogim daje, to Bogu pożycza. I to ci powiadam, że większa radość w niebie... Nie, nie to. No, jak tam było, tak było, na masz. Wszyscyśmy dzieci jednego ojca, a ty mi świnie tak paś, żeby w szkodę nie lazły."

W ostatnim zbiorku jéj nowel („Na drodze") znajdujemy jedną od początku do końca takim właśnie łzawym humorem tchnącą. „Józefowa", druga Kaśka-karyatyda, wspaniały typ kobiéty-sławianki, rosła, piękna, zdrowa i silna, stworzona na matkę i obdarzona w najwyższym stopniu instyktownem pożądaniem macierzyństwa,—ma za męża głupowatego niedołęgę, malutkiego, łysawego, potwornego, wstrętnego, niezdatnego nawet do żadnéj roboty: biédna karyatyda musi go utrzymywać noszeniem wody. Ale praca dla niéj niczém. „tragicznością" jéj życia jest, że zamiast dużego jakiego chłopa, co w razie czego mógłby ją i sprać, dał jéj los—Glapę. Wiara niezłomna w świętość małżeństwa nie daje nawet przystępu do niéj poskusom sprzeniewierzenia się lub buntu; mąż—to dla niéj synonim „władcy i pana", a tu tymczasem na dobitkę, za swego musi ona jeszcze i przed ludźmi się wstydzić. Ażeby choć trochę podnieść w ich oczach Glapę, a tém samém, jak jéj się zdaje, i siebie, usiłuje go ona systematycznie wystawiać, jako obdarzonego wszystkiemi zaletami męskości, wysławia jego siłę fizyczną, dochodzi nawet do udawania poważnego stanu. Niepokój jéj i wzruszenie przy narodzinach dziecka u stróżostwa maluje Konopnicka z dziwną prostotą i siłą. Ta stróżowa to dla jéj bohatérki pod wszystkiemi względami ideał szczęścia: mąż, drab sążnisty i wąsaty, bije ją o byle

co, gdy ona sama nawet wybitą być nie może. Serdecznie możnaby się uśmiać ze wszystkich tych kontrastów pomiędzy Józefową, jéj pragnieniami, marzeniami i ideałami, a Glapą — gdyby się na płacz nie zbierało. Pewnego razu rozgniewany za bryźnięcie wodą mąż-niedołęga, popchnięciem znienacka strąca karyatydę ze schodów, a konając myśli ona jeszcze o jego rehabilitacyi.

„Zawsze to, co chłop, to chłop!—rzecze z trudnością wymawiając słowa. — Chłopu niewiasta nijak nie uradzi... Tak już... Pan Jezus postanowił... A jeszcze kiej się taki trafi, co w sobie taką moc... ma...

Józefowa to jedna z tych, o których mówi inny ustęp z „Imaginy":

„O, gdyby nie wy, proste, mierne dusze.
Com was znalazła, jak się skarb znajduje,
Cóżbym robiła w świata zawierusze,
Gdzie ten największy, co najdaléj pluje.
Gdy o was myślę, to się sercem kruszę
I wielkiem ludzi kochaniem przejmuję...

O jednéj z najpiękniejszéj postaci z téj galeryi pisałem już dawniéj, a ponieważ ani sposób otrzymywania wrażeń, ani poglądy moje na świat nie uległy zbyt wielkiéj zmianie, zmuszony tu będę naśladować samego siebie. Mam na myśli „Banasiową" (z „Moich znajomych"), staruszkę bialutką, co to się „ściągła" do Lwowa „na umieranie" do córki i zięcia, z którymi „zmawia się na jedno, że jéj dziś a jutro — i cicho — i dobrze." Wobec takiego „zmówienia się" pocóż wyrzucać pieniądze na „kartę pobyt", tém bardziéj, że rozmaite dolegliwości, słabości i cierpienia coraz bardziéj górę biorą. „Takem sobie na rozum brała—opowiada Banasiowa — że to ta niedługie rzeczy ze mną. Ale co ta grzeszny człowiek może wiedziéć? Zeszedł kwartał, zeszedł drugi—nic, precz żyję. Licho co zjem, na ziemi pod piecem się prześpię i żyję. A jakże! Aż mi dziwno. Czy też tam Pan Jezus, myślę sobie, nóżką swoją przenajświętszą moją liczbę przestąpił, czy co?..."

„Suszenie", „na zezimek", „do Przemienienia Pańskiego", „nie wymawiając Panu Jezusowi"—„trochę pomaga". „Na trzeci tydzień—ciągnie daléj staruszka — tom tak zesłabła, żem już stancyi zamieść nie mogła, gdzie! ani wody przełknąć. Śmierć moja, myślę ja sobie, i zara mi się lżéj na sercu zrobiło. Umyłam się pięknie, ładnie, oblokłam czystą koszulę, siadłam na progu, paciorek sobie święty mówię i czekam. A tu takie białe chmurki niebem idą, a tu słońce przyświeca, a wróble świegocą, że to już niby wszystko wiosnę poczuło. Jak na to uderzyły dzwony nad miastem... Tak mówię ja sobie: wieczny odpoczynek racz mi dać Panie, a światłość wiekuista niechaj mi świeci na wieki wieków. Amen."

Ale zachwyt to przedwczesny! Biédna Banasiowa „wstydząca się już przed ludźmi tego twardego życia, co w niéj je" — podpada jeszcze karom za tak długo nieopłacaną kartę pobytu, na co idą wszystkie przygotowane na pochówek papiérki. Córka wyrzuca staruszce nieobliczenie się z czasem, sarka na kary, a więc tém samém i na długie życie matki, ale ta ostatnia nie chowa żalu za to, „bo to taki wykład, taka utrata!" „Łyżki strawy żałować to mi nie żałowali — mówi ona o dzieciach. — Pan Bóg by mnie skarał, gdybym mówiła inaczéj. Co prawda, to ta człowiek nie wiele ich tém jadłem ukrzywdził. Pochlipał ta parę łyżek, co w misce ostało i już. A co? Takiéj ta grochowinie, to i nie pięknie młodych objadać. Każde lata mają swój porządek. Staremu, to ta zarówno, choć przymrze głodu, bo i tak się do roboty nie porwie, a młody stanąć musi na każdy czas we swoim obowiązku."

Co za szczytny spokój wobec śmierci, co za wzniosła zgoda na porządek tego świata, na który Bóg do pracy powołuje człowieka, to też gdy mu moc do niéj odbiera, człowiek ma wiedzieć, że jest już na ziemi niepotrzebny i starać się nie zawadzać pracownikom. Wśród ludu częstém jest zjawiskiem obojętność na śmierć własną, ale Konopnicka w obojętności téj, pospolicie za zwierzęcą uważanéj, potrafiła dojrzéć i wykazać pierwiastki spokoju filozoficznego. To też trudno wątpić, że istotnie „wielkiém kochaniem przejęła ona dusze proste i mierne," kiedy zdołała tak głęboko i wyraźnie zrozumiéć wielką treść téj prostoty i miernoty, w któréj widzi nietylko myśl i spokój, lecz i uczucie i poezyą.

Te dwa ostatnie pierwiastki górują szczególnie w innéj prostéj duszy, w téj małéj, przygarbionéj, pomarszczonéj, zasuszonéj niemal starowince, obleczonéj w ochędóżne, choć rozpadające się ze starości i rozmaitego koloru łatami upstrzone szmaty, którą poetka spotyka skuloną na kamieniu przy drodze wiodącéj z Żywca do Kalwaryi („Na drodze"). Życie téj ubogiéj baby, wzięte ze strony swéj zewnętrznéj — to pasmo nędzy, głodu i chłodu, przetykane obficie poniewierką. Ani śladu w niém tego, co my zwykle przez szczęście rozumiemy. Wspomnienia jéj z najwcześniejszego dzieciństwa grozą wprost przejmują.

Na pytanie: „a toście się bez rodziców chowali?" odpowiada ona: „Abo ja się chowała? Nijak ja się nie chowała, pani moja, tylko mnie ten Bóg Stworzyciel wywiódł na świat, jak tę płonkę leśną i tak mnie ta święta ziemia zhodowała... Kiej ojciec-rodziciel pomarł — ani zapamiętania! A jak matka pomarła, to mi było pięć roków na szósty. Bez koszuli mnie, pani moja, odumarli, ino mnie w szmatki staréj płachetki obwiązywali i takech chodziła. Jak ten robak ziemią

żyje, tak my biédą żyli... Dzieci nas było „czworga”, a ten najstarszy i piąty to był brat. Ale że twardego serca był... Bić, to nas wielce nie bijał, tyla co wszystko w garści trzymał, aże piszczało. Ścisnął mróz, to matka do drew w piecu palić, a ten brat na drwach siedzi i przystępu nie daje. Tak matka do niego: Jędrek — mówi — co ty? ognia palić nie dasz?... A toć małe na nie „skargną...” A ten ino ręcami się weprze we drwa, że ta daleko po nie do lasu musiał, i ledwo ta z biedą nieco chwycił, bo leśny strasznie uglądał. — A niech zdycha—peda—szczeniak jeden z drugim, kiej mrozu strzymać nie może. Tak matka znów do niego: Jędruś, bój się Boga, synu! A to i mnie, matce, zima! — A ten jeszcze się dubelt rozeprze na onych drwach: A to niech i matka zdycha — peda. — To, pani moja, włosy nam stawały na głowie słuchający. To matka w płacz, to my dzieci za nią takoż w płacz, „a ten ino pod nos dmucha, jak ten sęp... A co było robić? Porwać się na niego nie miał kto, matka-by nie uradzili, bo całkiem ze sił zeszli, jako że ich zimno trzęsało cości bez pół roku, a nasby ta do szczętu w garści zdusił—boć to wszystko było jak owiesek drobny... To my ino z kąta patrzali na niego, a on nic. Dopiż my się wypłakali, wypłakali, dopiż my jedno na drugie głowy poukładali, jako te jagniaki, dopiż nas matka ręcami nakryła, dopiż my się pośpili. To drugi raz odecknę ja, pani moja, pojrzę, a ten brat precz na onych drwach siedzi, a głową trzesie, a patrzy na nas, jak ten wilk leśny, że to pochmurowaty był na wejrzeniu... Nie było ta i na nim wielkich rozkoszy. Koszulisko porwane, nożyska bose, kożuszątka nie uznał, z buźniczka łachman tylko... Tom nieraz, pani moja, widziała jak mu z tych oczu łzy ciekły. „Łzy” takie, że to jak ten krupny grad... Ino się trząsł cały...” „Matuś niczego tak nie „lutowali” przy skonaniu, jako tego że mnie bez koszuli ostawiają — opowiada daléj staruszka. — To ich taka żałość przede śmiercią ścisła, że téj duszycki nijak ze siebie puścić nie mogli. Już i na prostą słomę kładli, i dziewięciornikiem kadzili — nic! Dopiż im się kuma zabożyła, że jak tyluśko skonają, zara z nich płachtę ściągnie i mnie koszulinę zrządzi, dopiż to sobie do serca wzięli, dopiż — kończy ze świetlistym błogim uśmiechem—dopiż „ciutko” (cichutko) skonali.”

Po śmierci matki ludzie porozbierali drobiazg do pasenia, a ją najmniejszą, pojęła do się „ujna”. „Ujna”, jak „ujna” zwyczajnie, to pchła, to szturchła, jak to nie trza powiadać o sierockiém dziecku. Ale że jeść to dała. Choć ta pozliwki jakie, to dała. Drugi raz to i kotu ujęła, żeli nie dostawało, a również pamięć miała, że to sierocie głód. I wszystko się obeszło. Tyla co one chłopaczyska („ujny”) strasznie nademną panowały. Nie przeszedł jeden, żeby włosów nie

targnął, nie szczypnął, pod ziobro kułakiem nie zajechał," szczególnie dostawało się sierocie, kiedy próbowała podglądnąć, jak się „chłopaczyska" na książce uczyły. Ciało sieroty „od siniaków się bestrzyło; aże graniate było," ale wszystkie „cudowania" okazały się na nic, bo sam „janioł ją uczył." Dostawszy od jednéj dziewuszki niedoszczętnie jeszcze starganą „groszówkę" zaszyła ją ona „od spodku" w jedyny swój strój, w koszulę „chłopczyńską," niebardzo jeszcze porwaną, co jéj „ujna," „niech jéj ta Bóg da niebo! ze swego Staszka dała," a pasąc krowy w polu szukała na groszówce téj „luter," które u chłopców „spatrzyła," i „przykładała jedno do drugiego tak i tak, aże się złożyło..." Nie, ino „janioł tak przez wszystko dopowiadał," orzeźwiając zrozpaczoną już nieraz sierotkę to wiatru podmuchem, to świergotem ptasząt i budząc ją w noce księżycowe do „groszówki..." Pełne wyrozumiałości i przebaczenia serce sieroty nie zachowało cienia żalu do „ujny" za brak opieki i miłości, została w niém tylko dla niéj wdzięczność za ową koszulinę „chłopczyńską co do kolan nie posięgła" i za to przedewszystkiém, że na „pozliwkach" téj ujny biédna sierotka „nauki dostała." Tę umiejętność czytania staruszka ma za najwyższy dar, dar Boży, ponieważ „człowiek do człowieka różne mowy miéwa, podczas mądre, podczas głupie, a podczas to i grzeszne i „lekkomyślące," a książka jak mowę do człowieka ma, to zawsze ino o tym Ojcu Stworzycielu, o tym Chryscie Odkupicielu, o tym Duchu Świętym..." Tułanie się po służbach—to dalszy ciąg biografii, któréj koniec zapewne w chodzeniu o proszonym chlebie. Co za pustka i nędza istnienia! Tylko cierpienia dla zmysłów, tylko upokorzenia dla miłości własnéj.

A jednak żadne życie żadnego magnata nie może być bogatsze we wrażenia i wzruszenia rozkoszne, które czerpie uboga babka z dwóch niewyczerpanych źródeł: natury i wiary. Cóż ztąd, że nie ma nikogo na świecie, coby jéj dobre słowo powiedział, ktoby jéj był rad prawdziwie, ktoby chciał przyjść jéj z pociechą w chwili nieszczęścia? Ma ona przecież „tego Pana Jezusa i Matkę Przenajświętszą" których „niby dobrych znajomych" odwiedza od czasu do czasu utęskniona, a którzy, choć nie marnie-ziemskimi potentatami są, ukojenia i orzeźwienia jéj ubogiéj, nie skąpią nigdy. Wié ona ze swojéj „ewangieliczki," że darmo „ludzie sobie tutaj różne honory dodają," bo „Bóg insze regestry trzyma" i „czasem i żebraka na niebieskie pokoje wpuścić może." Zresztą, nie ma dla niéj samotności, bo niby dla przodków naszych przedhistorycznych, cała przyroda dla niéj, nie na papierze ale naprawdę z nią obcującéj, — żyje. Dla niéj ta przyroda — to nie martwa materya, targana bezrozumnemi siłami, to zbiór istot żywych, samemu

tylko Bogu podległych. W powiewie rzeźwiącym wietrzyka słyszy ona szept anielski; zawieja dla niéj, to duch jakiś złowrogi, mocny „zgasić" nawet „duszyczkę" niejedną do Boga dążącą; do słońca wyciąga ona ręce z zachwytem radości, niby do matki ukochanéj; nakoniec „ziemia święta," z któréj prochu ona powstała, która ją „zbudowała," która ją kiedyś w łonie swojém utuli, — nie opuszcza jéj nigdy. Uboga ta starowina jest poetą w najdoskonalszém znaczeniu tego wyrazu, poetą o pamięci pełnéj najcudniejszych lub strasznych a żywych podań i wspomnień, o wyobraźni nieustannie pracującéj. Ale nietylko poetą, jest ona i myślicielem. Zna ona prawdy oryginalne, w jéj umyśle zrodzone, przez nią sprawdzone, którym gdyby nawet nie wiem kto zaprzeczał, — „tak ciłałsz!" Tak np. nocując „zamroczona" na mogiłce „morowych," co podczas głodu po drogach padali, na mogiłce usypanéj pod figurą w zmiatanym przez wiatr suchym piasku, ujrzała ona nad ranem „wysterczającą jéj kole boku nóżkę dziecińską" daléj rozwiewające się włosy i fartuch jakiś; przygoda ta odkryła jéj prawdę ogromnéj według niéj wagi, że „ten umarty nijak się temu żywemu nie przeciwi," a sam Spinoza ze swojém „światłem, co samo siebie dowodzi i sprawdzaniem jest ciemności" nie zdobyłby się na nadanie większéj wiary i większéj doniosłości jakiemukolwiek wynalezionemu przez siebie pewnikowi.

Chcąc dać dokładne pojęcie o wartości artystycznéj, piękności, prostocie i harmonijności takich nowel-poematów jak „Banasiowa" lub „U źródła," trzebaby je całe przepisać. Trudno mi iednak nie zatrzymać się jeszcze przez chwilę na tych pełnych poezyi i wiary podaniach ludowych, któremi owa mała starowinka przesypuje wspomnienia ze swego życia. Naturalnie podania te — to dla niéj wcale nie bajki, lecz prawdy bezwzględne, godne służyć za pobudki życiowe, część, że tak powiem życia rzeczywistego stanowiące.

„Dobrze iść na Zielną, dobrze i na Siewną i na Gromniczną téż dobrze, kiéj kto ciepłe obleczenie ma; ale że już najlepiéj to na „Janielską?" A wiecież pani bez co? Bez to, co na ten dzień wszystkie „janioły" od wszelakiéj roboty odpuszczone są, i jak oni gołębiowie po niebie latają, a wołają: „Marya! Marya!" Niby za tym narodem ubogim... bez co ludzie rzekają w litanii „królowa Janielska..." To takie się miłostliwe „serce" robi z tego wołania u Najświętszéj Panienki, że człek wszystko u niéj tego dnia, co zechce uprosi. Ano, nie godzi się prosić o co insze, jeno o odpust grzechów, bośma wszyscy grzeszni, i o chléb, bo sam Pan Jezus na to pozwoleństwo dał. A o inne rzeczy to się nie godzi, chyba, że kto prosi o „wieczne odpocznienie" dla ojców-rodzicieli, to wolno na każdy czas, jako, że te kości umarłe na

każdy czas same do Boga krzyczą... A na ziemi, to pani moja w Janielską żaden grzesznik nagłą śmiercią ze świata nie schodzi... sporysz i rdest mocy nad kłosem nie ma... W lasach drzewo skrzypiące cicho stoi, na morzu okręty do dna nie idą, a kogo żmij ugryzł, nie puchnie, i jastrząb w ten dzień skowronka nie chwyta, i macocha sierot nie bije. Taki dzień jest!

To mogłyby się, pani moja, wielkie rzeczy na świecie w Janielską dziać, i ludzieby po wodach chodzili... wszelki jasyrby padł, i ziemiby w dwoje tyla przybyło, ino, że nie każdy wié, co i jak..."

„Proste, mierne dusze!" Dusze, dla których istnieje świat marzenia, świat nadziei, świat wiary, rzeczywistszy niż świat żądz nędznych i marnych zabiegów; dusze, naprawdę nad ciałami panujące; dusze, pełne miłości i wyrozumiałości, nic od nikogo nie żądające, za wszystko wdzięczne, zawsze gotowe się wyrzec dóbr ziemskich dla pobudek nadziemskich, na nikogo — ani na Boga, ani na ludzi — cierpień swoich nie zwalające! Ileż was ciśnie się tu do mojéj pamięci w świetle smutku serdecznego téj, co was tak ukochała i pojęła!

Widzę i tę zgrzybiałą matkę, która wydawszy ostatni grosz na pochówek przyzwoity syna-posłańca, tłómaczy odpoczywającemu już nareszcie w trumnie „po wszystkich kursach z listem lub posyłką," że wola jego została spełniona, że wspólny dół go nie czeka... [1]). Widzę i głupowatego „Ksawerego," uciekającego od dostatku i wygód do nędzy i poniewiérki, byleby oszczędzić przykrości matce swéj, obywatelce, która go na świat wydała, będąc na nieszczęście już wdową... Widzę i grono pogrzebowe, ciągnące przez „dolinę Skawy" z pieśnią cudnie wzniosłą o marności wszystkich rzeczy ziemskich; rozróżniam i tego „przeddziada," co rozpoczyna z siłą każdy nowy kuplet, tonąc w ciemnéj zieleni gałęzi świérkowych, obok białéj trumny prawnuka, czarnym krzyżem ze smoły naznaczonéj, — i tę matkę o rwącym się w pieśni głosie, chwytającą się ręką spracowaną półdrabka... Widzę i matkę Marcysia-kotłowego, głodną, ale wstrzymującą się od jedzenia i z rozkoszą patrzącą na apetyt syna... [2]). Widzę i Filipa Mostowiaka z synami, którym nigdy sarknięcie żadne nie wyrwało się na długą chorobę żony i matki, skazującą na wyzucie się ze wszelkiego dobytku i nędzę rodziny całéj... [3]). Widzę i Hankę Blacharzównę, służącą, co złodziejstwo kochanka, wydać go nie chcąc, więzieniem i „pobytem" przypłaca; — co woli, umiérając z głodu, nad siły, za kilkanaście groszy dziennie pracować, woli narazić się na wszystkie prześladowania,

---

[1]) „Martwa natura." [2]) „Dym." [3]) „Nasza szkapa."

jakie tylko tai w sobie litera prawa, kiedy ktoś chce i może na złe dla kogoś je tłómaczyć, — aniżeli kawałek chleba, wygody, pobłażliwość kupować za cenę wstydu... [1]).

Czas jednak powrócić do trzeźwéj analizy.

VI.

Dziwném się wydać może, iż mówiąc o poetce, tak długo milczeniem pomijam tomy jéj „Poezyi." Cóż począć! Chciałem mówić na początku o najpiękniejszych jéj poematach a te w prozie znalazłem. Konopnicka doskonałym jest według mnie argumentem przeciw zdaniu Woltera, tego skończonego, a mniéj utalentowanego pseudo-klasyka w dziedzinie poezyi, — jakoby nałamywanie się do rymów i dociąganie do miary miało wydobywać z poety moc zwrotów poetycznych, porównań, przenośni figuralnych i t. d. Że wydobywa, to wydobywa, tylko nie „poetycznego:" mówiłem już o krzywdzie, jaką wyrządza Konopnickiéj to łamanie się, przy nadzwyczajnéj łatwości z niemniejszą coprawda niedbałością dokonywane. Może i ta okoliczność oddziaływa potrosze na to, że samo już tylko przemawianie w mowie wiązanéj warzy najczęściéj w poetce wszelkie szczere uczucie, wszelkie prawdziwie własne rozumienie rzeczy, zmuszając ją do stawiania tego, co jest istotnie w jéj duszy, na szczudła przesady w celu, zapewne, imponowania sobie i innym.

Tak tłómaczę, dlaczego cały pierwszy tomik jéj wierszy zawiéra w sobie oprócz kilku ułamków ze słabych w całości swéj utworów, zaledwo dwa wierszyki, o których wartości estetycznéj możnaby mówić. O pierwszym z nich pisał właśnie Sienkiewicz z Ameryki, drugim zaś jest ów, tak często deklamowany na zebraniach towarzyskich:

Szczęścia! szczęścia! choćby chwilę
    Przelotną wśród burz,
Co skrzydełka ma motyle
    Znika z blaskiem zórz,
Choćby tyle, ile rosy
    W polnym kwiecie drży!
Wiosno! ziemio! Wy niebiosy,
    Szczęścia dajcie mi!

Głos tęsknoty echo budzi
    W drżących listkach drzew...
Cicho!... Ciszéj! .. niech snu ludzi
    Nie zakłóca, śpiew...
Mgła się wije po lazurze...
    Ja na fletni gram...
Białe róże, senne róże,
    Dobréj nocy wam!

I tu czujemy naturalnie ten pierwiastek smutku, występującego w postaci tęsknoty eterycznéj, do któréj odmalowania trzeba barw

[1]) „Pod prawem."

z „mgły,“ z „cieniów trawek wiotkich,“ ze srebrnych blasków“ jeziora, u miesiączka zapożyczonych, z wyblechowanych przez zbliżający się świt lazurów, z białości róż drzemiących i t. d.

Pozwolę sobie jeszcze zwrócić uwagę czytelnika na drugą połowę „Wstępu,“ bo w pierwszéj widzę jedynie pretensyą do znawstwa ducha, literatury i życia greckiego. Ustęp, o którym mówię, wspaniale kreśli sprzeczność w jakiéj stoją postulaty skrajnego pozytywizmu z przyrodą samą.

Poeci wygnani. „Poezya... która najpiękniejsza nawet jeszcze prawdą nie jest... umysłów wytrzeźwionych oczadzać nie będzie... Pierzchły już bezcielesne, urojone mary, których nikt nie przykroi do rozsądnéj miary... Odtąd mieszkańcy miasta... o tém, co rzeczywiste, radzić będą zimnie... Epos przestanie kłamać i drażnić umysły; na wzruszenia jest wymiar ogólny i ścisły... I nikt pod wpływem pieśni, omaniony słuchem, nie będzie śnił, że leci nad światy gdzieś duchem... Ludzkość... przestanie pragnąć zdrojów żywych i ogrodów, nie będzie roiła o cudach dziwacznie, a na byt swój powszedni trzeźwo baczyć zacznie...“

„Tak dumał prawodawca“—filozof, ale zadowolenie jego okazuje się wnet przedwczesném: jakieś pacholę, wpatrzone w błękit niebios i mgliste zarysy gór dalekich, wsłuchane w szmery drzew, śpiéw ptaków i echa pieśni Homera, budzącéj w wyobraźni cienie ojców bohatérów, — woła w ekstazie: „lutni!“

„Jakto? wielcy bogowie! — czyż znowu poeta!?“ Wyznam, że taka ekspozycya kwestyi, warta jest w moich oczach dobrego rozdziału w niezłym traktacie. Widzimy tu jeden z wyraźnych dowodów, że Konopnicka jest naprawdę poetą, bo trzeba nim być, ażeby tak głęboko i jasno zrozumiéć i wytłómaczyć tę potrzebę bezwzględną poezyi, tę jéj konieczność, tkwiącą, że tak powiém, potencyalnie zarówno w saméj przyrodzie, jak i w duszy ludzkiéj.

Drugi tomik „Poezyi“ szpecić zaczyna coraz bardziéj „*weltschmerz*“ płytki a tendencyjny jakoby, z którego na oczach niemal czytelnika wyłaniają się zachcianki prorockie. Zaledwo parę kawałków istotnie pięknych mógłbym w książce téj nazwać. Zachwyca mnie tu „Fragment I“ głębokością myśli, wyrazistością bez skazy obrazu, niezwykłém u Konopnickiéj wykończeniem a przedewszystkiém szczerością uczucia, brzmiącego w kończącém rzecz pytaniu: „Cobyś zrobiła... o Psyche!...“ gdybyś się była przekonała, że ten twój kochanek, „że to piękne i młodzieńcze ciało — tylko człowiek,“ a nie bóg?

Daléj serce tu poruszy to ten to ów urywek z melodyi „na fujarce,“ choćby np. melodya pierwsza, lub taki ustęp z drugiéj, malujący

sprzeczność pomiędzy nieokreślonêm rwaniem się gdzieś w dal nieskończoną marzeń duszy młodzieńczéj, a twardą rzeczywistością. Fujarka pasącego konie w noc miesięczną parobczaka tak śpiéwa poetce:

...Cości mnie woła,
Cości z piersi zabiéra mi duszę...
Żebym jeno chciał —
Pół światabym miał,
Tylko tyle, że konie paść muszę.

Śliczne jest téż granie innego parobczaka, któremu spokoju nie dają sny o wojence.

Prawdziwie pięknym jest i wzruszającym urywek pierwszy z cyklu „Łzy i pieśni.” Szczerością téż i prawdą tchnie urywek trzeci z cyklu „Zdaleka,” zaczynający się od wyrazów:

„Nieraz pytam się w duszy: czy ja kocham ludzi?
I długo się namyślam i nie śmiem wznieść powiek.“

Tomik III „Poezyi” wielce znamienną posiada fizyognomią. Używając terminu ewolucyjnego, dla określenia postępu, rzekłbym, że nosi on wyraźne ślady różniczkowania i integrowania się skłonności i zdolności poetyckich Konopnickiéj, co należy przypisać albo uświadomieniu się pewnemu dojrzewającego talentu, lub téż jakiemuś nieświadomemu wpływowi „janioła,” sprawiającego zarazem, iż poetka zupełnie już niemal daje pokój przesadnemu swemu *weltschmerz*'owi, wcale prawie nie deklamuje o „męczarniach ducha, pożéranego przez zagadki wszechbytu” i o oktawę zniża ton prorocki. Wspomniane wyżéj zróżniczkowanie się talentu poetki widzę: *primo* w têm, że strona jego naśladowcza ujawnia się tu otwarcie: nie licząc utworów okolicznościowych, pół książki zajmują przekłady i transkrypcye, *secundo* w uoryginalnieniu się zupełnie już własnéj strony tego talentu. Nie mówiąc o zanotowanêm już tu dawniéj spotężnieniu środków poetyckich autorki w toku lat pięciu dzielących tom III-ci od II-go, dostrzegam w pierwszym początek procesu, który nazwałbym wyłanianiem się stylu indywidualnego z obsłonek maniery, naśladownictwa i frazesów bez znaczenia. Zarzucanie stopniowe zabawy, polegającéj na kręceniu wrzeciona formy, kiedy na niém już przędzy myśli nie ma, zawdzięcza Konopnicka, jak mi się zdaje, właśnie przekładom, ponieważ piszącemu „oryginalnie” może się czasem zdawać, że wolno mu mówić co się podoba, bo kto dowiedzie, że tego albo owego nie czuł on albo nie myślał, a tłómacząc, chociażby nawet najdowolniéj, trudno już tak bez kontroli sypać wyrazy z rogu obfitości: rzeczywiste myśli i uczucia autora nie dają się tak łatwo naginać do wyrazów, trzeba więc te ostatnie do tych pierw-

szych zastosowywać, przyzwyczajenie zaś dobiérania wyrazów zupełnie odpowiednich do myśli cudzych, czyniąc to rzeczą stosunkowo łatwą, musi się przydać i tam, gdzie już o własne myśli będzie chodziło. W każdym razie uderza tu już czasem taka siła i jędrność słowa, jakichby się spodziéwać nie można było, czytając tylko poezye poprzednie, a nawet i prozę Konopnickiéj. Weźmy naprzykład taki czterowiersz z transkrypcyi psalmu 136 „*In exitu Izrael*" „*Nabi*" kończy:

Więc ja mam głos! Pobitych krzyk jest we mnie,
I łuny miast, i winnic spustoszenie,
I miecza ostrz przenika mnie tajemnie,
I cisną mnie zelżywych pęt rzemienie.

Albo niektóre ustępy z „Rocznicy Termopilów."

...A podniósłszy głowę
Wstał Tymon i odłożył księgi sławy stare,
I szedł czcić czyny ojców swych Heraklesowe,
I ofiarować bogom dziękczynną ofiarę.
I zdjął z ramion zszarzane niewoli swéj szaty
I rozdmuchał pochodnię gorącym ust tchnieniem,
I niósł w ręku kwiatowe wieńce i obiaty.
A serce mu urosło ogromnêm wspomnieniem,
Bo mówił: „Otom syn jest — a to ojce moje,
I z krwi téj idę, która bojowała boje.
A dziś, w obliczu Romy, przypomnę to bogom..."

Ale przyszedłszy — widzi tylko ruinę świątyni, a daléj, w sercu jéj, z poodbijanemi rękami

Biała Atene, wielkich praojców bogini
Strącona z narodowych najczystszych ołtarzy
Leżała w brudnych pyłach...
A tak w têm spustoszeniu stojąc z gorzkim płaczem
Puścił z rąk załamanych pochodnie i kwiaty,
Bo nie miał ofiarować komu ani na czem...
A wspomniawszy, iż bogi nie mają mściciela,
Usiadł i zakrył oczy połą swojéj szaty,
I w boleści nad hańbą przeżył dzień wesela...

Zapomnijmy o historycznéj wartości zawartych tu szczegółów, zarówno jak i o têm, że Ateńczyk prędzéjby rocznicę Maratonu lub Salamin obchodził, zwróćmy zaś uwagę na to, że tu Konopnicka zdobywa się na wspaniały wyraz uczucia, naprawdę już kawał świata obejmującego.

Wspomniéć jeszcze muszę o zanotowaném już także pięć lat temu w „Ateneum" zintegrowaniu się, zlaniu w jedno niemal poglądów Konopnickiéj na naszą współczesność, zkąd wypłynęła pewna jedność i har-

monijność kierunku. Uważam to za rys dodatni w rozwoju talentu Konopnickiéj niezależnie od wartości wewnętrzno-artystycznej składających się na wytworzenie tego kierunku utworów, a to dlatego, że o śliwce barwą dojrzałości pokrywającéj się napewno można powiedziéć, że jeśli robaczywa, prędko opadnie i drzewo oczyści, jeśli zaś zdrowa—pożytek przyniesie. Z zastrzeżenia się tego widać, iż mam heretyckie trochę poglądy na to, co sama pewno Konopnicka zarówno jak jéj wielbiciele i nie wielbiciele — za główną stronę działalności jéj literackiéj poczytują. O téj jednak herezyi swojéj tak się szeroko rozwiodłem w innéin miejscu, że tu będę mógł kropkę postawić.

Wracając do trzeciego tomiku wskażę w nim jeden skończenie piękny w okropnéj swéj goryczy „Fragment" II-gi z kolei, który taką tchnie szczerością, że pomimo, iż mógłby być śmiało za naśladownictwo poczytany, pozwolę sobie go nazwać pewnym w poetce błyskiem świadomości stron ujemnych swego talentu, chociaż widocznie idąc wślad za innymi, znaczenie ogólno-ludzkie nadać mu chciano.

„W starości swojéj ziemia mnie wydała
Jak późną parość dąb próchnem stoczony,
Brakło już gliny dziewiczéj na ciała,
A dech żywota — wytchniony...
...Na całéj ziemi i na całém niebie
Nie ma, czegoby choć myślą nie tknięto...
...Drogi ku szczytom i w przepaście drogi,
Tragicznym śladem zarówno zdeptane.
Gdzież spocznę? Kędyż miejsce dla méj nogi?...
...Od własnych myśli i uczuć, i woli
Odwracam głowę z boleścią i wstrętem..."

Jak nie czujemy swego młodego zdrowia, pożądając zaszczytów lub mądrości, właściwéj późniejszemu wiekowi, tak Konopnicka nie czuje tego stopnia oryginalności, jaki jest nieodłącznym od niéj saméj. Trawi ją żądza, tylekroć z mniejszym nieskończenie talentem wykazywana, jakiejś oryginalności potężno-ideowéj, prawodawczo-prorockiéj. Wiersz przytoczony — jest wydaném przez nią saméj sobie okrutném a sprawiedliwém świadectwem. Wiersz ten—to chwila, w któréj poetka z tragiczną niemal „boleścią i wstrętem" dostrzega — nie samoanalitycznie, lecz jasnowidząco — że brak jéj mocy wskazywania ludzkości nowych dróg, bo dla własnéj nogi nie jest ona w stanie żadnego, niezdeptanego miejsca znaleźć.

Nie mam możności mówić o reszcie „Fragmentów" zbyt obszernie, nie chcąc się więc do pewnego stopnia powtarzać, powiem, że nie znajduję w większéj ich części nic, oprócz pięknych myśli z Pisma

Świętego, z Krasińskiego i Mickiewicza, użytych jako okrasa dla własnych zdań autorki, zdań bez żadnéj treści rzeczywistéj. Nieustanne sprzeczności logiczne i brak prawdziwie artystycznéj wartości, zmuszają mnie do stanowczego odmówienia większości „Fragmentów" jakiegokolwiek znaczenia dodatniego. Poetka raz rozkazuje „duchom uderzyć do zwartych bram," niewiadomo jakich, lub „wyrzucić się jak płomień, z ogromną siłą," a o kartkę przedtém lub potém tonem proroczym oznajmia, „że kiedy usta milczeniem są zawarte... dzieje... piszą wielką kartkę, kwiatów jutra pękają kielichy..." Te ostatnie wyrazy są zakończeniem ślicznego, wspaniałego niemal początku, któremu poetka kłam zadaje połową swéj działalności literackiéj.

Poco śpiéwać? Poco targać smutnie
Struny, które ozwać się nie mogą?
Idź poeto! strzaskaj swoją lutnię!
Porzuć szczęty nad rozstajną drogą...
Niech ptak polny śpiéwa na téj ziemi.
Niechaj wichry zawodzą tu w nocy...
...Niech odmieńce wśród życia biesiady
Dla wesela swoją lirę stroją
Jak z wyrwaném żądłem liche gady,
Co się w tańcu za piszczałką roją...
Ich to święto! Piersiami pełnemi
Niech okrzykną toast znikczemnienia,
Wy odejdźcie o pieśniarze ziemi,
Pełni ogniów wzgardy...

Prawdziwie też pięknym jest, cytowany już w „Ateneum" w roku 1888, Fragment VIII. Sam już początek jego uderza swą prostotą szczerą i prawdą:

O wiem! My słońca nie zdejmiemy z nieba...
Nie rozmnożymy, jako Chrystus chleba...
O wiem! Nie wszystko jest tu w ludzkiéj mocy,
A najmniéj w naszéj...

Daléj następujących rad nie sądzę, ani z punktu widzenia ich praktycznéj wykonalności, ani ściśléj logiki, dość mi, że są one jednością harmonijnie piękną w swéj szlachetnéj obrazowości.

Fragment XIII byłby pięknym w swéj prawdzie ogólno-ludzkiéj, nie nowéj może, w myśl owego „*nil novi sub sole,*" ale szczerze odczutéj, — gdyby go nie szpeciły ofiary na ołtarzu formy. W każdym razie niektóre ustępy jego uderzają swą mocą.

I choćbyście wyszli w pole
Z piorunem na czole,

Choćby z stali były męże
A z gromów oręże,
— Pójdą w jeństwo wasze roty,
Popod cudze płoty,
Wasze boje będą klęską,
Wasza śmierć nie męzką —
— Bez miłości, bez zapału,
Bez czci ideału.

Znalazłoby się jeszcze nie mało pięknych miejsc w III-im tomiku „Poezyi," ale nie dałyby nam one podstaw do nowych spostrzeżeń.

VII.

Proces dojrzewania stopniowego talentu Konopnickiéj jeszcze widoczniejszym jest w jéj prozie, może dlatego, że dalszego kresu sięga. Nie będziemy się zatrzymywali na „Wrażeniach z podróży," które odznaczają się ogromną przesadą w malowaniu w gruncie rzeczy szczerych nawet tęsknot, smutków i smętków, o tyle tylko z podróżą związek mających, o ile podczas podróży nie jest się u siebie. Prawdziwy przegląd porównawczy prozy Konopnickiéj zacząć należy od „Czterech nowel" (1888), z których jedna tylko, („Pod prawem" [1]) cała opromieniona szczerém natchnieniem czyli smutkiem, rozmaitéj barwy i siły, jest rzeczą prawdziwéj wartości. Poetka tu czuje i maluje, a czytelnikowi same przez się cisną się do głowy tysiące myśli, w obrazach utaonych, a nie wydeklamowanych przesadnie...

Za to pozostałe trzy nowele bardzo są słabe „Michał Duniak" — to stek przesadnych tragiczności i nieprawdopodobieństw psychologicznych i społecznych, wśród których tai się zachcianka rozwiązania kwestyi żydowskiéj. — „Ultimus" bajka o cyganach i koniokradach, aż do złudzenia przypominająca chwilami „Chatę za wsią," — „Wojciech Zapała", odznaczony nawet na jakimś konkursie, — to weteran napoleoński, typ zużyty już w tylu pięknych utworach wielkich nawet mistrzów. Ubóstwienie dla małego kaprala, wspomnienia z bitew—oto treść zwykła tego typu. Otóż oddanie niezmiernego tego ubóstwienia dla téj wielkości niezmiernéj, wymaga w samym autorze poczucia wielkości i miary w niéj (którą ostatecznie może być i nieskończoność),

[1]) Historya wspomnianéj wyżéj Hanki Blacharzówny.

a tego poczucia Konopnickiéj brak najzupełniéj. Nie brak tu rzewnego nastroju, ale tego zamało. Wspomnienia Zapały, mające zobrazować właśnie postać cesarza, o ile nie są powtórzeniem cudzych, ubawić czasem mogą. Weźmy np. taki obraz:

„W dymie harmatnim, w ogniu jarzącym, w trzaskawicy śmiertelnéj, kiedy człowiek nie ma czasu wezwać Boga przy skonaniu... mazury prą się na bateryę..." „Na górze stoi cesarz... wkoło sztab się kręci, cały w złocie, a w piórach, a w szelestach. Aż tu mi pan mój powiada: Wojtek, powiada, to Napolijon."

Drugi o dwa lata późniejszy zbiorek („Moi znajomi") wielkim już jest postępem. Znajdujemy tu „Banasiową", o któréj jużeśmy mówili, „Ksawerego", „Martwą naturę", któreśmy wspominali. W nowelach tych poraz pierwszy u Konopnickiéj spotykamy się z typami najzupełniéj oryginalnemi. O dziewczętach cierpiących za kochanków swoich, o więzieniach, więźniach i etapach czytaliśmy wielokrotnie, ale taka Banasiowa?... Zanotować tu należy jeszcze jeden rys oryginalny: wykazanie praktyczne całego bogactwa jędrności, piękności języka prawdziwie ludowego. Obok jednak tych stron dodatnich, znajdujemy w tym tomiku moc ujemnych. Mamy tu „Morze", które, jak tego na kilkudziesięciu stronicach dowieść usiłuje Konopnicka, lepiéj stworzył Pan Bóg, niż Kaputkiewicz, dekorator teatrzyku jakiegoś prowincyonalnego; mamy i silącą się na humor „Cioteczkę"...

Ostatni zbiorek nowel („Na drodze") niemniéj jest wyższy od drugiego, jak ten od pierwszego: prostota i naturalność coraz bardziéj przewagę tu bierze. Jedyną w tym zbiorku nowelą, któréj możnaby zarzucić dawną deklamacyjność i przesadę, dawne silenie się na oryginalność nadzwyczajną, wyglądającą wreszcie na coś w rodzaju paradoksalności, — jest „Głupi Franek". Człowiek to natury w całém znaczeniu tego wyrazu, ale Konopnicka każe mu tę nierozłączną z nim nigdy przyrodę odczuwać nieustannie, wbrew prawom psychologii, z nadnaturalnym wprost zachwytem. Pewne nieprawdopodobieństwo widzę też w obrazku „Na werendzie", odmalowanym jednak, przyznać trzeba, bardzo udatnie. Wstrzymać się téż muszę od sądu o „Na rynku", ponieważ tu chodzi głównie o waryatkę, a ja się na psychyatryi nie znam. Trudno téż mówić, jako o czémś zupełnie do Konopnickiéj należącém, o nowelach takich jak „Mendel Gdański" lub „Jakton". Piękne to typy, ale u Orzeszkowéj zapożyczone, gwoli humanitarnéj tendencyi właściwéj zarazem i téj ostatniéj, tendencyi dającéj się streścić w wyrazach: nie gardź żydem, nie chowaj dlań nienawiści, nie od-

strychaj się od niego, nie odstręczaj go od siebie,—do czego Konopnicka chwilami zdaje się dodawać: nie odróżniaj go od siebie. W każdym jednak razie uderzyło mnie w tych nowelach, że autorka ani na chwilę nie pozwala w nich sobie na żadne deklamacye prorocko-prawodawcze, poprzestając na samém obrazowaniu.

Bohatérowie reszty nowel, w książce téj zawartych, to są znane już nam dusze proste, odtwarzane niewątpliwie, przynajmniéj w głównéj ich treści, z natury, tylko we właściwy poetce sposób widzianéj.

VIII.

Punktem najwyższym, jakiego dosięgła poetka w mowie bogów jest według mnie „Imagina" (któréj trzy pierwsze pieśni znajdujemy w „Kraju" i „Życiu"), ale nie jako całość, lecz jedynie jako zbiór ustępów, odznaczających się często niezwykłą siłą i przezroczystością słowa, i głębokością a oryginalnością uczucia i myśli. W „Imaginie" dużo mamy dowodów, że Konopnicka umié ten pierwiastek twórczy swych natchnień — uczucie smutku — nietylko wcielać w postaci ludzkie lub obrazy natury, lecz i wduchawiać, że tak powiem, nawet idee oderwane, które inaczéj w pismach jéj plączą się bezładnie i sprzecznie, lub o ile nie są cudze, rażą swą dziwacznością.

Weźmy naprzykład następującą myśl:

Nie wiérz, kto mówi, że nie mógłby wyżyć
Bez téj, którą już posiadł szczęścia miary.
O, serce ludzkie umié lot swój zniżyć,
Kto pragnie, pije z najuboższéj czary,
A gdy głodnemu okruchy przybliżyć,
Za wielkie ma je i królewskie dary,
A komu dola jak śnieg w ręku taje,
Kroplą się mętów cieszy, co zostaje.

Kompromis z losem... o, stara to droga,
Prawie tak stara, jak sam ród człowieczy.
Nie skonał Adam u rajskiego proga,
Lecz pługi ciesze i ręce kaleczy.
Na dumną rozpacz ludzkość zauboga.
Wzięto nam tyle i tak drogich rzeczy,
O których każdy mówił: nie przeżyjem!
Przecież się rodzim, jemy, nawet tyjem.

A jednak, jednak i tu są granice,
I jeśli człowiek ma wytrzymać życie,
Jak most lecącą do szturmu konnicę, —
Kruszynę szczęścia mieć musi, choć skrycie,
Jako śmiertelnych grzechów tajemnicę,
Musi nią karmić serca swego bicie,
Musi choć jeden promyk ideału
Wynieść z rozbicia, lub zginąć wśród szału.

Uderza tu głębokość i matematyczna niemal dokładność zrozumienia téj wielkiéj prawdy psychologicznéj, któréj powierzchni zaledwo i to w jéj punkcie najmateryalniejszym, dotyka Szekspir, każąc powiedzieć Learowi do Regany: „o, nie mów o potrzebie! Najnędzniejszy żebrak zna zbytek: dajmy człowiekowi tylko to, czego natura (jego fizyczna) wymaga, a życie jego warte będzie tyle, co życie bydlęcia!" Prawo to w duszy poetki kojarzy się naturalnie z tysiącem myśli i obrazów bolesnych — i oto wszystko smutek niezmierny przenika.

Albo taki ustęp:

Było, — więc dosyć, więc daléj, więc z drogi!
Sto słońc, sto światów drży w łonie przyrody:
Chcą być, chcą kochać, chcą nowe mieć bogi
I z nowych kwiatów życia brać swe miody.
Gwiazdy zsypane na błękitach w stogi,
Pieśni uśpione w lirach, białe trzody
Fal w mgłach zaklęte, co chcą iść na paszę,
Nienarodzone ludy, jajko ptasze, —

Wszystko prze, woła ciśnie się i kłębi
Przez progi życia, jak wrzątek kipiące,
A nim się w formy stęgnie i oziębi,
Już nowe nowym światom wschodzi słońce.
Wieki i chwile, jak stado gołębi
Spłoszonych lecą skrzydłami bijące...
I zapadają w zmierzchy bez świtania
Wszystkie twe bóle i wszystkie kochania.

Mniéj tu może nowości, niż w poprzednim, ale oryginalności, polegającéj na zupełnie indywidualném, szczerém i harmonijném odczuciu rzeczy, — bardzo dużo. Ostatnie dwa wiersze — to niejako klucz muzykalny, wskazujący ton duszy poetki, w jakim to prawo wszechświata w wyrazy zostało ujęte.

O sny! o prawdy! złudzenia! pewniki!
Kto między wami położy granice?
Kto rzuci w chaos i zamęt wasz dziki
Zbawiającego światła błyskawice?

Gdzie Edyp, który drżące niewolniki
Zbawi od Sfinksa i te tajemnice
Rozwiąże, które wiecznie dręczą ducha?
Lecz kogo pytam? To sam Sfinks mnie słucha.

Zobrazowana tu została z niezmierną ścisłością jedna z tych myśli starych, co to wiecznie będą nowe. Muszę jednak wyznać, iż dopuściłem się tu nieznacznego fałszerstwa, a mianowicie: zastąpiłem wyrazem: dręczą — wyraz „pożerają", podyktowany poetce oczywiście przez pewną manierę, wytworzoną po za granicami szczerych natchnień.

O ile można wnioskować z tego, co ukazało się w druku, cały poemat jest rozwinięciem tylko myśli powyższéj: „nie wierz, kto mówi..." Lucyl ubóstwia jako kochankę i ideał zarazem Imaginę, a zgrozą i wstrętem go przejmuje królowa jaru alpejskiego, Megistelejda. Tymczasem na oczach jego z dnia na dzień postaci Imaginy przybywa jakiś rys Megistelejdy, aż wreszcie pierwsza cała się w drugą zmienia. Może to jest historya umierania wszelkich ideałów młodzieńczych?... Miejscem akcyi, zarówno jak i wielu szczegółami i zwrotami, poemat ten przypomina „W Szwajcaryi": smutek eteryczno-powiewny, tchnący z tego ostatniego poematu, widocznie w najwyższym stopniu licuje z usposobieniami saméj poetki. Z sądem stanowczym o „Imaginie" wstrzymać się należy naturalnie do poznania końca; mogę tu jeszcze tylko dorzucić, że i ten najobszerniejszy i najpiękniejszy z poematów Konopnickiéj, chociaż zdaje mi się, że na niektórych jego miejscach znać niby pracę nad przekładami, — wielce nieraz szpeci nieliczenie się ze słowami. Nie rozwodząc się zbytecznie nad tym punktem, zrobię tylko uwagę, że takie zbyt już eteryczne wyrażenia się, jak niżéj, nie dodadzą uroku niczemu: „na skale szczepił róż dziwnych błękity," albo „poją rosą tęsknoty snów błękitne róże." Nie pojmuję upierania się przy tym istotnie „dziwnym" kolorze tego kwiatu.

O najpóźniejszym z poematów Konopnickiéj: „Pan Balcer w Brazylii" nic dobrego powiedzieć nie można, ani téż wiele nowego, chyba że zanotujemy, iż tu po raz pierwszy w pismach swoich wprowadza poetka gawędę wielu osób do ulubionéj swéj oktawy. Powrócimy jednak jeszcze na chwilę do tego poematu później.

Inne większe poemata, jak „Romans wiosenny", „Klaudya", „Tarcza Scypiona" — nie dają powodów do zbyt długich zaciekań się. Pierwszy — to, jak już mówiono tu przedemną, sprowadzone z gór do ogrodu przy dworze wiejskim „W Szwajcaryi"; drugi, oprócz wykazanych tu też w r. 1881, anachronizmów i anachoryzmów, ma parę ustępów udatnych, ale całość nie wiadomo do czego zmierza, bo do nicze-

go nie dochodzi; trzeci — to dwa poemata w jedno złączone: o rybaku biednym, co bohaterkę tytułową z Rodanu wyławia, i o jéj pochodzeniu: poświęcę kilka słów téj drugiéj połowie.

Kartagina „jako stos się pali”, wydana na łup i rzeź rozjuszonemu żołdactwu. Pretor, „dziki atleta”, wyglądający bardziéj na setnika, niż na drugiego dygnitarza Romy, wpycha do samotnego namiotu wodza-młodzieńca pojmaną na ulicach płonącego miasta cudnéj urody brankę i zdarłszy z niéj ostatnie zasłony — znika w mroku. Wzruszenie idealno-zmysłowe, jak i w kilku innych utworach Konopnickiéj, oddane tu znakomicie. Ale wódz-dziewica hamuje swe żądze rozszalałe i ze słowami: „jesteś wolna”—daje jéj tarczę swoją. Nią okrywszy znaczne braki swego stroju, przepuszczana nietylko przez straże, lecz widać i przez tłumy rabujących, idzie ona... dokąd? zapyta czytelnik, kiedy dom ojca jéj wraz z całém miastem gore, czy nawet już zgorzał, kiedy ona z niego na ulicę uciekła. Kapłan punicki Celtiber, widząc córkę powracającą w swéj „dziewiczéj” krasie, niby wcale nie zrujnowany do cna, niby był czas wtedy na to, każe płatnerzom z bryły srebra wykuć tarczę wspaniałą i szle ją „w obóz Scypiona”, który nie miał nawet jeszcze czasu odejść z armią.

IX.

Otóż i obeszliśmy całe państwo natchnień Konopnickiéj, a nawet w wielu miejscach wyjrzeliśmy po za jego granice, postarajmy się jednak dokładniéj je określić, stawiąc sobie za ideał geografię.

Kwestya czystego humoru zdaje mi się wyczerpaną: do niego talent poetki stanowczo się nie spuszcza, pozostaje więc nam udowodnić, że się on i w sfery wyższe nie szerzy, że i ich nie dosięga.

Taine w „Historyi literatury angielskiéj”, mówiąc o Szekspirze, czyni uwagę, iż niemożliwą dlań byłoby rzeczą wyobrazić sobie w naszym wieku pisarza, przez którego duszę mogłyby przejść mary takiéj potęgi i wielkości, nie wyprowadzając jéj z równowagi. Przykłady: Musset i Hugo, opanowani w końcu przez dwie przeciwne sobie manie. Jeśli w zdaniu tém dwie te dusze porównać do kotłów, które pękają ostatecznie pod zbyt silném, chociaż długo wytrzymywaném, ciśnieniem pary, — to dusze mniéj lub więcéj nienadzwyczajnych śmiertelników będą kotłami, opatrzonemi dobrze funkcyonującą klapą bezpieczeństwa: jak tylko ciśnienie przenosi średnią wytrzymałości ścian kotła — para ucieka przez klapę. Dusze takie, powtarzając raz już użyte wyrażenie się, muszą odczuwać wszelkie zbyt silne dla nich uczucia, jeśli

tylko nie mogą nie odczuć ich wcale—jako chaos. Otóż zdaje mi się, że dusza Konopnickiéj musi posiadać ową klapę bezpieczeństwa w najzupełniejszym porządku: brak jéj absolutnie poczucia wielkości w czémkolwiekbądź.

Weźmy np. najprostsze, najczystsze, najczęściéj napotykane z pojęć tego rodzaju: Bóg. Poetka w pismach swych nader często go nagabuje, nigdzie jednak ani cienia wielkości mu nie przyznając: woli mu ona kazać od czasu do czasu popłakać nad wszystkiém, czego sam ponarabiał na ziemi. Zachodzi to tak daleko, że razu pewnego, na wzór Mickiewicza, który tak często, „gada z królującym w niebie".—rozpoczynając pogawędkę z Panem Bogiem, odzywa się do niego ona, niby do pachołka lub w najlepszym razie do dobrego znajomego, w te słowa: „Zamknij podwoje". Nie będę się wdawał w ściślejszą analizę „Przed Bogiem", unikając niesmaku, dodam tylko, że antropomorfizacya Bóstwa, więcéj: jego ginekomorfizacya, więcéj... ale i tego dość—daléj niż w pismach Konopnickiéj, jak mi się zdaje, na świecie posunięta nie była. O „budzeniu Chrystusa ukrzyżowanego" nie chcę już i mówić! „Ten Pan Jezus" i „ten Ojciec Stworzyciel" tém czuléj kochający dziatwę swoją, im ona jest biedniejsza — są w utworach jéj przecudni w swéj poetyczności rzewnéj, ale wielcy władcy niebios!..

Weźmy wielkość w naturze, i to tylko wielkość w piękności, nie zaś tę, w jakiéj odczucie wejść musi, jako pierwiastek konieczny i główny, pojęcie o nieskończoności, któréj „zarysy", mówiąc mimochodem, widuje jakoby czasem poetka. Nie będę powtarzał przebiegu analizy obrazów tatrzańskich („W górach") i sądów na niéj opartych, ażeby uniknąć przepisywania „Ateneum" w „Ateneum", dam zaś inny przykład, chociaż mały, ale, jak mi się zdaje, zupełnie wystarczający, a tę mający nad poprzedniemi przewagę, iż pochodzi z roku zeszłego, nie zaś z przed lat dwunastu. W wierszu, który mam na myśli, Konopnicka usiłuje upewnić czytelnika, że pewien zachód słońca sprawił na niéj wrażenie olbrzymie, wtrącił w ekstazę. Tymczasem okazuje się, że poetka się łudzi najzupełniéj co do charakteru i siły swego wzruszenia ówczesnego, którego płód u dołu opatrzony jest wyrazem „*Chiemsee*", żeby to niby potomność mogła wiedzieć dokładnie o czém i gdzie napisany został jeden z najmniéj szczerych, a przez to samo i najsłabszych utworów świata.

W zachodu złotą płyniem dal
Po szmaragdowéj fali,
Na krańcu nieba ogniem zórz
Wielka się łuna pali.

Ogromny słońca płonie stos
Na samej nieb krawędzi
A taka cisza, że bez tchu,
Łódź nasza w ogień pędzi i t. d.

I złość, i wstyd mnie ogarnia przy czytaniu tego wierszyka! Coś podobnego podpisuje jedno z najpierwszych imion w naszém piśmiennictwie, drukuje jedno z najpoważniejszych pism, a co najgorsza, ludzie czytając to, nie parskają śmiechem, nie uczą się tego na pamięć, jak to zwykli czynić z rzeczami analogicznéj wartości artystycznéj, chociaż większéj pod względem dowcipu jak np.:

W nocy w samo południe o świcie
Jadę konno piechotą w karécie.

Pomijam już „złotą" czerwień Zachodu i ciszę, która niby wiatr w żagiel dmący, jest tu przyczyną pędzenia łodzi „bez tchu", ale co mnie już do głębi duszy oburza, to owa „szmaragdowość" wody, która dla patrzącego w kierunku łuny zachodowéj, na zasadzie najniezmienniejszych praw fizyki, musi czerwienią właśnie odbijać, mogąc się nawet, szczególnie przy „ciszy" zupełnéj morzem krwi zdawać. Oczywiście my, ucywilizowani, tylko pod nogi zwykliśmy już patrzéć.

Muszę teraz przypomniéć czytelnikowi, jak czarująco niekiedy wygląda natura w nowelach chociażby rzewnych Konopnickiéj, kiedy nie chodzi téj ostatniéj o żadną wielkość. Cicha, żywa i rzewna ekstaza owéj staruszki wobec przyrody—cudną jest w swéj prostéj i szczeréj małości, ale już ekstazy olbrzymie i wszechwładne „Głupiego Franka", który „godzinami w słońce patrzy", mogą tylko ubawić.

Weźmy wielkość w miłości, macierzyńskiéj chociażby. Poetka wzięła — prawdopodobnie z opowiadań Ćwirki — następujący epizod. Pewna wieśniaczka emigrantka widząc w drodze do Brazylii, jak trupy rzucają do morza i jak je tam rekiny rozdzierają, ukrywa śmierć swego dziecka. W chwili przybicia do brzegu spostrzegają wreszcie, że nieszczęśliwa już tylko zwłoki rozkładające się piastuje. Łatwo zrozumiéć, że czémś olbrzymiém musi być rozpacz nawpół obłąkanéj kobiéty, kiedy jéj odbiérają trupa, którego przez parę dni w taki sposób od wyrzucenia z okrętu chroniła. Opis artystyczny takiéj sceny musi przekroczyć granice smutku: tu trzeba szału niezmiernego. Otóż Konopnicka składa najwyraźniejszy dowód, iż brak jéj zupełnie poczucia wielkości rzeczywistéj, jaką winna być nacechowana taka chwila. Do obrazu jéj wprowadza ona zaczerpnięty we własnéj już wyobraźni — ściśléj byłoby: w skarbcu własnéj przesady—szczegół, który monstrualną swoją niemożliwością tak wszystko szpeci, że większe wrażenie wy-

wołałoby zupełnie suche, protokularnie nagie przytoczenie faktu. Majtkowie jak dzikie zwierzęta, rzucają się niby na nieszczęsną matkę, którąby i w antropofagach nawet litość wzbudziła, z krzykami w rodzaju: „złodziejka! Morzu ofiarę wydarła" i t. d. Wloką ją na pokład, żeby sama patrzyła „za karę, jak jéj szczenię pójdzie do dna". Do potworności téj zaledwo warto dorzucić, że obecny przy tém mąż i tłum takich jak i on pielgrzynów po dolę, słówkiem nawet nie występują w obronie téj kobiéty.

Scenę tę znajdujemy we wspomnianym wyżéj poemacie „Pan Balcer w Brazylii", który w całości swéj jest tylko rymowaném opowiadaniem o rzeczach, których w swoim czasie pełne były wszystkie pisma brukowe.

Wielkość w nienawiści? wzgardzie? Serce poetki zbyt jest kobiéce, zbyt czułe, aby się na uczucia takie nawet w słabym stopniu, zdobyć szczerze i całkowicie. Odcienie takich uczuć napotykamy tylko w rzeczach najzupełniéj chybionych z punktu widzenia artystycznego. Do kategoryi utworów, które tu mam na myśli, zaliczę cały cykl poezyi, malujących nadludzkie męczarnie „maluczkich" i zwalających winę za nie całkowitą na niemaluczkich. Takie są w I-szym tomie: „Wolny najmita", „Przed sądem", „Bez dachu"; w drugim: „Jaś nie doczekał", „Z szopką" i t. d. We wszystkich tych utworach zarówno panują niedomówienia, przesada lub konwencyonalność zmanierowana w wyrażaniu uczuć, nieprawdopodobieństwo sytuacyi i moc sprzeczności wewnętrznych.

Weźmy jeszcze wielkość w żądzy wiedzy, w zapale dla idei. Vesalius zajęty jest sekcyą trupa, wtém daje się słyszéć wrzawa i silne uderzenia w bramę: to hiszpańska inkwizycya nieubłagana i tłum rozwścieczony. Wierny sługa chce zakryć trupa i zagasić światło, co zresztą też nie na wiele w podobnym wypadku przydaćby się mogło, ale uczony badacz odpowiada:

Nie, to być nie może,
Żebym ja, teraz właśnie, gdy przyroda
Tajne mi swoje daje posłuchanie
I już mi drogi odsłania przewodnie,
Rzucać miał pracę... Hagon! wznieś pochodnie!

Gdyby Vesalius nie słyszał nawet wcale zatopiony w swéj pracy, tych hałasów groźnych, gdyby wcale nieświadomy straszliwego niebezpieczeństwa, a świadomy jedynie drgania pochodni w ręku sługi rzucił tylko dwa ostatnie wyrazy z całéj swéj patetycznéj deklamacyi, przypo-

minałoby to archimedesowskie εὕρηκα, ale byłoby na wysokości sytuacyi, ale tak?...

Dalej Hagon woła znowu: „Drzwi wysadzają... panie! rzuć te noże!” na co odpowiada apostrofa rozwlekła uczonego.

Milcz, słaby starcze! wojownik nie ciska
Sztandarów swoich wśród pobojowiska...
Niech uzbrojona do czynu prawica,
Jak jutrznia wiekom idącym przyświeca...

Powiem mimochodem, że wszystkie „Fragmenta dramatyczne z przeszłości” tę noszą wspólną cechę, że wyglądają na proste rozprowadzenie w wodzie frazesów poprzedzającéj każdy z nich krótkiej wzmianki historycznéj, która niezmiennie daleko, nieskończenie głębsze od samego „Fragmentu” sprawia wrażenie.

X.

Tu miejsce na pewne zastrzeżenie się. Wszystkiego, co wyżéj powiedziane, nie chcę wydawać za jakieś wyroki bezwzględne. Jeśli można dojść drogą ciągłych wysiłków woli i egzercytowania się — do panowania nad nerwami, któremi zwykle rządzą — nieświadomie dla mózgu — zwoje nerwowe kości pacierzowéj, to może i można téż wyrobić w sobie zdolność do odczuwania i odtwarzania uczuć, dawniéj obcych, chociaż to ostatnie zdaje mi się trudniejszém. Nie przesądzam, czy nie doczekamy się jeszcze kiedy jakiegoś utworu Konopnickiéj, który przejmie nas nie już nowym lub dawnym odcieniem smutku, lecz wprost ogromem grozy, lub podziwem najwyższym, twierdzę jednak z czystém sumieniem, że wśród tych utworów poetki, jakie czytałem, żaden takich uczuć nie mógłby wzbudzić.

Jeden tylko „Prometeusz i Syzyf” (Biblioteka Warszawska, wrzesień 1892) zdawał mi się chwilami mocnym zburzyć całe rusztowanie mojéj hipotezy co do charakteru i siły talentu Konopnickiéj, ale przewrócenie kartki zawsze mnie uspakajało pod tym względem.

Odłóżmy jednak na chwilę analizę szczegółową tych istotnie uderzających czasem i dających do myślenia scen dramatycznych, a rozejrzyjmy się po przekładach Konopnickiéj, które, jak mi się zdaje, są jednym więcéj dowodem na korzyść wszystkiego, co o niéj powiedziałem dotychczas.

Nie będzie mi tu chodziło o wierność ich oryginałowi albo téż większą lub mniejszą piękność formy. Zaledwo nawiasem wspomniawszy, że często wiele własnego wléwa w nie tłómaczka, postaram się

zwrócić uwagę czytelnika na treść i barwę utworów, na które pada jéj wybór, najzupełniéj wolny niewątpliwie. Otóż zdaje mi się, że przy wolności wyboru, człowiek talentu będzie tłómaczył tylko to, co go szczerze porywa czy wprost wzrusza, z czém rozkosznie mu jest przestawać, w co chce się wcielić wyobraźni jego, co nie stanowi z prawami jéj dysonansu, co za wzór służy jego własnemu uczuciu, co zdaje mu się z jego własnych ust wyjętém, co mógłby on sam lub w najgorszym razie chciałby módz sam wypowiedzieć.

Ghazele Vrchlickiego cechuje pogoda, zabarwiona lekkim odcieniem rzewności, a chwilami i smutku; myśl, najbardziéj niby oderwana, występuje tu jako pierwiastek pogody lub smutku, spokoju ducha lub pragnienia. Nie ma wśród ghazel tych ani jednéj nie potrącającéj jakiéjś struny rzewności. Wogóle tonów oryginalnych w sposób wyższy i potężnych w ghazelach i serenadach Vrchlickiego, tłómaczonych przez Konopnicką — ani śladu. Jedna z ghazel tych („Rozszerzcie Boga") niektóremi z wyrażeń się swych jak np.: „Precz z maską pustych form!" i t. d. przypomniała mi analogiczny co do treści urywek Haracourt'a z cyklu „*L'ame à nu*", pod tytułem „Rada mistrza". Jakąż marną choć rzewną gadaniną wydaje się owa ghazel poety czeskiego wobec przedziwnéj skoncentrowanéj potęgi, uczucia i myśli, wyraźności i konsekwencyi, jaką widzimy u poety francuskiego. „Cyd w pracy" może być pominięty, „Lirnik" Platona Kosteckiego—to rzewność. Trzy piosenki Tupego—toż samo, „Wojna" Ludwiki Ackerman w bardzo pięknym przekładzie Konopnickiéj nie budzi cienia nawet téj grozy, jaką tchnie oryginał. Najlepiéj przetłómaczone są te jéj ustępy, w których skrajna i beznadziejna najczęściéj pozywistka francuska rzuca hasła cywilizacyjne, nawołujące ludzkość do użycia sił swych i krwi na walkę z nędzą, zbrodnią i ciemnotą. Ta téż niewątpliwie strona, omal nie piękniejsza w przekładzie niż w oryginale, stała się pobudką do dokonania samego przekładu. W każdym razie jednak „Wojna" ta nie wychodzi w spolszczeniu swém ani na chwilę z granic przepełnionego goryczą smutku. O nawpół humorystyczném a nawpół rzewném „Dziecięciu wieszczek" Heyse'go nawet mówić nie będę. Do tomiku III-go nie weszły liczne przekłady Konopnickiéj z Heinego. Heine, jak wiadomo, za pomocą kontrastów, których jest mistrzem w niemniejszym niż sam Wiktor Hugo stopniu, wyraża bardzo często najwyższéj potęgi uczucia. Otóż żadnego z tego rodzaju utworów niemieckiego poety nie znam w przekładzie Konopnickiéj: „*Atta Troll*", urywki wierszowane z „Podróży po Harzu", parę balad — wszystko to tchnące naprzemian to ironią, to smutkiem — oto wszystko, co z dzieł Heinego zdawało się odpowiadać usposobieniom i nastrojom naszéj poetki.

Z danych tych pozwalam sobie wyprowadzić wniosek, że Konopnickiéj brak poczucia wielkości nietylko w naturze, lecz nawet w utworach ludzkich.

Teraz pozostaje nam już tylko analiza „Prometeusza".

Jak „Banasiowa" i „U źródła" są szczytem najwyższym twórczości artystycznéj, tak znów myśl Konopnickiéj w „Prometeuszu" sięga swego zenitu. Utwór ten wiele wniosków nastręcza. Widzimy tu, że umysł Konopnickiéj jest wysoce rozwinięty i wykształcony i brak wiedzy potrafi zastąpić czasem podziwu godną intuicyą. Umysł to, co naprawdę „dotknął wszystkiego w niebie i na ziemi". Naturalnie, idąc w ślady innych, umysł — posiadający niezwykłą zdolność do asymilonania w sensie fizyologicznym, że tak powiem, czynienia zupełnie swojemi na chwilę najszczytniejszych idei cudzych w stopniu, sięgającym możności obrazowego ich przedstawienia. Sceny te dramatyczne służą jednak nie mniéj za wyraźny dowód, że tych idei cudzych, które niezależnie od zgodności swéj lub sprzeczności, kolejno ją uderzają, nie zdolna jest Konopnicka przyjmować krytycznie, układając je w jakiś całkowity i harmonijny pogląd na wszechświat i świat, pogląd, który mógłby służyć za nić Aryadny w labiryncie myśli oderwanéj lub życia rzeczywistego.

Zacznijmy od przyjrzenia się surowemu materyałowi, z którego poetka dzieło swoje utworzyła, czyli samemu podaniu mitologicznemu. Prometeusz — to tytan, brat Atlasa, spadkobierca nienawiści ku Zeusowi, pełny nieugiętéj dumy i siły ducha; pragnąc być twórcą, jak bóg, urabia on z gliny człowieka i by mu życie rzeczywiste nadać, kradnie ogień boski, pierwiastek jego, za co rozkaz Zeusa do skały go przykuwa i na męczarnie skazuje, dopóki go od nich nie uwalnia siła Herkulesa, największego z Kiszotów starożytności. Syzyf—to człowiek półboskiego pochodzenia, syn Eola, bajeczny założyciel Koryntu, który za zbrodnie swoje niesłychane i okrutne skazany został przez Zeusa na toczenie pod górę wiecznie staczającego się na dół kamienia.

Konopnicka zaczyna od zmiany zupełnéj pozycyi względnych dwóch bohaterów dyalogów swoich, czyniąc z pierwszego człowieka, a z drugiego tytana. Daléj zbrodnie syzyfowe wyrzuca zupełnie ze swéj koncepcyi i czyni miejscem owéj pracy jałowéj ziemię, nie zaś piekło. Przystąpmy teraz do rzeczy, zaczynając od samego początku, od epigrafu: „*Abyssus abyssum vocat*", nastręczającego wiele myśli nietylko ze względu na to, co po niém następuje, lecz — i na poetkę samą.

Władcy nieba i ziemi zasnąć nie pozwala łomot kamieni, toczących się w przepaść po skale. Prometeusz więc, któremu sen jego, umożliwiający wykradzenie ognia, jest niezbędny, chce się dowiedzieć,

zkąd hałas ten pochodzi, żeby go módz uciszyć. Przenośnia ta wyraża, jak mi się widzi, myśl, że bądźcobądź ta praca straszliwa i nieustanna na ziemi jest przedmiotem—niewiadomo dlaczego i jakiego—niepokoju bożego, który jednak w dalszym ciągu okazuje się najzupełniéj nieuzasadnionym.

Syzyf, dosłyszawszy w głębi swojéj przepaści wołanie z góry, a widziéć nie mogąc, bo „pyły oczy zasypują", myśli, że to krzyk bujacego gdzieś w górze orła, rozróżniwszy zaś wyraz „Człowieku!" rozumuje:

„Orzeł, który gada. No, no! I nazywa mnie człowiekiem. Musi być bardzo wysoko: nie może widziéć, że jestem tytanem. Z góry nigdy dobrze nie widać, co się dzieje w dole... (*Woła*). A czego tam, orle?

Prometeusz. Orłem mnie nazywa! Dziwne pojęcie o nas mają te istoty, tam w dole żyjące. Z głębi, w którą go Zeus wtrącił, nie może mnie widziéć; szatę moją, z wiatrem wiejącą, skrzydłami być rozumié. (*Woła*). A co tam robisz, bracie?

Syzyf. Mówi: „bracie". Piękna to rzecz, ale nie jest prawdziwa... Żebyś ty bratem był, tobyś ze mną u roboty stanął... a nie bujał gdzieś po szczytach... Ile razy ci tam w górze pomocy naszéj potrzebują, to nam mówią: bracie. Nie dowierzam ja ci, ptaszku. No, ale słuchać mogę.

Ustęp ten świetny sam w sobie, jest doskonałą z pewnego punktu widzenia, ekspozycyą kwestyi socyalnéj. Wzajemna nieznajomość siebie, wzajemna nieufność, sprzeczność; w celach i przeznaczeniach — zaznaczone tu wybornie. W przenośni téj Syzyf — to oczywiście stan czwarty, Prometeusz—to uosobienie sybarytyzmu duchowego.

„Czy prędko skończysz robotę?"—pyta daléj Prometeusz.

Syzyf. Czy ja skończę? Nic nie wiem... Toczę głazy, a one się walą w dół, a ja znów toczę. Jakiż tu może być koniec? Śmiałbym się z pytania twego, gdyby nie to, że mi pyły zasypują oczy do łez...

Prometeusz. Czy za pokutę zadano ci tę pracę, biédaku?

Syzyf. Nic nie wiem o tém. Od czasu, jakiem raz pierwszy ramionami ruszył i poznał w nich siłę... toczę tu głaz po głazie z dna przepaści. Czasem głazy są cięższe, czasem lżejsze, ale wszystkie staczają się na dno. Zawsze téż jestem w pocie... Żebym tylko mógł... raz chociaż... na sam szczyt... (*Nowy grzmot słychać staczającego się w dół kamienia*). Ale nie mogę. To nie jest pokuta. To jest życie.

Prometeusz. Dlaczego toczysz te głazy?

Syzyf. Jakto, dlaczego? Ponieważ spadają, więc je toczę. To jest bardzo proste.

To upostaciowanie „wiecznie czynnéj, ślepéj" nieświadomością swą „siły" jest wprost szczytne.

Syzyf. Ale co ty tam robisz w górze? Nie pojmuję, co tam można robić w górze? Tu, co innego. Tu pełne ręce roboty.

Odpowiedź: „Żyję" wywołuje nowe pytanie: „Więc i ty głazy toczysz?" Usłyszawszy, że „życiem Prometeusza jest nieśmiertelny ruch myśli", pyta znów: „Ale cóż ty właściwie robisz?" — Prometeusz. Prawdy szukam. — Syzyf. Czy zginęła? — Prometeusz. Nie była znalezioną nigdy... — Syzyf. Skądże wiesz, że coś, co nie było znalezioném, istnieje? — Prometeusz. Czuję ją. — Syzyf. Więc ona boli ciebie? — Prometeusz. Tak, ponieważ jéj nie znam. — Syzyf. Nie pojmuję! Jakim sposobem może boléć coś, czego nie znam. Kiedy mam grzbiet zraniony i zszarpaną skórę, boli mnie, ale wiem dobrze, co mnie boli, ból mój znam... Wiem dobrze, jak nazywać głaz, co mi ból zadał. Kopię go i krzyczę: Przeklęty!

Trzeba przyznać, że Konopnicka staje czasem na wyżynach rozumienia ducha ludzkiego. Zanotuję tu téż mimochodem, — chociaż nie ma to osobliwszego związku z olbrzymią ideą przewodnią I-széj téj sceny — radę Syzyfa, jak wydobyć światło, które zawsze samemu sobie krzesać trzeba". „Uderzaj mocno rzeczy podobne do siebie", nie dbając, „że się coś strzaska: Człowieka o Zeusa naprzykład. Jeśli człowiek wytrzyma, to będzie miał z tego taką jasność, że to ha!..."

Prometeusz. Kiedy głaz w górę toczysz i oczy podnosisz za nim, czy widzisz jasność... tam wysoko?...

Syzyf. Ja wtedy zamykam oczy, bo się żwiry na mnie sypią. Zresztą, gdybym wyżéj dojrzał, możebym i głazy wyżéj musiał toczyć...

Wysłuchawszy jako „bajki pięknéj" opowiadania Prometeuszowego o słońcu, księżycu, gwiazdach i zorzach, pyta Syzyf: „Czy wy tak bardzo szczęśliwi jesteście... że wam do oglądania tego szczęścia tak mocnych, tak licznych, aż boskich świateł trzeba? — Prometeusz. Przeciwnie! Ród mój jest nieszczęsny... — Syzyf. Czy także głazy toczy? — Prometeusz. Gorzéj!... On toczy myśli swoje (wolę... ducha), a myśli... wola... duch... staczają się na dno. Szczytem jest Zeus, skałą życie, dnem nicość.

Wielka tu siła i wyraźność myśli. ale Konopnickiéj w dalszym ciągu nie udaje się utrzymać na jednym i tym samym punkcie widzenia. Pominąwszy drobne sprzeczności, jakie dałyby się wykryć już w samém „Przed wiekami", przejdźmy do sceny II-giéj „Po wiekach". Stanowi ją monolog Prometeusza, któremu udało się właśnie ukraść

„jeden z siedmiu gromów, co stopy Zeusowi liżą” (?). Gadanie to nie natchnione, w którém nosiciel „iskry życia i nieśmiertelności” nadaje sobie tuzin tytułów, jakiemi obdarzy go niechybna sława nieśmiertelna u ludzi. Plączą się tu pojęcia, to o Chrystusie, to o Prometeuszu z mitologii przemieszane z bardzo ludzkiemi pierwiastkami. Gmatwanina to jednėm słowem nie do rozplątania.

III-cia scena jest już po męce, z której Prometeusza wybawia iskra ukryta w sercu, do którego „sęp darmo sięgał”, iskra wyglądająca na miłość. Dawca światła staje nad przepaścią i zdziwiony jéj ciszą, woła do Syzyfa i słyszy w głębi w odpowiedzi jęk: „Przeklinam ciebie!” — Prometeusz. Za co? — Syzyf. Czekaj. Niechno się podniosę... — Prometeusz. Przywaliła cię skała? — Syzyf. Sam padłem. Z rozpaczy rzuciłem się na samo dno przepaści i głowę ukryłem w prochu. Skrzywdziłeś mnie, orle!... Od czasu, jakieś mi powiedział o światłach owych... spokoju nie mam... szukam ich, pożądam, chcę ujrzéć... Wieki minęły, na rzęsach moich zeskorupiały powietrzne pyły, a ja patrzę w górę... Ale świateł owych nie widzę. Pogasły może?... Pocóżeś mi mówił o rzeczach pięknych... których oglądać nie mogę... Dawniéj było spokojnie. Ciemność była dla mnie, a ja dla ciemności. Znałem ją... Cokolwiek nie było mną i głazem, nią było... [1]) Teraz głaz toczę i patrzę. Nie na głaz patrzę, tylko oczyma owych świateł szukam, a głaz mnie kaleczy. A potém głazy zrobiły się cięższe. Czy może przepaść głębsza... Dawniéj... toczyłem głaz po głazie i nie przykrzyłem sobie téj roboty. Teraz rozważam. Teraz mi ramiona mdleją, teraz się ociągam, sam nie wiem d l a c z e g o... Skorpiony po ciele mojém chodzą, i niedźwiadek lega ze mną, i żmija okręca się około nogi mojéj, a szkody mi nie czynią, lecz to jedno słowo (dlaczego) zabiło mnie... Zdawało mi się dawniéj, że toczę głazy z własnéj mojéj woli; toczę, bo toczę... Teraz wiem, że w pracy mojéj jest przymus i rozkaz... konieczność jakaś... czuć, jak ci ręka czyjaś pierś uciska... Oddech—ten cię nie boli, nie wiesz o tém, jest tobą. Lecz gdyby cię do każdego tchnienia kto przymuszał... Gdybym choć wiedzieć mógł, że jest coś! Ale może nie ma nic. W ciemności widzieć nie można, czy co jest, czy nie ma. Lecz jeśli nie ma—nic jest w takim razie. Nic, któremu służę... które mi rozkazuje... jest panem czegoś... lecz w takim razie ja także chcę być niczém. To proste!

Rozumiejmy już w Syzyfie nie demos, ale ludzkość, w Prometeuszu zaś jakieś okrutne pół-objawienie bóstwa lub nawet czas, a scena ta przejmie nas chwilami grozą swego pesymizmu, chociaż w granicach

[1]) Obraz ten nieświadomości i niewiedzy przeczy Syzyfowi ze sceny I-széj.

potrzeb wyłącznie idealnych zacieśnionego. Ma to być niby świadomość filozoficzna swéj nieświadomości i niewiedzy, w nic jednak, niby świadomość absolutna, obracająca wszelkie przyzwyczajenie, wszelki instynkt, wszelką odruchowość. Scena ta rzecz przedstawia tak: wszystkie dawne punkta oparcia—zwalone, a nowych nie ma i ludzkość zapada w otchłań rozpaczy.

Naturalnie byłoby to rzeczą do pewnego stopnia podziwu godną, gdyby było pisane przed Chrystusem, bo już musi się wydać zamało głębokiem teraz, kiedy najzawodowszy pesymizm nietylko za źródło mąk myślenia oderwanego („dlaczego?") nie uważa, lecz wraz z wrażeniami estetycznemi ma je za wyjęte z pod przekleństwa cierpienia, kiedy po najusilniejszych szperaniach w naturze, duszy i życiu ludzkiém ujrzał się on zmuszonym oprzéć koncepcye swe złowrogie na analizie niewolnictwa człowieka względem dwóch dzielących go między siebie instynktów ślepych: samozachowawczego i zachowania rodzaju. Dlatego téż, nie mówiąc już o Schopenhauerze i Leopardim, nawet najsuchszy i najkompletniejszy kompilator czy eklektyk pesymizmu i Hartmann, swą analizą życia i określonością jéj — sprawić musi na czytelniku nieskończenie głębsze wrażenie.

Położywszy jeszcze nacisk na to, że niezręczne to wprowadzenie do rzeczy owego pierwiastku „dlaczego?" przypomina manierę poetki z małowierszykowych deklamacyi—przejdę do tego, co następuje.

Dalej Prometeusz opowiada sam sobie, jak wiele (!) z iskier ukradzionych rozdał on ludzkości, w której zrodziły one, udoskanalając moralnie i umysłowo, „siły nowe", którą uszlachetniły przez ideał niby; wreszcie mówi, jak go ostatnia iskra—miłości jakoby — wybawia od męki; Zeus bowiem, nie chcąc saméj iskry téj zniszczyć gromem (a więc ona była zniszczalną?!), zabijając Prometeusza (a więc on nie był nieśmiertelnym?!), uwolnił go, widząc co się dzieje: „iskra gorzała nad wiecznemi śniegami Kaukazu tak wielką łuną", że ludzie się budzili, i podnosząc głowy mówili: „Prometej tam żyw jest! Prometej tam kaźń cierpi! Prometej świeci w męce!" I stało się, że pojęcie życia i męki, męki i blasku zórz, kaźni i najwyższéj chwały złączyły się..." Koniec tego ustępu, niby z ust Krasińskiemu wyjęty, piękny jest, całość jednak jego uderza swemi sprzecznościami i brakiem zupełnym poczucia nieskończoności, wieczności, nieśmiertelności. Wyobraźnia starożytnych podniosła się ponad Olimp i Zeusa do Ananke [1], ale Konopnicka nawet po doskonale utartéj drodze tak wysoko wnijść się nie może.

---

[1]) Wiktor Hugo z niepojętą szczytnością i jasnowidzeniem maluje niejednokrotnie w „Legendach wieków" ten krok naprzód w wyobraźni ludzkiéj. Ciśnie

Ostatnia owa iskra dostaje się „mocnemu a ślepemu Syzyfowi, a „Po wiekach" dawca jéj, ciekawy dobrodziejstw, jakie z niéj na tytana spłynęły, idzie na nową z nim pogadankę i zastaje go już siedzącym na miejscu, na którém dawniéj on sam stawał. Syzyf przyjmuje go drwinami i śmiechem, dziwi się jego małości, przezywa rozdawcą „jasełkowych" świeczek, pyta z ironią, czy nie przychodzi go on znów „zaczadzić" i wreszcie opowiada taką historyę o owéj iskrze, która z miłości staje się czystą i zimną świadomością siebie i świata zewnętrznego: „kiedyś ją (iskrę) rzucił tam do mojéj dziury, zrobiło mi się nagle jasno, ale to tak jasno, żem o kęs nie oślepł na piękne. ...I zobaczyłem, że to co miałem za głazy było nędzą, za szczyt.. — głupotą, za przepaść — krzywdą. Padłem tedy i gorzko płakałem... Potém... rzekłem. Nie jest nigdy ciężar nędzy większy nad głupotę, ani krzywda nie jest głębszą nad nią [1]). I podniosłem się... i zobaczyłem, że ta jaskinia, którą... miałem za świat cały, jest sobie lichą budą... Rozwaliłem ją... kopnięciem... i wytknąłem głowę... Było przeraźliwie jasno. Wielkie to światło, o którém mówiłeś, że dniem rządzi, świeciło mi prosto w oczy, zrazu podnosząc się w górę, a potém staczając się na dół. Patrzyłem ciągle. I wyszło z... nizin światło blade, które rządzi nocą; i to w górę szło nad głową moją, a potém stoczyło się na dół... Patrzyłem dzień... noc... i znowu... i znowu... i jeszcze... Wiész, co ci powiem? Przekonałem się, że niebo, Olimp, to taka sama jak moja, tylko szczytem na dół odwrócona przepaść, że Zeus jest w niéj takim samym pachołkiem, jakim ja w mojéj dziurze byłem, i że te wszystkie światła, to poprostu większe i mniejsze głazy, które on w górę toczy, i które ciągle spadają... Opanował mnie śmiéch. A potém znów padłem i płakałem... Przepadało coś, ginęło, rozdzierało się we mnie!... Aż i to przeszło. I ból jest głazem, który się przez pierś toczy i opada... I czas... I wszystko... wszystko... Więc kiedym to sobie rozważył, zadziwiłem się wielkiéj nędzy świata..."

Ano, to już ma być chyba przyszłość ostateczna ludzkości, brak może jeszcze jednego tylko ogniwa, które, dzięki strasznéj gmatwaninie, dostało się do poprzedniéj sceny: wytężenia zbiorowéj woli ludzkości skierowanéj ku osiągnięciu niebytu. Występująca tu świadomość bezwzględna nadzwyczaj źle jest odgraniczona od mającéj uchodzić za

mi się do pamięci wiele przykładów, pozwolę sobie jednak wspomnieć tylko „satyra" i tego przywalonego przez bogów ciężarem Olimpu tytana, co to przedarłszy się przez całe łono ziemi i ujrzawszy nieskończoność po za nią, wraca i trafiwszy na ucztę wesołą nieśmiertelnych, woła: „O bogowie! jest Bóg!"

[1]) Mam to za paradoksalno-filozoficzny dowcip.

stosunkową, a nawet może zarodkową w scenie poprzedniéj. Zresztą cała ta koncepcya z wyżyn nadobłocznych spadnie natychmiast ostatecznie w pyły ziemskie.

Ale przejdźmy do zakończenia: Prometeusz dowiaduje się, że iskra jego posłużyła do podpalenia sąsiedniego miasta — nie wiadomo jak—i rzuca następującą klątwę Syzyfowi:

„Iżeś boskiego ognia w pierś nie wchłonął, a ziemi zeń pożogę uczynił. Iżeś do góry za światłem nie rósł, ale rzeczy górne do siebie ściągnął—na wiek, na dwa, na dwakroć po tysiąc lat oddaję cię... bezruchowi głazów..."

Zakończenie to ostateczny chaos wprowadza w całość. Nagle ni stąd, ni zowąd Prometeusz przetwarza się w coś przypominającego Hrabiego, Syzyf—Pankracego z „Komedyi Nieboskiéj"; nagle z wyżyn czystéj filozofii zstępujemy do czegoś wyglądającego na chęć fatalną, a należącą gwałtownie skądinąd najszczerszym wierzeniom Konopnickiéj-humanistki, chęć wykazania, że światło świadomości tylko do zbrodni może pobudzić do demosu podobnego Syzyfa.

A możeby kto chciał koniecznie widzieć i tu, jak i w scenie III-éj, w tytanie-kamieniarzu ludzkość całą. Za cóżbyśmy w takim razie musieli mieć poprzednią błagę Prometeusza o dobrodziejstwach siły w harmonii i miłości, jakie spłynęły na ludzkość za jego sprawą. Zresztą, czémżeby wtedy był sam Prometeusz? Bogiem chyba, ale jakimś bardzo naiwnym, bo karzącym po ludzku, marnie po ludzku, za to, co sam—nierozwagą swą, nierozumieniem, nieprzewidzeniem — napsocił. Zapewne i z Prometeuszowém, tak daleko sięgającém ograniczeniem trudno się pogodzić, ale zawsze łatwiéj.

Daléj pozostają otwartemi pytania: 1) co oznaczać ma w przenośni téj—zaklęcie w głazy demosu czy ludzkości — Syzyfa? Gdyby to jeszcze wyglądało na zatracenie wszelkiéj myśli we wszechświecie, w ziemi upostaciowanym, zatracenie na wieczność!... 2) A cóż będzie po upływie owego terminu zaklęcia, na który w naiwności swéj odrazu zdecydować się Prometeusz nie może, a który wobec całego tego sypania wiekami, nie mówiąc już o nieskończoności, bardzo jest jakoś niepokaźny.

Ale zanadto się w to wszystko zagłębiamy. Sceny te nawet każda zosobna znaczenia twórczego nie mogą mieć oczywiście ani pod względem filozoficznym, ani estetycznym. Co się zaś tyczy całości, to—nieustanne chwianie się punktów widzenia autorki, sprowadzające podstawianie coraz nowych lub innych pojęć pod jedne i te same symbole; przerzucanie, prześlizgiwanie się, lepiéj powiedzieć z niby-filozofii, naprzemian makro- i mikrokosmicznéj—na niby-socyologią, wytwarza-

ją taki chaos sprzeczności, że o wartości „Prometeusza i Syzyfa” nie ma możności nic określonego powiedzieć.

Rozwiodłem się nad tém tak szeroko głównie dlatego, że nigdzie tak wyraźnie, jak tu, nie uwydatnia się niezdolność ducha poetki: 1) do skupienia się na jakiéjkolwiekbądź wielkiéj koncepcyi, chociażby nawet cudzéj; 2) do ujęcia pierwiastka wielkości w myśli oderwanéj, któréj tak wiele daje ona miejsca w swych pismach.

XII.

Cóż mi jeszcze pozostaje? Streścić się chyba. Postaram się uczynić to w kilku słowach. Analiza ścisła wszystkich utworów Konopnickiéj podzieliła mi je na piękne i nie-piękne. Przyglądając się pierwszym dostrzegłem: 1) że trzymane są one niezmiennie w tonie jednego tylko uczucia-smutku; 2) że obejmują zawsze tylko bardzo mały zakres życia rzeczywistego czy idealnego; 3) odznaczają się jakąś cichą prostotą, jakąś szlachetną i skromną miernością. Z drugiéj zaś strony w utworach nie-pięknych widzę ciągłe, a nadaremne wysiłki, dyktowane przez chęć: 1) albo objęcia odrazu szerokich widnokręgów życia czy myśli, co doprowadza do dysharmonii i sprzeczności; 2) albo wyjścia z granic smutku w dziedzinę humoru, czystego myślenia, lub jakiegokolwiek rodzaju wielkości, co uderza niesmakiem, przesadą, pretensyonalnością, karykaturalnością nawet czasem.

Z tych danych rodzi się jako wniosek hypoteza: niewątpliwie istniejące światło natchnień poetki przelotne jest i małe, uniemożliwiające przyjrzenie się rzeczom wielkim i przyglądanie się z ową „długą cierpliwością” jakimkolwiekbądź rzeczom; samo zaś to światło — jest owém jedynem uczuciem, stanowiącém ton główny wszystkich pięknych jéj utworów...

Józefat Nowiński.



PODMUCH Z PÓŁNOCY.

(„MŁODA SKANDYNAWIA" I OLA HANSSON.)

SZKIC.

W każdéj literaturze pojawia się od czasu do czasu prąd, przeciwny dominującym i uznanym przez większość kierunkom.

Przybiéra on zwykle miano literatury „młodéj." Wszyscy wiedzą, co znaczą „młode Niemcy," „młoda Francya" i t. p. I myśmy przecie mieli swoją „młodą" prasę; ba, nawet w Indyach nowoczesnych partya krajowców, sympatyzująca z ideałami cywilizacyi anglo-saskiéj, przybrała nazwę „młodéj Bengalii!" Otóż „młody" pisarz szwedzki, Ola Hansson, wystąpił niedawno z książeczką, zawierającą charakterystyki kilku głównych autorów skandynawskich, mających jakoby reprezentować „młodą Skandynawię." Właściwie mówiąc epitet „młody" był już raz w wieku XIX w krajach północno-germańskich stosowany. Wprowadził go pomiędzy 1830 a 1840 r. poeta Wergeland, przywódca „młodéj Norwegii" i autor poematu filozoficznego p. t. „Stworzenie świata, Człowiek i Messyasz." Ideały owoczesnéj „młodéj" Norwegii różniły się nieco od ideałów dzisiejszéj „młodéj" Skandynawii. Wergeland dążył do wyodrębnienia i uwolnienia literatury norweskiéj od wpływów obcych a specyalnie duńskich. Ideałem politycznym tego pisarza i jego partyi była republika chrześciańska. Przeciwko szowinizmowi Wergelanda wystąpił wówczas Welhaven (ur. 1807), dowodząc, że byłoby grubym błędem zrywać węzeł, łączący cywilizacyę norweską z kulturą duńską, zwłaszcza, że język literacki obu

narodów jest ten sam. Spadkobiercą duchowym Wergelanda jest, do pewnego stopnia, Björnsen; walkę przeciwko ciasnocie czysto norweskich aspiracyi objął po Welhavenie — Ibsen, który, opuściwszy swoją ojczyznę na zawsze, nie szczędzi jéj w swoich utworach gorzkich prawd i wyrzutów. Zresztą seperatyczne dążenia Wergelanda nie znalazły oddźwięku na długo.

Wprawdzie Norwegia dąży dzistaj do zniesienia unii ze Szwecyą, idzie tu jednak więcéj o kwestye polityczne i dynastyczne, niżeli o zerwanie duchowego łącznika wiążącego oba narody. Każdy Duńczyk, Norweg i Szwed czuje się — skandynawem.

Dzieła Norwega, Ibsena, wychodzą na widok publiczny w Kopenhadze; Szwed, Strindberg, w tém samém mieście wystawiał swoje dramaty. Każda książka, pojawiająca się w jednym z trzech krajów, omawianą jest przez wszystkie dzienniki skandynawskie. Wielu uczonych lingwistów pracuje ciągle nad wprowadzeniem wspólnéj ortografii dla wszystkich trzech języków. Słowem, tradycye Unii kalmarskiéj po trzech z górą wiekach nie zaginęły jeszcze na północy! Przecież jednym z najgłówniejszych powodów, dla jakich Ibsen opuścił ojczyznę, było oburzenie na ziomków za to, że nie pospieszyli na pomoc Duńczykom w roku 1864!

W myśl téj jedności duchowo-plemiennéj Ola Hansson wybrał na przedstawicieli młodéj Skandynawii po jednym poecie z każdego narodu. Darmoby jednak szukał tam kto najgłówniejszych a przynajmniéj najgłośniejszych: Ibsena i Björnsena. Dla Hanssona są to już „starzy.” Oni wprawdzie pierwsi zerwali z romantycznemi tradycyami dawnéj estetyki: oni pierwsi sprowadzili poezyę z obłoków na ziemię i, porzuciwszy bohatérskich wikingów, których fantastyczne dzieje odtwarzali w pierwszych swoich utworach, wzięli się do portretowania ludzi współczesnych.

Wszystko to jednak nie wiele wzrusza Hanssona. Björnsen dla niego jest przeciętnym pół-chłopem i pół-pastorem norweskim w dobrym gatunku. Posiada on wielki talent, ale słabą inteligencyę; jest to gorące serce, lecz głowa ciasna. Występując jako wieszcz, prorok, przewodnik i mówca na zebraniach ludowych, nie bronił Björnsen nigdy idei najnowszych i zrozumiałych tylko dla garstki wybranych, ale zawsze propagował doktryny dnia wczorajszego, teorye, które zaczęły się już stawać własnością ogółu. Autor „Rękawiczki” nie utorował sam ani jednéj nowéj ścieżki, umiał jednak wędrowców idących do wskazanego przez innych celu, zachęcać pełnemi uczucia piosenkami i grzmiącemi mowami:

Osamotniony i obrzucony błotem obrońca prawdy, dr. Stockman

(„Wróg ludu") stanowi absolutną antytezę Björnsena, który się czuje silnym wtedy tylko, kiedy ma za sobą ową „głupią, przeklętą, zwartą większość." Sąd ten, aczkolwiek bardzo surowy, jest jednakże dość słuszny.

Trudniéj już przychodzi Hanssonowi zetrzéć w proch potężną i oryginalną indywidualność Ibsena. Autor probuje różnych środków. Na początku, żeby dobrze usposobić czytelników, podaje opis karykatury przedstawiającéj autora „Nory," jako samotnika, siedzącego na skale morskiéj: „olbrzymia grzywa otaczała jego mieszczańskie oblicze a z ponad okularów wyglądała para oczów, patrząca w przestrzeń z wyrazem niezgłębionéj głupoty." W dalszym ciągu nazywa autor Ibsena „ślimakiem, który, samotny, jako człowiek, apokaliptyczny, jako poeta, siedzi w swojéj skorupie." Wszystkie te niesmaczne porównania nie naruszą sławy pisarza, który popchnął tak silnie naprzód ewolucyę współczesnego dramatu. Nienawiść autora broszury do twórcy „Wroga ludu" jest tém dziwniejsza, że w gruncie rzeczy, zarówno arystokratyczne poczucie samotności i pogarda tłumu, jak i wiele innych właściwości Ibsena, zlewają się z nitscheańskiemi ideałami najwybitniejszego przedstawiciela młodéj Skandynawii, Strindberga, którego Hansson niezmiernie wysoko stawia. Tak, ale Ibsen w „Norze" domaga się równouprawnienia kobiéty, co — jak zobaczymy późniéj — stoi w krańcowéj sprzeczności z duchem filozofii ulubionego proroka młodéj Skandynawii — Nitzschego.

Ze starszéj generacyi uwzględnił Hansson tylko Brandesa i to nie tyle, jako oryginalnego pisarza, ile jako pośrednika i kolportera nowych prądów, oraz propagatora doktryn wszystkich europejskich mesyaszów naszego stulecia od Hegla do Nitzschego włącznie.

Główne prądy Brandesa nazwała niedawno „*Revue de deux mondes*" „użyteczną kompilacyą, którą jednak lada dzień jakiś inny kompilator może uczynić niepotrzebną, uporządkowawszy ten sam materyał według lepszéj metody." Surowemu temu sądowi można przyznać słuszność — jeżeli będziemy oceniać dzieło Brandesa ze stanowiska ogólno-europejskiego. Dla zapleśniałych w romantyzmie Skandynawów atoli praca ta była w swoim czasie rodzajem objawienia. Autor nietylko zapoznał swoich współziomków ze współczesną literaturą Zachodu, ale przy téj okazyi wpłynął na ich poglądy polityczne, szerząc doktryny liberalizmu, oraz na estetykę, propagując — realizm.

Postępowiec Uchermann, jeden z bohaterów w „U Mamy" Garborga, dając swojéj przyjaciółce dzieło Brandesa mówi: „Kiedy się przeczyta tę książkę, zrozumié się dopiéro swój czas! I Fanny czytała a Uchermann robił komentarze. Otwiérały się przed nią wszechstron-

ne horyzonty... a przytém wszystko postępowało naprzód bezustannie, ten Brandes był wspaniały! a przytem tak był rozsądnym w kwestyi kobiécéj!" Ta lekko ironiczna pochwała subtelnego Norwega doskonale maluje wpływ i urok, jaki dzieło Brandesa wywiérało na północy. O to, czy były tam poglądy oryginalne, czy pożyczone, czytelnicy się nie troszczyli, dla nich bowiem wszystko posiadało urok nowości. Ola Hansson doskonale rozumié względną wartość działalności Brandesa i dlatego, chwaląc go jako pośrednika ideowego, nie szczędzi delikatnych przygryzków myślicielowi i człowiekowi, który kilka razy w ciągu lat 20 zmieniał ideały i z obrońcy i krzewiciela liberalnych poglądów Milla, stał się dzisiaj gorliwym wyznawcą radykalnego arystokratyzmu Nitzschego. Pominąć jednak Brandesa nie było sposobu. On bowiem faktycznie był chrzestnym ojcem każdéj nowéj myśli, która się z Europy na północ przedostawała. Pod jego wpływem Ibsen i Björnsen podnieśli hasło równouprawnienia kobiét, za jego inicyatywą także Strindberg głosi dzisiaj różnicę i niższość moralną gatunku „samicy" w porównaniu z „samcem..."

W dalszym ciągu, kreśli Hansson sylwetki trzech wybitnych autorów, czyniąc to z wielkim wdziękiem, ale w sposób „impresyonistyczny" niejako, bez troski o ład i metodę, mieszając wspomnienia osobiste z datami urodzenia i charakterystyką książek, oraz z krajobrazowemi motywami rodzinnych stron każdego z omawianych poetów. Wszystko to czyni broszurkę niezmiernie żywą i zajmującą, ale niezrozumiałą dla niewtajemniczonych w szczegóły dziejów literatury skandynawskiéj, w dodatku Ola Hansson jest doktrynerem mającym w pogardzie wszystko co w ramki jego poglądów nie wchodzi, dlatego czytając te barwne obrazki, trzeba je co chwila kontrolować i porównywać ze źródłami.

Duńskim reprezentantem młodéj Skandynawii jest według Hanssona zmarły w r. 1885 na suchoty Jens Peter Jacobsen [1]). Dlaczego? W utworach jego niepodobna dopatrzyć śladu doktryn, charakteryzujących ten kierunek; Jacobsen, zwolennik Darwina w nauce, był w literaturze artystą nawskroś i o żadne teorye społeczno-polityczne niezda-

---

[1]) Jacobsen Jens Peter ur. 1847 r. w Thistedt koło Lim-Fjördu. Był on z powołania przyrodnikiem; przetłómaczył dzieło Darwina „O pochodzeniu gatunków" i napisał kilka znakomitych rozpraw botanicznych, z których jedna została nagrodzoną przez akademię. Prac beletrystycznych, zostawił niewiele; kilka drobnych nowelek („Mogens," „Strzał we mgle," „Dwa światy," „Zaraza w Bergamo," „Pani Fönss" i „Tutaj powinny kwitnąć róże") oraz dwa większe romanse „Marya Grubbe" i „Niels Lyhne." Do literatury wprowadził Jacobsena Brandes, z którym łączyły go do śmierci bliższe stosunki przyjaźni. (Cf. Wstęp do niemieckiego przekładu Niels Lyhne Wolffa, oraz Schweitzer Gesch. der Scandin. Litter.).

wał się troszczyć. Na zarzut ten odpowiada Hansson: — on pierwszy wprowadził do beletrystyki skandynawskiéj poczucie natury, malowniczość i psychologię, należy tu dodać, że była to psychologia bardzo subtelna, ale zabarwiona patologicznie. Najpopularniejszy jego bohatér, Mogens, jest sympatycznym półwaryatem; Niels Lyhne — współczesną odmianą Hamleta, w którym tęsknota za czémś niepochwytném zabiła zupełnie prawie wolę. I Marya Grubbe, wędrująca z ramion księcia krwi pod dach przewoźnika, także do najzdrowszych natur nie należy. Ale ta właśnie chorobliwość pociąga Hanssona, który sam, jak zobaczymy, ujawnia w swoich nowelkach i obrazkach jakąś mistyczno-erotyczną newrozę. Zauważyć tu należy dla dokładności, że psychopatyczne postaci Jacobsena różnią się nieskończenie od analogicznych figur romansu francuskiego. Są to natury nadczułe, chore, jak ich twórca, dziwaczne i grzeszne, ale mimo to sympatyczne, autor bowiem przeduchowił ich chorobliwość; nie oblepił ich od stóp do głów kałem i błotem i nie pozamieniał w dwunożne zwierzęta.

Norweskim przedstawicielem młodéj Skandynawii został mianowany Arne Garborg[1]. Jest to subtelny umysł i talent olbrzymi. Ulubionym, a w gruncie rzeczy nawet jedynym jego tematem, jest kreślenie nędzy — nie materyalnéj, broń boże! — lecz moralnéj, do jakiéj prowadzi dzisiejszych ludzi inteligentnych kultura i chaotyczne doktryny współczesne. Daniel Brant, Gram, Fanny i inni są to wszystko prawie „dusze znużone," miotane przez fale życia i nie mogące zawinąć do portu. Jednym z nich brak do tego siły, innym wiary w jakiś pozytywny ideał, innym wreszcie przeszkadzają okoliczności materyalno-społeczne. Po długiém szarpaniu się, każdy z nich grzęźnie w jakiémś bagnisku i zaczyna wegetować bezmyślnie, albo téż przeradza się z czciciela ideału w sługę złotego cielca. Na tło tych indywidualnych historyi, rzuca Garborg z boku tysiące refleksów, charakteryzując w sposób szkicowy, lakoniczny, ale mimo to niesłychanie dosadny, wszystkie prądy, nurtujące dzisiejsze społeczeństwo. Pod pozornym obiektywizmem jego stylu, pulsuje zjadliwa ironia. Ibsen, wydrwiwszy

---

1) Ur. w r. 1861, odziedziczył po ojcu, bogatym chłopie norweskim, który cierpiał na manię religijną, skłonności do neurastenii. W młodości układał pieśni i modlitwy, późniéj był nauczycielem ludowym, a wreszcie przeniósł się do Chrystyanii, gdzie pracował, jako dziennikarz; następnie otrzymał posadę rządową, którą stracił za to, że w powieściach swoich niepochlebnie się wyrażał o istniejących stosunkach społecznych; napisał: „Wolnomyślny“ (1881) „Chłopscy studenci“ (1883) „Mężczyźni“ (1886), „U Mamy,“ „Znużone dusze“ i dramat „Nieprzejednani,“ w którym napiętnował zdradę polityczną Sverdrupa. (Cf. Schweitzer Gesch. der Scandin. Litter.).

z wściekłém szyderstwem w „Dzikiéj kaczce" swoje własne ideały, wykazał, że bez „kłamstw", które zwalczał w poprzednich utworach, ludzie dzisiejsi nie potrafią znaleść szczęścia w życiu; Garborg dochodzi na innéj drodze do tego samego rezultatu: ludzkość taka, jak jest obecnie przynajmniéj, potrzebuje zewnętrznego punktu oparcia. Natury grubsze zadawalniają się ordynarném kłamstwem i fałszem; istotom delikatnym, lepszym — potrzeba narkotyków subtelnych i szlachetnych. „Kiedy myślę o życiu, które wiodłam — wzdycha biedna Fanny — i wyobrażam sobie, że to prawdopodobnie tak samo mniéj więcéj iść będzie, zdaje mi się wówczas, że mogę sobie pozwolić wiary w życie po śmierci" [1].

Przy całéj nerwowości, która mu zyskała względy Hanssona, oraz skłonności do malowania świata na szaro, jeżeli nie na czarno, nie jest Garborg bynajmniéj pesymistą metafizycznym w rodzaju Schopenhauera, lub Hartmana, ale raczéj pesymistą etycznym, jak Ibsen, oraz inni pisarze północy, których większość nie twierdzi bynajmniéj, żeby życie było złém samo w sobie, lecz sądzi, że pod wpływem niezdrowych warunków społecznych staje się ono dla wielu prawdziwém nieszczęściem. Usuńmy złe warunki, a szczęście powróci. To też wszyscy prawie współcześni pisarze skandynawscy odtwarzają i rozbierają w swoich utworach wielkie zagadnienia duchowe i społeczne epoki bieżącéj, do których — jak powiada biograf Strindberga, Steffen — „przystępują z ostrym i przenikającym wzrokiem, utkwionym we wszystko, co się już przeżyło, co nie jest już prawdą i z wieszczym darem istnych poetów, rzucających badawcze spojrzenia w daleką przyszłość."

Najwybitniejszym typowym przedstawicielem i rzecznikiem tego kierunku w Szwecyi jest Strindberg [2]), pisarz olbrzymiego talentu,

---

[1]) „U Mamy" przekł. Calierowéj, wyd. „Przegl. Tygodniowego".

[2]) August Strindberg urodzony w r. 1849 w Sztokholmie. Życie jego było tak nerwowe, niespokojne i niejednolite, jak i jego twórczość. W 18-ym roku życia wstąpił do uniwersytetu w Upsali. Brak środków materyalnych zmusił go do porzucenia studyów i do przyjęcia posady nauczyciela ludowego w Sztokholmie. Późniéj był pewien czas pomocnikiem lekarskim, studentem, późniéj aktorem, potém znowu studentem. Następnie dziennikarzem. Od r. 1875—1882 zajmował posadę w bibliotece królewskiéj w Sztokholmie. Późniéj, naraziwszy się opinii publicznéj swojemi utworami, wyjechał za granicę. Pierwszym ważniejszym jego utworem był „Master Olof", dramat ideowy z czasów reformacyi, największy rozgłos atoli zyskał romans realistyczny „Czerwony pokój" (1879), w którym poddał surowéj krytyce stosunki szwedzkie. Podobny charakter nosi „Nowe państwo" i „Małżeństwa", za które wytoczono mu proces o obrazę religii. Daléj idą dramat „Ojciec", „Panna Julia", „Mieszkańcy Hemsö" i „Życie ludu na Scharach,"

a zarazem jedna z najoryginalniejszych osobistości naszego wieku. Charakterystyczne rysy nowszych autorów skandynawskich, jako to: wstręt do obłudy społecznéj, miłość prawdy, skłonność do przesycania poezyi żywiołami etycznemi — wszystko to występuje w dziełach i charakterze Strindberga z niesłychaną potęgą i wyrazistością. Wspomniane cechy jednak malują jedną tylko stronę téj skomplikowanéj organizacyi. Gardząc jak Ibsen, a może więcéj jeszcze, „głupią zwartą większością", nie posiada Strindberg arystokratycznéj wstrzemięźliwości autora „Wroga ludu". Ibsen, z wyjątkiem osobistych protestów przeciwko nadużyciom księgarzy, nie napisał podobno ani jednego artykułu dziennikarskiego, Strindberg nietylko sypał artykuł po artykule, ale i w treści wielu dzieł swoich zamieszczał całe stronice silnie zabarwione publicystyczno-polemicznemi pierwiastkami. Czas należy do publicystyki — to jego hasło. I autor, który z chwilą, kiedy zapomni o doktrynach społecznych, tworzy takie arcydzieła jak „Mieszkańcy Hemsö" [1], gdzie subtelność analizy psychologicznéj walczy o lepsze z nadzwyczajną plastyką i malowniczością opisów; gdzie jest i zdrowy, naiwny humor w stylu Homera i rzewność głęboka; otóż ten poeta „z bożéj łaski" ośmielał się twierdzić, że działalność twórcza — dobra jest do tego, żeby dać człowiekowi kawałek chleba i wypełnić wolne godziny! To wszystko, w połączeniu z jaskrawym materyalizmem poglądów Strindberga, razi Hanssona. Cóż go więc tak pociąga ku autorowi „Ojca" i „Panny Julii". Oto, po za olbrzymiemi zdolnościami, jego „*nitsche*anizm". Strindberg jest krańcowym — jak zawsze i we wszystkiém — zwolennikiem i gorącym propagatorem niektórych poglądów twórcy „Zaratustry". Na tym punkcie rozchodzą się zupełnie drogi „młodéj" Szwecyi i „starszéj" cokolwiek Norwegii. Strindberg nie dość, że gardzi „głupią" większością, ale uważa ją tylko za rodzaj nawozu, który powinien zgnić, żeby na jego powierzchni mógł się rozwinąć i dojrzéć wspaniały, ale rzadki kwiat indywidualnego geniuszu („Czandala", „Na pełném morzu"). Prócz tego, Strindberg jest zaciętym przeciwnikiem równouprawnienia kobiety, w tym duchu przynajmniéj, jak je rozumieją Björnsen i Ibsen. W słynnych nowelach p. t. „Giftas" (Małżeństwa), gdzie z wściekłą, brutalną ironią maluje

---

etc., oraz świeżo wydana „Spowiedź waryata". Prócz tego, napisał bardzo sumienną „Historyę narodu szwedzkiego". Są to właściwie dzieje cywilizacyi szwedzkiéj przedstawione w radykalném oświetleniu. Wydał również autobiografię, coś w rodzaju „Spowiedzi" Rousseau'a. (Cf. Steffen. Aug. Strindberg. Schweitzer. „Gesch. der Skan Litt.").

[1]) Por. przekład niem. Eryka Holma (Reclam).

współczesne — po większéj części nieszczęśliwe — małżeństwa, znajduje się kilka, wymierzonych wprost przeciwko teoryom autorów „Rękawiczki” i „Nory”. W pierwszéj [1] „Nagroda cnoty”—za którą, mówiąc nawiasem o mało się nie dostał na dwa lata do domu poprawy — kreśli typ człowieka, co żyjąc tak, żeby mu żadna czysta i zimna Swawa nie mogła rzucić w twarz rękawiczki — bliskim jest obłędu i umiéra w 28 roku życia [2]. W innéj zatytułowanéj tak samo, jak brzmi właściwy, pierwotny tytuł „Nory” — „Dom lalek” (*Et Dukkehjem*), kreśli humorystyczny obrazek zachcianek emancypacyjnych, które się rodzą w umyśle małżonki kapitana okrętu pod wpływem jednéj z jéj przyjaciółek, wielbicielki Ibsena, które jednak pierwszy podmuch wywołanéj sztucznie zazdrości rozwiewa jak dym. W reszcie nowel rozwija autor szeroko to, co Ibsen zaznaczył lekko w swojéj „Komedyi miłości”. Wyraźniéj i plastyczniéj wypowiedział Strindberg swoje poglądy na stosunek obu płci do siebie w cyklu dramatów realistycznych: „Ojciec”, „Panna Julia”, „Towarzysze” i „Wierzyciel”. W każdym z nich scharakteryzowany został jeden z głównych typów kobiéty północnéj np. zimna, energiczna, czysta, piękna i chciwa władzy megera („Ojciec”), bierna „powierzchnia” odbijająca, niby zwierciadło, charakter mężczyzn, z którymi żyje („Wierzyciele”), wstrętna *virago* („Towarzysze”), oraz zdeprawowana przez dziedziczność i wychowanie i wskutek tego dążąca bezwiednie prawie do hańby i zguby panna z arystokratycznego domu („Panna Julia”).

Wrogi stosunek kobiéty do mężczyzny przedstawia Strindberg także w wydanéj ostatnio „Spowiedzi waryata”, któréj Hansson, piszący w r. 1891-ym, znać, a tém samém i uwzględnić nie mógł. „Ponieważ zostało dowiedzioném — powiada Strindberg w swojéj ostatniéj powieści — że w walce na śmierć i życie pomiędzy dwoma ludami zwycięża zawsze ten, który ma mniéj skrupułów; ponieważ daléj, mężczyzna przez swoją wrodzoną i zabobonną cześć dla kobiéty, skłonny jest zawsze do jéj oszczędzania, oraz że żywiona i utrzymywana przez męż-

[1]) Korzystamy z przekładu francuskiego: „Les Mariés“, douze caractères conjugaux. Lausanne et Paris, 1885.

[2]) Spór pomiędzy literatami odbił się i w nauce. Uczony lekarz szwedzki, dr. Seved Ribbing, rozbierał w szeregu odczytów kwestyę czystości mężczyzny ze stanowiska fizyologiczno-medycznego i — stanął po stronie Björnsena, rzucając gromy potępienia na Garborga, Strindberga, a zwłaszcza na Olę Hanssona za jego „Sensitiva amorosa“. Tego ostatniego pragnąłby posłać do domu poprawy, uważając, że podobnie zdemoralizowany człowiek nie powinien chodzić swobodnie. Odczyty te wyszły w oddzielnéj książce, którą obecnie wydano i po polsku p. t. „Hygiena płci“.

czyznę kobiéta ma więcéj swobodnego czasu do walki — zważywszy to wszystko, ja biorę tę kwestyę na seryo i zbroję się do walki." Jestto, jak widzimy, pogląd zupełnie niemal identyczny z tezą „Ojca" [1]. „Dla mężczyzny kochać, to dawać", — powiada daléj autor „Spowiedzi" — dla kobiéty kochać, to brać i wyzyskiwać." Najsubtelniejsze argumenty logiczne potrafi ona zbić tym stereotypowym a pełnym najnikczemniejszéj przewrotności frazesem: „tak, teraz widzę, że mnie już nie kochasz!" Aksel, bohatér „Spowiedzi waryata", głośny dramaturg i romansopisarz, a zarazem — podobnie jak Strindberg — bibliotekarz w Sztokholmie, pokochał żonę jakiegoś barona. Miłość idealna przeszła powoli w zmysłowy romans. Baronowa rozwodzi się z mężem i Aksel, pomimo że zaczął poznawać jéj charakter, zaślubia ją jednak. Ona zdradza i drugiego małżonka, Aksel wié o tém, gniéwa się, nienawidzi, bije ją nawet, ale mimo to zawsze tęskni do jéj uścisków i zawsze ją kocha. „Tyś silniejsza odemnie — woła — poddaję ci się." Wreszcie, doprowadzony do ostateczności, sprzedaje obrączkę ślubną i otrzymane pieniądze oddaje ladacznicy ulicznéj w zamian za płatne pieszczoty... Spełniwszy ten czyn „heroiczny", Aksel opowiada go żonie. „Zemściłem się — woła — jesteśmy wreszcie skwitowani, a teraz możemy rozpocząć n a n o w o." Valbert (Cherbuliez), który analizował ten romans w listopadowym zeszycie *Revue de deux Monde*, traktował go jako rodzaj bourgetowskiéj *Cruelle enigme* w stylu północnym. Jest tam i to zapewne, ale i coś więcéj jeszcze, a mianowicie jeden z epizodów odwiecznéj walki pomiędzy płciami, w których dotychczas zwyciężała zawsze kobiéta, jako istota niższa moralnie, a zatém pozbawiona delikatności i skrupułów rycerskich, które krępują mężczyznę.

Dla uzupełnienia obrazu młodéj Skandynawii, musimy do tych trzech sylwetek dodać czwartą — samego Oli Hanssona. Z tego, co go pociąga, lub odpycha w działalności starszych towarzyszów broni, można już wywnioskować, że jest on przedewszystkiém zwolennikiem literatury nerwowéj, subtelnéj, chorobliwéj nawet, oraz że uwielbia Nitzschego. W sposób systematyczniejszy wyłożył Hansson swoje poglądy w szeregu artykułów, z których jeden („Materyalizm w literaturze") dołączono do polskiego przekładu „Młodéj Skandynawii." Wyraźniéj jeszcze wypowiedział on się w innéni studyum, nie tłómaczonem

---

[1]) Laura w „Ojcu" w ten sposób przemawia do swego męża, któremu chce odebrać władzę nad dzieckiem: „Miłość to walka dwóch płci. Jam się w téj walce tobie nie poddawała, przeciwnie używałam cię za narzędzie do tego, co mi się należało i czego sama chciałam" (Akt II, scena VII, przekład Suessera).

dotąd u nas, a drukowaném w kilku numerach czasopisma berlińskiego *Gegenwart* (1891 r.) p. t. *Friderich Nietzsche und der Naturalismus.*

Na zasadzie tych dwóch prac można będzie scharakteryzować system estetyczny historyografa młodéj Skandynawii. Przed przystąpieniem do tego rozbioru jednak postaramy się zapoznać czytelnika z twórczością poetycką Hanssona, to bowiem ułatwi nam niezmiernie zrozumienie jego ideałów w dziedzinie sztuki i literatury. Dzieła uczucia i fantazyi lepiéj odzwierciadlają wnętrze człowieka, niżeli utwory, w których przeważa obserwacya i rozumowanie. Hansson [1]) znany jest w literaturze jako autor małych obrazków, w których nastrój—zwykle chorobliwy i ponury — przytłumia, a nawet pochłania najzupełniéj kontury postaci i przedmiotów. Weźmy np. taki „Taniec śmierci", a bierzemy pierwszą lepszą nowelkę, bez wyboru, wszystkie bowiem podobne są do siebie, jeżeli nie jak dwie krople wody, to jak dwie siostry bliźniacze.

Zaraz pierwszy okres, w którym autor rzuca tło krajobrazowe, zapowiada, jaki będzie charakter całego utworu: „Pewnego wieczoru lipcowego, kiedy cała n a t u r a zdawała się mieć g o r ą c z k ę, znaleźli się oboje sami na skraju lasu. Dzikie i zimne podmuchy wichru przeszywały od czasu do czasu pałający żar; wysoko w górze, w przestrzeni, ponad nimi pędziły obłoki, niby olbrzymie ptaki fantastyczne, a słabe błyskawice rozjaśniały południową stronę widnokręgu." On— bohatérowie Hanssona są prawie zawsze bez imienia — otóż on siedział na pniu drzewnym i patrzył na nią i „zdawało mu się, że ona zézowała na niego wzrokiem klowna. I doznawał takiego wrażenia, jakby mu odjęto wierzch czaszki: mózg leżał odkryty i nagi, a zimne, gładkie, cieniuchne ostrze stalowe zanurzało się w nim powoli." Gorączka natury przenika w żyły mężczyzny: przed jego wzrokiem suną szeregi widm, wcielające rozpustę, lub — szaleństwo. Patrzy na swoją towarzyszkę i widzi, jak jéj formy się roztapiają, rysy twarzy miękną, skóra bled-

---

[1]) Szczegółów dotyczących życia i rozwoju duchowego Hanssona posiadamy bardzo niewiele. Wiemy tylko, że w r. 1884 był studentem w uniwersytecie lundzkim i brał udział w demonstracyi na cześć Strindberga, który powracał, uniewinniony ze Sztokholmu. W r. 1887 wydał zbiór nowel p. t. „Sensitiva Amorosa", który spotkały gorące pochwały i namiętne zarzuty. Potém wyjechał, jak większość poetów skandynawskich, zagranicę, gdyż jak powiada: „My wszyscy, którzy chcemy oddychać swobodnie, nie możemy pozostawać wśród swoich: nostalgia zagranicy narzuca się nam poprostu. Ja od lat pięciu przebywam na dobrowolném wygnaniu i zmuszony jestem pisać obcym językiem. Wygnanie to było jeszcze większém, kiedym był u siebie." Nowelkę rozbieraną w tekście znamy z przekładu niemieckiego Brausewettera.

nieje i cały organizm rozkłada; „i widział zimny żarłoczny ogień w małych bezbarwnych oczach i zimny, głodny uśmieszek, igrający dokoła cienkich bezbarwnych warg.” Począł analizować ten uśmiech, „by zeń wykraść tajemnicę jéj istoty.”

I tak daléj, w tym samym stylu, autor kreśli uczucia półwaryata, który pragnie przeniknąć do tych „tajemniczych dziedzin, kędy dusza kobiéty w śnie zimowym spoczywa” i tęskni za tém „czując chłód zmysłowy okrucieństwa”. Przechodzi lato, zima i jesień, i znowu są razem. On siedzi u jéj stóp i patrzy na jéj uśmiéch, „w którego głębi pojawił się obraz dzikiéj orgii: taniec śmierci, pląsy suchych szkieletów męskich z nagiemi postaciami kobiécemi w stylu Jordaensa.” Obraz ten — przypominający oryginalne płótno Podkowińskiego — zaczyna prześladować mężczyznę, któremu się zdaje, że „wszedł do wnętrza uśmiechu i pogrążał się tam coraz głębiéj, i czuł go na swojéj skórze i w swoich żyłach, niby pulsującą żądzę, która nie prędzéj mogła być nasycona, aż jego własne kości zaczną klekotać w téj dzikiéj orgii, w tym obydnym tańcu suchych szkieletów męskich z nagiemi kobiétami Jordaensa, które harcowały koło niego, sapiąc ze zmęczenia i jurności i ziejąc potem gorących ciał, oraz zimnem trupów.” I pewnego upalnego dnia letniego wszystko zaczyna się kręcić w oczach mężczyzny, ludzie tańczą, z nieba zdaje się spadać ogień i siarka. Potém robi się cicho i ciemno, tylko małe fosforyczne punkciki pływają w przestrzeni. Powoli każdy z tych punktów zmienia się w uśmiechniętą twarz kobiécą, „a wszystkie te twarze zléwają się w jedno olbrzymie oblicze, które wypełnia cały wszechświat swoim okropnym bezmiernie zmysłowym uśmiechem. Mężczyzna zamknął oczy i zaczął machać rękami: kilku przechodniów pochwyciło waryata.”

Przyznaję, że łatwiéj mi przychodziło nieraz streścić trzytomowy romans, niżeli tę stuwierszową nowelkę! Symbolizm utworu, bardzo przejrzysty zresztą, odzwierciadla stosunek dwojga płci w duchu nieczeańsko-strindbergowskim. Nie idea więc, lecz forma jest w tym obrazku nową. Co bowiem autor „Spowiedzi waryata” przedstawił nam przedmiotowo, w akcyi realistycznego romansu lub dramatu, w którym każda z figur miała indywidualność jasno i wyraźnie określoną, to przerodziło się u Hanssona w czysto podmiotową halucynacyę szaleńca, dotkniętego specyalnym gatunkiem erotycznego obłędu; halucynacyę, rozszerzoną do rozmiarów jakiéjś erotyczno-mistycznéj wizyi. Jeden z lekarzy francuskich ogłosił parę lat temu ciekawą rozprawę o nienormalném kojarzeniu się pewnych przedmiotów, obrazów, pojęć i kształtów i t. p. z popędami płciowemi. Zboczenie to otrzymało nazwę „fetyszyzmu miłosnego.”

Hanssonowski bohatér, dla którego cała kobiéta koncentruje się w uśmiechu, jest typowym okazem podobnéj manii. Otóż odtwarzanie niezwykłych stanów psychicznych, nie w formie zimnéj obiektywnéj analizy atoli, lecz w kształcie nastrojowych obrazków o mistycznem zabarwieniu — oto ideał i przyszłość literatury według Hanssona. Ponieważ, powiada on, materyalistyczny pogląd na świat zbankrutował już zupełnie, naturalizm przeto, będący artystycznym wykładnikiem téj doktryny, począł się chylić ku upadkowi. We Francyi przełom nastąpił już dawno, ale do téj pory nie zjawił się tam pisarz, któryby miał zdolności i siłę do stworzenia arcydzieła w duchu nowéj formuły. Jeden Huysmans, zdaniem Hanssona, zbliża się do tego ideału, zapuścił bowiem sondę „w owe najgłębsze tajnie natury ludzkiéj, gdzie okrucieństwo i zmysłowość, popęd do utrzymania gatunku, oraz instynkt niszczycielski stanowią całość niepodzielną." „Drewniany" Rod jest zwyczajnym wstecznikiem, nie zaś nowatorem, chociaż się za nowatora podaje. Więcéj już podobają się Hanssonowi spółkujące widma i ciała astralne Peladana, którego tylko niesłusznie zrobił apostołem budaizmu, gdyż paryski propagator magii chaldejskiéj występuje zawsze jako ultra-katolik i papista. Przywrócenie w literaturze prawa obywatelstwa inkubom, sukkubom i wogóle „widmom", traktowanym choćby jako zjawiska subiektywne, stanowi jeden z zasadniczych postulatów estetyki Hanssona. Wobec tego dziwi nas bardzo, że w spisie ulubionych dzieł nie pomieścił kilku prześlicznych nowel Maupassanta, poświęconych rozmaitym wizyom i halucynacyom („Horla" „Strach" i t. p.).

Naturalizm niemiecki stoi znacznie niżéj od francuskiego. Spóźnił on się o lat piętnaście blisko i pożyje zapewne niedługo, témbardziéj, że zwrot przeciwko niemu zaakcentował się wyraźnie „w pangermańskim ideale cywilizacyjnym rembrandtystów [1]) w obrazach Böcklina i, co najważniejsza w dziełach Nietzschego, który jest według Hanssona poetą przyszłości. Cóż to znaczy „poeta przyszłości"? Oto ten, co posiada szósty zmysł, którym przeczuwa idee, drzémiące jeszcze w łonie czasu. Naturalizm uważał rzeczywistość przedmiotową za wszystko, poeta nowéj szkoły winien wsłuchiwać się we własnego ducha, a wówczas w ucho jego wpadnie głos epok, które nadejść dopiéro mają. Takim był właśnie, według Hanssona, Nie-

1) Zwolennicy poglądów, wyrażonych przez bezimiennego autora broszury „Rembrandt jako wychowawca" (*Rembrandt als Erzieher*), w któréj arystokratyczny indywidualizm przeciwstawiony został demokratycznéj solidarności i koszarowości. Książka ta miała kilkadziesiąt wydań w Niemczech.

tzsche. Księga „Tak mówił Zarathustra” stanowi krańcowe przeciwieństwo z dziełami, które wyszły z pod pióra typowych przedstawicieli naturalizmu: Zoli i Ibsena. Zola traktował fakty i hypotezy naukowe, na których zbudował cykl swoich romansów, zupełnie przedmiotowo, nieosobiście, bohaterowie jego rozwijają się według prawa dziedziczności, jak kamień spada według prawa ciężkości. Wszystko, co się dzieje w romansie, nie wzrusza autora, który stara się wobec opisywanych faktów zachować spokój uczonego. W analogiczny sposób traktuje Ibsen współczesne kwestye i idee: „notuje on dzisiaj jedną, za dwa lata drugą, pozostając zawsze na neutralnym punkcie zamarzania, bez śladu ciepła sympatyi, lub zimna antypatyi osobistéj, kryjąc zawsze wzrok za okularami i kończąc każdą sztukę znakiem zapytania.” Sam przecie określił swoją działalność w ten sposób: „ja pytam tylko — odpowiedź nie należy do mnie.” Otóż Nietzsche, według Hanssona, zjednoczył jakoby w swojéj osobie własności obu tych pisarzy i stanął mimo to na odwrotnym biegunie. Rezultat badań naukowych i ideały cywilizacyjne powinny być nieodłączne od osoby poety. „Stanowią one jedność z jego obnażoną jaźnią: on żywi te dzieci swoje krwią swego własnego serca, jak pelikan.” Teorya naukowa w dziełach Zoli należy już do banalnych, ideały kulturalne Ibsena — to miniatura palących kwestyi i problematów współczesnych, ale idee Nietzschego — to zdaniem Hanssona, na które się nie piszemy wcale, coś zupełnie nowego, zarówno jak i artystyczna forma subiektywnego monologu, którą autor Zarathustry upodobał sobie.

Jak zawsze i wszędzie, negatywna, krytyczna strona poglądów Hanssona przewyższa o wiele pozytywną, organiczną. Scharakteryzował on doskonale błędy naturalizmu, to jednak, co postawił na jego miejsce, posiada zaledwie wartość drobnych i luźnych notatek dla przyszłego twórcy systematu estetycznego. Część ich bezwąpienia zostanie zużytkowaną, ale wiele, a między innemi bałwochwalcze hymny na cześć Nietzschego pójdą w zapomnienie.

Olbrzymi wpływ Nietzschego na północy jest prądem przejściowym, zależnym od warunków chwili. Umysłowość skandynawska przeszła w ostatniém dziesięcioleciu przez kryzys: pełen słodkich obietnic liberalizm okazał się, po zwycięstwie, lichą i ciasną doktrynką, która ani na włos nie posunęła rozwiązania różnych problematów. Chłopi, na których współdziałanie w odrodzeniu społeczeństwa liczono wiele, zaczęli, po wejściu do parlamentu, myśléć o swoich kieszeniach i interesach, nie o ideałach i woleli „zchłopić” cały świat, niżeli go reformować. Gorączka fałszywie pojętéj emancypacyi znowu zrobiła

z kobiét skandynawskich jakieś istoty połowiczne, jakieś histeryczne amazonki, skaczące mężczyznom do oczu, i zalewające literaturę powodzią banalnych frazesów. Słowem, kiedy tęsknie oczekiwana bogini wolności i równości zeszła na ziemię, spostrzeżono, że nie posiada ona majestatu białych posągów greckich, ale przeciwnie, ujrzano jakieś dziwaczne czupiradło „pół-chłopa i pół-bakałarza w spódnicy niewieściéj." Wszystko to przejęło wstrętem ludzi obdarzonych subtelniejszemi nerwami. To też kiedy w r. 1888 Brandes, zmieniwszy po raz trzeci skórę, począł głosić za Nietzschem ewangelię „nadczłowieka", któremu masa kłaniać się powinna, a kobiéta leżéć u stóp jego i brać baty [1])—słowa te rychło znalazły oddźwięk w umysłach młodszéj generacyi poetów skandynawskich, a specyalnie szwedzkich. Zwaliwszy dawną, demokratyczno-altruistyczną zasadę równości, uznali za główny motor i cel ewolucyi arystokratyczno-egoistyczną nierówność. Życie jest walką jednego z wieloma. Wielkomózga arystokracya przyszłości zwalczać musi dwa wrogie żywioły: mięśnie proletaryusza i chytrość kobiécą: głupi a mocny *Vulgus* i podstępną a złośliwą Ewę.

Niektórzy, jak Strindberg, wzięli z nietzsche'anizmu jedynie żywioły etyczno-społeczne; inni, jak Hansson, chcą w swojém dążeniu do zerwania z przeszłością przyswoić literaturze skandynawskiéj i formę i technikę Nietzschego i na miejsce krańcowego obiektywizmu postawić ultra-subiektywizm. Z tego wszystkiego widać, że „Młoda Skandynawia" nie stanowi, pod względem estestycznym, szkoły tak jednolitéj, jak owego czasu romantycy we Francyi, lub choćby „młode Niemcy" w ojczyźnie Heinego.

Wszyscy poeci młodo-skandynawscy—nieżyjącego Jacobsena, jako należącego już do przeszłości pomijamy — nienawidzą istniejących stosunków społecznych i to ich jednoczy; pod względem estetycznym atoli Strindberg i Garborg pozostali przedmiotowymi naturalistami. Hansson zaś propaguje podmiotowy symbolizm, będący kombinacyą pierwiastków nitzscheańskich z elementami dekadentyzmu francuskiego, z dodatkiem psychologii, opartéj przeważnie na badaniach Krafft Ebinga [2]) — a wszystko to pokryte szarym płaszczem mętnego i w gruncie rzeczy, grubo materyalnego mistycyzmu.

---

1) „Du gehst, zu den Frauen? vergiss die Peitsche nicht!" -- powiada popularny dzisiaj i w naszych damskich salonach Nietzsche w „Zarathustrze".

2) Jeden z bohatérów „Sensitiva amorosa," która mogłaby śmiało nosić tytuł „Psychopatia sexualis," powiada: „nic mnie już na świecie nie obchodzi, prócz

Zresztą wspomniani trzej pisarze, oraz pokrewne im grupy, nie mogą być uznani za jedynych przedstawicieli współczesnéj literatury skandynawskiéj. W szkicu swoim o „Materyalizmie” wzmiankuje Hansson, z lekceważeniem wprawdzie, o „nowoidealistach” szwedzkich i duńskich, którzy przed nim jeszcze zwalczali naturalizm w literaturze i sztuce. Jednym z nich jest Einar Christiansen, autor kilku bardzo popularnych utworów. Znamy z nich tylko jeden a mianowicie poemat dramatyczny „Peter Plus” [1]. Jest-to utwór alegoryczno-fantastyczny w rodzaju Fausta, Branda i t. p. Bohatér tytułowy Peter Plus — jak wskazuje jego nazwisko pragnie zawsze więcéj niżeli posiada. W pierwszym akcie widzimy go jako średniowiecznego złotnika-artystę, który rzuca swoją narzeczoną, Elsę i płynie do fantastycznéj wyspy, kędy króluje księżniczka Glorianta, mająca poślubić tego, kto na jéj usta wywoła uśmiéch. Różni książęta i rycerze probują tego napróżno. Peter Plus przybywa w obdartém odzieniu i potęgą swojéj męzkości rozbudza w znudzonéj księżniczce kobiétę. Z chwilą jednak, kiedy ją posiadł, zaczyna tęsknić za czémś innémi: za sławą i bohatérskiemi czynami. W akcie trzecim widzimy go, jak zdobywa sobie królestwo i koronę, ale nudne, codzienne prace i kłopoty monarsze zaczynają go nużyć, a widok człowieka, co umiał siłą woli zwyciężyć chorobę, nasuwa mu myśl zostania — cudotwórcą, któryby nad życiem i śmiercią posiadał władzę. W czwartym akcie bohatér występuje jako pustelnik, do którego schodzą się chorzy. Pełen wiary w siebie Peter Plus pragnie uzdrowić jakąś dzieweczkę, którą niemoc sił pozbawiła i na rozkaz jego chora wstaje z łoża, lecz pada za chwilę zabita wzruszeniem. Tłum się rzuca na nieszczęśliwego cudotwórcę — ale Elsa, którą przeczucie przyprowadza w te strony, zasłania go swojemi piersiami, a Piotr powiada do niéj:

Wiedź mnie ty, silna, twoją miękką dłonią,
Tam, gdzie miłości harmonia panuje.
Co mąż potrafi zdziałać własną siłą —
Robiłem, ale prysła ma potęga...
I czuję teraz: do szczęścia i ciszy,
Zawieść mnie może twoja dłoń jedynie.

---

studyów i rozkoszy płciowych. To studyum i użycie zrobiłem rozkoszną sztuką i to jest jedynym celem mojego życia, żeby tę sztukę doprowadzić do najwyższéj doskonałości. Kładę ją przed sobą na stole sekcyjnym i zanurzam w nią moje badawcze myśli i t. d.”

[1] Przekład niemiecki E. Klingenfeld. Prócz tego napisał Christiansen dramat „Broder Rus“ (1888), oparty na staréj sadze skandynawskiéj i cieszący się podobno wielkiém uznaniem.

Nie bardzo to, jak widzimy, zgodne z duchem Nitzschego! Nawiasem mówiąc, cały ten efektowny scenicznie dramat nie odznacza się wogóle ani oryginalnością motywów, ani śmiałością idei. Są tam reminiscencye z Björnsenowskiego dramatu „Nad siły" i z Ibsenowskiego „Branda," wobec którego zresztą Peter Plus wygląda jak zwyczajny filister. Wszystko to nie przeszkodziło, że dramat Christiansena bardzo się podobał, stwierdzając aforyzm Nitzschego: „każda dobra książka napisana została dla pewnéj grupy swoich własnych czytelników, mierna albo zła książka jest właśnie taką dlatego, że pragnie się podobać wszystkim." Swoją drogą przyznać należy, że nie wychodząc zbytecznie z granic banalności, autor potrafił wyzyskać zręcznie swój materyał a nawet niektóre figury nakreślił z pewną siłą. Kwestya to zresztą podrzędna. Ważniejszém jest to, że obok subtelnych analiz Garborga, wściekłych satyr Strindberga i wyuzdanych wizyi mistycznych Hanssona, pojawiają się utwory podobne i zyskują rozgłos i powodzenie. Dowodzi to, że ogół nie został jeszcze przez młodoskandynawczyków zawojowany. Drugą, również godną uwagi rzeczą jest fakt, że taką samą rolę, jaką w dramacie Christiansena odgrywa symboliczna i blada Elsa, każe Strindberg, w jednéj ze swoich nowel — z autobiograficznym podkładem podobno — odgrywać kobiécie współczesnéj, na któréj łonie znękany nienawiścią tłumu i potwarzami dzienników publicysta-reformator składa swoją głowę [1]. Wogóle kobiéta w poezyi skandynawskiéj występuje bardzo często w charakterze opiekunki, towarzyszki zmęczonego walką i życiem mężczyzny. Dość wspomniéć przecudowną Agnieszkę z „Branda" i Solveig z „Peer Gynta." Nie są to Małgorzaty i Beatrice, wprowadzające grzeszników do nieba, lecz czysto-ziemskie pocieszycielki o macierzyńskim raczéj, aniżeli erotycznym charakterze. Tego rysu nie pozbawił ich nawet nitzscheanizm. Przecież w piersi ohydnéj Laury („Ojciec") widok cierpień dręczonego przez nią męża budzi prawdziwe współczucie. Otóż po téj zdaje się drodze podąży z czasem w Skandynawii kwestya kobiéca ku rozwiązaniu. Nitzscheanizm temu nie przeszkodzi, na północy bowiem różne warunki lokalne, działające od wieków, wytworzyły w ludziach o wiele większą, niż gdzieindziéj potrzebę i poszanowanie życia rodzinnego. Czuć to zresztą z każdego niemal wiersza dzieł nowoczesnych Skaldów skandynawskich. Brand, twardy, szorstki i niezłomny wyznawca zasady „wszystko albo nic," drży jednak na samą myśl utraty Agnieszki. Zresztą sam ostry charakter sporu, oraz bezwzględność postulatów, stawianych przez strony walczące, świadczą najlepiéj o tém, jaką wa-

[1] Giftas V. (nowella p. t. „Rozdarcie wewnętrzne").

gę jéj rozwiązaniu przypisuje społeczeństwo. Ludzie wogóle biorą tam życie na seryo, a dla poetów poezya nie jest tylko igraszką wyobraźni, lecz środkiem etycznego doskonalenia i propagandy. Dlatego nie wątpimy, że mistyczny dekadentyzm Hanssona, o ile znajdzie oddźwięk w Skandynawii, zmieni tam barwę podobnie, jak ją zmienił w swoim czasie naturalizm. Poeci skandynawscy uciekają wprawdzie, jak ongi Byron, z ojczyzny swojéj, ale nie stają się nigdy kosmopolitami, a każdy nowy prąd nabiéra pod ich piórem specyalnego, lokalnego charakteru. Młoda Skandynawia znajduje się jeszcze w stadyum fermentacyi. Dopiéro kiedy szumowiny spłyną na wierzch, a męty opadną na dno, rozpocznie się organiczny proces krystalizacyi i cały kierunek nabierze jednolitości, któréj mu dzisiaj braknie.

Ignacy Matuszewski.



CŁA ZBOŻOWE W NIEMCZECH.

Polityka ceł zbożowych w Niemczech w bieżącém stuleciu da się na dwa odrębne okresy podzielić. Pierwszy od r. 1819, w którym cła zbożowe ustanowione zostały, do zaprowadzenia ceł ochronnych w r. 1874, drugi od tegoż roku aż do naszych czasów. Pierwsze cła zaprowadzone zostały w Prusach 1819 r., istnieją z celem czysto finansowym, dochodowym, a nie prohibicyjnym i nie ochronnym. Cła te małe, bez wpływu na ceny, dochodzą 1824 r. do kulminacyjnego punktu 50 fenigów *pro scheffel* od pszenicy, żyta, jęczmienia, owsa; w 1857 coraz bardziéj się zmniejszają, a od roku 1865 zupełnie upadają i Niemcy stają się krajem wolnym zupełnie od ceł zbożowych [1]).

W pierwszéj połowie bieżącego stulecia nietylko przypływ zagranicznego zboża do Niemiec jest niewielki, ale przeciwnie eksport wszelkich produktów rolnych, mianowicie w półn. Niemczech, bardzo jest znaczny. Rynki angielskie są głównem miejscem zbytu. Połud. Niemcy już w owym czasie prawie zboża nie wywożą: ludność, gęsto tam osiadła, sama je spotrzebować jest w stanie.

---

1) Cła wynosiły za:

	w markach				
	od r. 1819	1822	1824	1857	1865
Pszenica	0,187	0,187	0,50	0,20	nic
Żyto	0,062	0.075	0,50	0,20	„
Jęczmień	0,062	0,062	0,50	0,05	„
Owies	0,031	0,15	0,50	0,20	„

Począwszy od drugiéj połowy bieżącego stulecia zaczynają Niemcy notować coraz większą ilość dowożonego im z zagranicy żyta a zjawisko to z każdym rokiem systematycznie wzrasta. Pszenicę zaś wciąż jeszcze wywożą do Anglii, która, po zniesieniu ceł zbożowych i przejściu do polityki wolno handlowéj, zapewniała zbyt bardzo korzystny. Wzrost ludności, łatwy wywóz i sprzedaż produktów rolnych w Anglii, wpłynęły wówczas znakomicie na szybki wzrost cen i wielki postęp gospodarstw, mianowicie w półn. Niemczech. Wtedy to uwydatniła się zaraz różnica interesu, jaki miały północne a południowe prowincye w utrzymaniu wysokich cen zboża. Północne były wolno-handlowe, zadowolone z łatwego i korzystnego zbytu swego zboża w Anglii, gdzie zarazem mogły tanio wszelkie swe potrzeby przemysłowe zaspokoić. Południowe z ludnością gęściejszą, zatrudnione głównie przemysłem, chcą właśnie zboże im brakujące tanio kupić, a produkty swego przemysłu zbyć drogo. Interes ich leży w zaprowadzeniu ceł ochronnych dla obrony przemysłu swego przed konkurencyą angielską. Równoważenie się tych sprzecznych interesów Niemiec północnych a południowych, tłómaczy nam zjawisko wahania się ceł, które bez ustalenia wciąż się zmniejszają i kolejno zwiększają, stosownie do tego, czy północne czy południowe Niemcy zwycięstwo otrzymują.

Wskutek wygranéj 1870 r. wojny wpływają do Niemiec francuskie miliardy, a wielka ilość kapitałów w gotówce działa na sztuczną zwyżkę cen i znaczne obniżenie się stopy procentowéj. Szybko rzucają się ludzie do rozmaitych przedsiębiorstw, przedstawiających na razie wielki dochód. Fabryki powstają jedna za drugą, zmieniają właścicieli, powiększają dotychczasowy zakres produkcyi. Posiadłości ziemskie idą również w górę, znajdując chętnych nabywców, płacących w stosunku do ówczesnych wysokich dochodów, t. j. bardzo drogo. Przy kupowaniu zaś na kredyt lub za pieniądze pożyczane, wierzytelności obciążające ziemię znacznie wzrosły. Ruch tak gwałtowny wśród warunków nienaturalnych wywołał stosunki nienormalne. Krach finansowy nie dał długo na siebie czekać, sztucznie wytworzone ceny produktów długo utrzymać się nie mogły—liczne bankructwa mnożyły się jedne po drugich. Już w r. 1873 dała się spostrzedz olbrzymia nadprodukcya przemysłowa. Przez trzy lata ubiegłe przemysł niemiecki wzrósł nadmiernie; tymczasem rynków zbytu zaczynało brakować, ceny poczęły spadać, położenie było bardzo groźne. Wtedy to przemysłowcy zaczęli się domagać ceł ochronnych, chcąc sobie chociaż wewnętrzny rynek zapewnić całkowicie.

Tymczasem nadzwykła podaż i konkurencya przyczyniły się do licznych w owym czasie bankructw w Stanach Zjednoczonych. Wtedy

to około r. 1873 Amerykanie w części kapitały swoje przerzucili z właściwą sobie szybkością od przemysłu do rolnictwa. Olbrzymie sumy obracają na uprawę pustych dotąd przestrzeni i produkcyę pszenicy, którą zalewać zaczynają rynki europejskie. Ceny stały się niepraktykowanie niskie, zwłaszcza gdy równocześnie wskutek bankructw wielu przedsiębiorstw przewozowych zniżono do minimum koszta transportowe [1]). Jednocześnie Indye zwiększają uprawę zboża, a Rossya zaprowadza u siebie całą sieć nowych kolei. Wszystkie te połączone warunki sprawiają, że Niemcy nietylko tracą odrazu rynek zbytu w Anglii, zaopatrującéj się tanio w zboże amerykańskie, indyjskie, russkie, ale, co gorzéj, widzą się zagrożone nagle u siebie, konkurencyą zagraniczną żyta i pszenicy. Począwszy téż od r. 1874, ceny szybko spadać zaczynają [2]) i naturalnie dochody z gospodarstw rolnych równomiernie się zmniejszają. Wszyscy obywatele ziemscy, którzy po wojnie francuskiéj drogo majątki kupili i część szacunku dłużni pozostali, ujrzeli się w niemożności zapłacenia procentów od długów zaciągniętych na rachunek niezwykle wysokich cen z trzech lat poprzednich. Trzeba się było ratować i jednocześnie z przemysłowcami rolnicy żądali ceł ochronnych. Jednym i drugim przyszła w pomoc sytuacya polityczna. Z powodu znanych zajść w r. 1879, rząd potrzebował stworzyć sobie większość w parlamencie i oparł się na dwóch zwykle sobie przeciwnych partyach [3]): konserwatywnéj i liberalnéj. Rząd przyrzekł im cła żądane, a każda z dwóch partyi dla przeprowadzenia takowych zrzekała się w części na rzecz drugiéj swego interesu i na zasadzie *do ut des* przemysłowcy głosowali za cłami rolnemi, agraryusze za przemysłowemi. Wynikami téj koalicyi z r. 1879 były pierwsze cła zbożowe

---

[1]) 400 statków przewozowych stało bez zajęcia z powodu zastoju w przemyśle. Brentano Prakt. Nat. Ök. 1893. 8.

[2]) Ceny zboża w Prusach za 1000 kg. w markach

Rok	Pszenica	Żyto	Jęczmień	Owies
1821—30	121,4	126,8	76,6	79,8
1831—40	138,4	100,6	87,6	91,6
1841—50	167,8	123,0	111,2	100,6
1851—60	211,4	165,4	150,2	144,0
1861—70	204,6	154,6	146,0	140,2
1871—75	235,2	179,2	170,8	163,2
1876—80	211,1	166,4	162,0	152,6
1881—85	189,0	160,0	154,8	145,8

Centralne biuro statystyczne w Berlinie.

[3]) I „Konservative Partei“ i część „Centrum“, II „Liberale Partei“

ochronne [1]) w ilości 1 marki od 100 kg. żyta, pszenicy i owsa, 50 fenigów od jęczmienia. Wkrótce pokazało się, że cła te nic na zwyżkę cen nie wpłynęły i potrojono je w r. 1885 podnosząc z marki na 3 marki, z 50 fenigów na 1,50 mark. I tym razem jednak skutek nie odpowiadał oczekiwaniom, dowóz zagraniczny nie zmniejszył się bynajmniéj. Państwa importujące zboże do Niemiec zniżyły koszta transportowe tak znacznie, że np. koszta przewozu z Ameryki od 1881—1886 r. spadły na tonnie (1000 kg.) z 80 marek na 30 m. Nowe przestrzenie dotąd puste wzięto pod uprawę zboża w Ameryce i Indyach, lata były urodzajne. Wszystko to sprowadziło znów znaczny spadek cen w Niemczech [2]). Postanowiono zaradzić złemu przez nową podwyżkę ceł i w r. 1887 nałożono 5 marek od 100 kg. żyta i pszenicy, 4 marki od owsa, 2,25 marki od jęczmienia. Jestto punkt kulminacyjny w okresie polityki ceł ochronnych zbożowych. Równocześnie z podnoszeniem ceł, zaczęły państwa dowożące zboże występować z represaliami. Ameryka odpowiedziała bilem Mac-Kinley'a, z Austryą o mało nie przyszło do wojny celnéj, podobnéj jak prowadzona świéżo z Rossyą.

Niemiecki przemysł ujrzał się zagrożonym. Fabryki zaczęły ban-

---

[1]) Cła zbożowe za 100 kg. w markach.

Rok	1879	1885	1887	1891
Pszenica	1,0	3.00	5,00	3.50
Żyto	1,0	3,00	5,00	3.50
Owies	1,0	1,50	4.00	2,80
Jęczmień	0,50	1,50	2.25	2,00

Centralne biuro statystyczne w Berlinie.

[2]) Dane statystyczne: centr. biuro stat. w Berlinie,

Ceny zboża od r. 1885 w markach.

	Żyto za 1000 kg.			Pszenica za 1000kg.			Owies za 1000 kg.			Jęczmień za 1000 kg.		
Rok	Berlin	Gdańsk	Monachium	Berlin	Gdańsk	Monachium	Berlin	Gdańsk	Monachium	Berlin	Gdańsk	Monachium
1885	140,6	131,3	158,1	160,9	143,2	180.6	134,2	131,5	143,3	132,1	159.3	162,3
1886	130,6	120,2	145,0	151,3	138,9	188,5	120,4	119,1	129,5	121,8	157,4	160,2
1887	120,9	108,0	141,6	164,4	141,5	190,1	98,4	99,6	118,5	108,8	153,3	156,4
1888	134,5	121,9	150,8	172,2	135,2	193,9	123,0	113,4	146,9	115,0	160.0	170,3
1889	155,5	149,6	160,1	187,7	137,5	197,2	149,6	140,9	151,2	131,2	182,5	165,8
1890	170,0	159,4	179,2	195,4	145,1	213,3	157.8	144,6	177,9	153,5	195,2	196,5
1891	211,2	208,1	210,4	224,2	178,1	239,5	165,6	144.6	159.6	156,5	181,6	179,6
1892	176,3	174,2	181,9	176,4	158,1	205,5	149,4	141,2	136,9	149.3	169,7	164,3

krutować, całe mnóstwo robotników zostało bez pracy, bez możności zarobienia na chléb, nadmiernie drogi z powodu 5-ciomarkowych ceł i nieurodzaju w Niemczech 1890 r. Rolnicy tylko tryumfowali, zboże nareszcie poszło w górę.

Z upadkiem Bismarcka zmieniła się sytuacya. Opinia publiczna głośno zaczęła się domagać unormowania stosunków istniejących, zapewnienia rynków zbytu przemysłowi, oraz pracy i tańszego chleba robotnikom.

W roku 1891-ym doszło do traktatów handlowych z Austryą i Ameryką, w końcu ubiegłego roku z Rumunią i Serbią, z Rossyą zaś, jak wiemy, toczą się obecnie układy (zob. tablicę na str. 372, odsył. 1).

Cła zbożowe nawet w okresie 5-ciomarkowym nie zdołały dowozu zagranicznego zupełnie powstrzymać; rynki niemieckie wciąż zbożem obcém zapełnione byłyy, cel zatém podniesienia cen zboża za pomocą ceł został chybiony. Natomiast działanie ich w innym uwydatniło się kierunku; cła zbożowe pomnożyły w olbrzymi sposób dochody państwowe celne i stały się raczéj cłami dochodowemi, aniżeli, jak to było ich przeznaczeniem, ochronnemi. Tak np. 1889 r. wynoszą dochody te 38,2 milionów marek, w r. 1890—111,4 mil. marek, 1891 r.—107 mil. marek, w 1892 — 103 mil. marek czyli 22%, 28%, 27%, 26% ogólnego z ceł rocznego dochodu [1]). Rolnicy zaś oczekujący zwyżki cen w stosunku podnoszenia ceł, osiągnęli w małéj tylko części cel swych oczekiwań. Nigdy bowiem zwyżka cen zboża nie wyrównywała podwyższeniu ceł.

Nasuwa się zarazem często powtarzane w Niemczech pytanie, kto

---

1) Dochody celne w Niemczech z ceł zbożowych:

Rok	Miliony marek	Procent ogólnych dochodów celnych	Na głowę w fenigach
1880	14,4	8,7	32,4
1881	16,5	8,6	36,9
1882	19,0	9,4	42,1
1883	18,8	9,0	41,4
1884	23,8	10,8	52,0
1885	30,1	12,5	65.3
1886	30,2	12,2	64,8
1887	46,4	17,2	98,8
1888	57,1	19.7	119.8
1889	98,7	27,4	202,0
1890	111,4	28,2	225,4
1891	107,1	27,2	214,6
1892	103,6	26,4	205.2

właściwie dźwiga ciężar ceł zbożowych — ludność niemiecka, czy też zagranica dowożąca zboże do Niemiec.

Bismarck, przemawiając 1879 r. za cłami, odpowiadał przeciwnikom: „Zaprowadzając cła zbożowe, opodatkujemy temiż zagranicę! Zagranica poniesie cały ich ciężar". Teorya ta była jednym z licznych paradoksów, jakiemi książę kanclerz tak świetnie umiał odurzać swych przeciwników. Jeśli bowiem zagranica ciężar ceł ponosićby miała, to ceny tamże o wysokość ceł spaśćby musiały i co zatém idzie, w Niemczech by się nie podniosły, a rolnicy nie osiągnęliby spodziéwanych korzyści.

Rozgłośni ekonomiści niemieccy Mattekowitsch, Lexis i Conrad postanowili kwestyę tę zbadać dokładnie i przekonać się, w jakim stosunku przez cały czas trwania ceł zbożowych ciężar ich był rozłożony na Niemcy i zagranicę. Ścisłe te i poważne badania doprowadziły każdego z nich do jednakowych rezultatów a mianowicie: 1) Pszenica: — W okresie cła 1-markowego poszły ceny w górę o $^4/_5$ zaprowadzonego cła czyli zagranica poniosła tylko $^1/_5$ ciężaru. W okresie 3-markowym ceny w Niemczech wcale w górę nie poszły (z przyczyn wyżéj wymienionych), zagranica zatém cały ciężar ceł poniosła, lecz téż i niemieccy rolnicy żadnéj z ich podwyższenia korzyści nie osiągnęli. W okresie 5-ciomarkowym ceny poszły w górę o $^1/_2$ cła, t. z. zagranica poniosła $^1/_2$ ciężaru i Niemcy połowę. 2) Żyto: — okazało się, że w okresie 1-o i 3-markowym ceny prawie się nie podniosły, a w okresie 5-ciomarkowym tylko o $^1/_2$ opłaty celnéj. Zagranica zatém ponosiła z początku cały ciężar ceł, a w okresie 5-ciomarkowym połowę onego. Niemcy są bowiem jedynym krajem żyta potrzebującym, więc zagranica chcąc swoje umieścić, musiała ceny odpowiednio zniżyć. 3) Jęczmień: — Rzeczy się tu odmiennie przedstawiają. Już w okresie jednomarkowym ceny poszły w górę o 5 m. na 1000 kg., w okresie trzymarkowym o 10 m., w okresie pięciomarkowym o 22 marki. Ludność niemiecka cały ciężar ceł poniosła. 4) Owies: — Okazało się, że w okresie jednomarkowym ceny podskoczyły o 19 m. na 1000 kilo, w okresie trzymarkowym o 22 marki, a w okresie pięciomarkowym o 30 marek. Jęczmienia i owsa produkują Niemcy zamało na zaspokojenie olbrzymich potrzeb licznych browarów i wielkiéj swéj kawaleryi. Rząd ze znacznych dochodów celnych oddaje zaraz część przy zakupach dla armii.

Rozpatrzmy się teraz, która klasa ludności niemieckiéj odnosi korzyść z podskoczenia cen zboża? Naturalnie rolnicy mający zboże na sprzedaż; nie wszyscy jednak posiadacze ziemi w Niemczech są w tém położeniu, jak np. właściciele ziemscy w wielkiém księstwie Badeń-

skiém, w Hessen-Nassau, prowincyach nadreńskich, Turyngii, Alzacyi i Lotaryngii, Pfalzu, Dolnéj Bawaryi, gdzie zboże nie wystarcza na własne potrzeby rolników. W całéj Bawaryi rolnictwem trudni się tylko 30% ludności, a z téj ilości najwyżéj 15% na podwyższeniu cen zboża zyskało. Cała zaś wielka liczba właścicieli małych posiadłości rolnych, nie produkujących zboża, chyba w bardzo małéj ilości, dotkliwe straty wciąż wskutek zwyżki cen ponosi. Największe zaś korzyści osiągają właściciele większych posiadłości w Hanowerze, Prusach wschodnich, Poznańskiém, wogóle w okolicach na wschód Elby położonych.

Na zakończenie, odpowiedzmy na pytanie, czy jaką szkodę przynoszą cła zbożowe ludności nie rolniczéj i o ile ją obciążają podwyższone ceny zboża. Podług obliczeń z roku 1880 okazało się, że tylko 42% całéj ludności w Niemczech trudni się rolnictwem. Stosunek ten musiał się jeszcze prawdopodobnie na niekorzyść ludności rolniczéj zmienić, lecz niestety od r. 1880 żadnych nowych danych w téj mierze rzesza nie posiada. Ciężar tedy cen podwyższonych spada na ową znacznie większą liczebnie masę ludności niemieckiéj nie trudniącéj się rolnictwem. Rozkłada się rozmaicie, a jest tém większy, im znaczniejszą liczbę w utrzymaniu rodziny rocznie stanowi wydatek na żywność z produktów mącznych złożoną. Ilość produktów tych wzrasta w odwrotnym stosunku do zamożności danego osobnika. Ludzie zamożniejsi żywią się przeważnie mięsem i względnie do jego spożycia zmniejszają ilość pożywienia mącznego. Ludność niemiecka spotrzebowywa od 164—185 kg. zboża na głowę rocznie, co w przecięciu mniéj więcéj 175 kilo na głowę wypada. Profesor Brentano w Monachium obliczył dokładnie stosunek zmniejszania i powiększania ilości spożytych rocznie produktów mącznych w miarę zamożności danéj rodziny. Tak np. wobec dochodu od 800—1056 marek, na rodzinę złożoną z rodziców i dwojga dzieci, konsumcya zboża wynosi tylko 154 kilo na głowę. Przy dochodzie od 500—800 marek wzrasta do 200 kilo na głowę, a ilość ta przy zmniejszającym się dochodzie wzrasta w odpowiednim stosunku. Im większa biéda, tém większa konieczność żywienia się produktami mącznemi; stąd jasny wniosek, że najuboższa ludność największą część spadłego wskutek ceł zbożowych ciężaru ponosi. Jeśli tedy np. w okresie 5-ciomarkowym ludność niemiecka przy podwyżce cen o 2,50 marki na 1000 kg. całą połowę ceł płaciła, to obliczając jak wyżéj konsumcyę zboża po 175 kg. na głowę, ciężar wywołany cłami będzie wynosił 4 marki rocznie na osobę. Procent to znaczny, zważywszy, że dla uboższych oblicza się spoży-

wność zboża na 200 kg. na głowę, co stanowi 5 marek na osobę, 20 marek na rodzinę z czterech osób złożoną przy dochodzie rocznym 500—800 marek. Dla ubogich robotników, ograniczających do minimum koszta wyżywienia, wynosi ów ciężar do 8% sumy całorocznego utrzymania.

Powiedzieliśmy już wyżéj, że w miarę zmniejszania się konsumcyi produktów mącznych wzrasta spożywczość mięsa, którego konsumcya w Niemczech jest jeszcze stosunkowo bardzo niewielką. W Saksonii, gdzie okazuje się największą, wynosi 44 kilo na głowę, kiedy w Anglii 88 kilo. Jest faktem, że im więcéj zboże drożeje, tém bardziéj zmniejsza się konsumcya mięsa, na kupno którego tém mniéj zostaje ludziom pieniędzy. W Anglii wzrosło zapotrzebowanie mięsa dopiéro po zniesieniu ceł zbożowych, gdy ceny mącznych produktów spadły.

Rolnicy niemieccy, starając się wciąż o podwyższenie cen zboża, przeszkadzają sami rozwojowi produkcyi mięsnéj i pozbawiają się możności łatwego zbytu, tak ważnego w gospodarstwie produktu t. j. inwentarza opasowego. Stanowczo twierdzić można, że ciężar wysokich ceł spada przeważnie na ludność najuboższą, która im drożéj nabywa produkty spożywcze, tém mniéj wydać może na inne najkonieczniejsze potrzeby i stąd wypływa, że mocno dotknięte są również gałęzie przemysłu, służącego przeważnie masom jakto: szewctwo, krawiectwo i t. p., którym dotkliwie daje się we znaki przymusowa oszczędność biédnych w nabywaniu obuwia, nowych ubrań i t. p.

Jak to już wspomnieliśmy, represalia ze strony państw dowożących zboże do Niemiec i obecnie kończąca się wojna celna z Rossyą mocno dotknęły cały większy przemysł niemiecki, na wywóz obliczony. Wielkie ogniska handlu zbożowego, Królewiec, Gdańsk i inne podupadły hadlowo i straciły na znaczeniu. Spytajmy się nareszcie, czy cła zbożowe ostatecznie dopomogły do wydobycia się z kłopotliwego położenia tym, którzy je stworzyli i którzy tak przy nich upiérają?

Stanowczo odpowiedziéć możemy przecząco. Ażeby większa własność ziemska przy obecném zadłużeniu utrzymać się mogła bez jakich radykalnych zmian w systemie gospodarowania, potrzebaby ceł tak wysokich, iżby kompletnie dowóz zboża do Niemiec powstrzymały; wtedy tylko możnaby osiągnąć za nie ceny, dające dochód odpowiedni dziś bezwarunkowo zawysokiemu szacunkowi. Wobec wszystkich powyżéj wymienionych danych, jeżeli w dodatku zauważymy, jak równomiernie do wzrostu i spadku cen zboża wzrasta i spada liczba przestęp-

ców, karanych za wykroczenia przeciw cudzéj własności [1]), śmiało twierdzić możemy, że nietylko cła zbożowe w Niemczech wzrastać nie powinny, lecz nawet jako stała instytucya wcale racyi bytu nie mają i że jeżeli w téj chwili rząd dalszą zniżkę ich przeprowadzić się stara, to zapewne wraz z wzrostem ludności przemysłowéj na koszt rolnéj cła te zwolna w niedalekiéj przyszłości zupełnie zniesione zostaną.

Stef. Zakrzewski.



[1]) Na każde 100,000 ludności w Prusach:

przy cenach żyta za 1000 kg. w markach	wypada	przestępców karanych za wykroczenie przeciw cudzéj własności.
W roku 1883 — 163,3		517
„ 1884 — 160,0		509
„ 1885 — 140.6		486
„ 1886 — 130,6		480
„ 1887 — 120,9		470
„ 1888 — 134,5		460
„ 1889 — 155,5		493

Dane z biura central. statyst. w Berlinie.

POWIEŚĆ REALISTYCZNA W ANGLII.

II.

R. H. SHERARD I F. C. PHILIPS.

Gdyśmy na tém miejscu niedawno [1]) przedsiębrali charakterystykę powieści realistycznéj w Anglii, nie było nam trudném wykazać, ile różnorodnych przyczyn złożyło się na jéj powstanie i na jéj rozkwit wpłynęło. Skoro czytająca publiczność przestała smakować w niewinnych obrazkach, jakie jéj dawniéj wystarczały, skoro zerwała z konwencyonalizmem i upoważniła romansopisarzy do wprowadzenia najpoważniejszych zagadnień życiowych w sferę utworów powieściowych, cała oryentacya, cały nastrój powieści musiał uledz radykalnéj zmianie. Przez otwarte drzwiczki klatki frunęła swobodnie i na wsze strony się rozbiegła śpiewająca rzesza. Ruch to jeszcze zbyt świeży, aby w normalne ujęty był karby i aby powstała była istotna szkoła realistów, jak to zdarzyło się we Francyi. Gdy po przejściu pierwszéj gorączki zaczną o nim pisać uczenie i poważnie klasyfikować historycy literatury, powstanie niezawodnie kwestya co do istotnych początków powieści realistycznéj i prawdopodobnie odkryją oni wtedy, że powieść w Anglii nawet w epoce romantyzmu, nawet w konwencyonalnéj swéj formie posiadała już wiele warunków do uskutecznienia téj ewolucyi,

---

[1]) Patrz „Ateneum" za listopad 1893 r.

któréj jesteśmy obecnie świadkami. Z własnego a nie cudzego ziarna kłos ten wystrzelił.

W każdym razie obecnie jeszcze o klasyfikacyi romansopisarzy realistycznych mowy być nie może. Panuje w pośród nich niesforny indywidualizm i każdy z nich, idąc za popędem własnych zdolności, osobistego talentu maluje nam te lub owe strony życia społecznego farbami, jakie traf nieraz na palecie ich zgromadził. Przedstawiliśmy czytelnikom dwóch celniejszych romansopisarzy realistycznych, Jerzego Moore'a, który najbliżéj się podsunął do naturalizmu francuskiego, i Jerzego Gissinga, którego piękne powieści mielibyśmy ochotę nazwać czémś więcéj, niż realistycznemi, bo psychiczne studya, w które obfitują, przez swą głębokość spostrzegawczą i bystrość analizy stawiły go na stanowisku, gdzie nie przez kategorye schematyczne, ale sam w sobie oceniany być winien. Moglibyśmy, ciągnąć daléj przegląd tego hufca romansopisarzy, wymienić bez trudu z jaki tuzin realistów, którzy się na pierwszorzędne miejsca w ostatnich kilku latach przedostali. Nie ma jednak do tego potrzeby i sądzimy, że cel nasz dopięty zostanie przez naszkicowanie literackiéj fizygnomii dwóch powieściopisarzy o wydatnych rysach. Robert Sherard jest zapewne mniéj u nas znany, aniżeli Francis Philips, którego rozgłos jest europejski: obaj uosabiają w sobie pewne kierunki powieściowe, jeżeli nie trwałego to przynajmniéj chwilowego interesu.

Robert Harborough Sherard znany jest w piśmiennictwie od jakich lat dziesięciu. Debiutował wtedy, jak i kilku jego rówieśników opuszczających ławy uniwersytetu oksfordzkiego, tomem poezyi lirycznych. Te idyliczne jego „Szemrania" są nutą oryginalną w talencie, który odtąd z idyllą, z poezyą, ba, jak niektórzy utrzymują, nawet z literaturą nie ma wiele wspólnego. Forma w nich przynajmniéj kunsztowna, jeżeli nie było w nich symptomatów prawdziwéj oryginalności. Odtąd pisywał powieści, a jako paryski korespondent kilku celniejszych pism londyńskich, ma opinię wybornego interviewera i jeżeli do zdobycia palm na niwie dziennikarskiéj, potrzebny jest delikatny, czujny zmysł do interesów nietylko chwili dzisiejszéj, ale już nawet jutrzejszéj, to p. Sherard niezaprzecznie jest nim obdarzony. Oprócz poezyi, oprócz dziennikarskiéj kroniki i oprócz powieści, o których mówić zamierzamy, wydał on przed kilku miesiącami studyum biograficzno-krytyczne o Emilu Zoli. Jest ono w téj chwili rozbierane szczegółowo w wielu organach angielskich i sądzone, wogóle, bardzo surowo. Kiedy jedni krytycy karcą go za formę niedbałą, dającą się wytłómaczyć u improwizującego reportera, ale niewłaściwą u pisarza roszczącego wyższe pretensye, drudzy wyrzucają mu nietylko bezwzglę-

dne uwielbienie dla pisarza, którego oceniać obiecał, a którego przynosi apoteozę, lecz nawet rodzaj czci bałwochwalczéj dla owych kroci, albo téż milionów, które się Emilowi Zoli zbierać udaje. Jest wiele słuszności w zarzutach, jakie krytyka angielska czyni p. Sherardowi, ale nie należy zapominać, że ci sami krytycy, gdy Zola latem ubiegłego roku przybył do Londynu na zjazd dziennikarzy, przyjmowali go jak bohatéra. Gdyby książka p. Sherard'a nie była się opóźniła o parę miesięcy, przyjętoby ją niezawodnie inaczéj: obecnie gdy świat literacki angielski zdał sobie sprawę, iż się zadaleko posunął w swym zapędzie i gdy się za swoje *emballement* wstydzi, nastąpiła reakcya i niewinną jéj ofiarą pada biograf Zoli.

Co do wartości studyum biograficzno-krytycznego p. Sherarda o Zoli, to trzeba przyznać, iż odpowiada w zupełności pierwszéj części swego zadania. Obfituje w informacye szczegółowe, wyczerpujące i najzupełniéj wiarogodne: sam bohatér dostarczył materyału. Nie ma wątpienia, że skrupulatnie zebrany i systematycznie doprowadzony aż do chwili bieżącéj opis życia i literackiego zawodu słynnego pisarza, w żadnéj z następnych biografii nie będzie mógł być pominięty. To faktyczne współpracownictwo Zoli położyło zapewne tamę wszystkim zachciankom p. Sherarda co do krytycznéj części jego dzieła. Można powiedziéć, że ona nie istnieje. Gdy się ma do czynienia z pisarzem tak jaskrawo zarysowanéj indywidualności, z pisarzem, który stoczył walkę za swoje zasady i za swój system z energią niezłomną i który aż do godziny zwycięstwa ani na chwilę szabli nie odpasał, zdaje się czystém niepodobieństwem pozostać obiektywnym i nie wyrazić zdania za albo przeciw. P. Sherard jest wprawdzie gorącym stronnikiem Zoli, ale nigdzie nie zadaje sobie pracy wyłuszczyć powodów, które mu względem tych zapasów zakreśliły jego stanowisko. Powieści naturalistyczne istnieją, sprzedają się w setkach edycyi, zbogaciły swego autora: to zdaje mu się wystarczającym argumentem. Takie usposobienie pokazuje samo przez się, jak głęboko przesiąknięty jest sam realizmem. Jeżeli daje to klucz do genezy jego własnych powieści, to o krytycznych jego zdolnościach pochlebnego nie może dać świadectwa.

Lennicze to hołdowanie Zoli może zrodzić przypuszczenie, że go p. Sherard w swoich powieściowych utworach naśladuje. Przypuszczenie to byłoby atoli zupełnie błędném. Utwory wielkiego romansisty francuskiego, a powieści młodego nowelisty angielskiego nic mają z sobą nic wspólnego, a nawet należą do całkiem odrębnych gatunków. Dzieło genialne albo dzieło poronione, w każdym razie owe dwadzieścia tomów historyi Rougon-Mackartów jest rodzajem epopei i same jéj

rozmiary lekceważyć nią nie pozwalają. Takich pretensyi nigdy p. Sherard nie rościł i chociaż w kilku jego powieściach spotykamy te same osoby działające, to o żadnym organicznym między niemi związku mowy nie ma. Nietylko że nie mamy u niego do czynienia z sążnistemi powieściami, ale są one o wiele więcéj zbliżone do typu noweli, tak szczęśliwie przez wielu pisarzy angielskich uprawianych. Ażeby ostatecznie rodzaj, w jakim pisze, określić, nie możemy go nazwać inaczéj, jak posługując się angielskim wyrazem: *sensational novel*. Jak wiadomo, w utworach tych nie charaktery i ich duchowe sprężyny, nie zwyczaje towarzyskie ze swemi etnograficzno-społecznemi czynnikami, nie doniosłe zagadnienia psychiczne lub też humanitarne zaprzątają pisarza, ale dąży on do owładnięcia czytelnikiem, drażniąc go zręcznie poplątaną intrygą, awanturniczemi wypadkami: rozbudzić wyobraźnię choćby nawet kosztem rozumu i chłodnego rozsądku, oto cel, jaki zadawalnia autorów tych powieści. Są oni podobni do akrobatów tańczących na rozpiętéj linie: na jednego, któremu się łamane te sztuczki powiodą, wielu innych kark sobie kręci. Jeżeli zresztą zbierają oklaski niewybrednéj publicznocci i złotem swoje kieszenie ładują, to wyrafinowani sędziowie traktują ich zazwyczaj z nieprzebłaganą surowością. Surowość ta jest nawet często niezasłużoną, bo i do tego rodzaju literackiego przedsięwzięcia, choć jest niezaprzeczenie podrzędniejszego gatunku, trzeba twardéj nieraz pracy i nie małych zdolności.

Po wsze czasy miewała Anglia pisarzy sensacyjnych noweli niesłychanéj poczytności. Jednym z ostatnich ich przedstawicieli był Hugh Conway autor owéj powieści *Called back* o niepraktykowaném powodzeniu. Tego rodzaju laury uśmiéchają się widocznie p. Sherardowi, i dopiął też celu swego, gdyż czytamy na karcie tytułowéj kilku ostatnich jego utworów, że odbito ich 10 albo 15,000. W Ameryce ma on już wyrobioną klientelę a i angielska publiczność chociaż niby ramionami rusza na te *shilling dreadful*, nie przestaje ich pochłaniać łakomie. Gdy nie był jeszcze w realizmie pogrążony, zaczął od trzechtomowych powieści w ich obowiązkowéj formie. Do takich należy „Frymarka honorem" (*A bartored honour*). Już w niéj zdradzał popęd do awanturniczych wypadków i skomplikowanéj osnowy. Nie one jednak stanowiły dodatnią stronę tego utworu, w którym widoczną jest młodzieńcza emfaza i namacalny brak doświadczenia pisarskiego, lecz części poświęcone opisowi życia studenckiego w Oxfordzie naprzód, a potém w Lipsku. Dźwięczą one prawdą i pokazują, że autor umiał już wtedy spoglądać na świat otaczający i opisać go w rysach wyrazistych.

Ale istotnie indywidualność jego jako powieściopisarza datuje się dopiéro od r. 1888, gdy napisał pierwszą swą sensacyjną powieść, *The American Marquis* i po któréj nastąpiło kilka innych, tak samo zwięzłych rozmiarami, nie wdających się ani w żadne teorye abstrakcyjne, ani w rozbiór charakterów analityczny, ani w opis *état d'âme* współczesnego społeczeństwa. Ogranicza się do gołych faktów i przez efektowne ich zestawienie, przez akcyę nieustającą usiłuje dać obraz życia w całéj jego pełni. Pod tym względem jest niezaprzeczenie realistą. Nie posuwa on jednak ducha owéj szkoły aż do specyalnego lubowania się we wstrętnych, moralnéj zgnilizny charakterach, nie posuwa się do sprosności i wyuzdanego cynizmu, który tylu czytelników Zoli sprowadził. P. Sherard chociaż stale zamieszkuje w Paryżu i jego atmosferą jest przesiąknięty, nie zapomina, że jest Anglikiem i że jego rodacy nie potrzebują zaprawy czerwonego pieprzu do powieści. Jest on daleko mniéj pochopny do zanurzenia się w skandalach, aniżeli to czyni jego towarzysz, p. Jerzy Moore. Jest on zdania, że życie obfituje w wypadki, których przedstawienie wystarcza do naprężenia ciekawości i do jéj zaspokojenia bez dobrowolnego nurzania się w rynsztokowém błocie. A być może, że ta wyjątkowa nie powiemy moralność, ale przyzwoitość pisarska pana Sherarda przypisaną być może zbawiennemu wpływowi kobiéty, która stoi przy jego boku. Ożeniony jest z Polką, która odznacza się nietylko pięknością nadzwyczajną, ale i umysłowym nastrojem. Jéj téż bezwątpienia przypisujemy ten szczegół, że Polacy, którzy tu i owdzie w jego powieściach występują, są odmalowani i sympatycznie i we właściwych im barwach. W „Markizie amerykańskim" figuruje niejaki Zarnowski, „cygan" umierający nieledwie z nędzy na paryskim bruku, a zachowujący zawsze w głębi swéj natury nieskalane szlachectwo duszy. Niepotrzebnie autor obsypał go milionami przy końcu swéj powieści: pozbawia to postać tę owéj niezaprzeczonéj prawdy, którą nam przyjemnie było w niéj dostrzedz. W utworze tym autor przedsięwziął upostaciowanie *snob*'a amerykańskiego, który wyrzekając się własnych cech plemiennych, a uganiając się za blichtrem i szychem naszéj przestarzałéj cywilizacyi, jest karykaturą i republikańskiego obywatela i utytulowanego arystokraty. Nie możemy powiedzieć, ażeby się mu udało ten typ, grasujący epidemicznie po stolicach zachodu, opisać dobitnie. Przesadził czyniąc go tuzinkowym awanturnikiem. Wielu innych powieściopisarzy daleko lepiéj z zadania tego się wywiązało.

Następna powieść, którą autor widocznie za swoje arcydzieło uważa, nosi tytuł „Łotry" (*Rogues*). Trzeba przyznać, że intryga jest wielce skomplikowana i kunsztownie rozwiązana. Jeżeli raz wymaga-

nia prawdopodobieństwa nie są uwzględnione, to może być z niéj zadowolonym. Interesować potrafi p. Sherard swych czytelników zawsze, ale gdy sobie przypomnimy, że Gaboriau, ba, a nawet Ponson du Terrail tę samą posiadali zaletę, to nie możemy go za nią wysławiać. Jest zawsze w powieściach pana Sherard'a pełno drugorzędnych wypadków, które pod piórem innego romansopisarza z łatwością stałyby się złotą miną, on zaś, jakby nieświadomy ich wartości, zostawia je leżące odłogiem, a często nawet dobrowolnie je niszczy. I tak w „Łotrach" wpadł na wyborną sytuacyę: zbrodniarz skazany na kilkoletnie więzienie składa u swego adwokata jako depozyt sumę skradzioną, która mu po jego oswobodzeniu będzie w ten sposób zwróconą. Otóż adwokat ten, najuczciwszy człowiek, jest doprowadzony przez szereg niespodziéwanych wypadków do naruszenia tego depozytu stopniowego, a nawet całkowitego. Byłoby to dla romansopisarza-psychologa pole otwarte do przedsięwzięcia subtelnéj analizy, jak się w sercu tego uczciwego człowieka toczy wewnętrzna walka, jak interes bierze górę nad zasadami i przeistacza moralną jego naturę. Inaczéj postępuje sobie p. Sherard. Wymyśla naprzód cały łańcuch niestworzonych awantur, w których wspólnicy zbrodniarza chcą mu wydrzéć ów depozyt, a nakoniec przez istotny *tour de force* roli przeniewierczego adwokata prawnym właścicielem powierzonéj mu sumy. *Ab uno disce omnes.*

Tego samego rodzaju powieścią jest zatytułowana „L i s t d r u k o w a n e m i l i t e r a m i" (*Typewritten letter*). Przypomina ona tę lub ową z udatnych sztuk Wiktoryna Sardou, gdzie przez kilka aktów szukają wszystkie *dramatis personae* świstka papiéru albo innego jakiego drobiazgu, od wynalezienia którego zależy honor i szczęście niewinnych a podejrzywanych i który nakoniec znalezionym bywa, gdy autor zmiarkował, że mu zakończyć trzeba. Tak samo tutaj bez żadnych wewnętrznych przyczyn ukazuje się list, odsłaniający prawdziwych zbrodniarzy, a wyjaśniający niewinność pięknéj Dory Leigh. Prawda, że gdyby odkrycie to nastąpiło było pierwéj, nie byłoby wcale wątku do napisania téj powieści; czyby jednak taką stratę opłakiwać było trzeba, pozwalamy sobie wątpić

Daleko pozostawiła za innemi przez swoje nadzwyczajne powodzenie księgarskie następna powieść p. Sherard'a: „Ś l e d z t w o A g a t y" (*Agatha's Quest*). Dobrzy znawcy, jak np. Juliusz Verne, słynny powieściopisarz a przyjaciel autora, wysławiają ją jako utwór niepośledni. Piszący widocznie do ocenienia tego rodzaju realistycznéj powieści nie posiada potrzebnych kwalifikacyi, gdyż wyjątkowéj wartości odkryć w niéj nie potrafił. Oryginalnym pomysłem ma być pro-

wadzenie kryminalnego śledztwa przez prywatnego *detective*, którym jest kobiéta. Ale ponieważ charakter kobiécy bynajmniéj na jéj działalność nie wpływa, nie ma powodu żadnego szczegółowego kłaść nań nacisku. Zamiast podziwiać sieć nadzwyczajnych awantur, w którą autor bohaterów swoich zaplątał, wolimy raczéj przyklasnąć ciekawym scenom, jakie nam ukazuje w redakcyi dziennika, wydawanego przez amerykańskiego milionera. Zna je autor z doświadczenia, bo liczba tego rodzaju organów prasy coraz się zwiększa i zaprowadzone przez nich zwyczaje przestały już dziwić i być nowością, chociaż zupełnie inny charakter nadają prasie.

Ostatnia powieść p. Sherard'a nosi tytuł „Słusznie choć nieprawnie" (*By right not law*). Autor poświęcił ją swym krytykom, którzy dotąd, jeżeli téj dedykacyi wierzyć mamy, traktowali go z prawdziwą powolnością. Nie podejrzewając go o ironię ani o wybryk *humour'u*, notujemy fakt ten jako rzadkość: autor wyrażający wdzięczność krytyce! I tutaj także p. Sherard pozostał wiernym swym zaletom i swéj metodzie, można nawet powiedzieć, że posunął je do ostatniego stopnia doskonałości. Bohatér wpada na trop majątku zagrabionego swemu dziadkowi i postanawia go odzyskać. Udaje mu się znaléść córkę mordercy i zabiéra jéj sumę, jakiéj jest prawnym posiadaczem, nie tykając reszty jéj skarbów. Jest tak dalece przeświadczony o swéj niewinności, iż sam oddaje się w ręce sądu, chociaż wszystkie pozory przemawiają za tém, iż jest nietylko złodziejem ale i mordercą. Proces, który mu wytoczono, daje sposobność opisania postępowania sądowego francuskiego. A i ta powieść, jak wiele innych, odgrywa się we Francyi. Skazany na więzienie czasowo umieszczony w domu obłąkanych, Oliver Martin odzyskuje swobodę, gdy autorowi dał sposobność do wprowadzenia epizodów o hypnotyzmie i powstającego stąd *qui pro quo*.

Zbytecznęm by było rozszerzać się nad talentem p. Sherard'a. Nie myślimy go zaprzeczać tém bardziéj, że długoletnia z nim zażyłość nie pozwala nam o nim wątpić. Ale przyznajemy się, że sympatyzować z tego rodzaju powieściami nam nie podobna. Autor wzdrygnąłby się z oburzenia, gdybyśmy mu udowodnili, jak wielce jego sposób pisania zbliża go do romantyków. Jest dla nas przedmiotem podziwu, że człowiek wielostronnie wykształcony, o wyrafinowanym smaku, esteta, zażyły przyjaciel Oscara Wilde, pisze powieści, które właśnie dla ludzi tych kół intelektualnych muszą być poprostu wstrętnemi. Przez obcowanie wśród sceptyków dochodzi się prawdopodobnie do takiego zamglenia osobistego dodatniego ideału, do takiego naśmiéwania się ze swoich własnych utworów, iż pisze się androny ku swojéj własnéj uciesze, a lekceważąc sobie czytelników. Nie zadziwiłoby nas bynajmniéj

gdyby pewnego pięknego poranku p. Sherard wystąpił z powieścią psychologiczną, gdzie nie wypadki, ale badanie charakterów o nikłéj, tęczowéj delikatności barw stanęłoby na pierwszym planie. Jesteśmy przekonani, że i tam indywidualność swoją udałoby mu się uwydatnić. W każdym razie, czas by mu już było dać miarę swą literacką. Przeciwnie jak wielu innych jego kolegów po piórze, strojących się chętnie w pawie pióra, pokazał on dotąd głównie podrzędniejsze strony swojéj natury, pozostawiając niedbale trafowi dokonanie reszty jaśniejszéj.

Francis C. Philips, do którego przechodzim z kolei, dał już całkowicie swoją miarę i bez obawy, ażeby przyszłość kłam nam zadała, wypowiadamy zdanie, że nam żadnych niespodzianek nie zgotuje. Nie dlatego bynajmniéj, ażeby życie jego miało się ku schyłkowi, bo przeciwnie, znajduje się w sile wieku i nie ma jeszcze dwóch dziesiątków lat, jak poświęcił się zawodowi powieściopisarskiemu, ale dla tego, że raz doszedłszy do kulminacyjnego punktu na wytkniętéj drodze i stworzywszy nie jedno ale dwa arcydzieła, do jakich realistyczna sztuka daje pole, cofać się zaczął. Zląkł się może olbrzymiego rozgłosu, jaki znalazł i złowieszczego szemrania, jakie podniosło się przeciw niemu w cnotliwém a przyzwoitém towarzystwie. Potrzeba geniuszu Byrona żeby urągać z sykania *cantu*, téj angielskiéj formy hypokryzyi, ale, kto jest poprostu utalentowanym p. Philips'em, to nie ma chęci uzyskać opinii jakiego markiza de Sade albo przynajmniéj jego krewniaka. Doszedłszy do ostatniego szczebla niemoralności, jaka tolerowaną bywa wśród społeczeństwa angielskiego i pokazawszy, że może być bardzo *naughty*, p. Philips pospieszył schować swe rogi, wypogodzić się i nieledwie wyanielić. Ostatnie jego powieści, jak np. *Constance* wydana w roku ubiegłym, zeszły już do pospolitego typu konwencyonalnych powieści i takie same pisze z równém powodzeniem Ouida albo p. Norris. Szkoda, ale właśnie z rogami najlepiéj mu było do twarzy. Odkąd wycnotliwiał, nie posiada, nieszczęściem, żadnego intelektualnego, ba, nawet artystycznego powabu.

Bez żadnego bliższego uwzględnienia można tedy zestawić większą część jego powieściowych utworów, które poprzedziły i które nastąpiły po owych dwóch białych krukach realizmu angielskiego, co się nazywają „Jak w zwierciedle", oraz „Dziekan i jego córka". Żadna z nich nie jest bez talentu i wszystkie czytają się przyjemnie. Jedne, jak „Okoliczności usprawiedliwiające", są po prostu anegdotą co dnia znajdowaną pomiędzy drobiazgami na trzeciéj stronie dziennika, rozwałkowaną na nowelę; inne znowu, jak *Phryne*, tytułem spekulować się zdają na obudzenie sprośnéj ciekawości, ale są tylko chłodzącą orszadą. Czasami, gdy opuszczając sferą najlepiéj sobie znaną wielkoświatowych awanturnic, ma zachcianki fantastyczne jak w „Zadziwiają-

céj historyi Lucyi Smith" jest poprostu komicznym, choć mu o to nie idzie, a gdy, o, zgrozo! pisze „Socyalne niedostatki", dowodzi, że skazany jest na ślizganie się po powierzchni, ale że nie powinien wnikać do głębin ustroju towarzyskiego. Najlepszym jest, gdy powraca do typu kobiét przykrojonych podług modelu Decamerona i takie jego powieści, jak „Mała pani Murray" albo „Twarz, to mój majątek", przypominają wielu rysami, że stworzył typy, co raz na zawsze pozostaną w piśmiennictwie. Pisze w kilku ostatnich latach z współpracownictwem p. Wills'a albo p. Fendall'a — obaj są utalentowanymi ale drugorzędnymi pisarzami — i być może, iż ich wpływowi przypisać należy jego ustatkowanie się i podtatusienie. Ale jak powiedzieliśmy wyżéj, nie potrzeba zgłębiać tych kilkunastu powieści jego. Wystarczy zatrzymać się na roku 1885 i 1887, gdy napisał „Jak w zwierciedle" oraz „Dziekan i jego córka". Lena Despard i Myriam St. Aubyn błyszczą dziś jeszcze nieuwiędłą świéżością.

„Jak w zwierciedle" (*As in a looking glass*) postawiło odrazu pana Philipsa pomiędzy najbardziéj czytanymi romansopisarzami. Wybuch nadzwyczajnéj popularności, jaką romans ten znalazł, zaskoczył tak niespodzianie poważną krytykę, że nie wiedziała, co sobie z nim począć. Milczała systematycznie z początku tak, jak w chwili obecnéj milczy o powieści Burtona „Dodo", ażeby wyrazić następnie nadzwyczaj pochlebny o niéj sąd. Publiczność nie czekała téj sankcyi, a książka, uznana za nader interesującą, pełną inteligencyi, nie odstraszyła swą reputacyą niemoralności. Pani Grundy — jest to przezwisko zbiorowe, nadawane w Anglii opinii prowincyonalno-zaściankowo-ciasnéj — krzywiła się, urzędowo i publicznie wyrażała niezadowolenie, ale pokryjomu czytała ją i odczytywała. Czytelnia Mudie otrzymywała tyle obstalunków, że im nastarczyć nie mogła, a wiele czytelniczek żądało ażeby przysyłano im powieść w okładce innéj książki dla łatwiejszego ukrycia, że się ten owoc zakazany zakradł do ich domu. Wydania sypały się jedne po drugich; między innemi jest jedno ilustrowane przez znakomitego artystę Du Monnier; przerobiona na sztukę teatralną, dała najpierwszéj angielskiéj aktorce dramatycznéj pani Barnard-Beer okazyę do całorocznych tryumfów w roli Leny, a niezadługo i Sarah Bernhardt tę samą bohaterkę do swego wprowadziła repertuaru. Rozpowszechniona we wszystkich swych formach, przetłómaczona na kilka obcych języków, powieść ta stanęła, jako utwór typowy powieści realistycznéj w Anglii. Są tacy, co utrzymują, że zajmuje ona w piśmiennictwie angielskiém tę samą pozycyą, co *Bovary* G. Flaubert'a we Francyi. Obecnie, gdy po upływie lat dziewięciu pierwszy zapał ostygł, chociaż powodzenie się nie wyczerpało, przesada téj oceny musi razić każdego

bezstronnego sędziego; nie mniéj przeto powieść ta przenosi o całe niebo tysiące romansów angielskich. Niezapomnianą jéj zasługą w oczach naszych jest, że zerwała z konwencyonalizmem i pokusiła się o przedstawienie charakterów w życiowéj ich prawdzie.

Prawda miała się odbijać, jak w zwierciedle twarz siedzącéj przed niém kobiéty. Stąd dobrze dobrany tytuł. Dla ułatwienia sobie tego wizerunku autor uciekł się do formy dziennika, spisywanego przez Lenę Despard. Forma taka jest wygodną dla tego, że pozwala autorowi trzymać się za kulisami i prawdziwego sądu etycznego nie wyrażać, ale z natury swéj jest podrzędną. Przewrotność, jak mówią jedni, a artyzm autora, jak utrzymują drudzy, pozwolił mu, bez kompromitującego solidaryzowania się ze swoją bohatérką, przedstawić ją w tak sympatyczném świetle, że czytelnik nie ma serca, nie ma woli jéj potępić. W repertuarze dramatycznym Aleksandra Dumasa-syna, jest-to postać znajoma, owa cyniczna a sympatyczna *quand même* awanturnica, dla angielskiéj publiczności była jednak nową poniekąd znajomością, i surowi moraliści widzą w poklasku, jaki znalazła, zastraszający symptom rozprzęgającéj się czystości obyczajów. Skoro jednak powieść ta właśnie jest wizerunkiem obyczajów istniejących w wyższych sferach towarzystwa angielskiego, to nie można autora obwiniać za szczerość, z jaką takowego dokonał. Że uczynił to artystycznie, więc fikcya jego nabrała istotnéj, życiowéj prawdy. Lena Despard stała się typem, który chronologicznie uszeregować się przyszedł obok wielu swych poprzedniczek co przez poezyę, dramat i romans otrzymały nietylko byt ale nieśmiertelność.

Jak powiedzieliśmy już wyżéj, powieść ta jest pamiętnikiem wielkoświatowéj awanturnicy a raczéj epizodem końcowym tego pamiętnika. Nie wiemy nic ani o pochodzeniu, wychowaniu, o sposobie, w jakim się urobił charakter Leny, ani o kolejach jakie przeszła. Zapoznajemy się z nią gdy liczy już 35 rok życia, gdy jest pozbawioną iluzyi i spragnioną, po burzliwéj widocznie przeszłości, odpoczynku i téj *respectability*, która dla wszystkich wykolejonych istot jest ideałem drugiéj połowy życia: w pierwszéj jego połowie urągają prawom społecznym i pragną jedynie zaspokoić swe żądze. W miarę jak namiętności tępieją, potężnieje szacunek dla towarzystwa, którego podporą być pragną! Lena Despard, po dwakroć rozwódka, bez majątku, trzyma się na téj krawędzi śliskiéj, z któréj jeden krok niebaczny raz na zawsze może ją stracić. Ponieważ życie z materyalnéj swéj strony ma dla niéj jako sybarytki wiele jeszcze powabów, a pięknością, rozumem, taktem, dowcipem góruje nad masą lalek i pospolitych figur, które pierwszorzędne stanowiska w towarzystwie zajmują, postanawia

przez korzystne małżeństwo zdobyć sobie takowe i na niém się utrzymać. Wybornie autor wykazał podwójne trudności, jakie w urzeczywistnieniu tego planu napotyka. Są to naprzód materyalne, które zwycięża pożyczkami od swych adoratorów albo rozbijaniem banku w Monte-Carlo, ale daleko większe są moralne. Kobiéty są nieprzychylnie dla niéj usposobione, a mężczyźni znając jéj wartość, nie biorą jéj pozornéj uczciwości na seryo, i traktują ją jako pół-światówkę. Wolałaby i ona jeszcze hulać i rozkoszować się życiem, które stało się istotną jéj naturą ale nie pozwala się porwać prądowi. Jest żelazna siła woli w téj wykwintnéj kobiécie. Największém jednak dla niéj niebezpieczeństwem są świadkowie, wspólnicy jéj przeszłości, których pozyskać sobie trzeba, ażeby jéj widoków nie krzyżowali. Intrygi, do jakich uciekać się jest zmuszona czynią zaszczyt jéj przewrotności, ale i jéj rozumowi także. Najohydniejszym z tych jéj wspólników jest kapitan Fortimbras, którego autor odmalował w kolorach strasznie czarnych. Dopóki go przekupuje, swobodnie żegluje pośród skał podwodnych. Dopływa nareszcie do portu, poślubiając młodego, szkockiego magnata, którego wprzód podstępnie z jego narzeczoną rozłączyla. Świéżość uczuć, naiwność, dobra wiara i szlachetność téj prawdziwie pięknéj, męzkiéj natury oddziaływa na cynizm Leny. Wychodziła za niego dla spekulacyi, ale pokochała go prawdziwie i całe jéj usiłowania dążą do zachowania w oczach swego ukochanego dobréj opinii i szacunku. W skutek awantur, które są mniéj naturalne, aniżeli wszystkie poprzedzające epizody, prawda dochodzi do uszu łatwowiernego małżonka, a Lena nie chcąc postradać w jego oczach aureoli, która była jéj deską ocalenia,. silną dozą narkotyku życie sobie odbiéra.

Taka osnowa powieści może się wydawać czytelnikom, którzy jéj nie znają, ani nową, ani nadzwyczajną. Śmiało jednak zaręczyć można, że zmienią zdanie, czytając ją. Interes nietylko leży w rozwoju charakteru wystudyowanego z bystrością i precyzyą, nietylko w toku wypadków zawsze zajmujących, nietylko w stylu barwnym, skrzącym dowcipem, nietylko w dobrym humorze jowialnym, ale w całéj atmosferze realistycznéj, którą jest nawskroś przesiąknięta. Nie można powiedzieć, ażeby autor pochlebnemi barwami odmalował sfery towarzyskie, któremi się zajmuje. Tak samo tutaj, jak w innych swych utworach, p. Philips zajmuje się tylko światem klubów i pałaców; jest-to jedyny jaki opisuje *con amore*. Jeżeli mu się ma wierzyć, w tych sferach panuje materyalizm istotnie zwierzęcy, te instynkty, które Anglicy obejmują zbiorową nazwą *animal spirits*. Nie ma mowy o zasadach, o obowiązkach, tak samo, jak nie istnieją dla tych ludzi rozkosze inteligen-

cyi lub sztuki. Zjadać dobre obiady, wypijać niezliczone butelki szampana a nawet się upijać, używać komfortu jaknajrozciąglejszego jest *alfą* i *omegą* ich zadań i dalej ich horyzont nie sięga. Autor oddał wszystkie szczegóły, odnoszące się do téj zewnętrznéj strony życia klas zamożnych z wypukłością plastyczną. *Menu* obiadowe jego sprowadza ślinkę do ust i dowodzi, że jego autor uczniem godnym Brillat-Savarina. A jak zna się na strojach kobiét i rozmaitych fatałaszkach! Wyrzucano surowo biédnemu Pawłowi Bourget gorset z czarnego atłasu, który przywdziewa jedna z jego bohatérek, ale p. Philips zostawia Bourget'a pod tym przynajmniéj względem, daleko za sobą. Nie wiemy, czy sam się rozkoszuje tą czysto materyalną stroną życia, jak mu to nieraz krytycy wyrzucają, ale przyznajemy, że w téj przynajmniéj powieści szczegóły te są na miejscu, gdyż pozwalają zrozumiéć stanowisko, w jakiém bohatérka działalność swą snuje.

W pośród różnych komentarzy, jakie nad charakterem Leny Despard uczyniono, nie można pominąć tego, w którym wyrzucano autorowi nielogiczność jéj tragicznego końca. Osoba tak nawskroś egoistyczna, cyniczna, zmateryalizowana, ma być niezdolną do miłości prawdziwéj i niezdolną do poświęcenia się, do wykonania jedynego, szlachetnego czynu, który popełniła, usuwając się z drogi męża. Nie możemy się na zarzut ten pisać. Nie wchodząc w większą lub mniejszą możliwość prawdziwéj miłości u istoty anti-idealistycznéj, rozumiemy, iż spekulantka, wytężywszy wszystkie siły i środki do dopięcia celu, gdy spostrzega, nazajutrz po tém, że cała kampania jest niepowrotnie stracona i że trzeba na nowo pchać syzyfową bryłę, traci energię i ostatecznie daje za wygraną. Natura wyższa i czystsza nie wahałaby się szukać odkupienia przez pokutę i odrodzenia przez życie przykładne, ale będąc egoistyczną i materyalną, woli usunąć się z posterunku, na którym tylko upokorzenie i klęski ją czekają.

Możnaby wprawdzie uczynić i z większą słusznością wiele drobniejszych zarzutów autorowi, a między innymi całkiem niepotrzebne wprowadzenie figury agenta policyjnego. Tchnie to sensacyjnym melodramatyzmem, którego powieść ta bynajmniéj nie potrzebuje. Ale nie ma się co o takie drobiazgi spiérać. Nawet z usterkami widocznemi, jest-to utwór, który w beletrystyce europejskiéj ma prawo do pierwszorzędnego miejsca. Szkoła realistyczna wyrzeka się z zasady wszelkiego dydaktyzmu, nie pragnie ani umoralniać ani podnosić poziomu społeczeństwa, i wystarcza jéj dać wizerunek nieskazitelnie prawdziwy świata rzeczywistego w przekonaniu, że prawda nietylko jest artystycznem pięknem, ale że prowadzi prostą drogą do dobra. Pod takiém wezwaniem pisał p. Philips. Przedstawił prawdę, zgoda; po-

siada nawet piękno, i na to zgoda; ale czy wzbudzi pohop ku dobremu? oto pytanie, które tém mniéj rozstrząsać wypada, że autor nie troszczył się o żaden cel etyczny.

Druga znakomita powieść p. Philipsa, „Dziekan i jego córka,” ujrzała światło dzienne w dwa lata po pierwszéj i znalazła nieledwie takie samo powodzenie. Nie było już niespodzianki bo autor naturalnie stał na gruncie, który mu się tak pomyślnym okazał, ale wszystkie inne zalety, tak samo jak i wszystkie dawniejsze przywary, znaleźć było w niéj łatwo i publiczność równie chciwie czytała powieść jak przyklaskiwała dramatowi, który nie kto inny jak p. Sydney Grundy na scenie teatru St. James wystawił. Można powiedzieć, że bohatérka téj powieści, Myriam St. Aubyn jest rodzoną siostrą Leny Despard, przez cyniczny nastrój ducha i jeżeli nie przez bieg swego życia, to przynajmniéj przez swój koniec. Dopełniają się one wzajemnie i zachodzi pomiędzy niemi krzyżowanie tak symetryczne, że nie podobna uważać go za przypadkowe.

Tym razem już nie w formie autobiograficznéj snuje się wątek powieści. Ale chociaż opowiada od siebie, autor nie sądzi i żadną osobistą interwencyą na zdanie o przedstawionych przez się charakterach i sytuacyach nie wpływa. Prawdą jest, że dwie przynajmniéj dominujące postaci wystudyowane są tak szczegółowo, iż co do opinii autora wahać się nie można. Surowo sądzi ojca swéj bohatérki; gdy o nią idzie, widoczném jest, że zwala odpowiedzialność za jéj upadek końcowy nie na nią ale na społeczeństwo. Jak płytkiém jest to zapatrywanie czytelnik przyznać sam zechce, gdy mu osnowę powieści przedłożymy.

Myriam St. Aubyn jest córką wiejskiego pastora i prawdziwym samouczkiem. Pomiędzy nią a jéj ojcem nie ma najmniejszego duchowego węzła, uczuwa ona nawet do niego wstręt prawdziwy, będąc codziennym świadkiem jego ohydy moralnéj. Materyalista, grający rolę pobożnisia, goniący za groszem, który w dziurawéj jego kieszeni nigdy się nie zatrzymuje i którego nie waha się zdobywać brudnemi środkami, zamykający się całemi dniami w swéj pracowni z butelką, jest to postać skreślona przedziwnie. Na waha się on ani chwili sprzedać swéj córki wielkiemu panu, gdy ten, podbity pięknością, ofiaruje jéj swe imię, miliony i stanowisko żony ambasadora. Sam otrzymuje bogaty dziekanat i nie może mu nawet myśl ta przyjść do głowy, ażeby córka mogła się na takie małżeństwo skarżyć. Istotnie Myriam oddała swą rękę Sir Henrykowi Craven, aby się rozstać z ojcem, którym gardziła, i wstąpiła w świat, o którym najmniejszego nie miała wyobrażenia. Krótkiego czasu jéj trzeba, aby ocenić nicość człowieka

z którym miała iść przez życie a nicość umysłowa i brak charakteru jéj męża nie znajdują u niéj uznania nawet mimo oprawy swéj w złoto i brylanty. Czczość wielkoświatowa, gdy pierwsza jéj ciekawość zaspokojona została, przyczynia się do spotęgowania w niéj cynizmu, którego się tak dużo napatrzyła w plebanii ojcowskiéj. Ostatecznie wychowania jéj dokończyła przyjaciółka, pani Fortescue, która jest w swych głównych zarysach, co do zamiłowania komfortu życiowego, dobréj kuchni i szampana, echem dawnéj naszéj znajoméj Leny. Ona to przedstawia jéj pana Sabine, który stara się ją uwieść, bez skutku wprawdzie, ale który ściągnął na nią pozory kompromitujące. Tak silne są przeciwko niéj poszlaki, że chociaż Myriam jest niewinną, rozwód z mężem zostawia ją w oczach świata zniesławioną. Sercem należy do swego kochanka, którego ma poślubić; do ślubu jednak nie przychodzi z powodu wypadkowéj śmierci tego ostatniego. Śmierć ta jest ostateczną katastrofą dla młodéj kobiéty: towarzystwo ją potępiło, a miłość, która ją moralnie odrodzić miała, została ściętą w swym kwiecie.

Widocznie jednak Myriam bardziéj żałuje stanowiska postradanego aniżeli straconego szczęścia, bo postanawia wyjść za mąż powtórnie bez miłości, z rozsądku. Rzuca rękawicę społeczeństwu i pragnie mu udowodnić, że legalnie potrafi się do niego przedostać. Jesteśmy świadkami trzech jéj kampanii małżeńskich, prowadzonych zawsze pod przybranemi nazwiskami dla zamaskowania owych rozwodowych skandalów. Pierwszy raz w ustronnem mieście katedralnem przez dewocyę chwyta w swe sidła kanonika, ale gdy mu przed ślubem swe stanowisko odsłania, małżeństwo się zrywa. Następnie scena się przenosi do garnizonowego miasta, gdzie jéj wdzięki podbijają serce młodego oficera. Ten chce się z nią ożenić *quand même*, ale ona, przez sympatyę dla niego, widząc, że złamałaby jego zawód i rodzinne stosunki, zrywa z nim stanowczo. Trzecia nakonice kampania małżeńska rozbija się, gdy młody a dumny lord, dowiaduje się z kim ma do czynienia, daje jéj szorstką, słuszną, choć niezasłużoną odprawę.

Ta obelga jest dla zbolałéj kobiéty kroplą przepełniającą czarę goryczy. Życie dawało jéj tylko zniewagi i zawody. Przed sobą na drodze cnoty i obowiązku nie widzi żadnéj przewodniéj gwiazdy. A tymczasem do ucha jéj szatan pokusy bez ustanku szepcze wabiące obietnice, przez swych dwóch adwokatów. Jednym z nich jest owa pani Fortescue, nieodstępna przyjaciółka i towarzyszka, która ją namawia do uczynienia *salto mortale*, a drugim pewien milionowy książę, który będąc żonaty, nie może jéj poślubić, ale chce ją utrzymywać na

stopie królewskiéj. Długo jaskółka ta szponom tego jastrzębia się wywija, ale gdy zdaje sobie sprawę, że świat stanowczo ją odepchnął, przyjmuje propozycyę owego magnata. Autor zostawia ją na progu téj ostatniéj fazy. Co się z nią daléj stanie, jest już pozbawione interesu. Moralna ewolucya dokonana została całkowicie. Pogarda, z jaką odtrąca ojca żebrzącego u niéj ciągle, ojca, który ją dawniéj wraz z innymi potępił, a obecnie wobec jéj związku, nazwanego przez siebie cynicznie morganatycznem małżeństwem, znowu do niéj zbliżyć się pragnie jest symbolem pogardy, jaką uczuwa dla świata.

Nie potrzebujemy zapewne wysnuwać morału z téj baśni i powracać do punktu założenia, któryśmy wyżéj wykazali jako fałszywy. Natury bez podnioślejszych w duszy swéj czynników muszą prędzéj lub późniéj zakończyć w rynsztoku. Zamiast do takiego zmierzać moralnego pewnika, autor zadawalnia się sofizmatami o niezasłużonych prześladowaniach lekkomyślnéj cynicznéj wielkiéj damy. Szkoda czasu i atłasu.

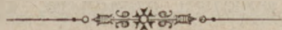
Jeżeli powieść realistyczna pod piórem tego utalentowanego autora nie była nam w stanie doprowadzić swych bohatérek do innego końca jak do samobójstwa, albo gorszego jeszcze zaprzedania się w cielesne poddaństwo, to trzeba przyznać co najmniéj, że nie potrafiła przekroczyć negatywnego stanowiska. Obiecywała coś więcéj, zapominać nie należy, a zanim obietnicy téj nie dopełni, nie zaszkodzi wstrzymać się od oklasków przedwczesnych, których żałować późniéj-by można.

N. T.



NAJNOWSZA POWIEŚĆ

B. PRUSA.



(Bolesław Prus. Emancypantki, powieść w 4-ch tomach. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1894. str. 376, 318, 270, 417).

Rozległością i subtelnością spostrzeżeń w kilku bardzo różnych od siebie dziedzinach życia, głębią nastroju i poglądu filozoficznego, większém zharmonizowaniem środków artystycznych przewyższają „Emancypantki” poprzednią powieść Prusa „Lalkę,” ale ustępują jéj w żywości i oryginalności. Utwór to obmyślany i wykonany chłodniéj, rozważniéj, przeciążony tu i owdzie, a zwłaszcza pod koniec, pierwiastkiem dydaktycznym, nie ujętym nawet w formę ponętną. Nie budził téż on tak gorączkowego zajęcia jak „Lalka” w ciągu swego trzyletniego pojawiania się w odcinku „Kuryera Codziennego,” lubo przerwy bywały znaczniejsze, dłuższe, aniżeli podczas drukowania „Lalki.” Pola do dyskusyi przedstawia dużo, a zasadniczą powagą myśli i częstokroć tonu dowodzi, że autor uważa go sam za wynik dojrzałego zastanowienia.

Pierwotny tytuł „Emancypantka” bardzo słusznie zmienił autor w wydaniu książkowém na liczbę mnogą, gdyż ani bohatérka główna ani żadna wogóle z kobiét wprowadzonych do powieści nie mogą być poczytywane za jakiś prawdziwie znamienny okaz ruchu emancypacyjnego; dopiéro wszystkie razem jako tym ruchem silniéj lub słabiéj porwane, składają się na wytworzenie barwnego obrazku przedstawiają-

cego w zmniejszeniu, a niekiedy z karykaturalném zacięciem współczesny pęd kobiét ku samodzielności.

Nie zamierzał bowiem Prus ruchu tego odwzorowywać w całéj pełni, ani w jego teoretycznych podstawach, ani w praktycznych zastosowaniach; mało, zbyt może mało przywiązuje do niego wagi, patrzy nań ironicznie i mówi do najzagorzalszych zwolenniczek dążeń emancypacyjnych:

„Kobiéta przedewszystkiém jest i musi być matką. Jeżeli kiedykolwiek chce być czémś innem: mędrcem, za którym szeleści jedwabny ogon, reformatorem z wymalowanemi brwiami i obnażonemi ramionami, aniołem, który uszczęśliwia całą ludzkość, pięknym klejnotem, domagającym się złotéj oprawy: wówczas wychodzi ze swéj roli i kończy na potworności, albo na błazeństwie. Dopiéro gdy występuje w roli matki, a nawet już wówczas, gdy dąży do tego celu, kobiéta staje się imponującą siłą, równą nam, albo wyższą od nas. Jeżeli cywilizacya jest godnym podziwu gmachem, kobiéta jest tém wapnem, które spaja pojedyńcze cegły i robi z nich masę jednolitą. Jeżeli ludzkość jest siecią, która wyławia ducha z natury, kobiéty są w téj sieci węzłami. Jeżeli życie jest cudem, kobiéta jest ołtarzem, na którym spełnia się ten cud... Kiedy trzeba wkopywać się o tysiąc metrów pod ziemię, żeglować o tysiące mil od lądu, kuć żelazne belki, pod deszczem kul wyrywać z gardła zwycięstwo, błąkać się jak sęp ponad zawrotnemi przepaściami natury, dla schwytania jakiéjś prawdy — mężczyzna jest w swoim żywiole. Ale tam, gdzie chodzi o rodzenie, karmienie i wychowanie: górników, żeglarzy, wojowników i myślicieli, tam jednéj, delikatnéj kobiéty nie zastąpi cały legion pracowników, bohatérów i mędrców. Jéj łono mędrsze od was wszystkich, potężniejsze od całego świata" (IV, 135, 136).

Prus widocznie niemożność spełnienia programu jego uważa za rzecz tak wyjątkową, iż nie widzi potrzeby uwzględnienia jéj w poglądzie ogólnym; nie myślę z tego powodu wchodzić z nim w polemikę; zaznaczyłem jedynie tę okoliczność, ażeby uwydatnić sposób, w jaki dążenia kobiét do samodzielności zostały w powieści jego przedstawione.

Zjawiają się one tutaj nagle około r. 1870, jakby o wiele przedtém wcale ich u nas nie było, jakby pokolenie kobiét z r. 1840 żadnego po sobie śladu w społeczeństwie nie pozostawiło; nie są musowym wynikiem ogólnego położenia ekonomicznego w połączeniu z żywszém tętnem ruchu umysłowego, lecz raczéj przypadkowym skutkiem górnolotnych haseł, wygłaszanych przez niektóre czasopisma. Hasłami temi przejmują się takie trochę już starzejące się panny, jak Howardówna, która ostentacyjnie i krzykliwie rozprawia słowem i pismem o koniecz-

ności zreformowania stosunków rodzinnych, o opiece należnéj dzieciom nieprawym od społeczeństwa i t. p., lub takie bogate a nieładne istoty jak Ada Solska, dobra, uczynna, nieśmiała, studyująca matematykę i nauki przyrodnicze, uczęszczająca na wykłady uniwersyteckie i badająca cierpliwie rozwój porostów. Są to ostateczne kontrasty, tę wszakże mające wspólność, że na seryo i z głębi duszy nie oddają się one swoim teoryom czy zamiłowaniom, bardzo łatwo mogą je zmieniać lub całkowicie porzucać. Tego, co się nazywa wyrobioném, stałém przekonaniem, kobiéty owe nie posiadają; wszystko bowiem zależy u nich od okoliczności. Odznaczają się one nadzwyczajną giętkością umysłu, która im pozwala przetwarzać swoje poglądy i sympatye i zastosowywać je do chwilowego wrażenia. Bo te wrażenia, zabarwione silnie uczuciem, rządzą niemi w istocie.

Panna Howard lubi brzmiące słowa, drażliwe temata, bo się spodziéwa, że jéj śmiałość zrobi wrażenie na młodym studencie, który artykuły jéj oddaje do pism i pomaga w robieniu korekty. Sama studenta tego nie kocha, lecz pragnęłaby zawrócić mu trochę głowę; gdy się przekonywa, że Kotowski przychodził do niéj chętnie tylko dlatego, że w jéj mieszkaniu spotykał się ze swoją wybraną, pensyonarką, poczytuje go za zdrajcę, zamierza zmiażdżyć go słowy, powiadając właściwym sobie tonem patetycznym: „Jeżeli po tém, co mu powiem, ten człowiek przeżyje do jutra, będę miała dowód, że jest łotrem, którego nie powinnam zaszczycać nawet moją pogardą.” Wzmianka o korektach już ją przemienia, uczucie próżności przytłumia objawy gniéwu; ale nie chciałaby, ażeby Kotowski ożenił się z Manią, za argument podając, iżby to było sprzeniewierzeniem się sztandarowi... zapewne wolnéj miłości. Na lekceważące o tym sztandarze wyrażenie Kotowskiego, pozornie oburza się panna Howard, mówiąc drwiąco o męskiéj logice, ale gdy student bez ceremonii i dobitnie odrzekł jéj na to, że logiki w każdym razie nie układały kobiéty, staje się potulną, bo jéj imponuje energia młodzieńca. I ona sama wierną sztandarowi nie pozostanie. Samodzielność jéj stopi się jak śnieg na słońcu, gdy ujrzy możność wyjścia za mąż choćby za krzywonogiego pana Mydełkę, którego po swojemu idealizuje. I ta, która była gotowa opuścić stanowisko dobrze płatnéj nauczycielki, gdy przełożona pensyi chciała wydalić jednę z jéj koleżanek za nocną wycieczkę, potém okaże się wielce drażliwą na pozory i doradzać będzie innym, ażeby bardzo a bardzo były oględnemi w postępowaniu. Ta, która niedawno wykładała z zapałem dzieje kobiét samodzielnych, począwszy „od mitycznéj Ewy, a skończywszy na Alicyi Walter, która kierowała armiami Stanów Zjednoczonych w czasie ostatniéj wojny,” późniéj jako mężatka od dni czterech

z uniesieniem równającém się poprzednim zachwytom, twierdzić będzie, że „kobiéta dopiéro wówczas staje się naprawdę człowiekiem, gdy wyjdzie za mąż;" że przeżyła nie cztery... właściwie — nie trzy doby, ale trzy wieki, trzy tysiącolecia," że czuje się wniebowziętą. A oto obrazek przedmiotowy tego wniebowzięcia:

„W altanee odezwał się gruby głos:

— Tak mnie bolą nagniotki... Założyłbym się, że jutro wieczór będzie słota.

— Więc włóż, aniołku, pantofle—odezwał się głos niewieści.

— Kiedy nie chce mi się szukać pantofli—odparł bas.

— Ja ci znajdę, duszko!...

— Trzeba jeszcze ściągać buty!—mruknął bas.

— Ależ ja ci zdejmę... Przecieżeś ty mój... cały mój... moja pieszczotka... mój koteczek..." (IV, 398).

Jestto zapewne najjaskrawsze przeciwieństwo, jakie wymyślić można dla scharakteryzowania przepaści oddzielającéj frazeologię od życia praktycznego, oraz płytkości deklamacyi o dążeniach samodzielnych. Prusowi chodziło oczywiście o wywołanie komicznego wrażenia, ośmieszającego najkrzykliwszą i najzarozumialszą głosicielkę zasad emancypacyjnych w jego powieści, lubo zdaje się, że charakter energiczny panny Howard' nie bardzo ku temu celowi był odpowiedni. Takie kobiéty jak ona umieją trzymać mężów za łeb, a nie ściągać im z nóg buty i podawać pantofle. Dążność satyryczna doprowadziła autora do złamania psychologicznéj konsekwencyi charakteru, którego rysem głównym jest chęć przewodzenia, wygórowana ambicya i pewna oschłość sercowa.

Ada Solska—to zupełnie inna kobiéta. Z rodu arystokratka, wykształcona w kierunku demokratycznym, bogata a brzydka, nie posiada energii, śmiałości, przedsiębiorczości, idzie wskazaną sobie drogą, kształci się, chodzi na wykłady w Zurichu, bo do świata zabaw nabrała wstrętu, do młodzieży arystokratycznéj nieufności, iż każdy czyha tylko na jéj posag, uważając jéj osobę za niepotrzebny w gruncie dodatek. Spragniona jest przyjaźni i dla niéj zdolna jest (we własném przekonaniu) do największych ofiar. Ale ani nauka nie może wypełnić jéj życia, ani téż przyjaźń kobiéca zadowolnić jéj serca. Studyuje, bada porosty dla zabicia nudów. W jednakim stopniu zainteresować ją mogą nauki przyrodnicze i spirytyzm; od jednych z łatwością przechodzi do drugiego. Pokochała silnie, namiętnie młodzieńca pełnego zalet zewnętrznych, umiejącego pięknie, dowcipnie, lub porywająco przemawiać, lecz pod względem moralnym zupełnie zepsutego. To uczucie było jéj rozkoszą i męką zarazem. Nie mogła ona uwierzyć

naprawdę, ażeby piękny, psuty przez kobiéty Kazimierz Norski mógł ją pokochać dla niéj saméj, a więc bardzo trudno jéj było powierzyć mu z całą ufnością swą przyszłość; atoli miłość jéj była zbyt silna, ażeby całkowicie stłumić się dała. Dręczyła się więc wewnętrznie, tém bardziéj że brat, poznawszy lichotę charakteru Kazimierza, wzgardził nim i zerwał z nim stosunki. Ada nie śmiała stawiać jawnego oporu woli brata, zatopiła się w badaniach przyrodniczych, lub się rozrywała posiedzeniami spirytystycznemi, lecz gdy tylko dostrzegła w towarzystwach, że Kazimierz dłużéj z jakąś kobiétą rozmawiał, wrzała w niéj zazdrość—i wówczas ta dobra, szlachetna, nieśmiała kobiéta takie miała błyski w oczach, takie twarde słowa na ustach, że największéj nawet przyjaciółce mogła niemi odebrać wiarę w swą serdeczność: stawała się wówczas złą i niesprawiedliwą. Wprawdzie po uspokojeniu się, po długim a cichym namyśle dochodziła do rezygnacyi, wypowiadała nawet swą zgodę na to, żeby Kazimierz inną poślubił; ale w rzeczywistości zapewne-by tego nigdy spokojnie nie przeniosła. Gdy Kazimierza raniono w pojedynku, znikła jéj nieśmiałość; nie zważając na konwenanse, na mogące zajść plotki, pojechała do niego, by go pielęgnować w chorobie, a uczuła się niebiańsko szczęśliwą, gdy się z nim zaręczyła. Sama nie wiedziała, kto pierwszy złożył wyznanie, on czy ona. Na co tu zresztą wyznanie, gdy jéj czyn jawnie zaświadczył o jéj niezwalczoném uczuciu! Nic ją nie obchodził charakter ukochanego; przebaczyła mu wszystko, bo kochała. Jedyną jéj troską było, jak przyjmie to jéj postanowienie brat, którego szanowała i bała się. Lecz brat, którego miłość również zwalczyła, dał odrazu swoje zezwolenie. Wówczas „Ada upadła na kolana, objęła brata za nogi i, całując je, szeptała z płaczem: — Ty, mój bracie jedyny... mój ojcze... moja matko... Ach, jak ja ciebie kocham!” Zapewne już odtąd nie będzie się interesowała ani rozwojem porostów, ani pojawianiem się duchów, dopóki... dopóki piękny Kazimierz zdradzać jéj nie zacznie, dopóki znów nie uczuje się osamotnioną, jeżeli w uczuciu macierzyńskiém nie znajdzie dostatecznego bodźca do przetrwania cierpień, jakie niewątpliwie są jéj zgotowane. Kazimierz Norski nie ma kwalifikacyi na dobrego męża; wszystkie uśmiechy bogactwa i znaczenia towarzyskiego, jakie mu zapewnia ożenienie się, będzie uważał za rzecz sobie wprost należną i pomiatać będzie tą, w któréj widzi ślepą dla siebie miłość.

Obok Klary Howard i Ady Solskiéj występują jeszcze dość często w „Emancypantkach” dwie panny: dama klasowa Joanna i pensyonarka Mania Lewińska, ale w ich charakterystyce i w ich przygodach nie masz nic, coby rzucało światło na ruchy emancypacyjne; takie lekko biorące życie dziewczęta, jak Joanna i takie zakochane podlotki

jak Mania mogą istnieć bez żadnego wpływu haseł reformatorskich. Chcąc tedy poznać inne przedstawicielki ruchu kobiécego, potrzeba pójść na sesyę stowarzyszenia, które założyło pracownię kaftaników trykotowych. Scena ta trzymana jest, ogólnie biorąc, w tonie satyrycznym; Prus doskonale odtworzył hałas, wzajemne sobie przerywanie, gadatliwość, zamęt pojęć, brak ładu pomimo regulaminu i kar nakładanych za odzywanie się bez upoważnienia przewodniczącéj. Krytyka przedsiębiorstwa, które żadnych nie przynosiło zysków, projekt wysłania kilku młodych kobiet do uniwersytetów zagranicznych, nie mogący przyjść do skutku dla braku poparcia, projekt utworzenia domu schronienia dla starych i chorych nauczycielek, który się może urzeczywistni dzięki ofiarności Ady Solskiéj, projekt zawiązania stosunków z „kobiétami wyższéj cywilizacyi", wniosek o wystaranie się miejsca dla znękanéj nauczycielki na pensyi klasztornéj, upadający dlatego, że brzmi niepostępowo i trąci, jak jedna z uczestniczek się wyraziła, hipotezą metafizyczną — oto zmieniające się jak w kalejdoskopie temata, z których żaden nie był ani rozwinięty szerzéj, ani atakowany, ani broniony jakiemiś istotnie poważnemi argumentami, lecz traktowany płytko, zbywany drwinami i t. p.

Prus atoli, powodowany uczuciem sprawiedliwości, przedstawił na téj sesyi nietylko żywioły hałaśliwe i dowcipkujące, rozgoryczone i zmącone; lecz także istotne pracownice, ciche a pożyteczne; zrobił to jednak ogólnikowo. Wypada wszakże poznać ten pobieżny zarys, choćby dlatego, że autor wiedział dobrze o istnieniu dodatnich i zacnych postaci w ruchu kobiécym, tylko nie chciał ich na plan pierwszy wyprowadzić. Gospodyni domu, gdzie sesya się odbywała, właścicielka magazynu ubiorów damskich, przypuściła swoje współpracowniczki do udziału w zyskach, a obok tego miała dwie wychowanice, zupełne siéroty. Panna Żetowska, introligatorka, ile razy nie miała roboty, chodziła pielęgnować ciężko chorych, za całe wynagrodzenie przyjmując tylko żywność. Panna Ulewska znała szewctwo, hafciarstwo i malarstwo na porcelanie, pracowała od świtu do północy, miała początki suchot i posyłała brata swoim kosztem do gimnazyum. Pani Białecka, wdowa, od kilkunastu lat opiekowała się kobiétami wychodzącemi z więzienia, które mieszkały u niéj, przez nią dostawały służbę i — niekiedy okradały ją na podziękowanie. Panna Zielińska, nauczycielka, z własnéj pracy utrzymywała rodziców i dwu braci, którzy ciągle szukali odpowiedniego dla siebie zajęcia. Panna Czerwińska, także nauczycielka, biorąca po złotówce za lekcyę, odznaczała się niezwykłą zdolnością wyzyskiwania swoich znajomych na rozmaite dobroczynne ofiary: jeden z jéj pupilów był dyrektorem fabryki, drugi poszukiwa-

nym adwokatem, trzeci ożenił się z majętną panną; ale ich opiekunka, już zagrożona ślepotą, wciąż brała po złotówce za lekcye i chodziła w podartych trzewikach.

Ada, słuchając tych szczegółów o widzianych na sesyi kobiétach, „w pierwszéj chwili chciała wybiedz na środek saloniku, upaść na ziemię i całować nogi tych świętych kobiét, które szły przez życie nikomu nieznane, ciche, proste, niekiedy lekceważone... Zdumiéwało ją, że na te nadzwyczajne kobiéty nikt w stowarzyszeniu panny Howard nie zwracał uwagi. One same, nieśmiałe i jakby zawstydzone, kryły się po kątach; mówiła zaś najgłośniéj i robiła najwspanialsze wrażenie, albo panna Howard, nosząca tytuł członka-założyciela towarzystwa, albo niezadowolona ze świata panna Papuzińska, jéj antagonistka, albo antagonistka ich obu panna czy pani Kanarkiewiczowa, która uczyła się na pamięć Encyklopedyi większéj Orgelbranda" (III, 193—5).

Tak bywa nietylko w zgromadzeniu kobiét: błyskotliwy talencik i głośna mowa żywsze zyskują oklaski, niż rzetelna, ale cicha wiedza i zasługa. Uczestniczki zgromadzenia u panny Howard miały tę zaletę, że gdzie szło o ofiarność, nie cofały się samolubnie, lecz dzieliły się z potrzebującemi, czém mogły, choć im widocznie trudno było rozstawać się nawet z najmniejszym grosikiem.

Ciężki los kobiéty, zmuszonéj pracować na utrzymanie własne i rodziny, krótko, ale żywo i plastycznie odmalowany został przez Prusa w paru sylwetkach różnego rodzaju pracownic, mieszkających u pani Burakowskiéj, byłéj obywatelki ziemskiéj, która po śmierci męża z całego majątku otrzymała trzy tysiące rubli gotówką. Za część tych pieniędzy wynajęła większe mieszkanie i odnajmowała je częściowo sublokatorkom, które się stołowały u niéj. Musiała ciężko pracować od szóstéj rano do północy, ale mogłaby z téj pracy byt niezły osiągnąć, gdyby nie brat i siostra. Siostra posiadała sto jeden przemysłów: umiała szewctwo, introligatorstwo, haft, malowała na porcelanie, grała na fortepianie, wyrabiała ramki z paciorków, wieńce ze skóry i — szyła bieliznę. Wszystkie te jednakże kunszty, pomimo gorliwéj pracy przynosiły jéj ledwie dziesięć rubli na miesiąc. Znacznie starszy brat był praktyczniejszy; nie robił nic, ale za to ciągle szukał zajęcia, co zmuszało go do przepędzania czasu w cukierniach i restauracyach. Otóż ta siostra, a zwłaszcza ten brat-próżniak pochłaniały dochody, a nawet i część kapitału. W ciągu czterech lat utraciła pani Burakowska 1200 rubli; pozostałe 1800 zapewne stracić będzie musiała w ciągu następnych sześciu; a potém?... „Potém — myślała, że dobry Bóg ześle na nią śmierć, a sam zaopiekuje się młodszą siostrą, arcypracowitą i po-

siadającą sto jeden kunsztów, tudzież starszym bratem, który poszukiwał zajęcia".

A oto sylwetka jednéj z lokatorek pani Burakowskiéj. Była kasyerką w składzie aptecznym; za 40 rubli pensyi miesięcznéj pracowała od ósméj rano do ósméj wieczór, z przerwą godziny na obiad. Po dziesięciu latach zajęcia, przy którém nie było czasu myśléć o sobie, razu pewnego zemdlała, a sam właściciel składu aptecznego w naglący sposób prosił ją, żeby wyjechała na wieś. A ponieważ dano jéj obietnicę, że posady nikt nie zajmie, przeniosła się do swojéj ciotecznéj siostry, któréj nie widziała od lat jedenastu. Przyjęto ją bardzo życzliwie i oświadczono, że przed końcem lata nie puszczą jéj do Warszawy. „Kasyerka ze składu aptecznego nie mogła wydziwić się, że przez ten czas, kiedy ona za kantorkiem odbiérała kwity i pieniądze, lub wydawała reszty, cioteczna jéj siostra nietylko wyszła za mąż, nietylko miała ośmio- i dziewięcio-letnie dzieci, ale nawet — jakby się postarzała!... Kasyerce zajętéj od ósméj rano do ósméj wieczór przyjmowaniem pieniędzy i wydawaniem reszty, podobne zmiany w życiu nigdy nie przychodziły na myśl. Nie mogła nawet wykombinować, jakim sposobem tak nagle starzeją się ludzie i wyrastają dzieci, — chociaż od dziesięciu lat była przecie kobiétą samodzielną, a nawet urzędnikiem składu aptecznego, gdzie znajduje się takie mnóstwo chemicznych preparatów, że możnaby z nich wybudować cały świat, nietylko dzieci!" (IV, 154).

Z humorystyczną przesadą wskazał tu Prus wyczerpanie fizyczne i stępienie duchowe wskutek jednostajnéj pracy mechanicznéj i braku ruchu.

Na inném polu nie mniéj kłopotów, udręczenia i cierpień doznała pani Latter, zmuszona zdobywać środki utrzymania dla siebie i dwojga swych dzieci. Córka zamożnego domu, przyzwyczajona do wygody, z rozwiniętemi popędami zmysłowemi, wydana za człowieka niedołężnego, owładnęła nim zupełnie, ale szczęścia nie zaznała, podobnie jak i w drugiém małżeństwie, kiedy już sama sobie wybrała męża w osobie młodego cudzoziemca, guwernera. Traktowała go z góry, a po kilku latach pożycia, podejrzéwając jego wierność, wypędziła go poprostu ze swego domu. Majątek był zrujnowany. Z jego resztek założyła pensyę, którą prowadziła lat piętnaście, utrzymując na wielkiéj stopie i czyniąc ją najbardziéj renomowaną w Warszawie. Pensya przynosiła znaczne dochody, ale one nie wystarczały na coraz to większe wydatki. Miała pani Latter dwoje dzieci z pierwszego małżeństwa: Helenę i Kazimierza Norskich. Helena lubiła stroje i zabawy, Kazimierz był urwisem i próżniakiem, pozującym na człowieka wielkich zdolności, nie chcącego się marnować wśród zwykłych powszednich zatrudnień,

lecz dążącego do wyższéj, bodaj najwyższéj karyery. Matka widziała w nich same doskonałości i nie żałowała grosza ani na ich najwykwintniejsze wychowanie, ani na ich światowe potrzeby. Musiała więc zaciągać długi i doszła w końcu po latach piętnastu do położenia bez wyjścia. Uczennic zaczyna ubywać, ponieważ niektórzy rodzice z różnych powodów, a mianowicie dla ducha emancypacyjnego, jaki w ostatnich latach na pensyi zawitał, niechętném już na nią spoglądają okiem. Dawniejszy ład i karność, utrzymywane spokojnym taktem przełożonéj, zaczynają się psuć, gdyż pani Latter kłopotami pieniężnemi pochłonięta, nie wgląda jak dawniéj w sprawy i z przerażeniem spostrzega słabnącą swą powagę. Ze wstrętem zmuszona jest pani Latter robić oszczędności na pensyi nauczycieli, na pożywieniu uczennic, ażeby módz dostarczyć pieniędzy dla syna, który coraz więcéj i coraz natarczywiéj ich się domaga. Co więcéj, usposobienie i postępowanie dzieci zmusza matkę, kobiétę prawą i rozumną, do wykrętów, niesprawiedliwości i wprost nieuczciwości, jak np. w sprawie Joasi, damy klasowéj, uwiedzionéj przez Kazimierza. Wyprawia wreszcie i syna i córkę za granicę w towarzystwie Solskich, licząc na to, że piękność Heleny podbije Solskiego, a piękność i gienialność Kazimierza — Solską, a tym sposobem przyszłość się ich ustali

Zdawało się na chwilę, że pani Latter odetchnie. Ale teraz właśnie spadły na nią najsroższe cierpienia. Przekonywać się zaczęła, że jéj dzieci to pasorzytne rośliny, obwijające ją miękkiemi, ale duszącemi splotami, że jéj miłość ślepa i poświęcenie bez granic wydały krańcowych samolubów. Po wyjeździe Kazimierza zjawia się lichwiarz z wekslem, na którym pani Latter widzi sfałszowany przez syna swój podpis. Z listu się dowiaduje, że córka najlekkomyślniéj w świecie rozwija zasoby kokieteryi względem licznego grona mężczyzn, sądząc, że tym środkiem najskuteczniéj do siebie przywiąże Solskiego co ją zawodzi. A tymczasem powrót drugiego męża pani Latter, który przez owe lat piętnaście wyrósł z nieśmiałego młodzieńca na energicznego męża, pełnego siły i zdrowia, przypomina jéj, że ona dla siebie saméj nie miała żadnéj przyjemności, żadnéj rozkoszy, że wszystko robiła tylko dla dzieci. Radaby się pogodzić z tym wypędzonym niegdyś guwernerem, ale ta chęć zjawia się zapóźno, bo ten mąż ma już nową żonę i syna, a przybył do Warszawy dlatego tylko, żeby uzyskać formalny rozwód, którego domagała się druga jego żona, dawniéj emancypantka, głosząca zasadę wolnéj miłości, potém zagorzała spirytystka, bojąca się, żeby na tamtym świecie nie odebrano jéj męża, gdyby zaniechano form kościelnych.

Wskutek wszystkich przejść powyższych opanowuje panią Latter

takie rozdrażnienie nerwowe, że za jakąbądź cenę musi choćby na dni kilka opuścić pensyę, oddalić się z tych murów, gdzie tyle cierpień doznała, nie widzieć ludzi, co jéj niedawną przeszłość wciąż obecnością swoją przypominają, nie dotykać sprzętów, na których niedawno jeszcze Kazimierz i Helena siadywali. Wyjeżdża więc do majątku człowieka, który ją ubóstwiał, prawie nieprzytomna, z gorączką niepewności i chęcią jaknajszybszego dostania się do miejsca, mającego stać się jéj zacisznėm schronieniem. Trzeba było się przez rzekę przeprawić; promu nie było; pani Letter szła nad brzegiem rzeki, gdzie po drugiéj stronie dostrzegła w parku Mielnickiego, pod ogromną lipą ławeczkę, czarną od starości, widzianą we snach niejednokrotnie i czółno przy drugim brzegu. Wołała na przewoźnika, a gdy ten zniknął, ona rozkrzyżowawszy ręce, całém ciałem rzuciła się w rzekę. Ostatnie jéj słowa były: „Dzieci moje...”

Obraz pani Latter jest w „Emancypantkach” wspaniale wykonany. Wielka dama przyzwyczajona do rozkazywania, matka zaślepiona w zaletach swych dzieci, kobiéta o popędach zmysłowych, i pragnąca odrobiny szczęścia dla siebie saméj w wieku dojrzałym, kiedy się już z dziećmi rozstała, i dlatego chwilowo złorzecząca tym dzieciom, co jéj nadzieje zawiodły, lecz w ostatniéj chwili o nich tylko myśląca — tak się spływają, tak się harmonijnie jednoczą w kształty plastyczne, że tę postać za najdoskonalszą artystycznie w „Emancypantkach” uważać można, gdyż drobne zaledwie usterki w niektóych słowach i sytuacyach wytknąć-by się w niéj dały.

Nie podobna tego powiedzieć o téj postaci, którą Prus ukochał całém sercem, którą uczynił ogniskowym punktem całego opowiadania, o Madzi Brzeskiéj. Jako pomysł jest ona doskonałą, jako wcielenie artystyczne—ułomną. Autor chciał przesiwstawić tym różnorodnym usposobieniom kobiécym mniéj lub więcéj egoistycznym, jakie w swym utworze odmalował, istotę pełną uroku dziewiczego, nieświadomą swéj piękności i potęgi swych wdzięków, zajętą jedynie myślą dopomagania bliźnim, ociérania łez, śpieszenia z pomocą biédnym, z pociechą strapionym, ulżenia niedoli ludzkiéj. Miał to być „geniusz uczucia”, tak jak są geniusze rozumu, fantazyi, woli. I właśnie dlatego, że to geniusz, nie mógł on znaleść zadowolenia i szczęścia wśród ludzi. Wszystkie tedy czyny Madzi, płynące z najszlachetniejszych pobudek, były źle tłómaczone przez otoczenie, wywoływały plotki, obmowy, potwarze, zniewagi, upokorzenia, zawody. Zdręczona, znękana, szukać wreszcie zaczęła przytułku cichego i spokojnego u sióstr miłosierdzia, ażeby tam przyjść do jakiéjś równowagi umysłowéj i rozpocząć nanowo życie czynne, zgodne z jéj duchowém usposobieniem.

Tak się przedstawia Madzia rozważana jako pomysł. Ale gdy ją rozpatrzymy w szczegółach wykonania, okażą się pewne niejasności i wątpliwości. Razi w niéj przedewszystkiém zbyt wielka, nieprawdopodobna, ze względu na bieg jéj wychowania, naiwność. Otó najprzód, jak po sześciu latach przepędzonych na pensyi wśród nader różnorodnych wpływów nauki, czytania, rozmów z uczennicami, damami klasowemi, a zapewne i studentami, przedstawiała sobie Madzia ustrój świata: „Niebo, jak tło Madonny Rafaela, było utkane ze skrzydeł i głów anielskich; na ziemi ludzie, jak na odpuście, tworzyli jeden tłum, pogrążony w pracy i modlitwie. Że tam ktoś był lepiéj czy gorzéj odziany, że ktoś kogo mimowoli potrącił, że inny zapłakał, to drobiazg... to tylko wypadki i pozory. W rzeczywistości — serca ludzkie przepełniała modlitwa i dobroć, a nad całym tłumem rozléwał się blask boży, czyniący podobnemi do siebie wszystkie pochylone głowy i zamyślone twarze" (IV, 103). Taki stan duszy i taki pogląd jest poetyczny i zapewne możliwy, ale chyba w innych warunkach, aniżeli rosła i wychowywała się Madzia. Córka małomiasteczkowego doktora musiała widzieć w domu zatroskane nieraz twarze z powodu znaczniejszych wydatków, jakie pociągało za sobą wychowanie trojga dzieci, musiała słyszeć rubaszne i pospolite słowa starego majora, musiała dostrzedz niejeden rys nędzy lub upodlenia wśród ubogich mieszkańców. A potém uczyła się i kosmografii i fizyologii nawet, czytała Milla o poddaństwie kobiét, słuchała rozpraw pani Howard, dowiadywała się od koleżanek rozmaitych sekretów towarzyskich. Czy to wszystko żadnych śladów w jéj umyśle nie zostawiało? Czy nie oddziaływało nic a nic na jéj wyobrażenia, na zaznajomienie jéj z życiem rzeczywistém, tak dalekiém od obrazu świątyni, którą przepełnia modlitwa i dobroć? Wreszcie, Madzia od jakiegoś czasu pracowała już na siebie, była damą klasową, znała choćby troszeczkę wartość pieniędzy, dla przyjścia z pomocą któréj z koleżanek ofiarowywała swoje 3 tysiące; więc biéda, płacz, zniewaga nie mogły być dla niéj pozorem tylko i drobiazgiem.

Ale idźmy daléj. Prus, jako ważny okres w rozwoju duchowym Madzi naznacza chwilę, w któréj poznała kłopoty pieniężne pani Latter. Kochała entuzyastycznie swą przełożoną, wielbiła jako kobiétę rozumną i zacną, córkę jéj poczytywała za cud piękności, dla syna jéj czuła jakąś cześć zabobonną i widziała w nim wszystkie przymioty wymarzonego ideału. Dla pani Latter gotowa była na wszelkie poświęcenia. Roztrzepana dotychczas, zaczęła się zastanawiać, zaczęła wyróżniać ludzi dobrych i złych, wyrzucała sobie ciągle brak rozumu, a więc nietylko pojęła, lecz odczuła jego niezbędną potrzebę w życiu. Atoli nabycie praktyczności przychodziło jéj z niemałym trudem.

Śmierć pani Latter tak na nią silnie podziałała, iż sama powróciwszy do rodziców zachorowała. Wyzdrowiawszy, pomyślała o założeniu w miasteczku pensyjki, ażeby zarabiać na własne utrzymanie. Najlepszą charakterystyką jéj dziecinnego jeszcze usposobienia jest ta okoliczność, że jakby miała figla jakiego spłatać, robi to w tajemnicy przed rodzicami, chociaż wié, że ojciec przynajmniéj dałby jéj radę najlepszą. Idzie tedy wraz z prowincyonalną emancypantką Eufemią najprzód obstalować ławki, a potém obejrzéć mieszkanie na szkołę, choć nie zapewniła sobie jeszcze żadnéj uczennicy i nie otrzymała pozwolenia na otwarcie szkółki. Oglądając mieszkanie, znajduje wędrownych artystów; serce jéj każe się zająć ich losem, urządza dla nich koncert, który ma niesłychane powodzenie, ale ściąga niechęć artystów, nieporozumienia i plotki, uwłaczające dobréj jéj sławie. Spółczujemy Madzi w zupełności; we właściwéj sobie sferze działania jest ona nieporównaną, ale gdy zaczyna rozmawiać o pensyi z ojcem (II, 221), to widzimy w niéj rozgrymaszone dzieciątko, nawet tupiące nóżkami i nie umiejące ani myśléć ani mówić logicznie. Naiwność znowuż wychodzi tu na jaw; tak jak zresztą w niejednéj sytuacyi podczas pobytu w rodzinném miasteczku, gdzie się w niéj młodzież kocha, żadnego nie wywołując oddźwięku w jéj sercu, gdyż w niém napół nieświadomie zataiło się uczucie dla syna pani Latter, Kazimierza. Początkiem tego uczucia był całus podstępnie przezeń na jéj ustach wyciśnięty. Ale ona tak była niepewna, czy kocha naprawdę tego czarującego młodzieńca, że na zapytanie księdza proboszcza, czy ją ktoś pociąga do Warszawy, odpowiedziała przecząco, a potém na spowiedzi nie uważała za potrzebne wyjawić swojéj wątpliwości, co ją zresztą następnie mocno dręczyło.

Za ponownym powrotem do Warszawy Madzia rozwija daléj swój wpływ uczuciowy i dobroczynny, pozostając pod względem umysłowym i wogóle duchowym w poprzedniém słabo rozwiniętém stadyum. Jako nauczycielka domowa u bogatych a śmiesznych piwowarów Korkowiczów, uszlachetnia rozpieszczone i źle wychowane dziewczynki, wskazując im sposób zużytkowania wolnego czasu w uczeniu i odziéwaniu biédnych dzieci, przyzwyczaja do przyzwoitego zachowania się pana domu, poczciwego rubachę, trzyma na wodzy wybryki jego syna, urwisa, próżniaka i grubianina. Nie mogła tylko przemódz złości i zazdrości saméj pani, tak, że Solscy musieli niemal przemocą zabrać Madzię do siebie.

Jako towarzyszka Solskich wnosi do ich wielkiego, ale smutnego domu promienie wesołości i zadowolenia, budzi w Solskim dla siebie uczucie głębokie i prawdziwe, nastręcza Adzie sposobność czynienia dobrze ludziom przez hojne ofiary, wyjednywa jednem słowem swojém

posady korzystne przy wznoszonéj przez Solskiego cukrowni, umiejąc tym sposobem zainteresować do niéj człowieka, który się nudzi, łatwo zmienia projekty i nie wié, jak ma zużytkować olbrzymie zasoby energii i pieniędzy. Wszyscy ludzie widzą jasno, że bogaty pan pokochał biédną nauczycielkę, zmieniają téż stosownie do tego swoje względem niéj postępowanie, starając się zaskarbić sobie jéj łaski: ona jedna tylko nie dostrzega miłości Solskiego, nie korzysta ze swego nań wpływu dla dobra swéj rodziny, a w końcu dotknięta chłodném i surowém obejściem się krewnych Solskiego, odrzuca stanowczo prośbę jego o rękę swoję i dom ukochany dotychczas opuszcza. Zrozumiałe są zupełnie powody takiego postanowienia, ale dlaczego na zapytanie, czy kocha, odpowiada Solskiemu: tak, dlaczego popełnia kłamstwo dziewczyna tak szczera, tak prawdomówna, ten geniusz uczucia, który intuicyjnie powinienby był odczuć boleść, jaką zadawał człowiekowi szlachetnemu, poważanemu i kochanemu przez siebie; to się przedstawia zagadkowo i stanowi jedną z głównych wad w rysunku postaci.

Madzia przekonała się, że nie kocha Kazimiérza Norskiego, chociaż jeszcze widzi w nim genialnego młodzieńca, który zamącił jéj duszę wykładem poglądów materyalistycznych. Autor uważa ten fakt za nadzwyczaj doniosły w życiu bohatérki; od niego datuje nowy okres jéj rozwoju. „Jéj niebo—jak mówi—zapełnione główkami i skrzydełkami aniołów w jednéj chwili znikło, jak teatralna dekoracya, odsłaniając czarną pustynię, okropniejszą aniżeli sam grób. Jasność padająca z góry na ziemię, zgasła i świat okrył się kirem, na tle którego tém jaskrawiéj płonęły krwawe ognie ludzkich cierpień. Od téj chwili dusza Madzi była jak zmiażdżone zwierciadło; wszystko odbijało się w kształtach potwornych, mnożąc się i potęgując za każdém nowém wstrząśnieniem... Cały świat ducha zgasł dla Madzi; gorzéj, bo rozpłynął się w nicość. Została kirem okryta ziemia, a na niéj tłum ludzi, cieszących się niewiadomo z czego, lub cierpiących niewiadomo za co... Z dawnych ideałów nie posiadała żadnego: ani nieba, ani ziemi, ani wiary w bohatérów, ani modlitwy. Duszę jéj rozbito, poszarpano, zdeptano i trzeba było długiego czasu, nim się to wszystko zabliźni, nim gruzy upadłéj świątyni pokryją się nowém życiem. Tymczasem w Madzi potęgowało się głuche rozdraźnienie i zaczął kiełkować bezwzględny egoizm cierpiących, których nic nie obchodzi oprócz własnego cierpienia" (IV, 106, 107).

Bardzo interesującym byłby plastyczny obraz tego stanu rozbicia duszy pięknéj i uczuciowéj, ale Prus go nie odmalował, poprzestając na ogólnikowych tylko określeniach, które nie znajdują stwierdzenia

w sytuacyach. Jakoż jedyną sytuacyą po dziecinnemu malującą rozstrój wewnętrzny, jest bezmyślne upicie się Madzi po wykładzie materyalistycznym Kazimierza. Nieliczne bowiem sceny rozdrażnienia nerwowego łatwo wytłómaczyć się dają innemi wpływami. Zresztą Madzia jest pod względem uczuciowym i umysłowym taką, jaką była poprzednio: dobrą, opiekującą się nieszczęśliwemi, choćby z narażeniem swojéj opinii, nieostrożną w stosunkach z ludźmi. Wiary w bohatérów nie utraciła widocznie, bo właśnie teraz pragnie być siostrą i matką nieszczęśliwego geniusza, jakiego wciąż widzi w Kazimierzu, dopóki ten wyprowadziwszy ją na przechadzkę do ogrodu, swemi niespodzianemi pocałunkami nie wykazał się przed nią jako najpospolitszy rozpustnik.

Wtedy dopiéro nastąpił ów rozstrój wewnętrzny, o którym zbyt wcześnie autor uprzedził; wtedy to zaczęła szukać ukojenia u szarytek, w książce o Naśladowaniu Chrystusa, w wywodach profesora Dębickiego, który naukowo dowodził bratu jéj suchotnikowi, zrozpaczonemu ateuszowi, nieśmiertelności duszy. Gdy brat niebawem umarł, gdy z listu matki dowiedziała się, że oszkalowana nie ma poco wracać do rodzinnego miasteczka, postanowiła zostać szarytką, by pod szatą zakonną módz spełniać uczynki miłosierdzia, nie narażając się na potwarze. Ojciec, major, w porozumieniu z Solskimi starają się odwieźć ją od tego zamiaru i wówczas po raz ostatni w powieści uwidacznia się jéj naiwność. Nie może oddać ręki Solskiemu, bo „należała już do innego," dlatego, że ją Kazimierz w ogrodzie całował. Autor zapewne uważał te słowa Madzi za najwyższy, najwznioślejszy dowód czystości i niewinności jéj serca, ale czytelnik musi je poczytywać za wielką niezręczność znakomitego powieściopisarza w przedstawieniu umysłowego rozwoju swéj bohatérki.

* *
*

Takie są ważniejsze postaci i sytuacye w „Emancypantkach." O mężczyznach krótko tylko wspomniałem, gdyż podrzędną oni w tym utworze odgrywają rolę; niektórych nawet, mianowicie z obrazu życia w małém miasteczku nie wspomniałem wcale, gdyż jakkolwiek charakterystycznie i wybitnie zostali przedstawieni, nie wnoszą do skarbca twórczości nowych, świéżych pierwiastków; znamy ich już przynajmniéj w rysach zasadniczych z poprzednich pism Prusa, a pod względem artystycznym przypominają najmocniéj tę fazę, w któréj konceptowość i skłonność do kreślenia karykatur w nim przeważała.

Z pierwiastków, które dawniéj słabo się zarysowywały, zaznaczyć

należy silne pogłębienie filozoficznych na życie poglądów oraz głębokie odczucie ekstazy religijnéj. Wprawdzie jako publicysta Prus lubił zawsze uogólnienia, lecz dokonywał ich przeważnie w zakresie socyologii; rzadziéj natomiast na polu filozofii; a w nowelach i powieściach rozumowań w stanie surowym nie pomieszczał wcale. Inaczéj jest w „Emancypantkach,” których tom IV przeciążył nawet długiemi wywodami filozoficzno-przyrodniczemi, mającemi tylko pozór dyskusyi właściwie bowiem są to prelekcye profesora Dębickiego, kiedy-niekiedy przerywane jakiémś słówkiem Solskiego lub brata Madzi, suchotnika. W określenie wartości naukowéj tych wywodów wchodzić tu nie będę, gdyż albo nie czuję się kompetentnym do roztrząsania poruszanych tam kwestyi (np. co do teoryi potopu), albo téż musiałbym znacznie się obszerniéj rozpisać (np. w kwestyi zastosowania zasady niezniszczalności materyi i energii do świata zjawisk psychicznych), aniżeli to było obecnie moim zamiarem. W każdym razie winienem dodać, że trafność i głębokość wielu bardzo uwag przenosi doniosłością swoją to, co w niejednéj książce ściśle filozoficznéj czytamy. Ze względów artystycznych szkoda tylko, że autor nie zdołał wywodów tych bardziéj ożywić, uczynić bardziéj pociągającemi a zarazem złączyć ich ściśléj z rozwojem duchowym osób, przez siebie wystawionych. Nie myślę bynajmniéj, iżby należało wykluczyć rozprawy filozoficzne z powieści; sądzę jedynie, że powinny być dopasowane do wymagań artyzmu; nie udawało się to zazwyczaj dotychczas, ale nie idzie za tém, ażeby kiedyś poszczęścić się nie miało.

Odczuwanie ekstazy religijnéj znamionuje dusze lotne i uczuciowe; znajdowało się ono już i dawniéj u Prusa w zarodku i niektóre drobne szkice były mu poświęcone; ale na rozleglejszą skalę pojawia się ono dopiéro w „Emancypantkach.” Niektóre wyrażenia, niektóre wizye i dreszcze są prześlicznie oddane, chociaż na ogół biorąc, bardziéj się autor wyręczał słowami średniowiecznego mistyka, nieśmiertelnego autora dzieła o Naśladowaniu Chrystusa, aniżeli posługiwał własną intuicyą. Naturalnie, uwagi poczerpnięte z utworu, który jest arcydziełem w swoim rodzaju, lepiéj się przedstawiają pod względem artystycznym aniżeli wywody prof. Dębickiego.

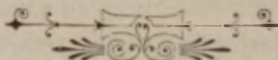
Kompozycya „Emancypantek” jest rozległa i obejmuje sobą bardzo liczne odcienie życia z wielu warstw towarzyskich. Widzimy tu życie pensyonarskie z wielu różnorodnych stron rozpatrywane; widzimy daléj życie małego miasteczka ze wszystkiemi jego śmiesznościami, plotkami, drobnostkowością, zarozumiałością, ale zarazem i z tragizmem. Przesuwa się daléj przed nami szkic wzbogaconego mieszczaństwa, które nie zdążyło się jeszcze ogładzić, albo téż ma pretensyę do

reprezentowania najwyższego tonu towarzyskiego. Inteligencya również staje przed nami i to w rozmaitych, krzykliwych i narzucających się, oraz cichych i spokojnych kształtach; nie wszystko tu jest, coby znaleść się mogło, ale to, co jest, ma w ogólnych zarysach, prawdę za sobą. Nędza życia wielkomiejskiego, skupiona w domu pani Burakowskiéj, lub w ciasnych izdebkach akuszerki, nie rzuca się nam jaskrawo w oczy, ale tém silniéj oddziaływa, że jest zestawiona z obszernemi, widnemi lubo także niezapełnionemi szczęściem pokojami wyjątkowych arystokratów. Siostry miłosierdzia niosące pomoc nieszczęśliwym lub zapatrzone w niebo kończą ten korowód istnień ludzkich, wśród których rzadko się pojawia uśmiéch szczęścia, lecz bólu i cierpienia nie braknie.

Pierwszy tom jest wspaniałą ekspozycyą, która zapoznaje nas ze wszystkiemi główniejszemi osobami a zarazem tworzy zaokrągloną całostkę, będąc obrazem kilku ostatnich miesięcy życia pani Latter. Pod względem artystycznym jest ten tom najlepiéj, najświetniéj wykończonym i może się zaliczyć do arcytworów Prusa. Tom drugi stanowi również zamkniętą w sobie całostkę, gdyż akcya rozgrywa się tu wyłącznie na tle stosunków małomiasteczkowych; jest on także dobrym, ale w znacznie niższym tonie aniżeli pierwszy. W tomie trzecim różnorodność sytuacyi o wiele jest większa aniżeli w poprzednich, ale może właśnie z powodu tego bogactwa materyału, nie wszystko w nim jest z jednakową starannością odrobione; szkicowanie częstsze tu jest aniżeli gdzieindziéj. Wreszcie tom czwarty, najważniejszy co do treści myślowéj, najmniéj zadawalnia pod względem sztuki zwłaszcza w drugiéj swéj połowie; zadużo w nim pierwiastku dydaktycznego!

Prus każdém nowém dziełem swojém wznosi się na coraz większe wyżyny; kto chce naocznie prawie przekonać się o olbrzymiéj różnicy, jaka zachodzi między Prusem dzisiejszym a przed-dwudziesto-letnim, niech odczyta najprzód „Kłopoty babuni" — a potém „Emancypantki." Zapewne nie wszedł Prus jeszcze na szczyt najwyższy, ale któż go wstrzyma? Niech dąży, coraz wyżéj i coraz szybciéj!

Piotr Chmielowski.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

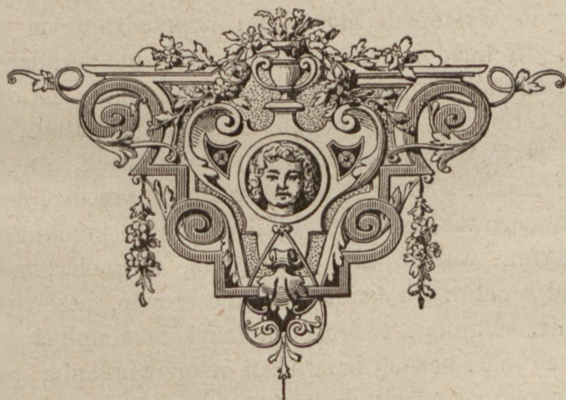
Dr. J. Conrad. Dr. L. Elster. Dr. W. Leksis. Dr. Edg. Loening. Handwörterbuch der Staatswissenschaften. Jena 1890, 1893. (Dotąd wyszło tomów 5 każdy koło 1000 stronic).

Rozpoczęte przed czterema laty wydawnictwo wielkiéj encyklopedyi wiedzy ekonomicznéj dobiega już końca, zapowiedzianym jest bowiem jeszcze tylko tom szósty. Praca ta, przeprowadzona zbiorowemi siłami uczonych niemieckich, austryackich, włoskich, francuskich, angielskich, rozmiarami swemi i wartością przewyższyła znacznie wydany przed kilku laty wielki, zbiorowy podręcznik pod kierunkiem Schönberga, którego streszczenie posiadamy w naszym języku (Ekonomia polityczna — opracował J. Piasecki). Przy tym ostatnim, szkopułem, o który rozbiły się starania wielogłowéj redakcyi, był brak ustalonych pewników teoretycznych, niejednolitość tam gdzie wypadało stworzyć system. Przy opracowaniu encyklopedyi, w któréj każdy artykuł może stanowić całość sam w sobie, nierówność ta nie razi, a raczéj jednolitość poglądów zastąpioną została przez pewien formalny szemat, autorowie rozpoczynają od określenia i historycznego przedstawienia rozwoju kwestyi, podają potém teoryę, jak się ona obecnie przedstawia, faktyczne dane odnoszące się do różnych krajów, a wreszcie bardzo wyczerpującą bibliografią. Tematy, w których oprócz ściśle ekonomicznych zagadnień, uwzględniono również wszystko, co pod jakimkolwiek względem odnosi się do stosunków gospodarczych, wyczerpują niemal całą ekonomiczną wiedzę dzisiejszą. Wskutek tego, tematy opisowe, zagadnienia polityki społecznéj, historya gospodarcza i statystyka, któ-

ra objęła już wszystkie niemal dziedziny życia gospodarczego, przeważają nad ściśle teoretycznemi, a i te ostatnie o ile się da materyałem praktycznym są poparte. W teoryi uwydatnił się wpływ szkoły wiedeńskiéj (*Menger*, *Böhm-Bawerk* i in.), co widać zwłaszcza w artykułach o cenie i pieniądzach, opracowanych przez twórcę teoryi ekonomii ścisłéj Mengera i zwolennika jego Zuckerkandla. Artykuł o wartości, który dotąd się nie ukazał (encyklopedya doszła do litery *s*) przekona nas o ile poglądy téj szkoły są panującemi, gdyż teorya wartości jest właśnie punktem spornym, w którym ekonomiści wiedeńscy najradykalniéj się różnią od klasyków i socyalistów. Zagadnienie kapitału, opracował Böhm-Bawerk, najwybitniejszy dziś przedstawiciel szkoły ścisłéj, który przedstawił poglądy obszerniéj wyłożone w dziele „*Das Kapital.*" Poglądom szkoły socyalistycznéj, mającéj przecież prawo głosu, nawet w oczach przeciwników, choćby dlatego, że rozpoczęła ona krytykę ekonomistów klasycznych, poświęcono tylko dwa artykuły o socyalizmie i demokracyi społecznéj. Pierwszy pióra znanego historyka socyalizmu w Niemczech G. Adlera zawiéra krótki i obiektywny wykład teoryi socyalistów, poczynając od utopistów, a kończąc na Marxie, Dühringu i mało znanym pisarzu Effertyn. Jak się można było spodziéwać od Adlera, który osobne dzieło poświęcił krytyce Marxa, wynajduje on w socyalizmie naukowym dużo sprzeczności z faktycznym rozwojem, przyznając mu przecież znaczenie historycznego prądu, który poprzedzić musiał przyszły okres reform społecznych. Historya demokracyi społecznéj, jako obejmująca przeważnie fakta, wiele obszerniéj i staranniéj opracowaną została. Jeżeli teorye socyalizmu nie odbiły się wprost w przedstawieniu pojedynczych zagadnień, to wpływ ich znać przecież przy omawianiu kwestyi: polityki społecznéj i robotniczéj, którym poświęcono bardzo wiele uwagi. Nadzwyczaj ciekawe i mało znane dotąd dane przynoszą artykuły poświęcone własności rolnéj, kwestyi podziału ziemi, historycznemu rozwojowi stanu włościańskiego, rencie i t. d. tém bardziéj, że w żadnym języku nie posiadamy dzieła, któreby porównawczo zestawiało te sprawy dla różnych krajów Europy i Ameryki. Przy układaniu życiorysów nie pominięto, jak się zdaje, żadnego z wybitniejszych nazwisk, ale w tym dziale, który objęła przeważnie sama redakcya, widać jak nauka ekonomii wyemancypowała się od anegdotycznego materyału. Życiorysy są krótkiém wyliczeniem etapów karyery naukowéj i spisem dzieł, obszerniejsze rozbiory poświęcono przy tém teoryom, zwłaszcza Smitha, Ricardo i Rodbertusa. Tematy nie ściśle ekonomiczne odnoszą się do zagadnień filozoficznych (np. indywidualizm) lub prawnych z gospo-

darczemi blisko związanych. Obszerniejszy rozbiór wykazałby niezawodnie niejeden brak encyklopedyi, bo jakież ludzkie dzieło doskonałém nazwaneby być mogło; pomimo to jednak ogrom materyału, jego wyborne opracowanie, pośpiech z jakim wydawnictwo jest prowadzone, zasługują na najwyższe uznanie. Dzieło jest istotnie pomnikowe, a wydawane pod tym samym kierunkiem roczniki ekonomii politycznéj obiecują dawać dopełnienia pojedynczych kwestyi w miarę, jak nowy materyał napływać będzie.

Dr. Z. D.



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= *Juliusz Giżowski.* **Rodzina wyklętych.** Powieść. Lwów-Warszawa, 1894. — Nazwisko autora, o książce którego pomówić zamierzamy, nieznane jest dotychczas literaturze powieściowéj, nie wiemy téż, czy mamy do czynienia z przygodnym dyletantem, który zasłyszaną opowieść ubrał w formy romansu, czy téż z początkującym pisarzem i jego pierwszym występem literackim, poprzedzającym cały szereg prac dalszych. W każdym razie autor niczém nie zdradza przynależności do t. zw. młodéj szkoły, która stawiając fabułę na ostatnim planie, za główny cel obrała sobie pogoń za prawdą, naturą, odzwierciedlaniem życia w jego najpowszedniejszych objawach, subtelną analizą zjawisk psychicznych. Powieść p. Giżowskiego przenosi nas w dawne dobre czasy Dumasowskich opowiadań, w których przekleństwa całych rodów, starożytne walące się zamczyska, niedocieczone tajemnice i uciekający od krociowych spadków sukcesorowie, przewijają się niby w kalejdoskopie. Bujnéj a twórczéj fantazyi niepodobna autorowi odmówić, zarówno jak i pewnéj barwności w opowiadaniu; psuje ją jednak brak artystycznéj miary w nagromadzeniu zdarzeń i konfliktów dramatycznych, niejasność układu, a częstokroć także wadliwa forma i zwroty grzeszące zarówno przeciw duchowi naszego języka, jak i przeciw prawidłom gramatycznym. Takie np. zdania jak: „nie rozchodzi się o pańskie frazesy“, lub „będę zmuszonym przed czasem opuścić mój posterunek“ — zdarzają się zbyt często ze szkodą pięknych nawet niekiedy ustępów. Kompozycya „Rodu wyklętych“ tak jest zawiła, że niemałą trudność przedstawia zaznajomienie z treścią książki, témbardziéj, że autor sam otacza najgłębszą tajemnicą losy głównego bohatéra, nie dając nawet w końcowéj scenie czytelnikom klucza, do rozwiązania, dręczącéj ich przez całą długość powieści zagadki. Henryk Wyszyński jest ostatnią męską latoroślą potężnego magnackiego rodu książ-

żąt Twaroyskich, wyklętych aż do czwartego pokolenia przez praprababkę, zamkniętą w podziemnym lochu przez własne dzieci. Z jakichś tajemniczych, a zupełnie przez autora niewyjaśnionych i nieumotywowanych pobudek, porzuca Henryk dom, majątek, żonę, która jak kilku ciemnemi słowami objaśnia, jest mu najstraszniejszym wrogiem, i zamiast w jakiś legalny, lub przynajmniéj przez cywilizowanych ludzi praktykowany sposób starać się od niéj uwolnić, on tuła się po świecie, doznaje wszelkich nędz i upokorzeń, aż wreszcie obdarty, zgłodniały, jak zwierz dziki przepędzany z miejsca na miejsce, nawpół zmarznięty dostaje przytułek w domu państwa Słonimskich, którzy z litości przygarniają rozbitka. Po przebyciu strasznego tyfusu głodowego, Wyszyński wdzięczny za opiekę i przytułek, ofiaruje dobrodziejom swoim—staremu p. Słonimskiemu i jego córce, p. Mary, swoją pracę i gotowość do wszelkich poświęceń. Pozostaje zatém na skromném stanowisku oficyalisty niedopuszczanego nawet do wspólnego stołu, składa heroiczne dowody pracy, gorliwości, odwagi i zdolności. Bodźcem w tych wszystkich wysiłkach jest mu nietylko wdzięczność, ale i szalona miłość ku córce swego chlebodawcy. Ta ostatnia nieszczególnie odpłaca mu to wielkie i ofiarne uczucie; choć czuje się porwana ku temu niezwykłemu człowiekowi, stara się jednak maskować swe uczucie nieprzystępną dumą, odpychającém i dokuczliwém słowem, w którém, co prawda, przekracza częstokroć granice, jakie szlachetność, a choćby tylko litość nakreśla sercu kobiecemu. Z dwóch względów Mary wstydzi się sama przed sobą swéj słabości dla nieznajomego przybłędy: przedewszystkiém bowiem jest ona związana przysięgą z człowiekiem, który choć w sam dzień ślubu popadł w obłęd nieuleczony, niemniéj jednak jest jéj mężem, powtóre zaś czuje się zgnębiona w swéj arystokratycznéj dumie, należy bowiem do tego samego co i Henryk rodu, w żyłach jéj harda a gorąca krew wojewodów, choć wskutek przekleństwa rzuconego na jéj dziada za popełniony mezalians, rodzina jéj żyje w odosobnieniu i względném ubóstwie. Zwalczona szlachetnością i mówiąc nawiasem, niepotrzebném poświęceniem chmurnego wielbiciela, który jéj ojca od hańby ratuje, wyznaje Henrykowi swoją miłość w wyrazach pełnych uczucia i porywającéj siły, które stanowią najlepszą kartkę książki, dowodząc, że autor umié oddawać uczucia gorące i namiętne.— P. Giżowski jednak, chcąc być silnym, przebrał miarę w efektach, któremi przeładowawszy końcową scenę, pozbawił ją dwóch kardynalnych warunków przemawiających do dusz ludzkich: prostoty i prawdy. Kochankowie ukryci przed straszną burzą w głębi nawpół rozwalonéj baszty, dobywają z za walących się płyt marmuru zwitek pożółkłego papieru: pomimo orkanu szalejącego nad ich głowami i w głębi serc włas-

nych, znajdują czas, cierpliwość, — światło potrzebne do odczytania długiéj spowiedzi nieszczęśliwéj prababki i jéj okrutnego przekleństwa. W myśl jéj słów ostatnich, opiewających, że „tu w grobie moim, pokutując za winy ojców, legnie, co najszlachetniejszego wyda ród Słonimskich" — zapadająca się baszta druzgocze swym ciężarem oboje kochanków, splecionych miłosnym uściskiem. — Po przeczytaniu powieści p. Giżowskiego, która po za pewnemi zaletami posiada wiele wad, odnośnie zwłaszcza do nieudolnéj kompozycyi i wadliwego rysunku działających postaci, trudno orzec o talencie autora, którego probierzem będzie dopiéro twórczość dalsza. *Nit.*

— *Jan Sembrzycki.* **Die polnischen Reformirten und Unitarier in Preussen.** Królewiec 1893. — W nowéj seryi czasopisma królewieckiego: *Altpreussische Monatsschrift*, stanowiącego ciąg dalszy wydawnictwa: *Neue preussische Provinzial Blätter*, zamieścił p. Jan Sembrzycki obszerną, źródłową rozprawę, o losach kalwinów (*Reformirte*) i aryanów (*Unitarier*) polskich w Prusiech. — Rozdział pierwszy téj pracy, obejmuje dzieje kalwinistów, do epoki traktatu Oliwskiego, 1657 r. Rozdział drugi mówi o unitaryuszach w Prusiech Wschodnich. Rozdział trzeci traktuje rzecz o utworzeniu się gminy litewsko-polskich kalwinów w Królewcu, do r. 1706. Ostatni rozdział obejmuje dalsze tejże gminy dzieje. — Szczegóły, w pierwszych rozdziałach zawarte, odnoszą się przeważnie do działalności domu Radziwiłłów na Litwie, do pierwszych przejawów nowinkarstwa, zapoczątkowanych przez Mikołaja Radziwiłła Czarnego i do dziejów gmin reformowanych tamecznych, na tle reakcyi katolickiéj, za panowania Zygmunta III. Broni tu autor tezy, iż położenie dysydentów w Polsce było względnie znośniejsze, aniżeli w innych krajach Zachodu, w wiekach XVI i XVII i że pomimo wzbronionego im dostępu do urzędów i dygnitarstw Rzpltéj, wyjątki od téj zasady prawodawczéj były bardzo liczne, co przykładami z dziejów kilku rodzin dysydenckich dowodnie stwierdza. Awantura w Wilnie, na pogrzebie dworzanina Radziwiłłowskiego, kalwina, Przypkowskiego w r. 1640 wydarzona, zmusiła wielu dysydentów do ucieczki do Prus, i wtedy to, po raz pierwszy, elektor brandeburski wmieszał się w sprawę dysydentów polskich, świadcząc zbiegom litewskim interesowną opiekę. — Po śmierci Władysława IV, Fryderyk Wilhelm, korzystając z zamieszek i klęsk Rzpltéj ściśléj jeszcze sprawą tą zajmować się zaczął; a z pomocą owéj opiece przyszła niefortunna rola Radziwiłłów, jaką zajęli wobec najazdu szwedzkiego, co naturalnie, wrodzoną ku inowiercom niechęć jeszcze spotęgowało. — W rozdziale drugim pracy p. Sembrzyckiego mieszczą się drobiazgowe

szczegóły genealogiczne rodu Morsztynów, potomków Zbigniewa Morsztyna, prawie, że do ostatnich doprowadzone czasów. — W rozdziale trzecim i ostatnim, znajdujemy opis stopniowego wzrostu gminy królewieckiéj, stosunków jéj ze szkotami na Litwie, wpływu coraz częstszego odwiedzania przez Litwinów uniwersytetów zagranicznych i rozpowszechniania druków, odbijanych w oficynach dysydenckich w Królewcu. — Praca p. Sembrzyckiego, sumienna i urozmaicona mnóstwem szczegółów źródłowych, jakkolwiek nie wnosi do literatury przedmiotu rzeczy nowych, przez poprzedników (między innymi przez J. Łukaszewicza) nie uwzględnionych, stanowi wszakże jako źródłowe obrobienie sprawy dysydentów, w jednéj z dzielnic dawnéj Rzpltéj i w sąsiednich jéj prowincyach, pożądany dla wyjaśnienia tejże sprawy przyczynek. *A.*

= *Ernest Bandrowski.* **Wykład chemii ogólnéj**. Cz. I. „Chemia nieorganiczna“, Kraków, 1891, str. 242. Cz. II. „Chemia organiczna“, Kraków, 1893, str. 256. — Oddawna, bo od czasu wydania Schorlemera, dający się czuć brak w naszéj literaturze systematycznego wykładu chemii organicznéj, odpowiadającego wymaganiom współczesnéj wiedzy, bardzo szczęśliwie zapełnia świeżo wydana druga część „Wykładu chemii“ p. Bandrowskiego. Autor potrafił w bardzo niewielkiéj objętości zwięźle przedstawić w głównych zarysach przedmiot téj tak rozległéj i tak szybko rosnącéj i zmieniającéj swą postać umiejętności. Znajdujemy tu wszystkie ważne zdobycze z ostatnich kilku lat, jak teoryę stereochemiczną, syntezę i nową klasyfikacyą ciał cukrowych; obszerniéj, niż zwykle dotąd w krótkich podręcznikach, traktowane są związki azotowe, po części nowe, jak ciała dwuazowe i hidrazyny, szereg pirydonowy, związki pirolowe, azole i aziny; nie pominięto zwykle po macoszemu traktowanych związków, których nie zdołano podciągnąć pod klasyfikacyą, jak rozmaite ciała roślinne. Brak wszakże wykazu alfabetycznego, niezbędnego szczególniéj wobec chaosu związków objętych przez chemią organiczną. — Niemniéj szczęśliwie połączył autor i w pierwszéj części treściwość i trafny wybór faktów z jasnością wykładu; za podstawę przyjęty tu został peryodyczny układ pierwiastków. Brak wykazu alfabetycznego mniéj dotkliwy tu jest, niż w części drugiéj. *Wł. M. Kozłowski.*

= *Dr. Władysław Wisłocki* opracował ciekawy zabytek rękopiśmienny, tak zwane „**Acta rectoralia**“, i ogłasza go nakładem Akademii umiejętności. Dotąd ukazały się dwa zeszyty tomu I-go (str. 462, in 8-vo). Mamy tu akta jurysdykcyi sądowéj rektorów akademii

krakowskiéj z lat 1469 — 1501, w których badacze przeszłości znajdą nietylko sporą wiązankę drobnych szczegółów biograficznych z żywota mistrzów i scholarów ówczesnych, ale i jaskrawe niekiedy rysy obyczajów i zwyczajów, właściwych staréj rzeczypospolitéj akademickiéj. Praca wydawnicza d-ra Wisłockiego wykonana jest starannie.

= Profesor seminaryum dyecezalnego w Płocku, ks. *Antoni Nowowiejski*, napisał **Wykład liturgii** kościoła katolickiego (Warszawa, 1893, tomu I-go, poszyt I-szy, stron 352). Dzieło widocznie zamierzone jest na wielką skalę. Specyalny charakter téj poważnéj pracy nie pozwala na szczegółowy jéj rozbiór w „Ateneum"; zaznaczymy więc tylko, że kwestye architektury kościelnéj i archeologii chrześciańskiéj przedstawione są tu dość szczegółowo i objaśnione licznemi drzeworytami.

= Na posiedzeniu Komisyi do badania historyi sztuki, 18 stycznia r. b. prof. Łuszczkiewicz odczytał pracę **O opactwie Jędrzejowskiém**. — Tamtejszy kościół Cystersów zachował w zasadzie pierwotny, romański z XIII wieku układ planu, typu tego samego, który widzimy w Sulejowie, Wąchocku i Koprzywnicy, pomimo przebudowań, jakim uległy budowle klasztorne w XVII wieku. Ślad architektury romańskiéj, pozostał także w jednéj z dwu kaplic bliźnich, których kościół Jędrzejowski posiadał po dwie z obu stron prezbiteryum. Jeszcze do niedawna, istniał tu jeden z najwspanialszych u nas romańskich kapitularzy, wsparty na 4-ech kolumnach z ozdobnemi kapitelami i bazami. Prelegent zwrócił wreszcie uwagę, że podobne drobne ślady romanizmu, jak te, które dotrwały się w katedrze Płockiéj i klasztorze Jędrzejowskim, dałyby się prawdopodobnie odszukać także w katedrze Kieleckiéj. P. Łuszczkiewicz przedłożył następnie opis kościołów w Szczepanowie i Starym Wiśniczu; sądzi on, iż do budowy pierwszego przyczynić się musiały obok Długosza także rody Tarnowskich, Oleśnickich, a nawet sam król, czego dowód upatruje w herbach, będących na tablicy erekcyjnéj, oraz w prezbiteryum. Kościół w Starym Wiśniczu fundacyi Kmitów jest dziełem początku XVI wieku, epoki przechodowéj z gotycyzmu w renesans. Odstępuje on od zwykłego układu planu naszych kościołów średniowiecznych, nie ma właściwego prezbiteryum, tylko przedstawia się, jako jedna wielka prostokątna sala. Autor sądzi, że przyczyniła się do tego chęć udogodnienia dla kolatora i jego rodziny, którzy słuchali nabożeństwa z piętrowych lóż, opatrzonych renesansowymi balkonikami, po obu stronach wnętrza kościoła. Loże te mieszczą się w osobnych przybudowach kształtu kaplic

piętrowych, które nadają świątyni zewnątrz postać krzyża. Pięknym zabytkiem renesansu jest t. zw. ołtarzyk kształtu szafki na kroksztynach zawieszonéj z r. 1594, dzieło kamieniarza włoskiego. P. Łuszczkiewicz podnosi, że kościół w Starym Wiśniczu razem z zamkiem w Dębnie rzuca niemało światła na architekturę pierwotnego zamku Kmitów.—Dr. Tomkowicz podał wiadomość o kształcie kościoła Św. Szczepana w Krakowie, zburzonego w r. 1802, opiérając się na odszukanych planach restauracyi téj świątyni z r. 1657.—P. Matias Berson, nadesłał wiadomość o zabytkach skarbca klasztoru Franciszkanek w Chęcinach.—P. Zygmunt Hendel odczytał pracę o t. zw. Ogrójcu przy kościele Św. Barbary, w któréj okazał, że ozdobna ta budowa ani na podstawie aktu erekcyi, ani na podstawie swego rozkładu, ani téż swego wyglądu i artystycznego znaczenia nigdy kostnicą cmentarną być nie mogła, tylko była otwartą kaplicą zmarłych dla nabożeństw żałobnych i miała w tym celu od początku swój ołtarz.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Inteligencya i prowincya.—Prawnicy w świetle artykułu p. Libickiego. — Wyższe wykształcenie młodzieży. — Potrzeba rzemieślników na prowincyi i uwagi o niéj „Gaz. Warsz."—Zjednoczenie szwaczek. — Upadek bazaru wyrobów kobiecych. — Odpowiedzialność budowniczych.—Kolonie letnie. — Agnieszka Helwich i schronienie nauczycielek.—Przytułek dla rzemieślników fabrycznych.

Przekonywano zawsze naszą fachową inteligencyę, że dla własnego i społecznego dobra nie powinna się skupiać zbyt licznie w Warszawie, a nawet w większych miastach prowincyonalnych, gdzie wzajemną konkurencyą utrudnia sobie warunki bytu, lecz osiedlać się, o ile się da, i po mniejszych miastach i wsiach, gdzie źródła zarobku przedstawiają wprawdzie skromną, ale pewniejszą rękojmię egzystencyi i społecznego pożytku.

To, coby nazwać można centralizacyą inteligencyi, nie jest ani miejscowym, ani ostatnich czasów objawem. Parcie do miast, a raczéj wielkich miast jest zjawiskiem ogólno-europejskiém, objawem ogólno-cywilizacyjnym, powiedziéć-by trzeba. Dążność ta nie cechuje też wyłącznie klas inteligentnych, bo nie w mniejszym stopniu ulegają jéj inne warstwy ludności, zaczynając od wyrobników, robotników fabrycznych, sług, stróżów i t. d. W ostatnich czasach nawet wśród inteligencyi odbywa się może niejaki zwrot na korzyść wsi i życia wiejskiego: zwrot to wprawdzie natury moralnéj, a sprawy takie dotychczas nie według moralnych, lecz ekonomicznych regulują się czynników; w każdym jednak razie dziś tę teoretyczną rehabilitacyę wsi i jéj życia zaznaczyć można, nie przesądzając, o ile ona wpłynie w przyszłości na wielkomiejskie dążenia i ambicye, na zamiłowanie bruku, gwaru, gorączki i tempo interesów w człowieku.

U nas sprawa, którąbyśmy nazwali decentralizacyą inteligencyi, wraca peryodycznie na porządek dzienny. Czy i o ile przekonywanie młodych prawników, lekarzów, techników i innych adeptów wyzwolonych i niewyzwolonych zawodów, skłaniało ich do osiedlania się po miasteczkach i osadach krajowych — trudno stanowczo odpowiedzieć, bo do odpowiedzi takiéj trzebaby posiadać dokładne wiadomości statystyczne. Gdybyśmy wiedzieli np. ilu wykwalifikowanych obrońców prawnych posiada dany okrąg zjazdu sędziów pokoju, oraz ile miejscowości oni zamieszkują w porównaniu pod temi obu względami z czasem dziesięć lat wstecz, gdybyśmy wiedzieli, czy i o ile przez ten czas zmniejszyła się liczba pokątnych doradców, zwłaszcza zaś sfera ich wpływu; gdybyśmy odpowiednie daty posiadali, dotyczące innych zawodów, z uwzględnieniem wzrostu i potrzeb ludności — wówczas możnaby prawdopodobne o stanie lub rozwoju rzeczy robić wnioski. Bez takich danych o pewne wnioski trudno; oddzielne jednakże fakta w prasie spotykane, oraz obserwacya własna pozwalają na przypuszczenie, że w ostatnich czasach inteligencya nasza mniéj niechętnie osiedla się po tak zwanych kątach prowincyonalnych. W większéj części miast powiatowych jest jeden lub więcéj adwokatów przysięgłych, czego przed kilku laty jeszcze nie było, lekarze zaś zajęli już posterunki po osadach i wsiach fabrycznych.

Do tych obu rodzajów zawodowców przeważnie bowiem stosowano nawoływania, ażeby osiedlali się na prowincyi.

Niedawno w innéj nieco formie sprawę tę w „Gazecie sądowéj" podniósł p. Stanisław Libicki w artykule „Emigracya prawnicza."

Emigracya prawnicza — według p. Libickiego — powstaje ze ze zbyt wielkiéj ilości osób, które otrzymały wykształcenie prawne i dla ktorych na miejscu brakuje zajęcia. Tymczasem inne pola pracy leżą odłogiem. Lecz po co łamać sobie głowę nad wyszukiwaniem nowych pól pracy, niech to za nas robią przybysze z zachodu, Niemcy, którzy w ten sposób majątki u nas porobili i w przyszłości bogacić się jeszcze będą; dla nas dostateczne, że istnieje uniwersytet, a w nim wydział prawny, który z łatwością i bez wysiłków skończyć można. Tak łatwo otrzymać tytuł dyplomowanego prawnika. Lecz czy dyplom ten da młodzieńcowi byt dla założenia rodziny?

P. Libicki uważa za bezowocne marnowanie sił młodzieńczych, to tłumne garnięcie się do zawodu prawnego. Z tém wszystkiem jednak — zdaniem autora—nie byłoby tak źle, gdyby prawnicy chcieli poprzestać na skromniejszéj pracy, gdyby wszyscy dziś nie marzyli o świetnéj karyerze. Ci więc, którzy już *nolens volens* na polu prawném pracować muszą, wiedzą przecież o tém, że po miastach prowin-

cyonalnych z braku wykwalifikowanych adwokatów pełno pokątnych doradców, posady sekretarzy przy sądach gminnych zajmują także często wątpliwe osobistości. A przecież to są miejsca, kawałek chleba zabezpieczające. Ale idea świetnéj karyery, która wszystkich opanowała, niestety, stoi na przeszkodzie. Argumentacyę tę i nawoływania inteligencyi do skromnéj, ale owocnéj pracy na prowincyi, znamy już oddawna.

Inaczéj nieco ma się rzecz wtedy, gdy autor gani tłumne garnięcie się młodzieży na kursa prawne. Pominmy to, że to także objaw ogólny, że na zbytek prawników narzekają zarówno w Austryi i Niemczech. U nas z tą sprawą łączy się pewien pogląd, dość często w ostatnich latach występujący, o wyższém wykształceniu. Od dłuższego bowiem już czasu ciągle młodzież naszą przestrzegają, ażeby zredukowała swoje ambicye odbycia studyów uniwersyteckich i poprzestała na praktycznem fachowém wykształceniu, które wcześniéj i pewniéj dać może rękojmię pożytecznéj dla siebie i ogółu pracy.

Zdaje się, iż te przestrogi nie biorą naprzód pod należytą uwagę tego faktu moralnego, że każde społeczeństwo ze starszą cywilizacyą posiada wielką liczbę jednostek, których ambicyą właśnie jest odbycie studyów naukowych w uniwersytecie. O ile ta ambicya jest szczerą, i istotnym dążeniom umysłowym pokrewną, o ile zaś próżnością, naśladownictwem i chęcią zrobienia „karyery" wywołaną — to rzecz inna, któréj tu rozbierać nie możemy. W każdym razie, uważać ją chyba trzeba za pewien fakt moralny, z którym liczyć się w odpowiednich pojęciach i wnioskach należy.

Co zaś do tak zwanego, ściśle praktycznego punktu widzenia, ograniczonego względami miejsca i czasu, polegającego na skierowaniu młodzieży do zawodów praktycznych, to pamiętać musimy, że wyższych szkół fachowych wcale, średnich zaś bardzo mało posiadamy. Ganiąc więc młodzieży tłumny napływ do uniwersytetu, uważajmy, ażeby razem z kąpielą nie wylać czasem i dziecka.

Każde społeczeństwo, zajmujące posterunek cywilizacyjny, musi posiadać warstwy wyżéj wykształcone. Prawda, że względy powszedniego kawałka chleba decydują o losie tego lub tamtego, obdarzonego lepszemi intencyami, inaczéj. Lecz jeśli nawet ekonomia praktyczna ma być ostatecznie decydującą, toć i prawnik nie potrzebuje być synonimem karyerowicza lub synekurzysty społecznego. Przecież nikt nie odznacza się większą skromnością i mniejszą pretensyonalnością od tych wielu ludzi, którym zdolności i wysilki umysłowe dawałyby może prawo do ambicyi i hegemonii, którzy „kursów" swoich nie zaprzestają razem z otrzymanym dyplomem, właściwie nie kończą ich nigdy, a któ-

rzy mimo tego wypełniają swoje skromne zadanie z rezygnacyą i energią.

Najprzykrzejszém też może jest to, co p. Libicki w artykule swoim, do młodzieży prawniczéj zwróconym, mówi o jéj skłonnościach karyerowiczowskich.

Przy rozbieraniu téj sprawy, która nieraz jeszcze na porządek dzienny wróci, należałoby chyba unikać jednostronności. Społeczeństwu naszemu bardzo potrzeba umiejętnych fachowców w dziedzinie rzemiosł, techniki, handlu, przemysłu, rolnictwa i innych gałęziach produkcyjnéj wytwórczości. Bezwątpienia, że za mało pod tym względem robi się i mówi. Lecz ci, co sądzą, że zmniejszenie cyfry jednostek z uniwersyteckiém, w danym razie prawném wykształceniem, powiększy cyfrę fachowców i praktyków, mogą być w błędzie. To nie koniecznie jest kwestyą arytmetycznego stosunku. Kto wié nawet, czyby się tu nie sprawdziła opinia o tak zwanym równoległym rozwoju? Pamiętać musimy także i o tém, że w społeczeństwie ludzkiém powstaje różnorodność powołań, uzdolnień i fachów, która jednostronnemu kierunkowi z trudnością chyba ulega. Zresztą, ograniczenie liczby jednostek, dążących do średniego i wyższego wykształcenia jest faktem dokonanym i rozprawy pod tym względem są chyba pozbawione t. zw. aktualnéj podstawy.

Prowincya potrzebuje nietylko prawników, którzyby zajęli stanowiska obrońców i sekretarzów przy sądach gminnych, nietylko lekarzów, choć ci uskarżają się na podstępną walkę, jaką przeciw nim prowadzą felczerzy, oraz na protekcyonalność aptekarzów, lecz potrzebuje także dobrych i obrotnych rzemieślników. W prowincyonalnych rubrykach gazet znajdujemy na to liczne dowody, w rodzaju np. takiéj korespondencyi z Hrubieszowa:

„Użalają się rzemieślnicy i różni procederzyści chrześcianie, że w miastach prowincyonalnych sobie chleba znaleźć nie mogą. Kiedy tymczasem rzecz główna, że sobie radzić nie umieją. Zjechał tu z Zamościa kotlarz i przekonawszy się, że trafił na ciężkie czasy dla swojego rzemiosła, założył masarnię, z któréj wydaje doskonałe i sumiennie przyrządzone wędliny—więc ma powodzenie. Przed półrokiem osiadł tu wykwalifikowany krawiec warszawski, który, po otworzeniu pracowni wykonywał robotę sumiennie i punktualnie, dziś przeto takie ma powodzenie, iż wymawia się od obstalunków, albo zmuszony jest wyznaczać odległy termin; utrzymanie w tych warunkach będzie miał pewne. Nie mniejszém powodzeniem cieszyłby się dobry zégarmistrz."

Lecz ta nasza prowincya, o któréj mówimy, potrzebuje innych ludzi, innych usiłowań, innéj energii i innych obyczajów nawet nad te,

jakie jéj wystawia w swojém świadectwie „Gazeta Warszawska" w artykule „Postęp prowincyi", nad którą autor artykułu niemiłosiernie się pastwi, mówiąc, że prowincya — „to plotki, 18-to godzinne spanie, karty i pijatyka."

Jeżeli — zdaniem autora—przyjedziemy do większego lub mniejszego miasteczka, posiadającego jakieś osobliwości i zapytamy się o nie stałego mieszkańca, z pewnością nic się nie dowiemy, ale poznamy dokładnie wszystkie restauracye, handle win, cukiernie, spróbujemy wódek miejscowéj fabrykacyi i potraw miejscowego kuchmistrza, zgramy się w winta i w rezultacie — nic nie zobaczymy. Ze wsi, miast i miasteczek uciekają wszyscy żądni rozrywek, zabaw, nie rozumiejąc bez nich życia. Bez teatru, operetki i balów nie widzimy najmniejszego powabu w życiu, a pozbawieni tych rozkoszy, uważamy się za wydziedziczonych, marnujących swe siły w walce codziennéj o byt.

Niewątpliwie, że nie mało tam próżniaków, skarżących się na nudy i brak operetki. Nieboszczyk Offenbach niepośledinią istotnie odegrał i po dziś dzień odgrywa rolę w rozwoju estetycznych i obyczajowych wyobrażeń naszéj młodzieży. Kult operetki, rozwożony po kraju przez nasze chude trupy dramatyczne, przyjął się wszędzie tak dobrze, że nie śmiemy nawet marzyć, ażeby zarówno bujnie pleniło się ziarno najpożądańszéj reformy. Lecz choćbyśmy dotkliwie umieli smagać biczem ironii i prawdy wady naszych ziomków, ogólne oskarżenia dziennikarskie, całe klasy obejmujące, chybiają najczęściéj celu. Kiedy wszystkich ogłaszamy za winnych — nikt się do winy nie poczuwa.

Skuteczniejszy jest system pozytywnych wskazówek i pozytywnych, choćby nieznacznych, zaledwie zasługujących na ten wyraz reform. Niech te reformy będą nawet takie, jak projektowane w téjże „Gazecie Warszawskiéj" przez p. H. W. wagi zbożowe po wsiach, a dobry skutek zostanie osiągnięty.

Chodzi tu o zabezpieczenie gospodarzów wiejskich, sprzedających zboże, od wyzysku kupujących. A wyzysk to wielki i gorszący. Większość naszych chłopów nie zna się na manipulacyi sprzedaży zboża na wagę, co jest właśnie powodem licznych nadużyć. Ażeby temu zapobiedz, ażeby ochronić rolnika przed wyzyskiem handlarzów, należałoby go przedewszystkiém obeznać z wagą tego, co sprzedaje; należałoby dać mu możność przekonania się jeszcze w domu o ilości zboża, czy innego produktu, który wywozi na targ, aby potém, gdy zboże jest na wadze, pilnujący wagi stróż miejski, lub dzierżawca wagi, zwykle wspólnik handlarzów, nie był dlań wyrocznią, aby w razie dostrzeżonéj

różnicy między wagą w domu a wagą w mieście, mógł śmiało głos zabrać w obronie słusznéj swojéj sprawy.

W tym celu konieczną byłaby waga decymalna w każdéj wiosce, lub przynajmniéj w takiéj, gdzie znaczniejsza ilość mieszkańców czyniłaby nabycie wagi dostępném.

Sprawa cała przy dobréj woli, czy to pełnomocników gminnych, czy obywateli ziemskich, dałoby się bez wielkich trudności załatwić.

Corocznie, w pewnych chwilach, socyologowie, publicyści i dyletanci nasi występują z generalnemi rozprawami o kwestyi kobiecéj. Rozprawy te zaczynają się zwykle od teoretycznych sporów. Rozprawiamy o tém, czy kobiéta ma prawo do wyższego wykształcenia i samodzielności, czy małżeństwo i „ognisko domowe" obejmuje cały zakres jéj potrzeb, czy ma ona zdolności filozoficzne i nawet, czy mózg jéj mniéj waży od męskiego. Sprzeczamy się i nieraz z góry przesądzamy kwestyę, jak wyglądać będzie przyszłe społeczeństwo z zupełném równouprawnieniem kobiét. Po takich rozprawach zmęczeni szermierze ocierają pot z czoła, zamykają usta i składają pióra, aż znów trąbka zagra do boju.

Niechże odpoczywają; tymczasem zajmijmy się sprawami praktycznemi.

„Tygodnik mód i powieści", jak przystoi pismu kobiécemu, już po raz drugi podnosi sprawę stowarzyszenia szwaczek i kobiét pracujących w magazynach mód.

Warszawa — według tego pisma — ma posiadać sto kilkadziesiąt magazynów mód i z pięć razy tyle szwalni. W tych pracowniach jest zajętych około 30,000 kobiét, które, mając dzisiaj jaki taki zarobek, z głodu umiérać nie są wprawdzie zmuszone, ale nie wiedzą, co się stanie z niemi, kiedy zarobki zmaleją do *minimum*. Według przypuszczeń „Tygodnika" większa jeszcze ilość pracownic igły jest zajęta po rozmaitych fabrykach i warsztatach. Gdyby zarówno właścicielki pracowni, jak i pracownice, wnosiły po $7^1/_2$ kopiejki składki miesięcznéj do kasy zjednoczenia, pracujące każda za siebie, chlebodawczynie za każdą z nich, to wysokość wkładek mogłaby wynieść rocznie 140,000 rs. (?). Kwota $7^1/_2$ kopiéjki miesięcznie nie przenosiłaby możności najmniej zarabiających szwaczek i szwalni. Oprócz tego, wszelkie stowarzyszenia miewają także i niestałe, czasem obfite źródła dochodów.

„Tygodnik" stanowczo zapewnia, że stowarzyszenie takie uzyskałoby sankcyę władzy, w tych słowach: „Tym zaś, którzy się przerażają na samą myśl początkowania, w nieufności, czy się to na co przyda,

przypominamy, o czém-by dobrze wiedzieć powinni, że obecnie władza sprzyja bardzo idei samopomocy korporacyjnéj, tworząc dla niéj coraz nowe ustawy normalne."

„W państwie całém mnożą się szybko kasy pomocy wzajemnéj, stowarzyszenia korporacyjne, rozmaite instytucye społeczne i szczególnym musi być pesymistą, kto przypuszcza, aby stowarzyszenie wzajemnéj pomocy pracownic igły natrafić miało, w ufundowaniu swojém, na przeszkody niezwalczone."

Skromna wkładka kilkunastu groszy miesięcznie, zdwojona przez wkłady chlebodawczyń, potrojona przez ofiary, zapisy i odsetki od pożyczek, urosnąćby mogła do wcale pokaźnéj cyfry. Nie należy téż zapominać, że przez odpowiednie urządzenie kasy zjednoczenia, czyli przez to, że wkłady takich stowarzyszonych, które przed czasem ze związku wyszły, zmieniły stan albo umarły, w kasie pozostają, powiększając tym sposobem kapitał ogólny, oraz udziały uczestniczek — wobec tego powiedzieć można bez przesady, że stowarzyszone, wkładając kopiejki, zapewniałyby sobie korzyści w rublach.

Szwaczki i magazynierki stanowią zapewne najpoważniejszą liczbę wśród naszych pracownic. Kilkadziesiąt tysięcy kobiét, najmozolniéj pracujących, a najgorzéj płatnych, pozostaje na wypadek braku zajęcia, choroby i starości bez schronienia i pomocy. Stowarzyszenie, o którém mowa, mogłoby im zapewnić i pomoc lub pożyczkę w chorobie, i pośrednictwo w wynalezieniu pracy, schronienie w starości, a nawet, przy odpowiednim rozwoju, emeryturę.

„Tygodnik mód i powieści" w bardzo przekonywających słowach zachęca je do zjednoczenia i nęci opisami podobnych stowarzyszeń zagranicznych, które ze skromnych składek pourządzały dla swoich uczestniczek przytułki, gdzie znajdują schronienie chwilowo pozbawione chleba, biblioteki i czytelnie, sale do odczytów i rozrywek, a niektóre nawet powystawiały domy mieszkalne dla uczestniczek.

Jaki los spotka tę myśl pożyteczną? Według niektórych, nasze szwaczki nie pojmują jeszcze znaczenia idei korporacyjnéj. Jeżeli zważymy warunki, w jakich większość ich wychowuje się, pracuje i żyje, to nie ma się bardzo i czém gorszyć. Dojść do zrozumienia własnego pożytku nie każdemu jest daném. Jeżeli zaś ten pożytek nie jest widoczny, namacalny i blizki, jeżeli zrozumieć go można dopiéro za pomocą choćby prostych kombinacyi cyfrowych, i przewidywań przyszłości, to już do tego potrzeba pewnego kulturalnego nawyknienia, porządku w myślach i w pracy. W takich razach powołujemy się zwykle na budujące wzory zagraniczne. Alež pamiętajmy, że nawet w sferze wykształconéj, która do pracy mózgowéj, oraz ko-

jarzenia idei i wzorów jest więcéj wdrożoną, ci tylko przeważnie, którzy wśród tych wzorów idei i instytucyi zagranicznych żyli, kształcą i modyfikują według nich swoje postępowanie. Reszta najczęściéj robi po swojemu, choć na zagranicę się powołuje. Cóż więc dopiéro dziwić się biednéj szwaczce, którą demoralizuje nędza lub wyniszcza praca. Nie dziw, że ona nie rozumié, co jéj po jakiémś tam zjednoczeniu, na które wymagają od niéj składki. Otoczenie jéj o tém nie mówi.

A gdyby nawet zrozumiała cel, może nie znać dróg, które do niego prowadzą, o formach zaś organizacyi—nie wiedziéć często i ze słychu. Te budujące wzory zagraniczne mają przygotowaną glebę i atmosferę, wśród któréj wzrastają. Alboż nasze klasy inteligentne są już tak bardzo przygotowane do samopomocy korporacyjnéj?

Jakkolwiek więc interesowani sami przedewszystkiém o losie swoim radzić powinni, w danym razie zapewne radzić wiele nie będą. Powinien radzić i działać ktoś, dróg i celów świadomy. Zapewne, że ten obowiązek przedewszystkiém ciążyć powinien na pracodawczyniach. Otóż „Tygodnik" w tym względzie tak odpowiada: „Jakieś trzy panie, prawdopodobnie właścicielki magazynów czy szwalni, zgłosiły się do redakcyi celem oświadczenia autorowi artykułu, że w zupełności projekt jego podzielają, jeżeli w rzeczywistość się zamieni, i że obiecują mu ze swéj strony najgorętsze poparcie. Jedna nawet, skromnie strzegąca swego *incognita*, pomimo naszych próśb i nalegań, oświadczyła, że niebawem wystąpi z inicyatywą czynną „w sprawie tak ważnéj i wymagającéj bezzwłocznego zajęcia się nią." Pani ta, serdecznie troskliwa o dolę pracownic igły, gotowa, według zapewnień, do czynu choćby natychmiast, wygłosiwszy wiele zdań pięknych i zrobiwszy dużo obietnic pozłacanych, odeszła i już się nie pokazała." Nie przesądzajmy zresztą z góry zachowania się pracodawczyń w sprawie stowarzyszenia szwaczek. Mogą być między niemi i takie, które myśl użyteczną czynem i przykładem poprą, kiedy ją zobaczą w fazie inicyatywy czynnéj, kiedy się przekonają, że stowarzyszenie takie może odpowiadać słusznym interesom obu stron.

Ale oprócz pracodawczyń pozostają jeszcze przecież mecenasi i mecenaski dobra społecznego, ze świata rodu, przemysłu i finansów. Zwłaszcza w karnawale wydają oni i one tyle energii na dobre cele, pisma codzienne tak gorliwie pieją im hymny, że biédne szwaczki, które także pracują własnemi rękoma dla sławy wielu filantropek, mogłyby chyba zapukać do ich inicyatywy. Organizacya stowarzyszenia szwaczek nie zabrałaby więcéj czasu i energii, niż ich zabiera urządzenie balów i rautów. A pożyteczna instytucya pozostałaby trwalszym hol-

dem uznania, nie mówiąc już o pożytku i wdzięczności ludzkiéj, niż go zapewnić może najdalsze echo balowéj reklamy.

Niech nad tym projektem lepsze czuwają bogi od tych, w których opiece pozostawał, pogrzebany już „Bazar wyrobów kobiecych”, a nad kołyską którego przed czterema laty takie dobre odzywały się wróżby.

Założycielkami bazaru były osoby, które pragnęły ubogim robotnicom, wyzyskiwanym przez różne magazyny i pracownie zapewnić uczciwy zbyt swoich wyrobów. Zgromadzenie towaru poszło bardzo łatwo i szybko, robotnice z całą ufnością powierzały bazarowi swoje wyroby, chętnie przystając na dość wygórowane warunki sklepu, który pobierał 20% od towarów, przyjmowanych w komis. Oprócz wyrobów komisowych, bazar przyjmował obstalunki na to wszystko, co wchodzi w zakres robót kobiecych. Zdawałoby się, że instytucya, założona z takiemi funduszami, w tak szlachetnym celu, a w obecnych warunkach ekonomicznych mająca zupełną racyę bytu, posiadająca przytém zapewnioną klientelę, poparcie pieniężne, oraz stałe i bezpłatne reklamy i ogłoszenia —powinna była na długo byt swój utrwalić.

Cóż się więc stało, że bazar upadł?

Na to odpowiedziała w „Kuryerze Codziennym” p. Antonina Piotrowska artykułem, który jest ostrym aktem oskarżenia działalności bazaru.

Pomimo znacznego w pierwszych chwilach powodzenia bazaru, którego wyroby znajdowały chętnych nabywców ze sfer najzamożniejszych, a kosztowne obstalunki, jak np. całe wyprawy ślubne, przynoszące wielkie zyski, były bardzo liczne — brak kierunku, uzdolnienia fachowego i porządku wszystko zniszczył. To, co p. Piotrowska opowiada o administracyi, prowadzeniu książek buchalteryjnych, utrzymywaniu towaru i wykonywaniu obstalunków, gdyby było prawdziwém, dowodziłoby wielkiego nieładu. Nareszcie i te, dla których pożytku bazar założony został, to jest robotnice miały nabrać przekonania, że „interes tak prowadzony nietylko nie przynosi im żadnego pożytku, ale jest wręcz szkodliwy.” Wprawdzie zarzuty oskarżycielki nieco osłabiono; wprawdzie każde przedsiębiorstwo jest niejakiém ryzykiem. W każdym jednak razie, jak to widać z wyjaśnionéj dotychczas historyi bazaru, brakowało tam, pomimo dobréj woli i ofiarności założycielek, kierownictwa umiejętnego i pewnéj ręki.

Przytoczony téż wyżéj wniosek robotnic, gdyby się utrwalił, byłby bardzo smutny. Spółki takie zawiązują się celem uczciwego pośrednictwa między producentami a spożywcami, i zapewniają po szerokim świecie wielkie korzyści i jednym i drugim. Cóż się tymczasem

u nas dzieje? Większa część spółek upada, niedawno spółka mięsna, teraz bazar. Ten ostatni powstał dzięki inicyatywie i ofiarności ludzi dobréj woli. I widzieliśmy, że mimo tego, do wręcz przeciwnego założeniu doszedł rezultatu.

Naturalnie, że ludzi energicznych i umiejętnych przykłady te od przedsiębiorstw spółkowych nie odstraszą, coby było najgorsze. Z przeszłości trzeba korzystać i błędów jéj unikać. Nawet ziemianie, przedstawiani tak długo w najniekorzystniejszém pod względem energii i fachowego prowadzenia rzeczy świetle, nabywają powoli tych przymiotów. Podobno spółki spożywcze, zakładane przez nich w gubernii kieleckiéj, pomimo szczupłego kapitału i zaciętéj walki ze strony prowincyonalnych handlarzy dochodzą do bardzo pomyślnego rozwoju. Posiadają zaufanie świata handlowego i odbiorców, zawdzięczając to specyalnym zdolnościom swoich kierowników.

Ponieważ wypadki zawalenia się ścian w nowostawianych domach zdarzały się w ostatnich czasach i w Warszawie, wywołując uzasadnioną obawę wśród publiczności, więc powstaje zapytanie — kogo głównie winić należy?

Odpowiada na to p. Obserwator w „Kur. Warsz.” Zdawałoby się, że winowajcą, odpowiedzialnym wobec prawa i ogółu, powinien być budowniczy, pod którego firmą i kierunkiem roboty się prowadzą. Niestety, całe kierownictwo robotami polega bardzo często tylko na firmie budowniczego. W praktyce budowlanéj upowszechniło się, że najczęściéj jakiś tani technik robi plan, a architekt firmowy podpisuje go za pewném wynagrodzeniem, najczęściéj mizerném. P. Obserwator zna budowniczych, których specyalnością jest dawanie firmy pracom „techników”.

Obserwator zaleca obostrzenie nadzoru nad spekulantami budowlanymi; istotna bowiem wina budowniczych jest bardzo małą; nie chcąc stracić klienteli, podpisują oni plany i biorą formalną odpowiedzialność na siebie...

Komitet kolonii letnich, instytucyi świecącéj przykładem energii i szlachetnéj sprawie oddanéj, oddawna szykuje się już, ażeby na wiosnę wyprawiać dzieci na wieś. W zeszłym miesiącu odbyło się posiedzenie komitetu kolonii, na którém najprzód wysłuchano sprawozdania z działalności roku ubiegłego. Wysłano na wieś dzieci 1,368. Koszta utrzymania razem z administracyą wyniosły przeszło 17,000 rubli; pozostało remanentu 3,000 rubli.

Na posiedzeniu powzięto kilka postanowień; między innemi komitet umyślił zwrócić się do p. ministra z prośbą o udzielenie dla dzieci bezpłatnych biletów kolejowych, wydane bowiem niedawno przepisy

ograniczają zarządy kolejowe w rozporządzaniu temi biletami. Kolonie letnie stoją wobec ogółu, jako instytucya młoda, ale już dobrze zasłużona, która dla spełnienia zadań swoich ma prawo odwoływania się do jego ofiarności.

W ubiegłym miesiącu zeszło ze świata kilku pożytecznych ludzi, jak Jerzy Aleksandrowicz, profesor botaniki i działacz społeczny, dr. Antoni Józef Rolle, utalentowany autor szkiców historycznych, snutych na dziejach Podola i Agnieszka Helwich. Nie jeden mógłby się zadziwić, co obok dwóch pierwszych imion znanych z prac naukowych i literackich, oraz działalności społecznéj robi imię nieznanéj, po za kresem starych nauczycielek, kobiéty. Agnieszka Helwich była właśnie założycielką schronienia dla osłabionych, starych nauczycielek, otwartego przed 14-tu laty w Warszawie. Ta cicha, dobra, pełna poświęcenia i ewangelicznéj skromności kobiéta, piastowała przez swój pracowity żywot myśl osłodzenia opuszczonéj starości swoich towarzyszek, których gorzki los dokładnie znała. Oddała na to swoje zaoszczędzone zasoby i ukochany, a tak ludzki zamiar wcieliła. Życzyć téż bardzo należy, ażeby to schronienie odpowiadało intencyom swojéj fundatorki, ażeby zawsze było tém, czém było za czasów jéj opieki i kierownictwa, to jest spokojnym i cichym przytulkiem zmęczonych pracą starych kobiét. Taki charakter schronienia będzie najlepszém uszanowaniem pamięci zmarłéj założycielki i odpowié potrzebom skołatanych wysiłkami nauczycielek.

Sprawa przytułku dla podupadłych na zdrowiu i starych rzemieślników fabrycznych, posuwa się nieco naprzód, jak wnosić można z listy składek. Składki te są bardzo rozmaitéj wysokości, bo zaczynają się od kilku, a kończą na 3,000 rubli. Jeszcze w roku zeszłym, przy początkowaniu téj sprawy, wykazywaliśmy, że powinna ona wywołać żywe współdziałanie i ofiarność wśród sfer interesowanych, których przyszłości dotyczy. Niechby i drobnemi składkami dowiedli zrozumienia swoich najbliższych interesów. W takich właśnie chwilach składa się egzamin z pojmowania swoich potrzeb. Zgromadzenia zaś rzemieślnicze mogłyby, jak sądzimy, znaczniejszemi sumami przyczynić się do założenia tak potrzebnéj instytucyi.

B. Lut.



NEKROLOGIA.

† **Jerzy Aleksandrowicz**, urodzony 1 stycznia 1819 r. we wsi Komieciszkach (gub. suwalskiéj), ukończył gimnazyum w Sejnach, poczém kosztem rządu kształcił się w uniwersytecie petersburskim, jako stypendysta Królestwa Polskiego. Tu na wydziale fizyczno-matematycznym oddał się specyalnie studyom botanicznym. Na trzecim kursie otrzymał medal złoty za rozprawę: „Rodzina wrzosowatych z okolic Petersburga.“ W r. 1843 uzyskawszy stopień kandydata nauk przyrodniczych objął obowiązki nauczyciela w gimnazyum realném w Warszawie. Obok lekcyi gimnazyalnych, prowadził wykłady o anatomii ciała ludzkiego w szkole sztuk pięknych, nauczał botaniki w szkole farmaceutycznéj i był członkiem egzaminatorem w radzie lekarskiéj. W r. 1857 powołany został do świeżo wtedy otwartéj Akademii medyko-chirurgicznéj na katedrę botaniki, zoologii i anatomii porównawczéj; wykłady te prowadził do r. 1862, kiedy z powodu otwarcia Szkoły Głównéj delegowano go zagranicę dla wybrania i zakupienia przedmiotów, potrzebnych do wykładu nauk przyrodniczych, oraz w celu zbadania urządzenia szkół realnych na zachodzie. Za powrotem do kraju objął ś. p. Aleksandrowicz katedrę botaniki w Szkole Głównéj; został dyrektorem ogrodu botanicznego, na którem to stanowisku rozwinął bardzo pożyteczną działalność. Po zamianie Szkoły Głównéj na uniwersytet, utrzymał się ś. p. Aleksandrowicz przy katedrze botaniki, napisawszy rozprawę na stopień doktora o morfologii śluzowców (*Myxomycetes*). Po wysłużeniu emerytury 1873 r. nie przestał pracować praktycznie na polu przez siebie ulubioném. W ogrodzie botanicznym założywszy pasiekę, uczył młodzież pszczelnictwa; leśnictwo krajowe żywo go zajmowało; dla ogrodnictwa zrobił bardzo wiele. Za jego staraniem, przy czyn-

nym współudziale Dembowskiego powstał w r. 1864 ogród pomologiczny w Marymoncie, przeniesiony w r. 1870 na grunt Folwarku Ś.-Krzyskiego; był dyrektorem jego aż do r. 1886; otworzył przy nim szkołę ogrodniczą prywatną, którą prowadził przez lat siedm. Czynny też wziął udział w założeniu Towarzystwa ogrodniczego, którego był prezesem aż do zgonu. Był dyrektorem Muzeum przemysłu i rolnictwa po śmierci Przystańskiego. Był członkiem komitetów redakcyjnych przy różnych wydawnictwach, jako to: „Wielkiéj encyklopedyi rolniczéj“, „Wielkiéj encyklopedyi ilustrowanéj“, „Wszechświata“ i „Pamiętnika fizyograficznego“. Prócz wspomnianych powyżéj rozpraw, napisał: „O dzieworodztwie celibatki“, „O chorobach pszenicy“, oraz mnóstwo artykułów z dziedziny botaniki w „Wielkiéj encyklopedyi ilustrowanéj“ aż do początków litery *C*. Umarł w Warszawie 13 stycznia r. b.

† **Edmund Callier**, gorliwy badacz na polu geografii historycznéj, którego artykuły zasilały w wielkiéj obfitości „Słownik geograficzny“, oraz czasopisma „Ateneum“ i „Bibliotekę Warszawską“, zmarł w Poznaniu w grudniu r. z.

† **Ludwik Władysław Rzepecki**, profesor, redaktor i wydawca, głośny mianowicie z powodu wielkiego zapału, z jakim bronił grafiki i pisowni księdza Malinowskiego; na stopień doktora filozofii napisał rozprawę z astronomii: *De orbita cometae qui anno 1854 primus apparuit* (Wrocław, 1858), tłómaczył i przerabiał Zoologię Pokornego, wydawał czasopismo: „Oświata“ (1866), potém: „Warta“ (od r. 1874), ogłosił: „Obraz katolickich szkół elementarnych, objętych archidyecezyami gnieźnieńską i poznańską, oraz chełmińską i warmińską“ (1867), a także i wiele broszur w sprawie ortografii. Zmarł w styczniu r. b. w Poznaniu.



OGŁOSZENIA.

Odpowiedź Redakcyi.

Panu S. B. Podpis *M. Rawicz* pod szkicem: „Nauczyciel“ w zeszycie styczniowym „Ateneum“ jest pseudonymem, nie zaś nazwiskiem rzeczywistém.

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński.* — Redaktor *P. Chmielowski.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Февраля 1894 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

1. *Artur Gruszecki.* **Tuzy.** Powieść współczesna. Warsz., 1894, 8-vo, str. 501 i **Artyzm w powieści** „Wysadzony z siodła", str. XVII.
2. *Or-ot (Artur Oppman).* **Pieśni.** Warsz., nakł. księgarni T. Paprockiego i S-ki, 1894 8-vo, str. 175 i IV.
3. *Bernard Perez.* **Charakter** od lat dziecięcych do wieku dojrzałego. Przełożył *R. D.* Warsz., nakł. księg. Paprockiego i S-ki, 1894, 8-vo, str. 288 i II.
4. **Kalendarz Lubelski** na rok zwycz. 1894. Lublin, nakł. Kossakowskich, 8-vo, str. 88 i kart 23 nlb.
5. **Bocian.** Dwie legendy. Napisał *Włodzimierz Wysocki.* Kijów i Odessa, nakł. księg. B. Koreywy, 1894, 8-vo, str. 39.
6. **Album Fr. Kostrzewskiego.** Warsz., nakł. S. Lewentala (1893), folio, kart. 29.
7. *Adolf Dygasiński.* **Na złamanie karku.** Powieść. Warsz., nakład S. Lewentala (1893), 8-vo, str. 374.
8. *Helena Ceysinger.* **Ze znalezionych kartek.** Warsz., nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1894, 8-vo, str. 159.
9. *Klemens Junosza.* **Wybór pism** w X tomach. Tom V. Warsz., nakł. autora, 1893, 8-vo, str. 219.
10. *Dr. W. Migule.* **Bakterye.** Przekład *d-ra M. Flauma.* Warsz., nakł. S. Lewentala (1893), 8-vo, str. 220 (z 30 drzeworytami).
11. *Karol Baudelaire.* **Kwiaty grzechu.** Z portretem i życiorysem autora. Przełożyli *Adam M-ski* i *A. Lange.* Warsz., nakład Hier. Cohna, 1894, str. 111.
12. **Fotografie bez retuszu** (zbiór opowiadań) *Gamastona.* Kijów i Odessa, w księgarni Bol. Koreywy, 1894, 8-vo. str. 333.
13. *Teresa Jadwiga.* **Ognisko rodzinne.** Powieść dla młodzieży. Warsz., nakł. ks . T Paprockiego i S-ki. Warsz., 1894, 8-vo, str. 276 (z rysunkami).
14. *Cordelia.* **Mali bohaterowie** (Piccoli eroi). Książka dla dzieci. Przekład z włoskiego *Zofii Sokołowskiéj.* Warsz., nakł. Paprockiego i S-ki, 1894, 8-vo, str. 218. z rysunkami.
15. *Szmul Rokoszewski.* **Dekadentyzm warszawski.** Warsz., 1894, 8-vo, str. 16.
16. *D. Zgliński.* **Jakób Warka.** Dramat. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 1893, str. 115.
17. *Juliusz Giżowski.* **Rodzina wyklętych.** Warsz., Gebethner i Wolff, 1894, 8-vo, str. 341.
18. *Lewicki Kazimierz..* **Ul gospodarski,** bezdenek snożowy. Ul warszawski udoskonalony i miodosytnictwo. (Do druku opracował *K. Prószyński*). Warsz., wydawnictwo „Gazety Świątecznéj", 1893, 8-vo, str. 144.
19. *Björnstjerne-Björnson.* **Jednożeństwo i Wielożeństwo.** Warsz., nakład redakcyi „Głosu", 1893, 8-vo, str. 47.
20. **Zasady fizyologii.** Arkusz 23 — 29 (Dodatek do „Prawdy". Kwartał IV-ty — 1893 roku).
21. **Rocznik** Akademii umiejętności. Rok 1892/3, 8-vo, str. 161.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE i LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ:

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznej lub naukowej.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnem uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatniają.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki iestetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

Warunki przedpłaty:

Prenumerata Ateneum w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie Rs 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

Do Redakcyi ATENEUM, Obożna 5.

